

CAROLYN McSPARREN

KARUZELA

Prolog

Nick Kendall otworzył oczy, ale zobaczył tylko gęste jak smoła ciemności. Przez głowę przemknęła mu myśl, że może stracił wzrok. Dopiero po dłuższej chwili oprzytomniał.

To hotel w Seattle, zasłony w oknach nie przepuszczają ani odrobiny światła, a jednostajny szum pochodzi z klimatyzacji.

Był zlany zimnym potem. Usiadł na łóżku i przeciągnął palcami po wilgotnych włosach. Miał koszmarne sen, ale nie ten co zwykle, o biletach na diabelski młyn. Teraz przyśniła mu się praca - przyjął zlecenie na naprawę konika morskiego. Niby nic strasznego, zwykła, codzienna robota, a jednak w tym śnie było coś przerażającego.

Spróbował sobie przypomnieć, co właściwie go tak przestraszyło, lecz nie potrafił. Wyciągnął się z powrotem na łóżku, zamknął oczy i przywołał w wyobraźni figurę konika morskiego. Wydawało mu się, że przesuwa ręką po drewnianym korpusie, czuje chropowatą, spękaną farbę na łuskach, poluzowane łączenia, a jego palce wpadają w szpary, z których wykruszył się klej.

Zacisnął mocniej powieki i przed oczami stanęło mu czarno - białe zdjęcie, które ilustrowało tamten artykuł w gazecie. Nigdy, ani przedtem, ani potem, nie zdarzyło się już, by ktokolwiek napisał o starodawnej karuzeli, która dawno temu stała na plaży, zanim ją zniszczył, a raczej zasypał piaskiem huragan. Takie rzeczy zdarzają się w New Jersey. Teraz nie robi się już karuzeli z końmi w trzech rzędach. Rumaki w zewnętrznym szeregu kroczą w nich dostojnie, te ze środka unoszą w górę przednie kopyta, a wewnętrzny szereg trwa

zawieszony w powietrzu w nie kończącym się skoku. Oprócz koni w karuzeli na plaży były dwa powozy, lecz nikt tam nie widział żadnych innych zwierząt.

Nie było strusi, lwów, prosiaków. Nie było także konika morskiego.

Nick wciągnął powietrze i znowu usiadł. Odrzucił na bok koc i po omacku doczołgał się do krzesła. Wieczorem, zanim padł na łóżko jak kłoda, cisnął tam swoje zakurzone dzinsy. Poszukał przełącznika lampki stojącej na małym biurczku. Trzecia rano. Cholera.

Wciągnął dzinsy i bluzę, wsunął stopy w zakurzone jak cała reszta ubrania mokasyny i pochwycawszy klucze od wynajętego samochodu, wyszedł z pokoju. W drodze do magazynu nie spotkał żywego ducha.

Musi to sprawdzić, i to teraz, nie może dłużej czekać. Nikt nie wykopał tego konika morskiego z plaży w New Jersey. Może i jest autentyczny, ale na pewno pochodzi z innej karuzeli.

Usiłował znaleźć jakieś racjonalne wytłumaczenie, lecz w głębi duszy podejrzewał coś, o czym nawet bał się pomyśleć. Gdyby jego podejrzenie okazało się prawdą, dobra opinia, na którą tak mozolnie pracował, ległaby w gruzach.

Ktoś na pewno został oszukany, ale kto? Helmut Eberhardt, sprzedawca figurki konika? Może Pete Marley, który kupił ją, nie sprawdzając, skąd pochodzi? No cóż, ze świadectwem pochodzenia kosztowałaby ponad pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Bez dokumentów taki konik morski, autentyczny czy nie, wart jest o połowę mniej.

Nick poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku.

Zaparkował naprzeciw wejścia do magazynu, wyjął z kieszeni pęk kluczy, otworzył drzwi i zatrzasnął je za sobą. Szczęknęły jak drzwi do celi.

Konik morski, oświetlony reflektorem, stał na środku pomieszczenia. Od spodu w jego korpus wbijał się metalowy pręt wychodzący z solidnej, drewnianej podstawy. Głowę miał przechyloną, jakby zwracał się w stronę oceanu i przez rozchylone nozdrza łowił zapach wody. Niecierpliwie gryzł wędzidło, a uniesione przednie kopyta zdawały się bić powietrze w bezsilnej walce o uwolnienie.

Nick powiódł wzrokiem wzdłuż grzbietu konika, patrząc, jak piękne krzywizny końskiego ciała przechodzą w kształt rybiego ogona. Oto stał przed nim morski stwór, gotów w każdej chwili porwać jakąś syrenę i rzucić się z nią w odmęty oceanu.

Głowa i kark zwierzęcia były w naturalnym kolorze drewna, bo Nick zdążył już zeskrobać odpryskującą, starą farbę. Teraz stał obok i z zamkniętymi oczami przesunął rękę po ich chropowatej powierzchni. Przypominał sobie wyżłobienia źrenic, spiczaste uszy, ciężkie płaty policzków. Powiódł dłonią wzdłuż grzbietu, aż dotarł do rozdzielonego na dwie części ogona.

Zgadza się. Zna tę figurę. Powinien był od razu ją poznać. To nie żaden antyk, tylko jego własne dzieło.

Tego konika morskiego wyrzeźbił dwadzieścia lat temu. Powinien nadal stać w jego pracowni, w Rounders - pięć tysięcy kilometrów stąd.

Rozdział 1

Taylor Hunt skrzywiła się na widok ozdobnej tabliczki, która wisiała nad schodami.

DZIECI BEZ OPIEKI BĘDĄ SPRZEDAWANE ELFOM.

Doprawdy urocze, pomyślała sarkastycznie i odetchnąwszy głęboko, nacisnęła klamkę drzwi po prawej stronie. Od razu oślepiło ją słońce i nieomal wpadła na wielkiego, drewnianego królika.

- Stój spokojnie - sapnął zza królika jakiś głos i Taylor zobaczyła delikatną dłoń podtrzymującą wysoką na metr osiemdziesiąt figurę. - Przepraszam, ale ile razy wbijam w niego dłuto, on odskakuje i ucieka mi jak żywy.

Drobne kobiece ręce objęły królika w połowie i odciągnęły do tyłu. Między jego uszami ukazała się trójkątna twarz, może i podobna do elfa, ale na pewno nie do dziecka. Zmarszczki w kącikach jasnoniebieskich oczu kobiety świadczyły o tym, że przekroczyła już pięćdziesiątkę.

- Chyba się zabiję przez te róże. Zupełnie mi się nie udają.

Kobieta wyszła teraz zza królika. Była niższa i chyba lżejsza od drewnianej rzeźby. Miała na sobie džinsy i pokrytą białym pyłem bluzę z wielkim napisem: „Jutro będzie lepiej”.

- W czym mogę pomóc, moja droga? - zapytała.

- Chciałam się dowiedzieć, czy zastałam pana Kendalla. Kobieta niewyraźnym ruchem wskazała na lewo.

- Jest gdzieś tam. Doprowadza do ładu konia, którego Rico nie ma czasu skończyć.

- Aha... - mruknęła Taylor, nie mając zielonego pojęcia, na czym może polegać „doprowadzanie do ładu konia” ani kim jest Rico. Przez chwilę skupiła wszystkie siły, by opanować ogarniającą ją panikę. Nie ma wiele czasu, żeby wykonać zadanie. Być może załatwi figę z makiem i będzie musiała odegrać potem małą komedię. W każdym razie za nic w świecie nie wróci do Mela Bormana z pustymi rękami, żeby stać przed nim jak sierota i wbijać wzrok w podłogę.

Chybabym się zabiła, gdybym miała robić to co ona, pomyślała Taylor.

- Proszę klapnąć sobie gdzieś z boku. W Rounders Unlimited nie trzymamy nikogo na baczność - powiedziała kobieta i wróciła do swoich zajęć.

Firma zajmowała całe piętro budynku, który był tak stary, że mógłby znajdować się w rejestrze zabytków miasta Memphis. Dzielnica rozpadających się składów towarowych i fabryk nad Missisipi już od paru lat przyciągała deweloperów szukających terenów pod inwestycje, którzy wręcz dyszeli żądają, by zamienić sypiące się mury magazynów w ekskluzywne pracownie i apartamenty, ale tutaj ten proces jeszcze nie dotarł. Być może nawet entuzjazm deweloperów znał swoje granice i rzut oka na starą, opuszczoną fabrykę wystarczył, by skierowali się ku łatwiejszym celom.

Lepka od brudu podłoga i ściany z nadkruszonych, nie otynkowanych cegieł sugerowały, że na utrzymanie tego pomieszczenia właściciele poświęcają minimum czasu i środków.

Taylor przeciskała się między blatami, na których leżały w nieładzie końskie korpusy bez głów, zady i pojedyncze kopyta. Głowa żyrafy, osadzona na długiej, jeszcze nie pomalowanej szyi, spoglądała na nią szklanymi oczami. Jeden z blatów zgodnie dzieliły z sobą prosię i karykaturalna, dwa razy większa od niego ropucha. Taylor poczuła szczypanie w nosie spowodowane zapachem trocin i świeżo heblowanego drewna. W powietrzu unosił się pył, drobniutki jak muł z Missisipi, prawie niewidoczny, ale wciskający się wszędzie: we włosy, pod ubranie, do ust i uszu. Mimo wysiłku nie zdołała powstrzymać kichnięcia.

Minęła przeszkloną ścianę o szybach matowych od brudu, za którą, jak się zorientowała, znajdował się oddzielny, pusty w tej chwili pokój. Zobaczyła ciężkie, metalowe drzwi, a za nimi następne pomieszczenie. Przystanąła w progu. Było tam jeszcze więcej drewnianych zwierząt, ale żadnego człowieka.

- Panie Kendall! - zawołała.

- O co chodzi? - dobiegł gdzieś z głębi męski głos. Zaszurały kroki i Nick Kendall wynurzył się z półmroku, wycierając ręce o nogawki spodni. Był wysoki - na pewno ponad metr osiemdziesiąt - szeroki w barach i szczupły w pasie.

Fiu, fiu... Uważaj na niego, pomyślała Taylor.

Przychodząc tu, wyobrażała sobie, że człowiek, który prowadzi kursy dla amatorów rzeźbienia zwierzątek w drewnie, powinien wyglądać jak święty Mikołaj, tymczasem ten facet mógłby pracować w dokach i rozładowywać jedną ręką półtonowe skrzynie.

Gdy tylko się uśmiechnął, zrozumiała, że jest niebezpieczny. Znała ten szelmowski wdzięk. Lata małżeństwa z Paulem nauczyły ją, co to znaczy. Nauczyły i uodporniły. Nie da się już na to złapać. Fala ciepła idąca od splotu słonecznego w górę ostrzegła ją jednak, że znany jej bakcyl może wywołać czasami przelotne rumieńce.

Poprawiła torbę na ramieniu i wyciągnęła rękę, przywołując na twarz chłodny, profesjonalny uśmiech.

- Nazywam się Taylor Hunt. Chciałabym zapisać się do pana na zajęcia.

Nick Kendall zmarszczył czoło, jeszcze raz otarł rękę o dzinsy i uściśnął podaną dłoń.

- Aha... - zawahał się. - Może porozmawiamy u mnie w biurze? - powiedział i poprowadził ją do przeszklonego pomieszczenia.

Pokój był mały i mieściło się w nim tylko sfatygowane biurko, komputer i dobrze już podniszczona szafka na segregatory. Po obu stronach biurka stały krzesła, każde z innego kompletu.

Gdy usiedli, Taylor pomyślała, że nawet teraz widać, iż Nick Kendall jest imponującej postury.

- Mel Borman nie uprzedził mnie, że jest pani kobietą. Myślałem, że Taylor to męskie imię - powiedział, spoglądając na nią pytająco i odchylając się z krzesłem do tyłu.

Przez chwilę czuła się jak muł oglądany na targu w celu oszacowania ewentualnych pożytków, jakie przyniesie w gospodarstwie. Wytrzymała jednak spojrzenie swego rozmówcy, mając jednak nadzieję, że jej wypieki nie są zanadto widoczne.

- Do rzeczy, pani Hunt. Od kiedy jest pani detektywem? Upiorne pytanie, którego nie sposób uniknąć.

- Współpracuję z panem Bormanem od prawie dwóch lat. Z merytorycznego punktu widzenia zdanie to, choć nie dawało bezpośredniej odpowiedzi, było całkowicie poprawne.

Nick Kendall nie zna zapewne tak dobrze prawa stanu Tennessee, by wiedzieć, że zanim złoży się egzamin wymagany do uzyskania statusu prywatnego detektywa, trzeba najpierw odbyć roczną praktykę. A jeżeli tego nie wie, na pewno nie dowie się tego od niej. Nie ma zamiaru chwalić się, że większość czasu u Bormana upłynęła jej na odbieraniu telefonów, noszeniu dokumentów do sądu i prowadzeniu archiwum, a cała jej błyskotliwość mogła zatriumfować głównie podczas obracania w żart nudnych zaczepek starego portiera.

- Była pani w policji? Coś zagniotło ją nieprzyjemnie w żołądku.

- Nie.

- To chyba niebezpieczne dla kobiety być detektywem?

- Więcej ryzykuję, przyjeżdżając tu samochodem, niż wykonując swoją pracę. W dzisiejszych czasach detektyw spędza czas głównie przed ekranem komputera albo siedzi gdzieś na tarasie obskurnego motelu i pije zimną kawę.

Nie było to w stu procentach prawdziwe, ale stanowiło przybliżony obraz pracy w Agencji.

- Jak trafiła pani do zawodu?

- Mój wuj jest prokuratorem i to on poznał mnie z Melem Bormanem, „osobą uczciwą i kompetentną”. - Taylor uśmiechnęła się,

czując, że znalazła wreszcie właściwy ton. - Szukałam pracy po śmierci męża, a Mel potrzebował detektywa i tak się to zaczęło.

W rzeczywistości nie zaczęło się tak łatwo, bo całe tygodnie zeszły jej na namawianiu Mela, by w ogóle zechciał ją przyjąć na bezpłatną praktykę, a gdy wreszcie się zgodził, własna rodzina urządziła jej prawdziwe piekło. Tymi szczegółami nie zamierzała jednak dzielić się z Kendallem. Nie oszukiwała - po prostu pomijała pewne rzeczy. Ten człowiek na pewno nie ucierpi z powodu jej braku doświadczenia i nie pożałuje, że wynajął agencję Bormana.

Krzesło, na którym siedziała, było wyjątkowo niewygodne. Czowała, że za chwilę zacznie ją boleć kręgosłup.

- Czy mam rozumieć, że to pani pierwsze tajne zadanie?

- Kendall nie dawał za wygraną.

- Oczywiście, że nie - odrzekła pospiesznie. Nie była to jej pierwsza misja, zbierała już informacje w

rozmaitych spelunkach, tyle że dotychczas Mel chodził z nią i siadywał przy barze dwa stołki dalej, na wypadek gdyby jakiś gagatek próbował wsadzić rękę pod jej spódnicę.

- Nigdy jeszcze nie korzystałem z usług agencji detektywistycznej.

To dobry znak, pomyślała. Być może ten człowiek jest jeszcze bardziej przerażony ode mnie.

- Tak jak większość ludzi - odpowiedziała. - Detektyw bywa potrzebny dopiero wtedy, kiedy dziecko ucieka z domu albo trzeba zdobyć dowody przeciwko niewiernej żonie.

- Nigdy nie byłem żonaty. Uważaj, pomyślała. Jeśli czterdziestoletni mężczyzna nie ma żony, to znaczy, że albo jest homoseksualistą, albo ma jakiś feler. Na homoseksualistę Kendall nie wyglądał, pozostawało więc to drugie. Alkoholik? Narkoman?

Wyprostowała się na krześle. Czym tu się przejmować? Czy Mel nie nauczył jej swojej podstawowej dewizy: „Nie angażuj się emocjonalnie w stosunku do klienta”? Do tej pory nie miała z tym żadnych problemów, ale też żaden klient nie wzbudził w niej choćby cienia zainteresowania. Żaden też nie miał takiego szelmowskiego uśmiechu.

- Nie jestem przekonany, czy kobieta da sobie z tym radę

- wydusił w końcu z pewnym wahaniem. Taylor nieomal zgrzytnęła zębami. A więc to dlatego nie jest żonaty.

- Mam takie same umiejętności jak pan Borman - oznajmiła ujmująco grzecznym tonem. - O ile wiem, przedmiotem naszego dochodzenia będzie koń z karuzeli, a nie kartel narkotykowy.

- Nie chciałem pani urazić ani powiedzieć, że brak pani kompetencji - odrzekł, unosząc brwi. Oparł się łokciami na biurku i pochylił nieco do przodu. - Skradziono dziesięć sygnowanych egzemplarzy moich rzeźb, a może więcej. Nie wiem, bo nie prowadzę katalogu wszystkich prac. Każda z nich, jeżeli wystawić ją na sprzedaż jako moje dzieło, jest warta od dziesięciu do piętnastu tysięcy dolarów. Jeżeli jednak ktoś dorobiłby do niej świadectwo pochodzenia, mógłby ją sprzedać jako antyk nawet za pięćdziesiąt tysięcy. Kilka lat temu autentyk, który wyszedł spod ręki rzeźbiarza o

nazwisku Illions, poszedł na aukcji za sto dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Może to nie kokaina, ale karma dla kur też nie. W grę wchodzi duże pieniądze, może być gorąco.

To poważniejsza sprawa, niż się nam z Melem wydawało, pomyślała Taylor.

- Wszystko to mogłoby być dosyć proste, gdyby udało się prześledzić losy pewnego... konika morskiego. - Nick Kendall spojrzał na nią badawczo, jakby chciał sprawdzić, czy jest w stanie połapać się w nazwach i szczegółach obcych dla laika, który po raz pierwszy przekroczył próg jego pracowni. - Konika, którego kupił niejaki Pete Marley - kontynuował. - Niestety, zanim zdążyłem się skontaktować z Helmutem Eberhardtem, właścicielem sklepu z antykami w Oxfordzie, od którego Marley kupił figurę, Eberhardta zamordowano.

Przez moment nie wierzyła własnym uszom. Gdy zdała sobie sprawę, że Kendall powiedział dokładnie to, co usłyszała, zrobiło jej się zimno. Jeśli okaże się, że zlecenie zawiera choćby poszlaki wskazujące na morderstwo, Mel Borman zabroni jej brać tę sprawę. Dziesiątki razy kładł jej do głowy, że prywatny detektyw nie zajmuje się morderstwami, chyba że obrona zwróci się do niego o sprawdzenie dowodów, gdy podejrzany jest już aresztowany i postawiony w stan oskarżenia.

- Zamordowano go? Ale jak?

- Zginął w pożarze. Policja oxfordzka nazwała to zwyczajnie wypadkiem.

Ulżyło jej. W końcu Mel nie jest aż tak przewrażliwiony, żeby wycofać się z powodu zwykłego wypadku. Najlepiej byłoby to wszystko przemilczeć, ale wiedziała, że to się nie uda. Mel zawsze jest w stanie wyczuć, kiedy próbowała skłamać lub coś przeinaczyć.

- Panie Kendall, zawód prywatnego detektywa w znacznej mierze polega na wykonywaniu rutynowych czynności. Wraca się wiele razy w to samo miejsce, wypytuje się ludzi wciąż o to samo tak długo, aż uda się wychwycić jakąś niezgodność. Tacy detektywi jak Marlowe czy Sam Spade istnieją tylko w powieściach kryminalnych. Gdyby ta praca była aż tak niebezpieczna, jak pan myśli, zajmowałabym się czym innym, podobnie zresztą jak Mel Borman. Od ścigania morderców jest policja - oświadczyła i, przestraszona własnymi słowami, zmieniła temat. - Na razie mamy inny, całkiem prozaiczny problem do omówienia.

- To znaczy?

- Mel powiedział, że powinnam podawać się za pana uczennicę, ale uprzedzam, że nigdy nie trafiłam młotkiem w gwóźdź, a dłuta w życiu nie trzymałam w ręku. Gdybym miała tu sobie połamać paznokcie, to jeszcze pół biedy - odrosną - ale palce już by nie odrosły. Nie boję się pracy, ale sam widok elektrycznej piły wprawia mnie w paskudny humor.

Kendall znów odchylił się do tyłu i, bujając się na krześle, oparł się plecami o ścianę. Zachichotał.

To zresztą nawet nie był chichot, tylko niski, gardłowy śmiech, w którym odsłoniły się dwa równe rzędy wyjątkowo dużych, białych

zębów. Patrząc na twarz Nicka Kendalla i na jego czarne falujące włosy, które zaczynały siwieć na skroniach, Taylor pomyślała, że naprawdę ma przed sobą wilka z bajki o Czerwonym Kapturku. Nos miał złamany w co najmniej dwóch miejscach. Niebezpieczny człowiek, z gatunku tych, przed którymi Mel zwykle usiłował ją chronić.

- Trzy czwarte ludzi, którzy zapisują się do mnie na zajęcia, nigdy nie miało w ręku dłuta ani ciężkich narzędzi. Połowa z nich to kobiety po pięćdziesiątce. Mam uczennicę, która przylatuje tu z Arizony na jeden weekend w miesiącu. Liczy sobie siedemdziesiąt siedem lat, a waży ze czterdzieści kilogramów. Zanim zaczęła u mnie rzeźbić, jedyne narzędzia, jakie w życiu widziała, to zestaw do manikiuru. Jeżeli ją nauczył, to i z panią dam sobie radę. Zresztą, wygląda pani na dosyć silną osobę.

- Ale nie na tyle silną, żeby wymachiwać piłą elektryczną.

- W takim razie może znajdziemy inny pretekst.

- Nie, lekcje to naprawdę dobra przykrywka. Mel mówi, że niezależnie od tego, jak pogmatwana czy dziwna jest sytuacja, zawsze jest ktoś, kto wie, co naprawdę się dzieje. Chodzi tylko o to, żeby zadać właściwej osobie właściwe pytanie. Jako pańska uczennica będę mogła swobodnie rozmawiać z ludźmi. Chciałabym tylko na koniec mieć tyle samo palców co w tej chwili. Ale cóż, powoli, powoli.

Nick Kendall zmarszczył brwi.

- Nie mamy czasu, żeby działać powoli.

- Słucham?

- Ma pani dokładnie dziesięć dni, żeby dowiedzieć się, kto ukradł moje rzeźby.

- To przecież może potrwać dłużej. Co wtedy? Wzruszył ramionami.

- Wtedy musiałbym odpalić trzydzieści pięć tysięcy Pete'owi Marleyowi, który kupił falsyfikat, a ja niestety nie mam takiej sumy.

- Przecież to nie pan sprzedał mu falsyfikat.

- Proszę posłuchać. - Pochylił się nad biurkiem; mówił teraz głośno i dobitnie. - Dobra opinia to dla mnie być albo nie być. Grono ludzi, którzy zajmują się karuzelami, jest bardzo wąskie. W tym światku wszyscy się znają. Ludzie mają do mnie zaufanie. A nie tak łatwo je zdobyć, bo wszędzie pełno jest hochsztaplerów. Jeżeli więc Marley w ciągu dziesięciu dni nie dostanie z powrotem pieniędzy, ogłosi, że został przeze mnie oszukany. Nie mogę sobie na to pozwolić.

- Mel powiedział, że Marley nigdy nie dowiedziałby się, że kupił falsyfikat, gdyby pan mu tego nie uświadomił.

- Marley zawsze obsesyjnie się bał, że ktoś mógłby go wykiwać. Gdy usłyszał prawdę o rzeźbie, był gotów polecieć do Missisipi i własnymi rękami udusić Eberhardta, tyle że Eberhardt już wtedy nie żył. Nie mam wyboru: albo odkryję, kto ukradł konika, i wtedy Marley wyciągnie pieniądze od tego człowieka, albo sam spłacę Marleya. I tak mam szczęście, że zgodził się dać mi dwa tygodnie - zakończył ponuro Kendall.

- Nie jest pan ubezpieczony na taki wypadek?

- Nie, dlatego że ani koniki, ani inne rzeźby nie należą do wyposażenia firmy. Są moją własnością i ubezpieczenie ich nie obejmuje. Odszkodowanie mógłbym dostać jedynie w przypadku, gdybym dowiódł, że któryś z moich wspólników jest złodziejem. W umowie ubezpieczeniowej Rounders jest taki punkt - uśmiechnął się nieco ironicznie - ale to oczywiście nie wchodzi w grę.

- Dlaczego?

- Moi wspólnicy nie byliby do tego zdolni.

- W takim razie kto?

- W tym cały problem. Przypuszczalnie ktoś z moich uczniów, bo nikt inny nie zna się na rzeźbach. Ale również trudno mi uwierzyć, żeby uczniowie mnie okradali. Traktuję ich jak przyjaciół, członków rodziny.

- Jednak oni nie są rodziną. Płacą panu i za pieniądze uczą się konkretnych rzeczy.

- Coś mi mówi, że niespecjalnie podoba się pani to, co tu robimy.

Taylor westchnęła. Ten człowiek jest klientem, więc nie powinna mówić mu przykrych rzeczy. No ale skoro już spytał...

- Przyznaję, że mam pewne wątpliwości. Dziwię się, że ludzie wydają tak olbrzymie kwoty na zabawki.

- Niektórzy uważają, że te zabawki to dzieła sztuki.

- Są tacy, dla których dziełem sztuki może być kolaż z gnijących liści sałaty i powyginanych pinezek.

Kendall podrapał się po karku. Otworzył szufladę, wyjął z niej niewielki katalog i rzucił na biurko.

- Sałata i pinezki, mówi pani? To proszę sobie pooglądać.

Taylor szybko przejrzała broszurę. Oprócz jednej fotografii nie znalazła w niej nic, co na dłużej przykułoby jej wzrok, choć pełna była bajecznie kolorowych obrazków. Zdjęcie, przy którym się zatrzymała, pokazywało konia w wysadzonej klejnotami zbroi. Jego krótką grzywą targał niewidzialny wiatr, uzda ściągała wędzidło, odsłaniając wielkie, lśniące zęby. To był koń godny mitycznego Lancelota. Sama chciałaby dosiąść takiego rumaka i pogalopować na jego grzbiecie w nieznaną...

Niestety, wspaniały rumak nie wiedział, co to galop. Mógł tylko jednostajnie kręcić się w kółko, bo jedną nogę co prawda miał wolną, lecz pozostałe były przybite do drewnianej platformy. Zamiast bębnow i wojskowych trąbek przygrywała mu mechaniczna muzyka karuzeli... Taylor odłożyła katalog.

- Ładny, prawda? - zapytał Kendall. Zamiast odpowiedzi wzruszyła ramionami.

- Proszę nie udawać, wszystko widziałem. Aż się pani oczy zaświeciły. Nie pierwszej, proszę mi wierzyć, inni też tak reagują. - Nachylił się w jej kierunku i wyszeptał kusząco: - Może pani sama takiego wyrzeźbić.

Taylor instynktownie się cofnęła. To nie wilk, to jakiś diabeł, który namawia ją, żeby narażała własne zdrowie.

- Niech pan przestanie. Nawet gdybym miała odpowiednie zdolności i potrafiła tak pracować, żeby nie poobcinać sobie palców, wyrzeźbienie czegoś takiego zabrałoby mi kilka lat.

- Wystarczy zapal i dobre chęci, a gwarantuję, że w ciągu dwóch tygodni będzie pani miała takiego konika.

- Chyba pan oszalał - powiedziała, patrząc kątem oka na otwartą stronę katalogu. W dzieciństwie uwielbiała czytać książki historyczne, powieści o wielkich wodzach i dzielnych rycerzach. Przed bitwą rycerz przywdziewał zbroję i zakładał koniowi bojowy rynsztunek, taki jak ten na fotografii. Zawsze marzyła o tym, by zostać rycerzem, ale Bradley, jej nieznośny brat, mówił, że dziewczyny się do tego nie nadają. Czyżby?

Kendall obserwował ją z rozbawieniem.

- To naprawdę jest możliwe - obiecał. - Co prawda nie wybrała pani najłatwiejszego modelu, ale jeśli przyłoży się pani do pracy i przyjmie moją pomoc, to obiecuję, że się uda.

Przez chwilę poczuła taki przypływ sił, że mogłaby wejść na Mount Everest dla tego faceta. Wiedziała jednak, że nie wypada jej okazywać przesadnego entuzjazmu.

- Przypominam panu, że nie mam wcale dwóch tygodni, tylko dziesięć dni - oświadczyła, zatraskując katalog. W tym momencie zdała sobie sprawę, że jej palec ciągle tkwi w środku, na stronie z tym pięknym konikiem, dodała więc niby od niechcienia: - Ale co tam... Przecież i tak muszę coś zrobić, kiedy Już tu będę. Najwyżej zacznę i ktoś inny skończy.

Kendall nie mógł ukryć uśmiechu. Połknęła haczyk.

- No to... jak się do tego powinnam zabrać? - zapytała, usiłując zapanować nad falą ciepła, która zaczęła ją zalewać już drugi raz od rozpoczęcia rozmowy.

Kendall westchnął. Zapomniał przez chwilę, po co tak naprawdę ta kobieta tu siedzi.

- Wszyscy płacą u mnie nie tylko za lekcje, ale i za materiał, na którym pracują, więc będzie pani musiała udawać, że zapłaciła za kurs, i powinna pani wiedzieć, ile to kosztuje. Trzeba będzie poza tym kupić zestaw dłut i małą, ręczną wiertarkę z wymiennymi końcówkami do szlifowania i skrawania drewna. Może pani wliczyć ten zakup w koszty rachunku, który Mel wystawi mi po skończonej pracy. Odchodząc stąd, po prostu zostawi pani narzędzia.

Przytaknęła. Zdjęła torbę, która trzymała dotąd na ramieniu, i wydobyła z niej miniaturowy magnetofon.

- Nie przeszkadza panu, że będę tego używać? Dla mnie to wielka wygoda; łatwiej jest mi potem robić notatki.

- Dobrze, ale teraz nie będę już pani udzielał żadnych instrukcji. I tak za długo tu siedzimy. Ludzie, którzy przychodzą do nas, są zazwyczaj tak niecierpliwi, że od razu płacą i zabierają się do roboty. Pani już wybrała model, więc jeśli ma pani zachowywać się jak zwyczajna uczennica, powinna pani w tej chwili przystąpić do dzieła.

- Cóż, wolałabym najpierw się sfotografować, póki mam jeszcze wszystkie dziesięć palców - zażartowała.

- Najostrzejszym narzędziem, jakie weźmie dziś pani do ręki, będzie zatemperowany ołówek. Naszkicuje pani tego konia na kalce,

potem włożymy obrazek do rzutnika i wyświetlimy na dużym kartonie przypiętym do ściany, a pani przerysuje go wtedy jeszcze raz, już na powiększeniu. Pozostanie pani zagruntować drewno na korpus i nogi. Przez najbliższe dni nie będzie pani musiała nic rzeźbić.

Gdy wstał, zrobiła to samo.

- Zazwyczaj o szóstej zamykamy, ale Veda zawsze siedzi dłużej.

- Dlaczego jest dzisiaj sama?

- Bo mamy poniedziałek. Szkoda, że nie była tu pani w sobotę czy niedzielę.

- To znaczy, że firma działa siedem dni w tygodniu?

- Mieszkam piętro wyżej. Nie zawsze siedzę w pracowni, ale zwykle jestem na miejscu.

Taylor przycupnęła na brzegu biurka.

- Chwileczkę. Czy mam rozumieć, że całymi godzinami zostawia pan tutaj bez nadzoru zupełnie obcych ludzi? Dziwię się, że nie poginęły panu jeszcze wszystkie narzędzia. Przecież w tej sytuacji nie ma nic zaskakującego w tym, że skradziono te figury.

Nick Kendall lekko się zniecierpliwił.

- Powiedziałem już, że traktuję swoich uczniów jak rodzinę. Nikt nigdy nie wziął tu sobie bez pozwolenia nawet filiżanki kawy. Firma powstała pięć lat temu i przez cały ten czas nic nie zginęło.

Taylor nie bardzo chciało się w to wierzyć, ale po wyrazie twarzy Kendalla poznała, że następne zdanie na ten temat może wyprowadzić go z równowagi.

- Jeżeli jest pani wolna wieczorem, proponuję, żebyśmy zjedli gdzieś kolację i wrócili tutaj. Podam wtedy więcej szczegółów i zafunduję zwiedzanie firmy z przewodnikiem, wie pani, wszystkich tych zakamarków - zatoczył ręką szeroki łuk, pokazując swe królestwo. - Zrobimy z pani eksperta od zwierzaków z karuzeli.

- Za kolację dziękuję, ale wieczorem przyjdę. Pokiwał głową ze zrozumieniem i otworzył drzwi.

- Bardzo dobrze. Proszę nie zapomnieć o katalogu. Taylor zdała sobie sprawę, że przez cały czas trzymała dłoń na okładce. Bez słowa wzięła katalog i ruszyła za Nickiem Kendallem.

- No cóż, Ollie, wpakowałeś mnie w niezłą robótkę - rzekła z przekąsem do słuchawki.

Po drugiej stronie rozległ się tubalny śmiech Mela Bormana, przypominający dudnienie grzmotu.

- Masz jeszcze wszystkie palce czy już coś sobie obciąłś?

- Na razie jestem cała, ale boli mnie kark, palce, a pod paznokciami mam pełno grafitowego pyłu. Wyglądam, jakbym była grabarzem. Od rana nie dowiedziałam się, niestety, niczego nowego, jeśli nie liczyć nie znanej mi dotąd umiejętności posługiwania się kopiowym ołówkiem w celu przerysowywania koników morskich i syren. Nienawidzę kopiowania. - W tym miejscu Taylor zrelacjonowała pokrótce wydarzenia dnia. Oraz rozmowy, które przeprowadziła. - Właśnie wróciłam do domu, żeby nakarmić Elma i wziąć prysznic.

- Co myślisz o Kendallu?

- Myślę, że jest nawiedzony. To piorunująca mieszanka: męskie hormony, charyzma i przeświadczenie o własnej misji.

- Jakiej znowu misji?

- Chciałby, żeby wszyscy obywatele Stanów Zjednoczonych nauczyli się rzeźbić pęciny drewnianych koników jak Michał Anioł. Koniki te służą potem dzieciom do zabawy, ale on uważa je za dzieła sztuki.

- Mnie się podobają.

- To świetnie, ale nie ma co z tego robić wielkiego halo.. Wystarczy, że w niedzielę po południu pójdziesz z wnukami na karuzelę i przejedziesz się jednym z nich.

- Taylor, one dostarczają ludziom rozrywki. Bawi ich to, że mogą je rzeźbić, malować, wygładzać i patrzeć na swoje dzieło. Czy ty w ogóle słyszałaś, że istnieje takie słowo: „bawić się”?

- Tak, w poprzednim życiu. - Taylor zaczęła masować obolały kark. - Jeżeli to, co dziś robiłam, nazywasz rozrywką, to... znam lepsze.

- Tu idzie o duże interesy i duże pieniądze, przynajmniej w przypadku Nicka Kendalla. Jeśli chodzi o ten rodzaj rzeźby, każda jego praca to mała Mona Lisa.

- Już to słyszałam. Jak zmienię zdanie, powiem ci o tym.

- Nie ma znaczenia, jakie jest twoje zdanie. Wystarczy, że kolekcjonerzy płacą ponad pięćdziesiąt tysięcy za sztukę, jeżeli tylko są przekonani, że trafił im się starość. Rzeźby Kendalla są prawdopodobnie równie dobre i ładne, tyle że mają na przykład

dwadzieścia lat, a nie sto. On jest fachowcem o międzynarodowej renomie, czy ci się to podoba, czy nie, a nam płaci za to, żeby tej renomy nie stracić.

- Nie musisz mi o tym przypominać, Mel.

- Poza tym mogłabyś to potraktować jak dobrą zabawę. Masz okazję nauczyć się czegoś nowego.

- Ty znowu o tej zabawie! - parsknęła. - Płacisz mi za pracę, nie za zabawę. Posłuchaj: moim zdaniem ten facet wynajął nas po to, żebyśmy znaleźli złodzieja, ale tak naprawdę on chyba nie ma ochoty dowiedzieć się, kto to zrobił.

- To mnie nie dziwi, bo prawdopodobnie będzie musiał przyjąć do wiadomości, że to sprawka kogoś znajomego.

- Nie miałyby jednak powodów, żeby chronić uczniów. To obcy ludzie, płacą mu za lekcje i tyle. Jeżeli natomiast okaże się, że złodziejem jest któryś ze współników, wtedy dostanie pieniądze z ubezpieczenia. Wydaje mi się, że w tym przypadku zależałoby mu raczej na wykryciu gagatka.

- Może on już podejrzewa, kto to jest.

- I wcale nie ma ochoty uzyskać pewności... - rozwinęła myśl Mela. Zastanawiała się, czy powinna mu powiedzieć o śmierci Helmuta Eberhardta. - Mel...

- Słucham?

- Już nic. Elmo łąsił się do jej nóg. Wzięła kota na ręce i posadziła na

kuchennym blacie.

- Tam nikt nikogo nie pilnuje, wiesz? Ludzie przychodzą, trochę sobie podlubią, wychodzą i mogą nie pokazywać się tygodniami albo nawet miesiącami. Nie ma żadnego planu zajęć, a nawet jeżeli jest, nikt go nie przestrzega, a już na pewno nie Kendall. Urządził sobie mieszkanie nad pracownią i jeżeli jakiś uczeń potrzebuje pomocy, woła go, a on wtedy schodzi. Opowiedziała mi o tym wszystkim kobieta, którą tam spotkałam. Nazywa się Veda Albright, jest pielęgniarzką na emeryturze, ale dorabia jeszcze na pół etatu, a poza tym namiętnie rzeźbi. Od sześciu miesięcy pracuje u Kendalla nad olbrzymim królikiem. Jego samego uważa za kogoś pomiędzy dalajlamą a Michałem Aniołem. Podejrzewam, że wszyscy uczniowie mają do niego taki stosunek. To typ faceta, w którym zakochują się kobiety i który wzbudza respekt w mężczyznach. Zresztą, ty sam jesteś pod jego urokiem, a jak wiadomo, niełatwo ci zaimponować.

- Tak, podoba mi się ten człowiek... - przyznał. - Ty też masz zamiar się w nim zakochać?

- Uprzejmie dziękuję. Moim ideałem jest w tej chwili łysiejący, baryłkowaty blondyn w okularkach. Gdybyś spotkał kogoś odpowiadającego temu rysopisowi, daj mi znać. Co do Nicka Kendalla, myślę, że ten facet jest zupełnie nieznośny. Pokaż mu karuzelę, a będzie się jej kłaniał jak druidzi dębom. W końcu to są tylko drewniane zwierzęta pomalowane na krzykliwe kolory, trochę świateł i nieciekawa, głośna muzyka. W dodatku kręci się toto w kółko aż do znudzenia i nic z tego nie wynika.

- Dobrze, już dobrze, nie unos się. I pamiętaj o najważniejszym: ktoś zadał sobie sporo trudu, żeby ukraść te zwierzaki. Musisz rozglądać się uważnie dookoła i nikomu zbytnio nie wierzyć, nawet Kendallowi. Nie można wykluczyć, że on sam to sfingował.

- Dlaczego w takim razie by nas wynajmował?

- To może być podwójny bluff. Po co? Po to, żeby chronić swoją opinię, może żeby dostać pieniądze z ubezpieczenia... Kto wie? Trzeba mu wierzyć, ale nie do końca.

- Jesteś tak dobrym nauczycielem, że nawet tobie nie do końca wierzę.

- Oho, wychowałem sobie asa wywiadu. Zadzwoń do mnie zaraz jak wrócisz, niezależnie od pory.

- Dobrze, tatuśku.

Gdy tylko odłożyła słuchawkę, Elmo zaczął miauczeć. Pogładziła go po błyszczącym, złocistym grzbiecie, podrapała ciemne futro za uszami. Nie pomogło.

- Niemożliwy z ciebie głodomór - rzekła pieszczotliwie, po czym wrzuciła do jednej kocięj miseczki suchą karmę, a do drugiej wątróbkę z puszki - jeden z przysmaków Elma.

Dla siebie zrobiła kanapkę z tuńczykiem, co miało ten skutek, że Elmo natychmiast porzucił własną kolację. W swym życiu syjamskiego kota kierował się zasadą, że każda porcja tuńczyka, która pojawia się na horyzoncie, jest przeznaczona właśnie dla niego. Tym razem Taylor zignorowała żądania ulubieńca. Posprzątała kuchnię i poszła do łazienki, gdzie rozebrała się w obłokach białego pyłu, który

unosił się z wszystkiego, co miała na sobie. Elmo, który poszedł za nią, kichnął cichutko, patrząc na nią z wyrzutem w swych niebieskich oczach.

Szorowała się dokładnie, by splukać kurz, który chyba wdarł się w każdy zakamarek jej ciała. Po wyjściu spod prysznicza rozczesała włosy, wklepała w twarz trochę kremu nawilżającego i włożyła na siebie bawełniane figi, sportowy biustonosz, obszerną bluzę rybacką, wąskie czarne dzinsy i czarne sportowe buty. W sumie zajęło jej to dokładnie osiem i pół minuty.

Dawniej potrzebowała półtorej godziny, żeby wyjść z domu, a kiedy Paul chciał się pochwalić żoną przed jakimś szczególnie ważnym klientem, przygotowania trwały nawet pół dnia. Bizuteria, wysokie obcasy, depilacja i okłady z alg na całe ciało, masaże, regularne uzupełnianie akrylowych paznokci, fryzura wymagająca ciągłych wizyt u fryzjera... Ale to wszystko należało do przeszłości.

Brała już torbę na ramię, gdy zadzwonił telefon. Przez moment miała ochotę nie odbierać i poczekać, by włączyła się automatyczna sekretarka, jednak w końcu podniosła słuchawkę.

- Tak?

- Taysie, kochanie, mówi mama. Całe wieki cię nie słyszałam. Wyobraź sobie, że przejeżdżałam koło ciebie i chciałam wstąpić, ale znowu zmieniłaś kod w bramie. Naprawdę powinnaś mi dać zapasowy klucz i zawiadamić mnie o zmianach kodu. Gdyby tak coś ci się stało, to co wtedy?

- Mel ma kod i zapasowy klucz.

- Ale on nie jest z rodziny. Jest zaledwie twoim szefem, i to tylko do momentu, gdy rzucisz tę zabawę w detektywa.

Taylor poczuła, że matka jest bliska wybuchu.

- Dobrze mi płaci, a ja lubię tę pracę.

- Stać cię na coś lepszego. CeCe Washburn właśnie mi powiedziała, że otwiera w Germantown filię swojej galerii z antykami.

Wiem, że z chęcią by ci pomogła.

- Stała pensja plus procent od obrotu, prawda?

- Kochanie, jeżeli brakuje ci pieniędzy...

- Nie brakuje mi pieniędzy.

- Taysie, przecież zarówno mnie, jak i twojemu bratu zależy tylko na tym, żebyś była szczęśliwa i miała uporządkowane życie. I na tym, żeby widywać cię czasami. Wiesz co? Spotkajmy się jutro w klubie na lunchu. Przyrzekam, że nie wspomnę ani razu o Melu Bormanie ani o twojej pracy.

- Przepraszam, mamó, ale jutro pracuję.

- Ale przecież i tak musisz zjeść lunch. Poczula wyrzuty sumienia. Matka rzeczywiście chce jej szczęścia, a że ona wyobraża je sobie inaczej...

- Dobrze, mamó.

- Wspaniale! Może być o pierwszej? Przyjdę prosto od fryzjera. Jeszcze jedno: Taysie, kochanie, czy mogłabyś, no wiesz... Mogłabyś troszeczkę o siebie zadbać? Chodzi mi o to, że spotykamy się w klubie, a tam...

Taylor złapała się za głowę wolną ręką.

- Przykro mi, ale powiedziałam ci, że jutro pracuję. Jeżeli chcesz, żebym przyszła wyfiokowana, będziemy musiały umówić się kiedy indziej.

- Nie, spotkajmy się jutro, proszę. - W głosie matki zabrzmiała rezygnacja. - Zrób to, na co cię stać. Nigdy nie wiadomo, kto tam będzie. W drzwiach możesz spotkać mężczyznę swojego życia.

- Mężczyźnie swojego życia spodobałabym się nawet w dżinsach i w swetrze.

- Naturalnie. Jeżeli w ogóle miałby okazję cię poznać... Aluzja była aż nadto jasna. Żaden z mężczyzn bywających w tym ekskluzywnym klubie nie zadałby sobie trudu, żeby zawierać znajomość z kobietą, która w takim stroju przychodzi na lunch. Taylor wiedziała, że teraz nastąpi zwyczajowa pogadanka.

- Jesteś zbyt atrakcyjną kobietą, żeby spędzić resztę życia bez męża. Poza tym życie staje się dużo łatwiejsze, kiedy nie musisz dźwigać sama wszystkiego na własnych barkach. Niestety, czasem wydajesz się taka, jak by to powiedzieć... nieprzystępna. Kobieta musi mieć w sobie trochę ciepła. Powinnaś więcej się uśmiechać, być mniej spięta. Masz taki uroczy uśmiech. Czas już przestać rozpaczać i...

- Przepraszam, mamó, muszę iść.

- Dokąd? Masz randkę? Taylor przypomniała sobie ciemne oczy Nicka Kendalla i jego uśmiech. Znowu poczuła krępujące ciepło. Była nieprzyjemna dla matki - z jego winy.

- Nie. To spotkanie związane z pracą.

- O tej porze? Taysie, wiesz, że bardzo się martwię, kiedy jeździsz nocami po jakichś dziurach.

- Mamo, w tej chwili jest siódma. Zresztą jeżdżę pick - upem z napędem na cztery koła i mam telefon komórkowy. No i broń.

- Taysie!

- Cześć, mamo. Odłożyła słuchawkę i otarła kropelki potu, które zebrały się

nad jej górną wargą. Czyż Irene Marshall, jej urocza, beztroska matka, prawdziwa wesoła wdówka, mogłaby zrozumieć, że to, co interpretuje jako rozpacz córki po stracie męża, jest w rzeczywistości wyrazem buntu? Taylor nigdy nie rozpaczała z powodu Paula - to tylko sposób, w jaki umarł, głęboko ją zasmucił. Jego śmierć uwolniła ją od świata, w którym ludzi ocenia się po wysokości konta bankowego, stanowisku i wyglądzie.

Czy mogłaby kiedykolwiek powiedzieć matce, że jej życie z Paulem Huntem było piekłem i że ten na pozór uroczy, przystojny mężczyzna był potworem, który zdradzał i bił żonę?

Rozdział 2

Dzielnica dawnych fabryk przerobionych na ekskluzywne mieszkania była pełna świateł, lecz gdy tylko Taylor skręciła w ulicę dochodzącą do placu, przy którym znajdowało się atelier Nicka Kendalla, zrobiło się ciemno i nieprzyjemnie jak na końcu świata.

Jadący z naprzeciwka samochód trąbił jak szalony, oślepił ją i omal nie zawadził o błotnik jej pick - upa. Instynktownie nacisnęła na hamulec.

Co za kretyn, pomyślała. W lusterku wstecznym zobaczyła, jak wariat skręca z piskiem opon w Front Street.

Serce waliło jej jeszcze, kiedy parkowała przed Rounders, dlatego poczekała chwilę w samochodzie, żeby się uspokoić. Otaczające plac domy straszyły ciemnymi oczodołami okien. Najwyraźniej nikt tu nie mieszkał oprócz Kendalla.

Nick po raz czwarty przeczytał ten sam akapit, ale nadal nie rozumiał ani słowa. Zniechęcony cisnął czasopismo na bok.

Co mu przyszło do głowy, żeby wynająć agencję detektywistyczną?

Usiadł wygodniej i pozwolił unieść się muzyce. Uwielbiał wyrafinowaną i nieco podstępną racjonalność „Wariacji Goldbergowskich” Bacha. To Max wprowadził go w świat Bacha i Mozarta. Max Beaumont - wspólnik, emerytowany oficer, teraz zapalony rzeźbiarz, człowiek, który w jego życiu odegrał właściwie rolę ojca. Czy ktoś taki mógł go zdradzić, okraść? Nie chciał w ogóle o tym myśleć.

Jeżeli jednak nie Max, to kto? Josh Chessman? Pogodny i życzliwy wszystkim Josh, który powłóczy nogami i patrzy dobrotliwie na świat zza okularów krótkowidza? Josh, który jak dziecko potrafi ucieszyć się tym, że właśnie nauczył się obsługiwać piłę elektryczną? Ileż on musiał znieść wymówek od żony za to, że zainwestował w Rounders - oczywiście zanim się przekonała, że da się wycisnąć z tego jakieś zyski. Niemożliwe, żeby Josh popełnił takie matactwo.

Jeżeli jednak obaj współnicy są niewinni, siłą rzeczy złodzieja trzeba szukać wśród uczniów. Przyjrzyjmy im się po kolei.

Czyżby Veda? Veda kochająca pracę i ich wszystkich, no może nie wszystkich jednakowo... Maxa na pewno najbardziej.

Może Marcus Cato, tylko po co on miałby kraść? Neurochirurg bez nałogów. Nie uprawia hazardu, nie bierze narkotyków. Gdyby zabrakło mu pieniędzy na ratę za nowego mercedesa, wystarczyłoby, by zoperował dodatkowego pacjenta. Co prawda Charlene groziła podobno, że jeżeli wykryje jego kolejny romans, nie da się już przebłagać. Może Marcus odkłada sobie coś na boku, czym nie musiałby się dzielić w razie rozwodu...

Pozostaje Rico Cabrizzo. Młody, dobrze zarabiający prawnik, tyle że bardzo rozrzutny. „Żyję na wysokiej stopie” - zwykł mawiać.

Nick lubił Rica, lecz musiał przyznać, że wydaje się najbardziej podejrzany z kręgu osób blisko związanych z firmą. Niestety, były to wszystko osoby, z którymi on sam czuł się głęboko związany.

Zastanowił się, zresztą nie po raz pierwszy tego dnia, czy nie powinien wypisać czeku dla Taylor Hunt i podziękować jej za

współpracę. W końcu wynajął Bormana, a nie jakąś paniusię, która zapewne niewiele potrafi zrozumieć ze specyfiki pracy w takim miejscu jak Rounders. Z drugiej strony, jeżeli Borman okazał jej zaufanie, na pewno jest kompetentna. A już na pewno ładniejsza od Bormana. Ma takie długie, zgrabne nogi...

Otrząsnął się. Nie czas myśleć o kobietach, kiedy ma się nóż na gardle. Od tylu lat sypiał sam i prowadził samotne życie, że nie wiadomo, dlaczego akurat teraz miałby zawracać sobie głowę takimi sprawami. Ta kobieta to prywatny detektyw, który ma mu pomóc w rozwiązaniu bardzo przykrego problemu. Nie chodzi tylko o pieniądze, ale o zaufanie do najbliższego otoczenia. Przecież nie może wszystkich podejrzewać o złodziejstwo.

Całkiem niespodziewanie dla samego siebie musiał jednak przyznać, że prywatnemu detektywowi naprawdę nie brakuje uroku. Zawsze lubił okrągłe, tłuściutkie kobietki, ale ta tyczka jest całkiem, całkiem... Podobały mu się jej opadające na twarz włosy i inteligentne, żywe spojrzenie. Patrzyła rozmówcy prosto w oczy, nawet gdy się z nim nie zgadzała.

Usłyszał klakson samochodu i podszedł do okna. Właśnie przyjechała. Zrobiło mu się niedobrze na myśl, że będzie musiał opowiadać jej o swych przyjaciołach, traktując ich jak podejrzanych. Nacisnął guzik domofonu. Po dłuższej chwili Taylor stanęła w progu jego mieszkania.

Wysiadła z samochodu dopiero wtedy, gdy zobaczyła sylwetkę Nicka w oknie i usłyszała brzęczyk przy drzwiach.

Coś poruszyło się w ciemnościach. Mógł to być szczur, lecz odniosła wrażenie, że to coś znacznie większego.

Wchodząc na górę, minęła zamknięte drzwi do pracowni na pierwszym piętrze. Nick czekał na nią w swoim mieszkaniu piętro wyżej. Właściwie nic nie wie o tym człowieku. Nie mogła zapanować nad szybkim biciem serca, ale do środka weszła z obojętnym wyrazem twarzy. Z jeszcze większą obojętnością położyła na podłodze torbę. Znajdujący się w środku rewolwer, glock o kalibrze dziewięciu milimetrów, stuknął lekko o deski.

Rozejrzała się dookoła. Ściany z cegły były pomalowane na biało, mebli Kendall miał niewiele. Były to proste, na ogół ładne sprzęty z jasnego drewna. W powietrzu unosił się niezbyt mocny zapach pasty do mebli. Rzeczywiście wszystko lśniło czystością, na półkach nie leżał żaden pyłek.

Po prawej stronie była kuchnia, cała w bieli, a po lewej wznosiły się pomysłowo ustawione ścianki zasłaniające widok na drugą część mieszkania. Zapewne mieściła się tam sypialnia i łazienka. W głębi pokoju solidna, drewniana płyta zakrywała coś, co musiało być windą towarową. Koło drzwi znajdował się sięgający sufitu regał wypełniony do ostatniego miejsca książkami. Były to głównie albumy o sztuce.

Taylor pomyślała, że to jasne, przestronne mieszkanie jest dla jego właściciela oazą spokoju, do której wraca z ulgą po godzinach spędzonych w pracowni wśród jarmarcznych kolorów rodem z wesołego miasteczka.

- Cóż za punktualność - powiedział.

- Nie lubię się spóźniać. Ładnie tu. - Powiodła wzrokiem po pokoju.

- Dziękuję. Napije się pani czegoś?

- Nie, dziękuję. Lepiej od razu zabierzmy się do pracy. - Wyjęła magnetofon z kieszeni spodni.

Kendall wzruszył ramionami. Usiedli przy stole w aneksie jadalnym, on po jednej, ona po drugiej stronie. Ustawiła pieczołowicie magnetofon na środku blatu, obok mahoniowej misy wypełnionej drewnianymi owocami.

- Piękny stół - pochwaliła mebel, wykonany jej zdaniem z orzechowego drewna.

- Jeszcze raz dziękuję. Sam go zrobiłem. Zresztą wszystko tu zrobiłem sam. Mój dziadek był stolarzem artystą, specjalizował się w renowacji mebli. To on nauczył mnie miłości do tej pracy.

- I on nauczył pana rzeźbić konie na karuzelę?

Zaczerwienił się i spuścił wzrok, a Taylor poczuła się skrepowana. Zadała pytanie bez żadnych podtekstów, chciała tylko przełamać lody.

- Coś w tym rodzaju.

- A więc jak pan odkrył, że rzeźby zostały skradzione? - Postanowiła przejść jak najszybciej do rzeczy.

- Co takiego? Aaa, o to pani chodzi. - Wydawało się, że odbiegł myślami gdzieś daleko. - Ja nie tylko robię nowe figury, również zajmuję się konserwacją starych. Pete Marley zadzwonił do mnie z Seattle i powiedział, że właśnie kupił konika morskiego z galerii

Helmuta Eberhardta w Oxfordzie, bo akurat był tam z żoną na jakimś kursie czy seminarium. Marley chciał, żebym jak najszybciej przyjechał i zajął się konserwacją rzeźby. Był gotów zwrócić mi koszty podróży i pobytu. Pomyślałem, że spędzę sobie w ten sposób przyjemny urlop w Seattle, więc nie zastanawiałem się długo i pojechałem. Nie od razu poznałem, że to mój konik. Nie oglądałem go przecież na oczy przez dwadzieścia lat.

- Po co dwudziestoletniej rzeźbie konserwacja?

- Otóż w tym problem. Nie powinna być potrzebna, a jednak rzeźba była zniszczona. Farba odpadała płatami, klej się rozsechł, na brzuchu były gąbczaste miejsca pachnące pleśnią.

Ten konik wyglądał, jakby przez czterdzieści lat stał na strychu z dziurawym dachem. Naprawdę miałem prawo do pomyłki.

- Więc Eberhardt, czy też inna osoba, która dodała pańskiemu konikowi lat, zna się na rzeczy?

- To musiał być on. Nie ma sensu, żebym teraz szczegółowo opowiadał, jakich sztuczek używają nieuczciwi handlarze, żeby postarzyć rzeźby, ale Eberhardt najwyraźniej posłużył się nimi.

- Jak pan w końcu odgadł, że to pańskie dzieło?

- Kiedy nabrałem podejrzeń, nie mogłem spać i o trzeciej w nocy pojechałem do magazynu, w którym „naprawiałem” rzeźbę, żeby sprawdzić kilka szczegółów, o których sobie przypomniałem. Nie chciałem niepokoić Marleya i wszczynać fałszywego alarmu, to oczywiste. Rano poszedłem do niego i poprosiłem o świadectwo pochodzenia, czyli...

- ...nazwisko właściciela, miejsce zakupu, słowem to wszystko, co potwierdza autentyczność przedmiotu - dokończyła.

- Właśnie. Teraz, żeby zrozumiała pani dalszy ciąg, muszę powiedzieć, że w latach trzydziestych przez New Jersey przeszedł huragan i na jednej z plaż zasypał piaskiem pewną starą karuzelę. Nikt nad tym nie rozpaczał, bo karuzele nie były w cenie. Po jakimś czasie na plażę przyjechał buldożer, wszystko wyrównał, i ludzie o tym zapomnieli.

- Ręczę, że dzieci z sąsiedztwa jednak się tym przejęły - zauważyła Taylor.

- Na pewno, a oprócz nich jeden dorosły. Nazywał się Joe Kolzeck, był pomocnikiem właściciela. Kilka tygodni po huraganie upił się z kolegami, poszedł na plażę, odkopał kilka zwierzaków i zabrał do domu. Żył wtedy sam w wynajętym pokoju, a jego żona, w ciąży z pierwszym dzieckiem, mieszkała u rodziców w Missisipi. Pewnie doszli do wniosku, że Nell, bo tak się nazywała, będzie tam przynajmniej miała co jeść, a dziecko pewny dach nad głową. Kolzeck napisał do niej o tych rzeźbach, które zabrał z plaży.

- Domyślam się, że Marley ma ten list?

- Kserokopię. Wszystkie te dziwne okoliczności powinny były wzbudzić w nim nieufność, ale jako kolekcjoner dopiero zaczyna. W każdym razie, gdy dziecko się urodziło, Kolzeck przeniósł się do Missisipi i pracował na farmie teścia. Przewiózł tam rzeźby i pewnie wstawił je na strych, bo nie miał co z nimi zrobić.

Zginał w czterdziestym piątym roku w bitwie z Japończykami pod Iwo Jima. O rzeźbach wszyscy zapomnieli, a gdy po latach umarła również Nell, Eberhardt, jako że zbierał starocie, kupił to, co po niej pozostało, i w ten sposób w jego rękach znalazły się zwierzęta z zabytkowej karuzeli.

- To idealne świadectwo pochodzenia, nieprawda?

- Tak, ale dwie rzeczy się tu nie zgadzają. Po pierwsze Joe Kolzeck w swoim liście wcale nie nazwał każdej rzeźby z osobna. Wspomniał tylko o „trzech zwierzętach”.

- Przypuszczalnie nie odróżniłby konika morskiego od amerykańskiego orła. Ja zresztą też nie.

- To nie jest aż takie trudne. Konik morski jest w połowie koniem, a w połowie rybą. Ale na tamtej zasypanej piaskiem karuzeli były tylko konie.

- Coś takiego! - westchnęła Taylor. - Kendall spojrzał na nią z gorzkim uśmiechem.

- Eberhardt był jednak spryciarzem. Przypuszczam, że wcale nie podrobił świadectwa pochodzenia, tylko dołączył je nie do tej rzeźby co trzeba.

- I sprzedał też po dobrej cenie pozostałe pańskie rzeźby?

- Dlaczego miałby poprzestać na jednej? Myślę, że uszczęśliwił więcej kolekcjonerów, którzy wciąż cieszą się, że zrobili tak świetny interes.

- Przepraszam, ale po co odbierać im spokój? Niech się dalej cieszą.

- Po pierwsze, jestem zobowiązany robić u siebie remanent i nie mogę tak po prostu „zdać” z zapasów stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów, bo mniej więcej tyle są warte rzeźby, które zniknęły. Po drugie, i to jest poważniejszy powód, nawet gdyby nie przejmować się Marleyem, prędzej czy później jakiś znany kolekcjoner może odkryć, że ma u siebie rzeźbę Nicka Kendalla, a nie Mullera albo Illionsa. Nie chcę się narażać na takie ryzyko. Dobra opinia jest ważniejsza.

- Jeżeli Eberhardt był takim znawcą, to przecież mógł się obawiać, że natknie się pan na skradzioną rzeźbę i ją rozpozna.

- To było bardzo mało prawdopodobne. - Kendall pokręcił głową.
- Poza tym nawet gdybym zobaczył konika morskiego po konserwacji zrobionej przez kogoś innego, mógłbym go nie poznać. Zresztą niby jak miałbym na niego trafić? Eberhardt był sprytny. Nie dawał ogłoszeń do fachowych pism, nie pchał się na aukcje. Sądzę, że skradzione rzeźby wystawiał tylko w swojej galerii, pojedynczo, jedna po drugiej. Przed sprzedażą upewniał się, że potencjalny nabywca jest ignorantem w naszej dziedzinie. Tak było właśnie z Marleyem: przyjechał z żoną na letni kurs do Oxfordu i któregoś popołudnia wybrali się po zakupy, bo akurat nie mieli zajęć. Marley zachwycił się konikiem, zaczął rozmawiać z Eberhardtem, a ten szybko zorientował się, że ma do czynienia z laikiem, który mieszka w Seattle, czyli kawał drogi ode mnie. W zachodnich stanach jest poza tym mnóstwo konserwatorów tego rodzaju rzeźb, więc prawdopodobieństwo, że Marley ściągnie tam właśnie mnie, aż z Tennessee, było bliskie zeru.

- No dobrze, a czy jest pan przekonany, że gdyby do Eberhardta zgłosił się doświadczony kolekcjoner, to wymyśliłby jakiś pretekst, byle tylko nie sprzedać rzeźby?

- Nie jestem tego pewien. Gdy zaczynałem rzeźbić konie, sam robiłem kopie, do których używałem dawnych narzędzi i kleju przygotowanego według dawnych receptur. Wyglądały na starsze od oryginałów, nawet znawca mógł się na tym potknąć. Eberhardt postarzył konika morskiego bardzo dobrze, czego dowodem jest to, że nawet ja nie od razu go poznałem.

- Myślałam, że renowacja obniża wartość antyków.

- Wcale nie. Dobrze przeprowadzona konserwacja może czasami znacznie podwyższyć ich wartość. Każdy woli mieć piękną rzeźbę, a nie rozsypujące się próchno.

- Rozumiem - powiedziała w zamyśleniu. - To jednak nie wyjaśnia, kto ukradł zwierzęta dla Eberhardta.

Kendall gwałtownie wstał.

- Pani jest tu po to, żeby sprawę wyjaśnić. Muszę się czegoś napić. Na pewno niczego pani nie podać?

Pokręciła przecząco głową. Zniknął w kuchni, by po chwili wynurzyć się stamtąd z butelką piwa.

Poruszał się pewnie i miękko, jak wielki kot. Miał na sobie dość obcisłą koszulę, pod którą rysowały się mocne mięśnie. Taylor mimo woli wyobraziła sobie pełnię lata i Kendalla przy pracy, obnażonego do pasa, ale zaraz przepędziła tę wizję, nie licującą z powagą zadań detektywa.

- Założmy, że wykryjemy złodzieja przed upływem dziesięciu dni, a nawet że ustalimy nazwiska wszystkich nabywców. Co wtedy? - spytała z nadzieją, że głos nie zdradzi kierunku, jaki obrały jej myśli.

- Wtedy postaram się wykupić je za cenę, która będzie dla mnie do przyjęcia.

- Nie stać pana nawet na spłacenie Marleya, więc to chyba niewykonalne?

- Będę żądał odszkodowania z majątku pozostawionego przez Eberhardta.

- Najpierw musiałby pan udowodnić, że świadomie kupił kradzione rzeźby i sam je postarzył. Proces potrwałby lata.

- Ma pani lepszy pomysł?

- Na razie nie - westchnęła.

- To proszę zbadać, kto je ukradł, a potem...

- Zgłosił pan kradzież na policji? - przerwała mu. Pokręcił przecząco głową.

- Jako właściciel domu jest pan ubezpieczony od kradzieży. Gdyby pan zgłosił sprawę na policji, być może zwrócono by panu przynajmniej część kosztów.

- Dowiadywałem się już o to. Trzeba mieć specjalną klauzulę w umowie.

- Szkoda - mruknęła Taylor, ogryzając skórkę przy paznokciu. Pomyślała, że w czasach, gdy nosiła tipsy, oduczyła się tego brzydkiego zwyczaju, a teraz w chwilach zdenerwowania znowu do niego wraca.

- Niech pani zajmie się swoją działką, a to już będzie mój problem - podsumował Kendall z ponurym uśmiechem.

- Zamierza pan samodzielnie wymierzyć winnemu sprawiedliwość?

- To nie pani sprawa.

Miała nadzieję, że złodziejem okaże się któryś ze współników, w przeciwnym razie temu człowiekowi grozi bankructwo. Pomyślała, że Borman powinien, jeżeli to możliwe, zrealizować przynajmniej czek za pierwszy dzień pracy - dopóki na koncie Kendalla są jeszcze jakieś pieniądze.

- Chwileczkę. Jeżeli galeria Eberhardta spłonęła, to skąd pan wie, że pozostałe rzeźby nie spaliły się razem z nią?

- Marley trafił tylko na jedną rzeźbę, przypuszczam więc, że Eberhardt przynosił je do galerii po kolei. Nie wykluczam, że miał na zapleczu następną - ta rzeczywiście mogła spłonąć - ale nie sądzę, żeby trzymał je tam wszystkie naraz.

Wstał, by odnieść do kuchni pustą butelkę po piwie. Po chwili wrócił, usiadł z powrotem przy stole i z namysłem zaczął bawić się leżącymi w misce winogronami, przesuwając powoli drewniane kulki pomiędzy palcami. Taylor patrzyła jak zahipnotyzowana na jego ręce. Dotykał drewna delikatnie, jakby bał się je zgnieść, a to spowodowało, że znowu przyszły jej do głowy rzeczy zupełnie nie na miejscu. Wyobraziła sobie, że jego ręce dotykają w ten sam sposób jej ciała. Z wysiłkiem przeniosła wzrok na twarz Nicka Kendalla, a on chyba to wyczuł, bo też na nią spojrział.

- Muszę wykryć tego złodzieja. Potem już będę wiedział, co robić - powiedział dobitnie.

Rozdział 3

- Podejrzewa pan kogoś, prawda? - zapytała spokojnie.

Ręce Kendalla nagle znieruchomiały. Po chwili odłożył na miszkę winogrona i wziął gruszkę, którą zaczął ścisnąć w dłoniach. Nim się odezwał, minęła dobra minuta.

- Nie. Nie wiem, kto to zrobił, a przynajmniej nie mam pewności. Kiedy pokażę pani magazyn, przekona się pani, że w takim miejscu jak Rounders muszę mieć zaufanie do ludzi.

- Rozumiem, że to dla pana bardzo przykra sprawa - rzekła ostrożnie. - Widziałam już takie sytuacje.

Spojrzał na nią pytająco.

- Badaliśmy kiedyś z Melem sprawę pewnej miłej, szacownej pani, cieszącej się wielkim poważaniem w swoim środowisku. Była przewodniczącą towarzystwa misyjnego. Okazało się, że w ciągu pięciu lat zdefraudowała pół miliona dolarów. Gdy pokazaliśmy dowody jej szefowi, rozplakał się.

Nick zostawił gruszkę i znowu zaczął krążyć po pokoju.

- Ci ludzie to cała moja rodzina! - Uderzył pięścią w półkę z książkami, która akurat była pod ręką.

Taylor aż podskoczyła. Pierwszy raz pozwolił sobie na takich wybuch.

- Kiedy już przekonałem się, że to mój konik, zadzwoniłem z Seattle tu, do firmy - dodał już spokojniej. - Max Beaumont i Josh Chessman, moi wspólnicy, mieli akurat zajęcia z uczniami. Zebrali wszystkich i przeprowadzili remanent.

- Powiedział im pan o Eberhardcie?

- Tak. Powiedziałem, że mam zamiar wrócić do domu najbliższym samolotem, a potem pojechać do Oxfordu, żeby z nim porozmawiać.

- Jeżeli miał pan jakiegokolwiek podejrzenia, to dlaczego ich pan uprzedził?

- Wtedy nie miałem podejrzeń, a zresztą teraz też nie chcę ich podejrzewać. Dopóki nie dowiedziałem się o śmierci Eberhardta, byłem pewny, że padłem ofiarą pospolitej kradzieży.

- I może to prawda. Złodziej niekoniecznie musi być kimś, kogo pan zna.

- Czy złodziej z ulicy zostawiłby drogie urządzenia, a zabrał dziesięć rzeźb? - parsknął. - Sytuacja jest taka: ktoś spośród ludzi, którzy tu byli, gdy dzwoniłem, dowiedział się, że odkryłem kradzież i planuję skontaktować się z Eberhardtem, więc uprzedził go o wszystkim.

- Może pożar to tylko zbieg okoliczności...

- Świetnie wymierzony w czasie. Nie, moim zdaniem Eberhardt sam podłożył ogień, żeby pozbyć się rzeźby, którą akurat postarzał, ale nie zapanował nad nim i sam stał się ofiarą.

- Dlaczego sądzi pan, że nie chciał spalić wszystkich nie sprzedanych jeszcze zwierząt?

- Takie mam przeczucie - powiedział i znowu poszedł do kuchni.

Taylor widziała ze swego miejsca, jak otwiera lodówkę, najwyraźniej w poszukiwaniu następnego piwa.

- Nie, nie będę już pił. - Usłyszała odgłos przestawianych butelek. - Jeżeli mam ochotę na drugie piwo, to oznacza, że jestem zdenerwowany. Ale może jednak podam coś pani?

- Naprawdę dziękuję! - zawołała, a gdy usiadł z powrotem przy stole, dodała rzeczowo: - Proszę mi powiedzieć, kto tu był, gdy pan zatelefonował.

- Dobrze. Jak już mówiłem, byli obaj moi wspólnicy. Max Beaumont jest emerytowanym pułkownikiem i pobiera wysoką emeryturę, Josh Chessman kieruje wydziałem marketingu na uniwersytecie. Ma dobrą pensję, a dodatkowo zarabia na konsultacjach dla firm. Jego żona też ma pieniądze. Jeśli chodzi o uczniów, byli tu Marcus Cato - to neurochirurg, bogatszy od samego Trumpa - a także Rico Cabrizzo, prawnik, specjalista od spraw kryminalnych. No i Veda Albright.

- Czyli kobieta od królika.

- Widziała ją pani. Ma mało siły, nawet jedna rzeźba byłaby dla niej za ciężka, a co dopiero dziesięć.

- Mogła kogoś wynająć.

- Nie wierzę, tak jak nie wierzę, by zrobił to ktokolwiek z pozostałych.

- Spokojnie. Rico Cabrizzo jest jednocześnie pańskim prawnikiem?

- Tak - potwierdził, po czym dodał z rozdrażnieniem: - Lubię go, ale czasami mnie denerwuje. Wygląda jak krasnal, a ugania się za każdą spódniczką i udaje przy tym cholernego twardziela z Bostonu,

co to jada kolacje z mafią. On uważa, że takie historyjki zwiększają jego atrakcyjność w oczach kobiet. Ale kto nam jeszcze pozostał...? C a t o . Jest dosyć chciwy i ma rozrzutną żonę.

Taylor spojrzała na niego uważnie.

- Czyli mógł nagle potrzebować pieniędzy? Nick wzruszył ramionami.

- Czy ktoś z tych ludzi był poza miastem wtedy, gdy zginął Eberhardt?

- Nikt ich o to nie pytał.

- Dobrze, jutro się dowiem. Czy może mnie pan teraz oprowadzić po budynku?

Nie czekając na odpowiedź, ruszyła w głąb mieszkania.

- Dokąd pani idzie?

- Przecież tam jest winda, prawda? - Kiwnęła palcem w kierunku ginącej w półmroku części pokoju. - Pewnie przydała się złodziejowi. Chcę zobaczyć, czy jest duża, i ile razy musiał nią zjechać.

- Przepraszam, czy moglibyśmy jednak zejść? - Spojrzał na nią jakby zawstydzony.

- Dobrze, ale o co chodzi? Jest zepsuta?

- Nie, działa, ale... mam klaustrofobię. - Przejechał ręką po policzku i dodał: - Kiedy instalowaliśmy tu firmę, winda zacięła się raz między piętrami. Po pięciu minutach Max mnie uwolnił, ale czułem się, jakbym spędził tam godzinę. Używam jej tylko do transportowania drewna do pracowni, i to tylko wtedy, jeżeli naprawdę nie da się go wnieść po schodach.

Taylor zareagowała na te słowa uśmiechem.

- Rozumiem, tym bardziej że sama mam lęk wysokości. - Stała już w drzwiach i czekała na Kendalla. Widząc, że najwyraźniej nie zamierza on zamknąć drzwi do mieszkania na klucz, spytała: - Czy mam rozumieć, że na co dzień też zostawia pan te drzwi otwarte?

- Nie ma potrzeby robić inaczej. Wystarczy, że drzwi na parterze są zamknięte. Ewakuacyjna klatka schodowa na tyłach budynku jest też zamknięta, a na drzwiach windy wisi od mojej strony wielka kłódka.

Gdy zeszli na pierwsze piętro i otworzyli drzwi, ujrzeli wewnątrz pracowni zalane księżycowym światłem wpadającym przez wysokie okna. Porozkładane na stołach części zwierzęcych korpusów sprawiały przedziwne wrażenie. Taylor poczuła się tak, jakby weszła do rzeźni. Zadrżała i podeszła bliżej Nicka. Jedyne, co mogło jej grozić w tej chwili, to własne myśli.

Gdy zapalił wreszcie światło, pomieszczenie natychmiast odzyskało zwykły charakter, ale Taylor nie odsunęła się od niego. Idąc razem krok w krok, doszli do ciężkich, metalowych drzwi oddzielających pracownię od magazynu.

- Witam w krainie Oz - powiedział i otworzył je szeroko.

- Też nie zamknięte?

- A co w tym dziwnego? Dopiero na noc wszystko się zamyka - odparł, przekręcając kontakt.

Tym razem wyglądało to tak, jakby weszli do mauzoleum chińskiego cesarza, którego pochowano razem z całym dworskim

zoologiem. Jedne zwierzęta były wielkości dziecka, inne zdawały się olbrzymie. Wszystkie lśniły od błyszczącej farby i werniksu. Końską uprząż zdobiły złote róże i drogie kamienie, a grzbiety niektórych rumaków okrywała srebrna zbroja. Między konie wmieszał się jelen o wspaniałym porożu, z boku przyczał się tygrys, a stojąca na dwóch łapkach zaba w czerwonej kamizelce i pantalonach kłaniała się nie istniejącej publiczności.

Zwierzęta stały w nierównych rzędach, tyłem do drewnianej kraty oddzielającej je od szybu windy. Ponieważ pomieszczenie było dobrze oświetlone tylko od frontu, Taylor pomyślała, że nikt by się nie zorientował, gdyby z tylnych szeregów wynieść pojedyncze rzeźby.

- Wszystkie są pana? - wyszeptła, jakby bała się obudzić uśpione zwierzęta.

- Niezupełnie - zaśmiał się. - Przechowuję też prace uczniów, którzy nie mogli albo nie chcieli zabrać ich do domu. Kiedyś otworzymy tu muzeum.

Zaczęła prześlizgiwać się między rzeźbami, przyciskając mocno do ciała torbę, by ich nie poprzewracać.

- Ile pańskich prac jest tutaj? - zawołała, znalazłszy się w tylnej części magazynu.

- Jakież dziesięć. - Postąpił kilka kroków w jej stronę. - Kiedyś dużo rzeźbiłem. Teraz traktuję je jako lokatę w banku.

- Co pan przez to rozumie?

- Kilka sprzedałem wcześniej, żeby sfinansować Rounders. Jeżeli będę musiał spłacić Marley a i pozostałych, będę próbował sprzedać resztę - j a k najkorzystniej. Ale to na pewno potrwa.

Aż do tego momentu Taylor myślała, że utrata rzeźb jest dla niego czymś bardzo przykrym, ale nic nie stoi na przeszkodzie, by w każdej chwili stworzył nowe. Teraz dopiero dotarło do niej, że ta kradzież to dla niego również wymierna strata finansowa.

- Każdy koń jest inny - rzekła, by poprawić atmosferę.

- Te, które mają wielkie oczy i łagodne pyski, to Denzle. Konie w zbroi, takie jak ten, którego zdecydowała się pani rzeźbić, to Mullery. Mogę pani pożyczyć parę książek, to dowie się pani więcej o tej dziedzinie.

Z tyłu, za rzędami zwierząt, stały dwa połączane powozy, ozdobione figurkami cherubinów i malowidłami przedstawiającymi wiktoriańskie piękności.

- Czy na karuzeli ktoś w ogóle wsiada do czegoś takiego? - zapytała, podchodząc bliżej. Na siedzeniu jednego z powozów leżała ciężka kapa z purpurowego aksamitu. - Kiedy byłam dzieckiem, zawsze pogardzałam wszystkimi, którzy zamiast dosiąść prawdziwego wierzchowca rozsiadali się w jakiejś bryczce. Uważałam, że bryczki i karety są dobre dla tchórzy.

- Przydają się dla dorosłych z dziećmi, które są za małe na samodzielną jazdę. Bywa też tak, że dziecko wsiada na konia, a matka do powozu, bo akurat ma ochotę trochę się pokręcić - wyjaśnił,

opierając się plecami o ścianę. - Każda karuzela z prawdziwego zdarzenia ma przynajmniej dwa powozy.

Taylor przejechała dłonią po główkach cherubinów i rzeźbionych bokach, po czym odwróciła się, chcąc wrócić do Kendalla. W tym momencie pośliznęła się i byłaby upadła, gdyby nie zdołała uchwycić się powozu.

- Ojej! - zawołała, patrząc pod nogi. - Tu się rozlało coś lepkiego, klej czy co?

Poczuła, że do jej dłoni również coś się klei. Powąchała i zrobiło jej się niedobrze.

- Nick - powiedziała najpierw spokojnie, a po chwili ponagląco. - Nick, proszę tu podejść.

- Co się stało? Pokazała mu dłoń, po czym wyciągnęła ją w stronę powozu.

Dlaczego od razu nie zwróciła uwagi na sposób, w jaki aksamit był rzucony na siedzenie? Patrzyła, jak Nick rozwija materiał.

Przez chwilę myślała, że kobieta, którą widzi, to Veda. Też była drobna i siwa, ale w przeciwieństwie do Vedy miała starannie ułożoną fryzurę. Leżała pod kapą zwinięta jak dziecko, które zasnęło na siedzeniu samochodu.

Cała była zalana krwią, która zaczynała już krzepnąć; pełno krwi było też w powozie i na podłodze. W szyi kobiety tkwiło dłuto o drewnianej ręczce. Biedaczka zapewne nie umarła od razu, tylko powoli się wykrwawiła. W skąpym świetle, które docierało do tego miejsca, jej policzki wyglądały jak szary воск.

Taylor była zdziwiona własną reakcją: nie czuła wstrętu czy przerażenia, tylko litość.

- Cholera! - Nick dotknął ciała. - Jeszcze ciepła.

- Niech pan nie brodzi w tej krwi - ostrzegła go.

Nie histeryzowała; czuła się tak, jakby histeria wywołana makabrycznym odkryciem miała dopiero nadejść.

- Chodźmy stąd - powiedział i ją objął. - Trzeba wezwać policję.

- Kto to jest? - zapytała, opierając się na nim z wdzięcznością.

- Nigdy w życiu jej nie widziałem.

- A co u licha ty tutaj robisz?

- Danny! Myślałam, że takich ważniaków jak ty nie wzywa się w nocy do podobnych przypadków! - wykrzyknęła Taylor na widok Danny'ego Vollmera z wydziału zabójstw.

- Owszem, wzywa, gdy pani Taylor Hunt jest związana ze sprawą.

- Rozumiem. - Popatrzyła mu prosto w oczy. Byli identycznego wzrostu. - Kto mnie podkablował?

Siwiejące wąsy Vollmera uniosły się w uśmiechu.

- Tego nie powiem, za to proszę o odpowiedź na zadane pytanie.

- Pracuję tu. Pan Kendall to mój klient. Jeżeli ciekawi cię moja opinia, nie sądzę, żeby to zrobił. Nie oprowadzałby mnie po magazynie.

- A może on chciał, żebyś odkryła ciało?

- Genialne. Po prostu genialne.

- Taylor, nie zgrywaj się na doświadczonego detektywa. To zabójstwo.

- Dziękuję, że mi to uświadamiasz. - Wzruszyła lekko ramionami.

- Po co cię wynajął? Żeby śledzić żonę?

- Nie ma żony.

- W takim razie po co? - Ton Vollmera stał się bardziej kategoryczny.

- Jak ci już powiedziałam, jest moim klientem. Jeżeli stwierdzę, że sprawa, którą mi zlecił, ma jakiś związek z zabójstwem, to cię zawiadomię.

- To nie ty masz stwierdzić, tylko ja.

- Danny, daj spokój! W ogóle nie mam obowiązku z tobą rozmawiać. Jak będzie trzeba, to pogadamy w obecności prawnika - rzuciła twardo.

- Dobrze, kochanie, już dobrze. Nie przesłuchuję cię, chciałem tylko zadać parę pytań. Zgadzasz się? - Ponieważ siedzieli w przeszklonym pokoju biurowym, wskazał Nicka opartego o ścianę po drugiej stronie, i zapytał już łagodniej:

- Od kiedy znasz tego faceta?

- Poznałam go dzisiaj - oznajmiła, lecz spojrzawszy na zegarek, na którym było wpół do pierwszej w nocy, poprawiła się: - A raczej wczoraj.

Vollmer znów uśmiechnął się prowokacyjnie.

- Więc mówisz, że to nie on zabił? Przetarła oczy i odetchnęła głęboko. Czowała się tak, jakby od wielu godzin odbywała jakiś piekielny maraton.

- Posłuchaj, Danny: z tego, co widziałam, ten budynek ma tyle dziur co szwajcarski ser. Założę się, że drzwi do windy i ewakuacyjna klatka schodowa były nie zamknięte. Mam rację?

- Tak.

Vollmer podszedł do szafki z segregatorami i syknął, otarłszy się rękawem o zakurzoną półkę. Taylor zachichotała. Danny wydawał większość swojej pensji na buty od Gucciego i garnitury od Armaniego. Patrzyła, jak otrzepuje się starannie, zupełnie jak kotek, który czyści zabrudzone futerko.

- Do rzeczy - powiedział, gdy na swetrze ze znaczkiem Benettona nie został już żaden pyłek. - Jeżeli przyjąć, że Kendall był u siebie, to czy mógł usłyszeć, jak ktoś wchodzi do budynku?

- Nie mam pojęcia. Winda jest w jego mieszkaniu zamknięta. Mury są stare i grube. Kim była ta kobieta?

- Żadnych dokumentów. - Danny rozłożył ręce. - Czy któryś z uczniów miał powód, żeby wrócić tu wieczorem?

- Nie wiem.

- No dobrze. Teraz poproszę tu Kendalla. Siedź cicho i pod żadnym pozorem się nie wtrącaj.

Taylor wcale nie miała ochoty siedzieć cicho, zwłaszcza że wiedziała, iż Danny jest wrogo nastawiony do Nicka, a ten z kolei nic nie zrozumie z rozmowy, która go czeka. Jak miałby się domyślić, że

Danny'ego denerwuje każdy dobrze zbudowany mężczyzna? Wyznał to jej kiedyś, gdy leżeli w łóżku i wspólnie czytali niedzielnego „Timesa”. Powiedział też, że spośród kobiet, z którymi się kochał, ona jest najwyższa.

Teraz wyrwało mu się, że przyszedł tu z jej powodu. Po dziewięciu miesiącach, które upłynęły od momentu zerwania, miała nadzieję, że to tylko słowa.

Dopiero gdy Nick wszedł do pokoju i usiadł koło niej, zobaczyła, jak bardzo jest zmęczony. Jego kości policzkowe zdawały się teraz jeszcze wyraźniejsze, złamany kiedyś nos rzucał nierówny cień na policzek, a na brodzie pojawił się ciemny, wieczorny zarost. Pomyślała, że mimo swego wzrostu sprawia wrażenie osoby kruchej i delikatnej. Najchętniej dodałaby mu jakoś otuchy, szepnęła do ucha, że wszystko dobrze się ułoży. No, może niezupełnie. Najchętniej położyłaby mu głowę na ramieniu i pozwoliła dodać sobie otuchy.

Oczy piekły ją nieprzyjemnie. Była wyczerpana. Może przeżyty szok daje w ten sposób o sobie znać?

Zabójstwo to coś, co narusza porządek świata i sprawia, że wszystko przewraca się do góry nogami. Doświadczyła tego już wcześniej - w momencie, gdy Danny przyniósł jej wiadomość, że Paul został zastrzelony.

Nick usiłował skupić się na pytaniach Vollmera. Czuł się oszołomiony; nie tyle przerażony czy przygnębiony, co wytrącony z równowagi. Martwa kobieta właściwie nie wydała mu się ludzką istotą, ale dziwnym obiektem, który nie wiadomo skąd znalazł się w

jego magazynie. W otoczeniu drewnianych zwierząt wyglądała jak jeszcze jedna przewrócona rzeźba.

Widział już śmierć, kiedy był w wojsku, ale nie mieściło mu się w głowie, że akt przemocy mógł zdarzyć się tutaj, w Rounders - w miejscu wyjątkowym, a dla niego wręcz świętym.

Przez te kilka godzin, które upłynęły od odkrycia ciała, usiłował wyobrazić sobie, co mogło się zdarzyć tego wieczoru. Może zamordowana kobieta jest bezdomną ofiarą jakiegoś przypadkowego napadu? W głębi duszy wiedział, że oszukuje samego siebie. Dotknął przecież jej ręki i widział, że jest zadbana, wypielegnowana. Na podłodze leżał jej but i nie był to rozczłapany chodak, tylko eleganckie czółenka.

Kobieta zapewne przyszła tu - albo została zaciągnięta siłą - z kimś, kto miał klucz do budynku. Ten człowiek świadomie zaprowadził ją do magazynu. Wiedział, że to miejsce, do którego rzadko się zagląda, i przypuszczał, że ciało przez długi czas pozostanie nie odkryte. Może nawet planował w dogodnym momencie wrócić i przenieść je do bezpieczniejszej kryjówki.

Spojrzał na Taylor. Uśmiechała się do niego tak, jakby byli sami w pokoju. Był zadowolony z jej obecności, bo czuł, że wspiera go w jakiś dziwny sposób. Chyba nie widziała w życiu wielu trupów, ale tam w magazynie nie wpadła na szczęście w histerię. Gdy wrócili do mieszkania, to ona wezwała policję. Potem stała w oknie aż do przybycia pierwszego radiowozu.

- Słucham? - poprosił detektywa o powtórzenie pytania, po czym pokręcił przecząco głową. - Nie mam pojęcia, kim jest ani po co tu przyszła. Nie słyszałem, żeby ktoś wchodził do budynku dziś wieczorem. Byłoby dziwne, gdybym słyszał: odgłosy z pierwszego piętra nie dochodzą na ogół do mojego mieszkania.

- Nawet kiedy ktoś używa windy?

- Nawet. Odgrodziłem szyb dodatkową ścianką, poza tym ta winda nie hałasuje. A dziś wieczorem słuchałem płyt.

- Do której był ktoś w pracowni?

- Ostatni uczeń wyszedł wpół do siódmej. Veda Albright chciała skończyć pewien element, nad którym pracuje, więc zostałem, żeby jej pomóc.

- Czy zamknął pan drzwi wychodzące na ewakuacyjną klatkę schodową?

- Nie, bo ich wcale nie otwierałem. Byłem pewien, że są zamknięte.

- Kto miał do nich klucze? A więc wreszcie padło pytanie, którego tak się obawiał. Cały czas zdawał sobie sprawę, że znajdzie się w kręgu podejrzanych.

- Moi współnicy: Max Beaumont i Josh Chessman.

- I oczywiście pan.

- Oczywiście. Ale w miejscu, o którym wszyscy wiedzą, wisi zawsze zapasowy komplet kluczy, na wypadek, gdyby któryś z uczniów miał ochotę wpaść i sobie popracować.

- Tak bez pytania? - zdziwił się Danny i dodał: - Taylor nie przesadziła: to miejsce rzeczywiście jest dziurawe jak kawałek szwajcarskiego sera.

Nick zwrócił uwagę na to, że Vollmer powiedział „Taylor”, nie „pani Hunt”. Widać dobrze się znają. Ciekawe jak dobrze. Spojrzał na niego uważniej. Ten policjant odnosił się do niego z wyraźną niechęcią, on zaś ku swemu zdziwieniu zdawał się odwzajemniać tę niechęć.

- Żyjemy tu jak w rodzinie. A cały budynek jest zamykany na noc.

- Tak, tylko że każdy może otworzyć go kluczem, który dorobił za dnia. - Vollmer przejechał ręką po gęstej czuprynie, ustawivszy się tak, by widzieć swe odbicie w szybie. Po chwili zwrócił się ponownie do Nicka: - Zdaje się, że ma pan tutaj jakieś wcale nie takie tanie narzędzia. Czy coś zginęło?

- Wydaje mi się, że nie.

- Dobrze. Proszę o adresy i telefony współników, a także uczniów, którzy przewinęli się dzisiaj przez to miejsce.

- Czy za domem stoi jakiś samochód? - spytał nieoczekiwanie Nick.

- Dlaczego pan pyta? Nick odchylił głowę do tyłu i westchnął. Był wykończony, a pył, który jakoś przez cały dzień mu nie przeszkadzał, doprowadził do tego, że teraz piekły go oczy, a co gorsza zaczął prześladować go zapach krwi.

- Żadna kobieta nie przyszłaby tu wieczorem piechotą. Albo przyjechała swoim autem, albo ktoś ją przywiózł.

- Jest tylko pick - up należący do Taylor, stoi od frontu. Z tyłu znaleźliśmy niebieską furgonetkę z napisem Rounders Unlimited, należąca, jak się domyślam, do pana.

Nick potwierdził skinieniem głowy.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chcielibyśmy ją przeszukać.

- Nie musi się pan zgadzać - wtrąciła szybko Taylor. - Z technicznego punktu widzenia furgonetka jest poza miejscem zbrodni. Powinni mieć nakaz rewizji.

- Czy razem z licencją detektywa zrobiłaś doktorat z prawa? - Vollmer aż kipiał ze złości. Odwrócił się do Nicka i powiedział: - Chyba nie ma pan niczego do ukrycia?

- Nie mam, może pan przeszukać furgonetkę - odparł, nie patrząc na inspektora. Od dłuższej chwili śledził wzrokiem Taylor, która zaczęła niespokojnie chodzić po pokoju.

Mimo sytuacji, w jakiej się znaleźli, nie mógł powstrzymać się od myśli, że jest niezwykle zgrabna.

Światła przejeżdżającego pociągu wdarły się na moment do pokoju i oświetliły Taylor tak, że jej krótka, geometryczna fryzura w stylu lat dwudziestych upodobniła się do błyszczącego kasku. Oczywiście, którym przyjrzał się już wcześniej i wiedział, że są szare, były teraz schowane w cieniu. Nagle zapragnął zajrzeć w nie głęboko,

dowiedzieć się, o czym myśli ta kobieta i czy patrzy teraz na niego, czy na Vollmera, który znowu przegląda się w szybie.

- Jeśli chodzi o ciebie, jesteś wolna. Mam nadzieję, że wrócisz prosto do domu. - Głos policjanta wyrwał go z tych rozważań. - Pan będzie mi jeszcze potrzebny za chwilę, gdy koledzy skończą na dole.

- Chciałabym porozmawiać ze swoim klientem - rzekła Taylor - a ty może poprosisz w tym czasie któregoś ze swoich chłopaków, żeby zszedł ze mną do samochodu. To rzeczywiście nie jest najlepsza pora na samotne spacerowanie.

- Z klientem możesz porozmawiać jutro, a do samochodu sam cię odprowadzę.

- Pani jest moim gościem, ja ją odprowadzę. Gniewne prychnięcie Vollmera było jedynym komentarzem do wypowiedzi Nicka.

Wyszedszy na dwór, Taylor łapczywie zachłysnęła się jesiennym powietrzem. Było mgliście i chłodno. Asfalt połyskiwał wilgocią w strumieniu światła padającego przez otwarte drzwi.

- Przykro mi z powodu tego wszystkiego - odezwał się Nick.

- Dlaczego? Przecież to nie pan ją zabił, prawda?

- Co pani mówi? Jak nie zaciukam jednej kobitki na tydzień, tracę wenę do roboty.

Położyła mu rękę na ramieniu.

- Przepraszam, to była głupia uwaga. Chyba jestem bardziej zdenerwowana, niż mi się zdaje.

- Pierwszy raz zobaczyła pani zabitego człowieka?

- Oczywiście, że nie. Jak nie obejrzę jednego trupa w tygodniu, robota detektywa przestaje mnie rajcować. - Zaśmiała się ponuro i dodała: - Z auta zatelefonuję do Mela. Zdaje pan sobie sprawę, że będą do pana dzwonić dziennikarze?

- Tak. Ten... wypadek wszystko zmienia.

- To znaczy? - Wiedziała, co teraz powie, ale nie miała ochoty tego usłyszeć.

Począł z odpowiedzią do chwili, gdy wsiadła do samochodu i zapięła pas.

- Nie mogę pani wplątywać w morderstwo.

- I tak jestem wplątana. Nawet jeżeli zrezygnuje pan z moich usług, nie przestanę być związana z tą sprawą. Mam zresztą nadzieję, że pan nie zrezygnuje, bo potrzebuję pracy.

- Vollmerowi to się nie spodoba.

- Mam w nosie Vollmera.

- Nie boi się pani jechać? Daleko pani mieszka?

- Po drugiej stronie Collierville - powiedziała. - Drogę znam na pamięć, dojechałabym z zamkniętymi oczami.

- Proszę je lepiej trzymać szeroko otwarte. Uśmiechnęła się i przekręciła klucz w stacyjce.

- Do zobaczenia rano. Począł przed wejściem do budynku aż do momentu, gdy światła reflektorów omiotły znak przy przejeździe kolejowym i samochód zniknął z pola widzenia. Kontakt z kimś takim jak ona był dla niego całkiem nowym doświadczeniem. Owszem, lubił mieć kobietę w łóżku, ale nigdy jeszcze istota płci żeńskiej nie zajęła

centralnego miejsca w jego życiu. Po prostu nie spotkał takiej, która byłaby wystarczająco poważna, konkretna, na której można by polegać w ważnych sprawach. Coś mu mówiło, że Taylor Hunt ma te wszystkie zalety. Niestety, podejrzewał również, że może to nie okazać się dobre dla nich obojga.

Dojeżdżając do granic miasta, poczuła dreszcze i mdłości. Próbowwała jakoś nad nimi zapanować, ale gdy tylko zobaczyła dobrze oświetloną całodobową stację benzynową, postanowiła się zatrzymać. Wiedziała, że nie powinna otwierać okna nawet w tym stosunkowo bezpiecznym miejscu, lecz mogło jej pomóc jedynie świeże powietrze.

Nagle zdała sobie sprawę, że w samochodzie unosi się kwaśny zapach krwi. Powąchała ręce. Pachniały mydłem, bo przecież starannie je umyła, czując się przy tym niemal jak Lady Macbeth.

Buty. Pośliznęła się w kałuży krwi i zapewne nadal ją ma na podszwach swych sportowych butów, pełnych rowków i wyłobień. Natychmiast schyliła się, by rozwiązać sznurówki. Postanowiła, że rzuci je do tyłu, a do domu dojedzie na bosaka.

Do prawego buta był przyklejony pasek żółtego papieru. Musiał leżeć blisko powozu w magazynie i przyczepić się w momencie, gdy podszwa była już mokra od krwi. Oderwawszy papier, obróciła go w stronę światła. To był kwit ze strzeżonego parkingu przy hotelu Windwick, wydany o godzinie 18.45.

Jeżeli rzeczywiście nikt z uczniów ani współników Nicka nie wchodził do magazynu o tej porze, kwit musi należeć albo do ofiary,

albo do mordercy. Ta kobieta nie wyglądała na osobę, która jechałaby sama w okolice Rounders. Prawdopodobnie wsiadła do auta razem z mordercą, a swoje zostawiła na parkingu.

Taylor знаła parking przy Windwick. Kierowca nie mógł go opuścić, nie oddawszy obsłudze wykorzystanego kwitu. Przestrzegano tej zasady bardzo rygorystycznie. Samochód starszej pani powinien więc nadal tam się znajdować, chyba że morderca zrobił wszystko, by go stamtąd wywieźć. W takim wypadku musiałby jednak zmyślić jakąś historyjkę o zgubionym kwicie, a i tak na pewno nie obesłoby się bez awantury. Żaden zbrodniarz nie zwracałby na siebie uwagi takim zachowaniem.

W pierwszym odruchu postanowiła wrócić do Rounders i przekazać kwit Danny'emu. Zrezygnowała z tego, uświadomiwszy sobie, że kwit niekoniecznie musiał znajdować się w pobliżu powozu - mógł leżeć w każdym innym miejscu. Na pewno przyczepił się do buta już po tym, jak się pośliznęła, a jednocześnie zanim krew na podszewie zdążyła zaschnąć. To jednak oznacza, że być może nie powinna tak się spieszyć ze swoją rewelacją. Przede wszystkim powinna być lojalna w stosunku do Nicka, swojego klienta, i działać dla dobra sprawy, którą jej zlecił.

Gdy rzuciła buty do tyłu samochodu i włączyła silnik, poczuła się zdecydowanie lepiej. Wkrótce potem zatelefonowała do Mela Bormana. Nawet nie przyszło jej do głowy, by przeproszać, że go budzi, a on, gdy tylko usłyszał, co zaszło, nie domagał się przeprosin.

Rozmawiała z nim przez głośnik - ręce chciała mieć wolne, by skupić się na prowadzeniu.

- Jest jeszcze coś - mruknęła, gdy Mel miał już zamiar się zegnać.

- Tu cię mam! Wiedziałem, że coś ukrywasz.

- Za dobrze mnie znasz - skomentowała, włączając z powrotem długie światła, które zgasiła na moment, by nie oślepić nadjeżdżającej z naprzeciwka ciężarówki. - Ja tylko coś znalazłam.

- Wiesz, Taylor, istnieje takie niebezpieczeństwo, że w najbliższym czasie będę ci składał wizyty w więzieniu albo zawołają mnie, żebym zidentyfikował twoje ciało. Wolałbym uniknąć obu ewentualności.

- Nie grozi mi żadna z wymienionych. Posłuchaj, stary niedźwiedziu... - Zawiesiła głos, bo brała akurat ostry zakręt, a droga była wąska. Potem opowiedziała Melowi o kwicie i zapytała: - Może powinnam od razu zawieźć go Vollmerowi?

Przez dłuższą chwilę w słuchawce zalegała cisza.

- Najpierw sama to sprawdź, dopiero potem zawiadom Vollmera. Może nic się za tym nie kryje, ale kto wie. Buty na pewno miałaś mokre przez jakiś czas i nie wiadomo, w którym miejscu nadepnęłaś na kwit.

- Danny będzie wściekły - stwierdziła, ciesząc się w duchu z decyzji Mela.

- Trudno. Nic nam nie zrobi.

- Dobrze. Z samego rana pojedę na parking. Jeżeli będzie tam ten samochód, sprowadzę go do Mud Island i dokładnie obejrzę. Możesz tam przyjść?

- O ósmej mam spotkanie.

- No to poproszę Kendalla.

- Ostrzegam cię, Taylor, że on w oczywisty sposób jest tu podejrzany. Pamiętasz brzytwę Ockhama?

- Tak, tak, tak - zaśmiała się. - Pamiętam. Oczywiste rozwiązania zazwyczaj okazują się słuszne. Jakoś jednak nie chce mi się wierzyć, żeby ta stara prawda miała zastosowanie w jego przypadku. On był naprawdę zszokowany.

- Tak czy inaczej musisz się ubezpieczać.

- To ty masz mnie ubezpieczać - odparowała. - Mel, przypomniałam sobie o czymś. Kiedy dojeżdżałam do Kendalla, jakiś samochód omal na mnie nie wpadł. Jechał bardzo szybko.

- W jaki czas potem znaleźliście ciało?

- Może pół godziny. Krew już zaczynała krzepnąć.

- Co to był za samochód? Zapamiętałaś numery?

- Niestety, nie zdążyłam nawet zauważyć marki ani koloru. Wiem tylko, że to był samochód osobowy.

- Powiedziałaś to Vollmerowi?

- Mówię ci, że dopiero teraz to sobie przypomniałam. - Była już prawie na miejscu. - Dojeżdżam do domu. Jestem wypompowana, a mam najwyżej cztery godziny na sen. Zadzwoń, co z tym parkingiem. Dobranoc, stary miśku.

- Taylor, tu chodzi o morderstwo i nie ty prowadzisz dochodzenie.

- Ale to ja mam się dowiedzieć, kto ukradł rzeźby - oświadczyła i rozłączyła się.

Potem wystukała kod, który otworzył masywną bramę z żelaza. Za bramą była żwirowa droga schodząca w dół, potem zakręcająca w górę i wiodąca do małego domku. Tutaj Taylor czuła się bezpiecznie. W tym miejscu nawet matka ani brat nie mogli jej nagabywać - przynajmniej dopóty, dopóki nie znali kodu w bramie.

Wysiadając z auta, nie zapomniała o leżących z tyłu butach. Wzięła je do ręki i weszła do domu na bosaka. Elmo powitał ją dzikim miauknięciem. Nie zdążyła zrobić kroku, a już siedział na jej ręce. Nie wypuszczając kota, przeszła do ogródka, w którym była zainstalowana huśtawka. Tam, kołysząc się powoli, kilka razy wciągnęła głęboko powietrze.

Całe szczęście, że Mark, brat matki, zapisał jej w testamencie to miejsce. Mark zmarł na AIDS, jakkolwiek matka mówiła wszystkim znajomym, że to nowotwór płuc.

W domu zadzwonił telefon. Przyciskając do siebie Elma, Taylor pobiegła, by go odebrać, zanim włączy się automatyczna sekretarka.

- Dobry wieczór. Chciałem sprawdzić, czy szczęśliwie dotarła pani do domu.

- Nick, to pan? - Opadła na sfatygowany fotel ze skóry stojący obok telefonu. - Miło, że pan dzwoni.

Jego niski głos wywołał w niej uczucie przyjemnego ciepła.

Od dawna żaden mężczyzna, oczywiście prócz Mela, nie interesował się tym, czy bezpiecznie wróciła do domu.

- Vollmer i jego ekipa dopiero się stąd zabrali.

- Przeszukali wszystko?

- Nie, zniechęciły ich ciemności. Powiedzieli, że wrócą rano. Jutro Rounders jest zamknięte, ale Max i Josh przyjdą koło dziesiątej.

- O, to mamy sporo czasu. - Taylor przedstawiła swój plan. Spodziewała się, że Nick zaprotestuje, ale nic podobnego się nie stało. Gdy już umówili się na spotkanie, spytała: - Czy pana wspólnicy wiedzą o mnie?

- Wiedzą, przecież musiałem im powiedzieć.

- To niedobrze. Chociaż, czy ja wiem... W tej sytuacji mogę pracować jawnie i w dodatku nie muszę już udawać rzeźbiarki.

Gdy odłożyła słuchawkę, dopadło ją śmiertelne zmęczenie. Musiała zebrać wszystkie siły, by pozamykać drzwi, umyć zęby i twarz.

Ułożywszy się w łóżku razem z Elmem, który zajął zwykłe miejsce przy jej boku, zamknęła oczy, ale pod powiekami stanął jej widok zamordowanej kobiety. Obraz majaczył przez chwilę, ale wkrótce zastąpił go inny. Widziała teraz twarz Nicka, ze zmarszczkami mimicznymi wokół oczu, trochę skrzywionym uśmiechem, złamanym nosem i całą resztą. Ze strony nieszczęsnej starszej pani nic jej już nie groziło, za to ten facet... Wiedziała, że jeżeli zechce, owinie ją sobie wokół palca.

Rozdział 4

Wjechała na parking przy północnym krańcu Mud Island tuż przed ósmą rano. Nick czekał tam już, oparty o karoserię lśniącego, błękitnego lexusa. Otworzyła drzwi i nie wysiadając z samochodu, prześliznęła się na siedzenie dla pasażera.

- Pan prowadzi. Wzruszył ramionami i wsiadł do jej auta bez słowa. Ledwo

zmieścił się za kierownicą i bezradnie zaczął rozglądać się za dźwignią regulacji siedzenia.

- Jest z boku - odpowiedziała - ale chyba nie na wiele się panu przyda. Przykro mi, to miniatura pick - upa, a nie model dla wielkoludów. Gdzie się podziała furgonetka?

- Pojechałem rano do Maxa i wstawiłem ją do garażu, a on pożyczył mi swojego lexusa.

- To dobrze. Bez problemów wyjechał pan z domu?

- Bez. Reporterów jeszcze nie było, policji też nie. Jak nam się poszczęści, to może zdążymy nawet wrócić do Rounders przed nimi - powiedział, patrząc na nią badawczo. - Inaczej dziś pani wygląda.

- Mam nadzieję! - Zaśmiała się i poprawiła wielkie okulary słoneczne, które trochę zsunęły się jej z nosa, po czym pstryknęła palcem w szerokie rondo fantazyjnie przekrzywionego kapelusza, który miała na głowie. - Taki czarny kapelusz jest przeraźliwie banalny, ale nie mam innego. Chodzi mi o to, żeby nikt z obsługi hotelu nie umiał mnie opisać Danny'emu.

- Mogłaby pani stracić prawo wykonywania zawodu?

- Nie, bo nie będzie miał dowodów. Na pewno jednak trochę powrzeszczy. Danny łatwo wpada w gniew, ale też szybko się uspokaja. Poza tym nasze działanie nie koliduje tak naprawdę ze śledztwem. Kto powiedział, że kwit wiąże się w jakikolwiek sposób z morderstwem?

Spojrzał na nią z ukosa. Miała na sobie czarny golf i marynarkę, ciemnoszare spodnie z wełny i zamszowe botki na wysokich obcasach. Była umalowana, w jej uszach kołysały się wielkie, złote koła. Nie zapomniała nawet włożyć rękawiczek.

- Dzinsy i sportowe buty mam z tyłu, w torbie. Potem się przebiorę, ale jeżeli okaże się, że samochód, po który jedziemy, to cadillac albo BMW, nie pasowałabym do takiego auta. Chcę wyglądać jak kobieta interesu, która zatrzymała się w hotelu Windwick i zaraz wyruszy na spotkania z kontrahentami. Mam nadzieję, że ta maskarada okaże się wystarczająca, zwłaszcza że za chwilę obsługa zobaczy mnie jeszcze raz, gdy będę odstawiać samochód.

- Gdyby to o mnie chodziło, to i tak poznałbym panią. Oni też musieliby być ślepi, żeby pani nie zapamiętać.

- Czy mam to traktować jak komplement? - zapytała.

- Jeśli pani chce. W każdym razie musiałaby pani wstawić sobie zęby królika i założyć perukę, żeby rzeczywiście się zmienić, ale i tak nie jestem pewien, czy to by wiele pomogło.

- To dlatego, że jestem taka wysoka - stwierdziła trochę speszona.

- Między innymi - mruknął pod nosem. Mimo dużego ruchu na szosie prowadził samochód pewnie, tak jakby jeździł nim od dawna. Taylor patrzyła na jego ręce, oparte na kierownicy. Teraz, w jasnym świetle poranka widziała, że nie tylko są mocne, ale i trochę zniszczone. To były ręce artysty rzemieślnika.

- Jeszcze raz gratuluję pomysłu z zamianą furgonetki - rzekła, by zmienić temat.

Uśmiechnął się, wymijając jednocześnie toyotę, która niebezpiecznie zajechała mu drogę.

- Byłaby zbyt widoczna, bo jako samochód firmowy została specjalnie pomalowana tak, żeby się wyróżniać. Poza tym cóż, może ja też mam żyłkę konspiratora i dlatego wyczułem, że najlepiej będzie ją zostawić u Maxa. Oby tylko nikt nie ukradł jego lexusa, bo kocha to wypieszczone autko tylko trochę mniej niż rodzzonego syna i wnuka.

- Niech się pan tu zatrzyma - poleciła, bo dojeżdżali na miejsce. - Najlepiej będzie, jeżeli przejdę przez hotelowy hol.

Dwadzieścia minut później podjechała luksusowym, srebrzystym mercurym i stanęła obok swojego pick - upa. Nicka nie było w środku - żeby skrócić sobie czekanie, poszedł przejść się nad Missisipi. Właśnie wracał. Słońce oświetlało jego włosy tak, że wyglądały jak lśniące, gęste futro. Taylor pomyślała, że gdyby jeszcze ubrać go w futro, można by powiedzieć, że to prawdziwy jaskiniowiec. Potężny i niepokojąco silny.

Musiała rozstać się z tą wizją, bo Nick był już przy niej. Otworzyła drzwi i wręczyła mu parę chirurgicznych rękawic.

- Proszę je włożyć - powiedziała, sama zaś zdjęła dla wygody kapelusz i nacisnęła guzik od samochodowego schowka na rękawiczki. Leżały tam rozmaite papiery. - Cholera, niech pan patrzy.

Auto było zarejestrowane na Clare Fields - Eberhardt z Oxfordu w stanie Missisipi.

Nick wziął dokumenty i przejrzał je szybko. Gdy się z nimi zapoznał, Taylor odłożyła je na miejsce. Wyjawszy z torebki długopis z latarką, zajrzała pod siedzenia i do schowków w drzwiach samochodu. Niczego nie znalazła.

- Ależ z niej była porządnicka, no, no. Pozazdrościć zorganizowania - skomentowała.

- Został nam jeszcze bagażnik.

- Bingo - rzucił Nick, gdy podniosła klapę i ich oczom ukazała się nieduża, zgrabna torba podróżna marki Louis Vuitton. - Jeżeli jednak zamierzała zatrzymać się na noc w hotelu, to dlaczego nie zaniósła torby do pokoju?

- Może w ogóle nie wzięła pokoju, zostawiła tylko samochód na parkingu i z kimś się spotkała. Może chciała jechać w nocy do domu.

- W takim razie po co by brała torbę podróżną?

- Słusznie - uśmiechnęła się Taylor. - Niewykluczone jednak, że rezerwując miejsce w hotelu zastrzegła, że pojawi się późno. Mogła więc zaplanować, że zostawi samochód, spotka się z osobą, którą miała spotkać, a dopiero potem weźmie torbę i pójdzie do hotelu.

- Tyle że już tu nie wróciła...

Niespodziewanie silny podmuch wiatru zburzył włosy Taylor i sprawił, że kosmyki zaczęły wciskać się jej do oczu. Nick osłonił ją od strony wiatru, niemal zakrywając ją swą olbrzymią postacią.

- Lepiej? - spytał.

- Dziękuję - powiedziała, myśląc w duchu, że niewielu mężczyznom coś takiego przysłoby w ogóle do głowy. Ponieważ nie chciała, by wyczytał zbyt wiele w jej oczach, dodała szybko: - Otwieram torbę.

Ubrania Clary Eberhardt były starannie opakowane w różową bibułkę. Taylor poczuła się nieprzyjemnie. Nie miała ochoty grzebać w osobistych rzeczach zamordowanej, ale musiała to zrobić. Zaczęła ostrożnie rozwijać poszczególne pakieciki.

W środku leżał komplet bielizny z jedwabiu i koronki składający się z mocno wyciętych majteczek i biustonosza w kolorze brzoskwińowym oraz białe, koronkowe pończochy. Jakoś nie pasowały do siwej, klasycznie ubranej pani, w dodatku od niedawna wdowy, może jednak Clara Eberhardt była osobą z fantazją i pozwalała sobie na takie niewidoczne na zewnątrz szaleństwa.

Był tam jeszcze błękitny sweterek z kaszmiru, spodnie z szarej flaneli, czarne, zamszowe pantofle na niskim obcasie - wszystko drogie, w najlepszym gatunku. Nawet skarpetki pochodziły od Diora. Żadnej piżamy ani koszuli nocnej. Czyżby starsza pani sypiała nago?

Satynowe puzderko na biżuterię skrywało gruby, złoty łańcuch starej roboty i kolczyki od kompletu. Kosmetyczka była wzorem porządku i czystości - żadnych nie dokręconych szminek ani

rozsypanego pudru. Dezodorant. Ani szamponu, ani odżywki do włosów - albo dlatego, że Clara Eberhardt nie miała zwyczaju codziennego mycia głowy, albo dlatego, że wiedziała, iż znajdzie to, co trzeba w hotelu. Buteleczka z lekarstwem - czyżby problemy z sercem? Taylor wyczuła na spodzie torby prostokątny kształt. Był to notes w skórzanej oprawie, pięknie zdobionej i prawdopodobnie starej.

- Obejrzymy go w moim aucie - zaproponowała, przekazując go Nickowi. Pozostałe rzeczy starannie powkładała do torby i zatrzasnęła bagażnik, nie zamykając go jednak na klucz.

- Zapisywała tu spotkania - powiedział, usadowiwszy się w fotelu pick - upa. - Prawie same inicjały. O, to wczorajszy dzień.

- WW 19.30. - Taylor spojrzała na Nicka z ciekawością.

- To musi oznaczać hotel Windwick. Chyba że w Rounders jest ktoś o inicjałach WW.

- Nikt nie przychodzi mi do głowy. Wzięła notes od Nicka i zaczęła uważnie go przeglądać. Był prawie pusty - spotkania i pojedyncze notatki widniały tylko na dziesięciu stronach.

- Powinniśmy skserować to wszystko, tylko czy zdążymy? - zaniepokoił się Nick.

- Nie potrzeba. - Taylor sięgnęła po aparat fotograficzny, który leżał za jej fotelem. Nick przewracał strony, a ona - fotografowała każdą dwukrotnie. Gdy skończyła, spojrzał na zegarek.

- Musimy się pospieszyć.

- Gotowe. Zaraz wracam - rzuciła, otwierając drzwi. Gdy odstawiła auto Clary Eberhardt na parking, wrócili z Nickiem na Mud Island, gdzie spokojnie czekał na nich błękitny lexus.

- Do zobaczenia wkrótce - powiedziała Taylor. - Oddam film do wywołania i zaraz jadę do Rounders.

Tak się złożyło, że w Rounders pojawili się prawie jednocześnie, o dziewiątej.

- Przynajmniej jesteśmy szybsi od policji - stwierdził z satysfakcją Nick. Otworzył zamek w drzwiach na dole, ale ani on, ani Taylor nie spieszyli się z wejściem do środka.

- I od dziennikarzy. Może zadowolą się notką w kronice wypadków i nie będą tu węszyć - rozmarzyła się Taylor, a zaraz potem dodała: - Proszę powiedzieć, czy jest jakieś miejsce, którego policja nie zdążyła przeszukać w nocy? Chodzi mi o miejsce w magazynie.

- Dlaczego pani pyta?

- Muszę podzucić gdzieś ten kwit z parkingu.

- Okleili żółtą taśmą zarówno drzwi do magazynu, jak i rampę.

- Niedobrze. Powinnam była o tym pomyśleć. - Westchnęła. - Może ma pan jakiś pomysł? Nie mam ochoty wcisnąć tego papierka Vollmerowi do ręki i powiedzieć, gdzie go znalazłam, a przynajmniej wolałabym tego uniknąć.

- Proszę iść za mną - powiedział Nick.

Doprowadził ją do ścieżki, która zaczynała się koło budynku. Słodkawy zapach gnijących liści zmieszany z odorem szczurzych odchodów przyprawił Taylor o mdłości. Starła się iść ostrożnie, by

nie wdepnąć w błoto, i już po chwili zaczęła żałować, że nie zmieniła w samochodzie butów.

Gdy obeszli budynek z lewej strony, zobaczyła rampę. W połowie jej długości znajdowała się winda towarowa zabezpieczona masywnymi, metalowymi drzwiami. Obok były drugie, mniejsze drzwi, za którymi kryły się tylne schody. Oba wejścia były rzeczywiście oklejone żółtą policyjną taśmą.

- Czy pański pomysł polega na tym, żebym rzuciła kwit gdzieś tutaj? Przecież porwie go wiatr - rzekła rozczarowana.

- Mogę go wsunąć pod drzwi; nie dotykają posadzki.

- Niech pan tylko nie zostawi odcisków palców - ostrzegła. - Swoje już wytarłam.

- Będę uważał, ale jakim cudem zachowała pani ten świstek? Przecież strażnik powinien był go odebrać, gdy opuszczała pani parking.

- Powiedziałam, że jest mi potrzebny do dokumentacji księgowej, więc go oddał.

- Na pewno zapamiętał panią?

- Mam nadzieję, że to była jeszcze nocna zmiana, i kiedy zjawi się policja, będzie już ktoś inny. - Wzruszyła ramionami.

- Poza tym, jeżeli będę musiała powiedzieć Danny'emu prawdę, to powiem. Panu radzę trzymać się od tego z daleka, bo Vollmer jest już i tak wystarczająco podejrzliwy.

Nick wsunął świstek pod drzwi.

- Chyba wystarczy.

- Chyba tak. Zmykajmy stąd teraz. Zdażyłam już trochę zmarznąć.

Nick otoczył ją ramieniem i przyciągnął do swojego boku. Trwało to sekundę, ale Taylor nie byłaby bardziej zdziwiona nawet wtedy, gdyby postawił ją do góry nogami. Ta sekunda wystarczyła też, by jej przypomnieć, od jak dawna jest już pozbawiona takich prostych przyjemności. Gdy w drodze powrotnej widziała przed sobą szerokie plecy Nicka, pomyślała, że już najwyższy czas skończyć z takim samotniczym życiem.

W pracowni czekały cztery osoby. Taylor знаła tylko Vedę. Druga kobieta była wysoka i szczupła. Mimo widocznego zakazu palenia na spodku służącym jej za popielniczkę były już trzy niedopałki i kobieta co chwilę zaciągała się głęboko. Jej mina wyrażała głębokie niezadowolenie z faktu, że musiała tu przyjść.

- Nick, to jakaś makabra! - wykrzyknął niski, pękaty mężczyzna, który stał obok. Przeciągnął ręką po resztkach siwiejących włosów, kołyszając się przy tym tam i z powrotem na palcach, co wydało się Taylor mocno denerwujące. Pomyślała, że ze swoimi wyłupiastymi oczami przypomina żabę wyrzeźbioną przez Vedę.

- Pani Taylor Hunt - Nick zaczął ich sobie przedstawiać - mój wspólnik Josh Chessman i jego żona, Margery. Z Vedą już się panie znają. Przy okazji, Vedo: pracownia jest dziś zamknięta, nie przeczytałaś kartki?

- Oczywiście, że przeczytałam, kochany, ale chciałabym ci pomóc.

- Dziękuję, jednak chyba niewiele uda ci się zrobić - odparł z uśmiechem.

- Na początek mogę ofiarować ci moralne wsparcie, robić kawę, odbierać telefony i... przeganiać dziennikarzy.

- Rzeczywiście. W takim razie dziękuję.

- Przyniosłam pączki, kawa już się parzy - poinformowała Veda.

- O, to miała pani świetny pomysł. Nie jadłam jeszcze śniadania!

- oznajmiła Taylor, która w tej chwili poczuła się głodna jak wilk.

Nie czekając na zachętę, Veda popędziła do pokoju biurowego, w którym zostawiła pączki.

- Jestem Max Beaumont, dzień dobry. - Do Taylor podszedł wysoki mężczyzna, który wzrostem dorównywał Nickowi, lecz był od niego znacznie drobniejszy. Z jego postaci biła taka elegancja, że najodpowiedniejszym dla niego strojem wydawał się frak albo smoking. Miał co prawda na sobie dżinsy i bluzę - najwyraźniej był to strój obowiązujący w Rounders - ale dżinsy były markowe, a w dodatku za - prasowane w kant! Jasnoszare oczy spoglądały chłodno. - Nie będę cię pytał, Nick, gdzie byłeś ani co robiłeś. To kiepsko wygląda.

- Gorzej, niż sobie wyobrażasz...

- Co pan przez to rozumie, panie Kendall? - dobiegł ich od drzwi głos Vollmera, któremu towarzyszył inny policjant. Weszli po schodach tak cicho, że nikt ich nie usłyszał.

- Nic gorszego od morderstwa nie może się zdarzyć, prawda? - wtrąciła szybko Taylor.

Vollmer zmrużył oczy i rzucił jej niezbyt przychylnie spojrzenie.

- Czy są jakieś hipotezy co do tożsamości tej kobiety? - odezwał się Max Beaumont.

- Morderca musiał wziąć jej torebkę. - Vollmer zwrócił się teraz do wszystkich: - Czy ktoś z państwa zna kobietę odpowiadającą takiemu rysopisowi: wiek około pięćdziesięciu lat, waga pięćdziesiąt pięć kilogramów, siwe włosy, oczy piwne? Dobrze ubrana, prawdopodobnie zamożna.

Margery Chessman wrzuciła wypalony papieros do kubka.

- Sama prawie tak wyglądam i znam pół setki kobiet, które tak wyglądają, panie...?

- Sierżant Vollmer - odrzekł i spojrzał badawczo na pozostałych.

- Czy miała może jakieś znaki szczególne? - zapytał Max Beaumont.

- Nie zauważyłem żadnego oprócz kilkucentymetrowej dziury z boku szyi - odparł i wyciągnął w milczeniu rękę do swego kolegi. Pomocnik podał mu cienki skoroszyt. - Mamy zdjęcia.

Beaumont sięgnął po nie jako pierwszy. Obejrzał je obojętnie i przekazał Joshowi. Ten na widok martwej kobiety zrobił się prawie zielony.

- Przepraszam - odwrócił wzrok - nie mogę znieść czegoś takiego.

Margery przejęła fotografie, zerknęła na nie i oddała Vollmerowi.

- Na szczęście nie jest to żadna z moich znajomych - stwierdziła.

- A więc nikt z państwa jej nie rozpoznaje? - upewnił się Vollmer.

- Nie, skądże. Przynajmniej tak sędzę - wyjąkał Chessman, ocierając chustką czoło, na które wystąpiły krople potu.

Detektyw znowu zwrócił się do Margery:

- Chciałbym wiedzieć, co pani robiła wczoraj wieczorem.

- Ooo, czyżbym była podejrzana? Chyba nie sądzi pan, że miałabym dość siły, żeby zabić to biedne stworzenie.

- Do tego nie potrzeba wielkiej siły. Zrobiono to bardzo ostrym dłutem - odparł Vollmer.

Taylor wyczuła nutkę zniecierpliwienia w jego głosie. Choć mówił do Margery, cały czas patrzył na nią. Nie mógł już wiedzieć, że grzebała w samochodzie Clary, ale na pewno z jakiegoś powodu był na nią zły. Uśmiechnęła się blado.

- Czy w takim razie dowiem się, gdzie pani była? - powtórzył pytanie.

- No dobrze. - Margery, nieco zbity z tropu, zatarła lekko dłonie.

- Byłam w domu i przygotowywałam kolację dla Josha. Wrócił do domu... o której to wróciłeś, kochanie? Koło ósmej, prawda?

Josh potwierdził skinieniem głowy.

- Mogę wiedzieć, co pan Chessman robił przed tą godziną?

- Doktor Chessman, panie sierżancie - poprawił go Josh.

- Byłem w swoim pokoju na uniwersytecie i kończyłem artykuł do specjalistycznego pisma, który musiałem wysłać dziś rano.

- Czy ktoś był z panem?

- Wszyscy chyba wyszli około szóstej, jak zwykle. Siedziałem u siebie, miałem zamknięte drzwi. - Gdy mówił, jego grdyka poruszała się niespokojnie. Nagle wzrok mu się rozjaśnił.

- Margery, przecież do mnie dzwoniłaś, prawda, kochanie? Gdzieś wpół do ósmej ?

- Tak, sierzancie. Chciałam się upewnić, czy mogę już nastawić grill, bo zaplanowałam kotlety z jagnięciny. Mąż był w biurze, odebrał po drugim czy trzecim dzwonku.

Taylor patrzyła na tych dwoje. Może nie byli idealnym małżeństwem, ale zachowywali się jak idealnie zgrana ekipa. Vollmer zwrócił się teraz do Masa Beaumonta.

- Pracowałem sam, w domu. Nikt nie zadzwonił, nikt mnie nie odwiedził. Nie mam żadnego alibi.

- Nad czym pan pracował?

- Stale coś reperuję i poprawiam w domu, bo to stary, wielki budynek. Odziedziczyłem go wiele lat temu, zaraz po odejściu z wojska. Biorąc pod uwagę tempo remontu, skończę go chyba na dzień przed śmiercią. Pocieszam się, że mam jeszcze dużo czasu, bo rodzina jest długowieczna. - Beaumont spróbował się zaśmiać, ale dowcip wypadł blado. - Wczoraj akurat zdierałem starą farbę z płytek nad kominkiem.

W tym momencie Veda wynurzyła się z pokoju biurowego, niosąc dla Taylor kubek kawy i lukrowanego pączka na papierowej serwetce.

- Wielkie dzięki - wyszeptała Taylor z uśmiechem.

- A kim pani jest? - Vollmer skupił uwagę na Vedzie.

- Veda Albright. Nie mam alibi, jeśli o to panu chodzi. To miejsce opuściłam wczoraj przed siódmą i pojechałam prosto do domu. Widział mnie tylko mój kot i kanarek, ale na świadków chyba się nie nadają. Dopiero dziś rano wyszłam po gazetę i przeczytałam, co się stało.

- Dobrze. - Vollmer spojrzał na pałaszującą pączka Taylor. - Czy mógłbym z panią pomówić na osobności?

Taylor z niechęcią odstawiła kawę na blat najbliższego stołu i ruszyła za nim. W milczeniu zbiegli po schodach i wyszli przed dom.

- Ależ ziąb, Danny! Po co przywlokłeś mnie tutaj? - powiedziała, kuląc się pod uderzeniem zimnego wiatru.

Odwrócił się i przyciągnął ją tak blisko, że prawie zderzyli się nosami.

- W co ty, do cholery, się bawisz? Myślisz, że będę tolerował twoje wygłupy i zadawanie się z mordercą?

Oswobodziła jedną rękę, potem drugą, i odepchnęła go.

- Uspokój się. Nie mam ochoty znosić twojego maniactwa.

- Zabieraj stąd swój tyłeczek i jazda do Bormana. Krew napłynęła jej do twarzy.

- Usiłuję być uprzejma, ale mi tego nie ułatwiasz. Spróbuj mnie zrozumieć. Jeśli zaś chodzi o mój tyłeczek, to nic ci do niego.

- Mieszasz się do śledztwa w sprawie zabójstwa i pracujesz dla głównego podejrzanego.

- Nie masz żadnych dowodów przeciwko Kendallowi!

- Zgadza się. Ale był tu sam. Miał dostęp do wszystkich ostrych narzędzi, dłut i nie wiem, czego jeszcze. - Mówiąc to, oparł się o brudny mur z cegły. Gdy zorientował się, co zrobił, natychmiast stanął prosto i zaczął się otrzępywać.

Taylor nie mogła powstrzymać uśmiechu. Zawsze taki sam.

- Skąd wiesz, z jakiego zestawu zostało wzięte to dłuto?

- Jak to „z jakiego zestawu”? O czym ty mówisz?

- Gdybyś zadał sobie odrobinę trudu, dowiedziałbyś się, że każdy rzeźbiarz ma przynajmniej jeden zestaw dłut o różnym kształcie i rozmiarach. W tej szkole mają co najmniej kilka takich zestawów i w czymś zapewne brakuje jednego dłuta.

- Cholera! - Vollmer zdobył się tylko na taki komentarz. Nacisnął klamkę u drzwi na dole i wpuścił Taylor do ciemnego korytarza. - Nad jaką sprawą pracujesz dla Kendalla? - spytał.

- Nad żadną.

- Doskonale. Zapytam Bormana. - Odwróciła się na pięcie, gdy powiedział: - Zaczekaj.

Zawahała się, a on wyciągnął do niej rękę.

- Tęskniłem za tobą, Taylor. Gdy siedziałaś wczoraj u Kendalla, mogłem myśleć tylko o twoich nogach - wyznał i dotknął palcami jej włosów. - Posłuchaj: było nam z sobą dobrze i znowu mogłoby być.

Ten dotyk, ten głos... Przyciągnął ją blisko, tak że czuła na twarzy jego oddech. Tak łatwo byłoby zapomnieć o wszystkim, co ich dzieli. Czy przed chwilą nie powiedziała sobie, że pora skończyć z życiem w pojedynkę?

O nie! Danny jest sprytny i wie, jak ją podejść, ale tym razem nie da się wciągnąć w stare sidła.

- Jesteś na służbie.

- O czwartej będę wolny.

- Przykro mi, Danny, naprawdę. - Odsunęła się od niego. - Nic z tego nie wyjdzie. Zmieniłam się.

- Zmieniłaś się? Chcesz powiedzieć, że nie jesteś już tą złośliwą babą, która na każdym kroku wszystko psuje? - syknął.

Ścisnęła mocniej poręcz, lecz zdała sobie sprawę, że Danny nie jest już nawet w stanie jej obrazić. Poczowała się raczej smutna niż zła.

- Nie, chyba już zawsze będę złośliwą babą, ale za to na pewno nauczyłam się omijać z daleka wariatów i innych palantów, którzy nie potrafią nad sobą panować.

Gdy wbiegała na górę, usłyszała jeszcze z tyłu:

- Taylor! Taylor, ja nie chciałem, słyszysz?!

Vollmer pozwolił rozejść się zebrany, lecz oznajmił, że policja poprosi ich o złożenie zeznań, gdy tylko uda się zidentyfikować ciało. Veda oświadczyła, że zostanie odbierać telefony, a pozostali umówili się na piątą u Maxa w domu.

- Chodźmy gdzieś na porządne śniadanie - rzekła Taylor do Nicka. - Dalej umieram z głodu.

Na schodach minęli policjanta, który przyszedł z Vollmerem. Taylor znała go z widzenia i wiedziała, że nazywa się Harrison. Pozdrowiła go, lecz nie odpowiedział, tylko stojąc na stopniu

przyglądał się, jak znikają z Nickiem za drzwiami. Gdy wyszli na dwór, podszedł do nich wysoki mężczyzna.

- Chciałbym z panem porozmawiać - zwrócił się do Nicka, wyciągając z kieszeni dzinsów dyktafon.

- Nie mamy czasu. - Taylor zaczęła biec i pociągnęła Nicka za sobą, wciskając mu do ręki kluczyki. - Weźmiemy mój samochód.

Gdy siedzieli już w środku, reporter zastukał w okno.

- Tylko kilka zdań! Nie zwracając na niego uwagi, Nick włączył silnik i ruszył.

Dopiero wtedy powiedział:

- I tak prędzej czy później będę musiał im coś powiedzieć.

- Niby dlaczego? Niech Danny ich informuje. To dla niego chleb powszedni.

- Hm. Dokąd na to śniadanie?

- Ile czasu potrzeba, żeby dojechać do Oxfordu?

- Możemy tam być w godzinę, jeżeli ma pani sprawny wykrywacz radarów. Tylko uprzedzam, że na lunch już nie dam się wyciągnąć, bo jeżeli zechce pani jechać do Paryża...

Taylor zachichotała.

- Na razie chciałabym włamać się do domu Eberhardtów, zanim Danny zdąży zidentyfikować ciało.

- To chyba będzie nielegalne.

- Tylko jeżeli pozwolimy się złapać. Zresztą może pan zostać w samochodzie i ostrzec mnie, jeżeli zjawią się gliny.

- Co to, to nie. Wejdziemy razem.

Głos Kendalla zabrzmiał równie despotycznie co głos Danny'ego, ale nie miała mu tego za złe. Danny chciał nią dyrygować, a Kendall - pomagać. Różnica niby niewielka, ale istotna.

- Vollmer myśli, że ja to zrobiłem, prawda? - zapytał, gdy przejechali most na Missisipi.

- Tak. Miał pan czas i odpowiednie narzędzia. Kiedy ją zidentyfikują, dojdą do wniosku, że miał pan również powody.

- Pomyślą, że szantażowała mnie w sprawie tych koni?

- Albo w sprawie śmierci męża czy coś w tym stylu. Danny nie ma nic przeciwko temu, żeby to pan okazał się winny.

- Danny panią kocha - powiedział, patrząc na nią.

- Nie kocha. - Zaczerwieniła się. - Byliśmy z sobą przez jakiś czas, ale ta historia jest skończona od wielu miesięcy.

- Widocznie nie dla niego.

- Ale dla mnie - zachnęła się. Nie wiedziała, na ile powinna wprowadzać Nicka w swoje sekrety, uznała jednak, że skoro Danny ma zamiar go aresztować, należą mu się przynajmniej pewne wyjaśnienia. - Mój mąż, Paul, zginął w strzelaninie na parkingu. Danny i jego współpracownik, Harrison, zajmowali się tą sprawą i w końcu ujeli winnych. Ja potrzebowałam pociechy, a on był przystojny.

- Co w takim razie się popsuło?

- Chciał mną rządzić, a mną nie można rządzić, przynajmniej już nie teraz.

Taylor bardziej poczuła, niż zobaczyła, że Nick oderwał na moment wzrok od drogi i uważnie się jej przyjrzał.

- Czego będziemy szukać w Oxfordzie? - zapytał po chwili.

- Musimy znaleźć jakieś zapiski czy rachunki dotyczące przynajmniej części skradzionych rzeźb.

- Sądzi pani, że ich złodziej jest jednocześnie mordercą Clary Eberhardt?

- A pan tak nie myśli? Niewykluczone nawet, że zabił samego Eberhardta i spalił ten jego sklep czy, jak kto woli, galerię.

- Taaak. - Nick ścisnął kierownicę tak mocno, że jego palce zrobiły się całkiem białe. - Możliwe, że to nie Eberhardt podłożył ogień, nie będę upierał się przy swojej teorii. Wszystko mi jedno. Naprawdę ważne jest dla mnie to, żeby ocalić Rounders i swoje dobre imię.

Taylor milczała, bo cóż mogła dodać. Nick przypominał jej trochę Mela Bormana, tyle że Mel na pewno jest większym realistą. Nick zachowuje się jak Don Kichot - nie ma przecież obowiązku obiecywać Marleyowi zwrotu pieniędzy za konika. Przysięgła sobie, że zrobi wszystko, by nie musiał cierpieć z powodu swej szlachetności.

W życiu spotkała właściwie niewielu ludzi kierujących się szczytnymi zasadami. Jeden wuj Mark starał się nauczyć ją, czym jest etyka i moralność, ale już rodzony ojciec na pewno nie był przykładem do naśladowania. Gdy inwestował w nieruchomości lub w inne interesy, nigdy nie cofał się przed rzeczami, które były z gruntu nieuczciwe, choć formalnie uchodziły za legalne. Był twardy, bezwzględny, często również gwałtowny, zwłaszcza po alkoholu. Kiedyś zbił ją i brata tak mocno, że gdyby ktoś na niego doniósł,

miałby spore kłopoty. Nikt tego jednak nie zrobił, a Bradley, gdy dorósł, odziedziczył wszystkie przywary ojca. Nic dziwnego, że spieszo jej było opuścić rodzinny dom. To dlatego tak chętnie uwierzyła, że Paul jest dzielnym rycerzem, który zjawił się, by ją wyzwolić. Niestety, okazało się, że ma jeszcze gorszy charakter od mężczyzn z jej rodziny.

Dziesięć minut później stanęli przed domem Eberhardtów. Był to duży, otoczony drzewami budynek z lat trzydziestych, naśladujący stylem stare angielskie domy z epoki Tudorów. Znajdował się niedaleko od drogi wiodącej do Rowan Oaks, gdzie mieści się dom pisarza Williama Faulknera.

Taylor poprosiła Nicka, by nie zatrzymywał się przed samym wejściem, lecz pojechał nieco dalej.

- Co teraz? - zapytał, wyłączwszy silnik.

- Najpierw zadzwonimy do drzwi. W domu może być ktoś z rodziny czy przyjaciół, kto zaniepokoił się nieobecnością Clary.

- I co powiemy, jeżeli rzeczywiście ktoś otworzy?

- Że szukamy rzeźb z karuzeli. Nic nie wiemy o zabójstwie. - Wyjęła z torebki przedmiot przypominający latarkę, zakończony z jednej strony czymś w rodzaju klucza. Widząc pytające spojrzenie Nicka, dodała: - Mel usiłował nauczyć mnie, jak otwierać zamki wytrychem. Okazałam się niezbyt pojętna, więc kupił mi to urządzenie. Działa na baterie. Bardzo poręczne.

Włożyła cienkie, skórzane rękawiczki zapinane z przodu na zatrask, jakich często używają kierowcy, zaś Nickowi podała nową parę rękawic chirurgicznych, które wyjęła ze schowka.

- Jakie kary przewiduje prawo stanowe za wtargnięcie do cudzego domu? - zapytał, naciągając je ostrożnie na dłonie.

- Nie będziemy się włamywać, tylko wejdziemy. A poza tym nie damy się złapać - oznajmiła i wysiadła z samochodu.

Zbliżyli się do drzwi wejściowych. Taylor nacisnęła dzwonek. Przez dłuższą chwilę nikt nie odpowiadał. Po kilku minutach włożyła do zamka końcówkę swego tajemniczego przyrządu, trzymając jednocześnie drugą rękę na klamce. Klamka szybko odskoczyła i drzwi otworzyły się bezgłośnie.

- Czy ktoś tu jest? - zawołała, gdy znaleźli się w holu. Ponieważ w dalszym ciągu nikt się nie odzywał, weszła do salonu. Nick, który został z tyłu, usłyszał jej okrzyk: - A to numer!

Natychmiast znalazł się przy niej. Stała z rozłożonymi rękami, pokazując potłuczoną porcelanę, której kawałki walały się na orientalnych kobiercach, i poszarpane książki. Pokój wyglądał, jakby przeszła przez niego trąba powietrzna. Meble miały wyrwaną tapicerkę, wszędzie walał się puch z wypatroszonych poduszek.

- To zrobili wandale. Chodziło im nie tylko o to, żeby przeszukać mieszkanie, ale też o to, żeby zniszczyć, co się da - stwierdziła z przygnębieniem, patrząc na antyczne biurczko o połamanych nogach.

Przeszła do jadalni, a stamtąd do kuchni. Na podłodze leżały porozbijane słoiki z melasą i konfiturami, wszędzie rozsypany był

cukier. W powietrzu unosił się nieprzyjemny zapach fermentującego jedzenia.

Nick stanął w drzwiach, trzymając w dłoni srebrny przedmiot. Była to pokrywka oderwana od dzbanka do herbaty.

- Chyba nie znaleźli tego, czego szukali - powiedział, odkładając ją na stół. - Nie mogę na to patrzeć. To wszystko jest okropne, chore, przerażające.

Eberhardtowie mieli piękne rzeczy i najwyraźniej ktoś ich za to nienawidził. Więcej dowodów tej nienawiści Taylor i Nick znaleźli na piętrze domu. Obydwoje byli wstrząśnięci.

- Dosyć. Nic tu po nas - stwierdził po tym, jak spędzili kolejne dziesięć minut na oglądaniu zniszczeń. Ponieważ Taylor milczała, chwycił ją za ramię. - Chodźmy stąd, w tej chwili!

Prawie siłą wyciągnął ją z domu i wepchnął do samochodu, po czym energicznie i ze złością wcisnął pedał gazu. Gdy dojeżdżali do najbliższego skrzyżowania, zamiast wrócić drogą, którą przyjechali, skręcił w prawo, w stronę pobliskiej dzielnicy willowej.

Gdy usłyszeli dźwięk syren, Taylor się obejrzała. Pod domem Eberhardtów zatrzymał się wóz policyjny.

- Danny już ją zidentyfikował - wyszeptała.

- Wracamy do Memphis - zarządził i dodał gazu.

- Niestety, muszę stwierdzić, że coś jest ze mną nie w porządku - wydusiła, gdy znaleźli się już na autostradzie.

- Źle się pani czuje? - zaniepokoił się. - Mam stanąć?

- Nie, nie o to chodzi. - Pokręciła głową. - Ten wybebeszony dom wstrząsnął mną bardziej niż widok Clary Eberhardt. Moja reakcja jest nienormalna.

Położył jej dłoń na kolanie. W pierwszym odruchu chciała ją odsunąć, ale pomyślała, że całkiem jej z tym przyjemnie.

- Morderstwo wydaje się czymś nierzeczywistym, natomiast to - wskazał głową w kierunku miasta, które mieli już za plecami - jest namacalne i naprawdę chore.

- A więc nie tylko ja to tak odebrałam - rzekła cicho.

- Albo mamy do czynienia z dwiema osobami: z mordercą oraz wariatem, który dostał się do domu i wszystko poniszczył, albo to właśnie morderca czegoś szukał. W takim razie należałoby przypuszczać, że buszował tam ostatniej nocy, w czasie, gdy my zabawialiśmy pani kolegę [Vollmera](#).

- I co, wściekł się, bo niczego nie znalazł?

- To mi raczej wygląda na osobiste porachunki. Te połamane stołowe nogi...

Taylor uśmiechnęła się. Zniszczone drewno zrobiło na nim większe wrażenie niż roztrzaskane kryształy i porcelana.

- Zastanówmy się, czego szukał - albo szukała, bo przecież niewykluczone, że to kobieta.

- Rzeczywiście, niewykluczone - przyznał. - Ktokolwiek to był, mógł szukać dowodów, które wskazywałyby na jego związek z Eberhardtem i z kradzieżą moich rzeźb.

- Szkoda, że nie udało nam się pozaglądać w różne miejsca. Dzięki Melowi znam skrytki, które czasem nawet policja może przeoczyć.

- Ostatnia rzecz, jakiej bym sobie życzył, to być złapanym przez policję w tym domu.

- Na pewno nie mieliby podstaw, żeby oskarżyć pana o te zniszczenia. Dziś byliśmy razem, a wydział zabójstw przesłuchiwał pana wczoraj do drugiej w nocy. - Dopiero gdy skończyła, dotarło do niej, co to mogło znaczyć.

- Otóż to. Po przesłuchaniu mogłem w godzinę dojechać do Oxfordu, zdemolować dom, wrócić i jeszcze zostałyby mi trochę czasu do spotkania z panią.

- Też prawda - przyznała ponuro. - Wie pan, gdzie Eberhardt miał tę swoją galerię?

Potwierdził skinieniem głowy.

- Moglibyśmy tam pojechać? To pewnie niewiele da, ale jeżeli już tu jesteśmy, szkoda byłoby nie skorzystać z okazji.

Zmienił pas i zjechał z autostrady. Taylor spodziewała się, że zawrócą w stronę centrum, lecz Nick wiozł ją kilka kilometrów obrzeżami miasta, zanim skręcił w lewo, koło dużego, przysadzistego pawilonu.

Był to typowy budynek z metalu, szkła i tworzyw sztucznych, jakich tysiące wypełniają podmiejskie okolice, mieszcząc sklepy, biura i punkty sprzedaży samochodów. Część widoczna od strony drogi nie wyglądała na bardzo zniszczoną, ale gdy zajechali na

parking, zobaczyli, że cała tylna ściana stopiła się i powyginała, jakby była z wosku.

- W gazecie napisali, że ciało Eberhardta leżało na zapleczu, w miejscu, gdzie robił renowację antyków przeznaczonych na sprzedaż - wyjaśnił Nick, wysiadając z auta.

Jakiś mężczyzna ukazał się we frontowych drzwiach i podszedł do nich, wycierając ręce w brudną szmatę. Twarz miał umazaną w sadzy, która pokrywała również jego dzinsy i podkoszulek opięty na okrągłym jak piłka brzuchu. Był niższy i młodszy od Nicka, ale za to o wiele grubszy.

- Zamknięte, koleś, nie widać? - Uniósł ramię w stronę pawilonu.

Nicka i Taylor owionął przykry zapach potu i spalenizny. Taylor wstrzymała na chwilę oddech i jakby nigdy nic podała mężczyźnie wizytówkę z napisem: Wendy Wright. Kupno - - sprzedaż antyków. Wziął ją w grube łapsko, po czym zaczął bezczelnie mierzyć Taylor od stóp do głów, szczerząc w obrzydliwym uśmiechu krzywe, żółte zęby.

- Jestem Wendy Wright - zaszcebiotała - a pan, jeśli mogę wiedzieć...?

- Eugene Lewis. Usłyszała, że stojący nieco za nią Nick westchnął ciężko.

Nie zważając na niego, brnęła dalej, siląc się na promienny uśmiech:

- Jestem zainteresowana rzeźbionymi w drewnie zwierzętami z karuzeli, panie Lewis. Jeden z przyjaciół skierował mnie tutaj,

mówiąc, że pan mógłby mi poradzić, gdzie znajdę jakieś ciekawe obiekty.

- Nie wiem, kto to pani powiedział. Nie mamy żadnych zwierząt ani żadnych karuzel i nigdy nie mieliśmy. Mówiłem już, że sklep jest zamknięty, nie?

- A kiedy będzie otwarty?

- A kto mówi, że będzie otwarty?

- Posłuchaj, przyjacielu - włączył się Nick. - Znam kogoś, kto mniej niż miesiąc temu kupił tu rzeźbę, o jaką pytamy, i wiem, że macie ich więcej, więc proszę, żebyś odpowiedział tej pani.

- Tu nie ma nic do odpowiadania. A teraz zabierajcie się stąd albo zadzwonię po szeryfa.

- Po co nam szeryf! - Taylor usiłowała załagodzić sytuację. - A przy okazji, kim pan jest? Właścicielem?

- To nie pani sprawa, ale pracuję tutaj. Ratuje, co się da, ale nie znalazłem żadnych zwierząt, ani żywych, ani martwych. - Zarechotał, jakby udał mu się świetny dowcip.

Taylor poczuła, że Nick traci już cierpliwość i mogą zacząć się kłopoty. Odwróciła się do niego.

- Chodź, kochanie, pozwólmy panu pracować - zaświergotała, a gdy nie ruszył się z miejsca, pociągnęła go energicznie za rękaw. - Chodźmy, zanim pan Lewis będzie miał towarzystwo - skończyła szeptem.

- Co za gnojek! - sarknął Nick, siadając za kierownicą.

- Nie przeczę. Widziałeś jego buty? - zapytała. Skoro przed chwilą mówiła do niego „kochanie” i tyle już razem przeżyli, uznała, że wygodniej będzie przejść na „ty”.

- Nie. Dlaczego?

- Nasz pan Lewis nosi wysokie buty z metalowymi nosami. Myślę, że miał dobrą zabawę, gdy rozdeptywał porcelanę i kryształy. Pozostaje pytanie, czy równie zabawne jest dla niego zabijanie eleganckich pań w średnim wieku.

Rozdział 5

- Dzień dobry, mamó. Przepraszam za spóźnienie. - Taylor sama przysunęła sobie krzesło, nie czekając, aż zrobi to kelner. Zdjęła z ramienia torbę i położyła ją na podłodze. Dawniej zostawiłaby torbę w samochodzie, ale pamiętała niedawne utyskiwania matki na to, że parking przy jej ulubionym klubie nie jest już miejscem tak bezpiecznym jak kiedyś.

- Ładnie wyglądasz - rzekła matka. - Bardzo twarzowa ta szminka.

Uśmiechnęła się. Niewiele by zyskała wyznaniem, że umalowała się po to, by oszukać strażnika na parkingu przy hotelu Windwick.

- Gdybyś tak zapuściła trochę włosy i nakręciła je na wałki... - Irene wyciągnęła dłoń o starannie umalowanych paznokciach, by dotknąć włosów córki.

Taylor gwałtownie odchyliła głowę, jakby broniąc się przed ukąszeniem węża.

- Jestem zadowolona ze swoich włosów, ze swoich ciuchów, ze swojej pracy, ze swojego życia! - wycedziła.

- Dlaczego wszystko odbierasz jako atak? Ja tylko usiłuję ci pomóc. Kiedyś byłaś taka atrakcyjna... Nie masz już dwudziestu lat, ale ciągle jesteś młoda, mogłabyś jeszcze urodzić dziecko. Gdybyś się postarała, ręczę, że żaden mężczyzna by ci się nie oparł. W końcu Paul też dał ci się złapać. - Ugryzła się w język. - Och, kochanie, przepraszam. Nie chciałam rozgrzebywać starych ran. Wybacz starej, niemądrej matce.

- Mamo, skończyłaś zaledwie sześćdziesiąt lat, twój iloraz inteligencji jest znacznie wyższy od przeciętnej, a zachowujesz się tak, jakbyś była zupełnie z innej epoki.

Matka nie zdążyła z ripostą, bo ktoś stanął przy ich stoliku.

- Irene, kochanie, całe wieki cię nie widziałam. I ciebie, Taylor. Jak się cieszę, że was spotykam.

Taylor była przygotowana na to, że będzie musiała zjeść lunch w towarzystwie kogoś, kogo matka uznała za idealnego kandydata na zięcia. Pomyliła się - matka sprowadziła CeCe Washburn, właścicielkę nowo otwartej galerii antyków. Oczywiście po to, by zasugerować córce lepsze zajęcie niż praca dla Mela Bormana.

Ku zadowoleniu Taylor podstęp mógł tym razem okazać się nadspodziewanie pożyteczny.

- I ja bardzo się cieszę - powitała CeCe tak radośnie, jakby nic nie mogło jej sprawić większej frajdy. - Usiądź, proszę. Jeszcze niczego nie zamówiłyśmy. Masz może ochotę na koktajl albo na lampkę wina?

Kątem oka złapała zdziwione spojrzenie matki. Ponieważ nieuzasadniony entuzjizm Taylor wcale nie malał, to zdziwienie stopniowo zmieniało się w nieufność.

Czterdzieści pięć minut później CeCe kończyła już czwartą margaritę i dłubała widelcem w resztkach sałaty z nadzieją, że trafi się jej jeszcze chociaż kawałek krewetki. Sącząc mrożoną herbatę, Taylor zastanawiała się, jak to możliwe, by ani alkohol, ani kalorie, których

CeCe sobie nie żałowała, nie pozostawiała na jej kościstej twarzy najmniejszego śladu.

- Więc jak widzisz, kochanie, naprawdę potrzeba mi kogoś do zarządzania nową galerią. Ponieważ masz dyplom projektanta wnętrz, w naturalny sposób przyszedł mi do głowy - mówiła CeCe, kiwając na kelnera. Chwilę potem stała przed nią piąta z kolei margarita, podana jak należy, z cytryną i solą.

- Przykro mi, ale mam już pracę. Przysłuchująca się rozmowie Irene westchnęła ciężko.

- Dzięki CeCe miałabyś kontakt ze wspaniałymi ludźmi - powiedziała.

- Bo teraz spotykam same szumowiny, prawda? - odrzekła ostro Taylor, po czym pochyliła się w stronę matki i syknęła:

- Zdziwiłabyś się, gdyby ktoś ci powiedział, ile takich szumowin siedzi teraz w tej sali.

Irene zaczęła rozglądać się niespokojnie, natomiast Taylor usiadła prosto i uśmiechnęła się. CeCe nic nie zrozumiała z szybkiej wymiany słów, była bowiem zbyt zajęta zlizywaniem soli z krawędzi kieliszka.

- CeCe, czy spotkałaś się może kiedyś z kimś o nazwisku Eberhardt?

CeCe znieruchomiała na moment, po czym pociągnęła łyk.

- To straszna historia - stwierdziła, odstawiając kieliszek.

- Oczywiście nigdy nie robiłam z tym człowiekiem żadnych interesów.

- Miał niezbyt dobrą opinię, co? - podsunęła Taylor.

- To. był oszust, moja droga. Śrubował ceny i sprzedawał dziewiętnastowieczne kopie jako osiemnastowieczne angielskie oryginały. Poza tym zamawiał też współczesne kopie i je „postarzał”. Kiedy przychodził do niego klient, który na przykład wymarzył sobie określony model stołu, Eberhardt jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki potrafił w krótkim czasie znaleźć dla niego taki antyk.

- Czy fałszował też świadectwa pochodzenia? CeCe znowu nie potrafiła od razu odpowiedzieć. Poruszyła się niespokojnie i zaczęła obracać ciężką bransoletę ze złota, która zdobiła jej prawy nadgarstek.

- Możliwe. Ludzie robią najdziwniejsze rzeczy. Taylor sama nie wiedziała, jak zdobyła się na to, żeby zadać następne pytanie.

- A może pracowałaś kiedyś ze stolarzem o nazwisku Kendall? On już nie żyje.

CeCe zamrugła nerwowo powiekami i wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Ooo, to był najprawdziwszy geniusz! - Rozejrzała się po sali i zniżyła głos. - Nikomu bym tego nie powiedziała, Taylor, ale ponieważ może będziemy z sobą pracowały... Stary Kendall wiedział o meblach dosłownie wszystko. Potrafił tak postarzyć kawałek mahoni, że dałabyś sobie rękę uciąć, że już dwieście lat temu żarły go korniki. Oczywiście, dla mnie niczego nie fałszował, ale sama rozumiesz, że kiedy robi się renowację mebla, trzeba uzupełnić brakujące czy bardzo zniszczone elementy i dostosować je do reszty.

- Naturalnie. - Taylor z uśmiechem przyjęła to tłumaczenie. - Lubiłaś go?

- Co za dziwne pytanie. - Gdy CeCe podniosła do ust kieliszek, w świetle zamigotał czterokaratowy diament na jej palcu. - Jeśli mam być szczerą, nie cierpiałam tego starego pierdziela.

Taylor stłumiła śmiech, widząc zgorszona minę matki.

- Nicholas Kendall miał wnuka. Poznałaś go może kiedyś?

- Jego wnuka? Kochana! - CeCe uderzyła się w dekolt tak mocno, że Taylor przestraszyła się, czy nie połamie sobie kości.

- Gdybym była pięć, no może dziesięć lat młodsza, kupiłabym mu całą szafę ubrań od Armaniego - na później, bo wcześniej przykułabym go łańcuchem do łóżka i uwolniła dopiero wtedy, gdy żadne z nas nie mogłoby się już ruszać.

Tym razem Taylor nie patrzyła już na matkę, tylko serdecznie się roześmiała.

- Uhu, chyba się ululałam... - CeCe poczuła wreszcie efekt wypitych drinków. Rozejrzała się nieco awanturniczo w poszukiwaniu kelnera. - Gdzie się podział ten Armand? Jest! Armandzie, proszę zadzwonić do galerii i poprosić Felixa, żeby po mnie przyjechał.

Usiłowała się podnieść, ale bez powodzenia. Kelner oraz Taylor musieli jej pomóc.

- Spróbuję doprowadzić się trochę do porządku, zanim przyjedzie Felix. Irene, dziękuję za lunch - wymamrotała i niepewnym krokiem ruszyła w stronę toalety.

Taylor szła krok za nią, gotowa ją podtrzymać, gdyby się potknęła. Gdy wróciła do stolika, musiała przygryzać wargi, żeby się nie śmiać, matka natomiast była oburzona.

- Coś ty z nią zrobiła, Taylor! Tak jej zawracałaś głowę, że biedaczka w ogóle nie zauważyła, ile wypła. To będzie twoja wina, jeżeli narobi bałaganu w toalecie.

- Nic już na to nie poradzę. Irene najwyraźniej nie mieściło się w głowie, że obwieszona

złotem i diamentami kobieta może wyrażać się jak furman i pić bez umiaru. Taylor była jednak tak ubawiona całą sytuacją, że nie miała ochoty polemizować z matką.

- Dziękuję za lunch - powiedziała, sięgając po torbę. - Naprawdę. To było bardzo pouczające i bardzo zabawne, ale teraz muszę już wracać do pracy.

- Taysie, nie idź jeszcze. Przecież nie zdążyliśmy porozmawiać. W ogóle nie wiem, co się z tobą dzieje.

Przez moment Taylor czuła pokusę, by usiąść z powrotem i uraczyć starszą panią barwną opowieścią o jakiejś krwawej jatce i o nocach spędzanych na tropieniu złoczyńców. Pomyślała jednak, że nie będzie robić tak okrutnych żartów. Nachyliła się, ucałowała ją w policzek i nawet uścisnęła.

- Bardzo cię kocham, mamó. I nie martw się, bo u mnie wszystko w porządku. Zadzwoń do ciebie, obiecuję.

Wychodząc, poczuła się bardzo smutna. Dlaczego najbliżsi krewni są dla siebie tak nietolerancyjni? Zawsze próbowała przyjmować matkę i brata takimi, jacy są, natomiast oni nigdy nie zrobili najmniejszego wysiłku, by ją zaakceptować. Gdy stanęła w drzwiach, odwróciła się ponownie. Matka siedziała ciągle przy swoim

stoliku i patrzyła na nią oczami pełnymi łez. Taylor pomachała jej, myśląc o tym, jak wielkie musi być jej rozczarowanie.

Teraz już rozumiała, dlaczego Nickowi tak bardzo zależy na dobrej opinii. Jego dziadek był wspaniałym, lecz niezbyt uczciwym fachowcem, a on nie chciał, by o nim mówiono tak samo. A swoją drogą trzeba będzie dowiedzieć się czegoś więcej o Kendallu seniorze.

- Wcześniej przychodzisz - zauważył Max.

- Chciałem z tobą pogadać, zanim przyjdzie Josh. Ze swobodą zrodzoną z wieloletniej przyjaźni Nick wszedł do salonu i bez pytania zasiadł w białym fotelu z rattanu. Max zajął miejsce na kanapce stojącej naprzeciwko.

- Napijesz się piwa?

- Może później. - Nick przejechał ręką po twarzy. - Vollmer podejrzewa, że to ja zabiłem tę kobietę.

- Ale ty tego nie zrobiłeś, prawda?

- Pewnie, że nie. Do dziś rana nie wiedziałem nawet, kim ona jest.

- Do dziś rana? - Max chwycił go za słowo. - O ile wiem, policja jeszcze jej nie zidentyfikowała.

- To długa historia. Na pewno powiedzą o tym wieczorem w wiadomościach lokalnych. W każdym razie ta kobieta to Clara Eberhardt, żona Helmuta.

Nick spodziewał się, że Max okaże zdziwienie, może zaskoczenie, tymczasem ten zerwał się na równe nogi i zawołał:

- Clara Eberhardt? Clara Fields - Eberhardt?!

- Tak. - Nick zmierzył go wzrokiem. - A ty skąd znasz jej panieńskie nazwisko?

Max ciężko opadł na kanapę.

- Kiedy w zeszłym tygodniu poprosiłeś, żebym sprawdził Eberhardta, dowiedziałem się, że jego żona to Clara Fields.

- No i co?

- Na początku lat siedemdziesiątych prowadziłem w Ole Miss zajęcia z obrony cywilnej. Ona była tam wtedy studentką. Sypialiśmy z sobą.

- Ooo! - jęknął Nick. Po chwili spojrzał badawczo na Maxa. - W takim razie dlaczego nie rozpoznałeś jej na zdjęciu?

- W tamtych czasach miała rude włosy do połowy pleców, grzywkę sięgającą nosa i pełno koralików na głowie. Wyglądała jak hipiska, chociaż ten cały ruch już się wtedy kończył. Poza tym była tłuściutka - ważyła jakieś dziesięć kilo za dużo. W pewnym momencie rozstaliśmy się i nie słyszałem o niej - aż do zeszłego tygodnia. Wszystko wskazuje na to, że gdy wyszła za Eberhardta, schudła i przeistoczyła się w stateczną damę.

- Wydawało mi się, że kiedy byłeś w Ole Miss, miałeś żonę.

- Clara to jeden z powodów, dla których ją straciłem. Kiedy wróciłem z Wietnamu, spałem z każdą kobietą, którą udało mi się zaciągnąć do łóżka. Sarah starała się przymykać oczy na tę „terapię”, którą leczyłem powojenną depresję, ale w pewnym momencie jej cierpliwość się wyczerpała. Zabrała Michaela, przeprowadziła się do Kalifornii i wystąpiła o rozwód.

A więc jednak istnieją powiązania między Eberhardtem i Rounders... Przez cały tydzień, który minął od momentu, gdy Nick odkrył, że jest ofiarą kradzieży, wydawało mu się to niemożliwe.

Wiedział, że Max nigdy nie pogodził się z utratą rodziny, a zwłaszcza syna. Czy możliwe, by po tylu latach spotkał dawną kochankę i ją zabił? Co do tego, że jego przyjaciel ma „techniczne” umiejętności potrzebne do zabicia człowieka, Nick nie żywił żadnych wątpliwości - dwadzieścia pięć lat był oficerem artylerii, przeszedł wojnę w Wietnamie, w końcu awansował na pułkownika. Max nieraz podkreślał w dyskusjach, że wojsko zrobiło z niego pacyfistę, ale czy to prawda? Może gdyby z jakichś powodów uznał, że Clara Eberhardt stanowi dla niego bezpośrednie zagrożenie, nie cofnąłby się przed ostatecznością? W końcu kilkadziesiąt lat kontaktu ze zorganizowaną przemocą robi swoje...

- Muszę się napić piwa - powiedział Nick.

- Ja też. Nick patrzył, jak Max idzie w stronę kuchni. Przekroczył już sześćdziesiątkę, ale trzymał się prosto i miał sylwetkę młodego człowieka. Był muskularny, wysportowany. Gdyby zabił Clare, z łatwością mógł ją podnieść, owinać w tkaninę i ułożyć w dowolnej pozycji.

Wzdrygnął się na myśl, że zaczyna traktować najbliższego przyjaciela jak Kubę Rozpruwacza. Wziął od Maxa, który właśnie wrócił, butelkę dobrze schłodzonego piwa.

- Powiesz glinom, że ją znałeś? - zapytał.

- Tylko jeżeli będę musiał. Po co ściągać sobie na głowę kłopoty.

- Ja muszę jednak powiedzieć o tym Taylor.

- No pewnie! Przecież musisz się jej pożalić - mruknął pod nosem Max.

- Pożalić się? - Nick omal się nie zakrztusił. - O co ci chodzi?

Max z brzękiem postawił piwo na niskim stoliku, który dzielił go od Nicka, i zaczął rozmazywać palcem kropelki wody spływające po butelce.

- Dobrze, już dobrze - powiedział, ale gdy podniósł wzrok, nie potrafił ukryć złości. Po chwili dodał: - Czuję się trochę dotknięty... a prawdę mówiąc, nawet wściekły, że wynająłeś tę przemądrzałą babę i nawet nie spytałeś o zdanie Josha ani mnie. Do cholery, w końcu jesteśmy współnikami! Traktujesz nas, jakbyśmy byli powietrzem... albo jakbyś podejrzewał, że to my ukradliśmy te rzeźby!

Nick poczuł się zirytowany. Gniew Maxa zdawał się wymierzony przede wszystkim w Taylor, a to przecież on wynajął agencję detektywistyczną.

- Chciałem skorzystać z pomocy profesjonalisty. W końcu... niemal każda osoba związana z Rounders mogła w tym maczać palce - wybuchnął.

Oczy Maxa zrobiły się wąskie jak szparki.

- Wiem z całą pewnością, że złodziej dobrze zna magazyn i całą firmę. To oznacza, że w kręgu podejrzeń są wszyscy uczniowie, a także my sami. Teraz, kiedy zdarzyły się dwa morderstwa...

- Jak to: dwa? - przerwał mu Max.

- Chyba nie sądzisz, że śmierć Eberhardta to nieszczęśliwy wypadek. Ktoś musiał walnąć starego oszusta w głowę, tak żeby nie wyszedł z pożaru i żeby ja nie mógł z nim porozmawiać. Sam na pewno też doszedłeś do tego wniosku. Jeżeli nie od razu, to śmierć jego żony powinna naprowadzić cię na ten trop. Ja w każdym razie jestem teraz o tym przekonany.

W oczach Maxa znowu zamigotały ogniki gniewu, ale szybko spuścił wzrok na stolik. Wziął piwo i wypił je aż do dna, po czym odstawił starannie butelkę, tak by utrafić w mokry krążek, który utworzył się na blacie.

- Taak - rzekł przeciągle. - Nick, czy ty naprawdę myślisz, że mógłbym zrobić coś takiego? Tobie, firmie, Clarze?

Nick znowu poczuł wyrzuty sumienia. Kolejny raz zaczął się zastanawiać, czy powinien mówić Maxowi o dziesięciodniowym terminie, po upływie którego będzie musiał zdobyć gdzieś trzydzieści pięć tysięcy dolarów dla Pete'a Marleya - jeżeli oczywiście Bormanowi czy Taylor nie uda się wcześniej rozwiązać zagadki. Co do Maxa, aż do tej chwili mógł się spodziewać, że zaproponuje mu pożyczkę.

- Max, musisz zrozumieć, że dopóki złodziej nie zostanie zidentyfikowany, podejrzani są wszyscy. Teraz Vollmer podejrzewa mnie o zabójstwo. Oczywiście gliny nie będą się przejmować jakimiś skradzionymi zwierzakami, ale jestem pewien, że te rzeźby są motywem zbrodni. Albo wszystkie zostały sprzedane - w takim

przypadku muszą istnieć dowody sprzedaży - albo stoją sobie gdzieś i czekają na kupca.

- Spłonęły w pożarze.

- Tak sądzisz?

- To się wydaje najbardziej prawdopodobne. Marley kupił konika w galerii Eberhardta, zgadza się?

- Tak... On twierdzi, że to jedyna rzeźba, jaka tam była. Możliwości są więc takie: albo Eberhardt przetransportował wszystkie zwierzaki do galerii, i wtedy zabójca mógł je tam zniszczyć, albo stoją gdzieś ukryte; albo - trzecia możliwość - zostały już sprzedane. - Nick pochylił się do przodu, opierając łokcie na udach. Chciał zrobić na Maxie wrażenie odprężonego i dzięki temu wprowadzić lepszą atmosferę, jednak przyjaciel nawet na niego nie spojrzał tylko wpatrywał się w żyły na swoich rękach, jakby nagle dojrzał w nich coś ciekawego. Po krótkiej chwili dodał: - Dowody sprzedaży na pewno istnieją, nawet jeżeli rzeźby się spaliły. Eberhardt musiał je przechowywać w bezpiecznym miejscu, ale nie wiem gdzie. W sejfie? W skrytce bankowej? Daję głowę, że się zachowały. Pozostaje nam jak najprędzej je odnaleźć.

- Może policja już do nich dotarła.

- Wątpię - odparł. Miał wielką ochotę opowiedzieć Maxowi, co zastał w domu Eberhardta, ale jakiś wewnętrzny głos ostrzegł go, by zachował to dla siebie.

Obydwaj drgnęli na dźwięk dzwonka u drzwi.

- To Josh - powiedział Max, wstając. Nick podał mu przy okazji pustą butelkę po piwie.

- Nick, czytałeś popołudniówkę? Wiesz, kim jest ta kobieta? To żona Helmuta Eberhardta! - Josh Chessman wykrzyczał to jednym tchem i ciężko usiadł na kanapce.

Za jego plecami Max spojrzał na Nicka i dyskretnie pokręcił głową. Najwyraźniej nie chciał, by Josh dowiedział się o jego związku z Clarą. Potem przez dwadzieścia minut toczyli jałową dyskusję, która nie doprowadziła ich do żadnych wniosków. W końcu Josh spojrzał na zegarek.

- Muszę już iść. Spotykamy się dziś w Amaranthusie na kolacji z Hawkinsem, zastępcą burmistrza, i jego żoną. W grudniu odchodzi na emeryturę i Margery uważa, że mam szansę przejąć po nim stanowisko. Jest wściekła z powodu tego, co się stało. - Zachichotał nerwowo. - Znacie Margery. Wszystko, co „zagroza mojej karierze” - sparodiował snobistyczną, śpiewną wersję południowego akcentu swej żony - traktuje jak osobistą zniewagę.

- Nie ma wątpliwości, że ta kobieta dała się zadźgać w Rounders tylko po to, żeby przeszkodzić twojej karierze - skomentował z wisielczym humorem Max.

- Wiecie przecież - ciągnął autoironicznie Josh - że Margery pozwoliła mi zainwestować w Rounders wyłącznie po to, żeby wzbogacić mój image. Uznała, że mając takie hobby, będę uważany za człowieka z fantazją, a nie tylko za sztywnego naukowca.

- Wszyscy o tym dobrze wiemy, Josh - rzekł Max znużonym głosem.

W nagłym odruchu Josh położył Nickowi rękę na ramieniu.

- Nie martw się, Nick. Jestem pewien, że policja rozwiąże tę zagadkę. Jesteśmy przy tobie. - Nie czekając na odpowiedź, Josh odwrócił się i pobiegł do wyjścia.

- Przy tobie, ale trochę obok. Żeby przypadkiem nie zabrudzić rąk - dodał Max, gdy za Joshem zatrzasnęły się drzwi.

- On naprawdę tak się boi Margery?

- Boi się? On jest nieprzytomny ze strachu. Masz jeszcze ochotę na piwo?

- Nie, dzięki. Chyba wyciągnę harleya. Muszę się trochę przewietrzyć.

- Gdzie chcesz pojechać?

- Nie wiem, gdziekolwiek.

- Skoro tak... - Max otworzył piwo dla siebie. - A propos: czy jesteś pewny, że Rounders stać na usługi pani Hunt?

- Za jej usługi płacę sam Bormanowi! - Nick tym razem rozzłościł się nie na żarty.

- Dobrze już, dobrze. - Max podniósł ręce do góry.

- Taylor chce porozmawiać na temat rzeźb ze wszystkimi, którzy związani są na stałe z Rounders. - Nick wstał, a Max zrobił to samo. - Czy możesz spotkać się z nią jutro rano?

- Jeżeli muszę...

- Dlaczego jesteś do niej tak źle nastawiony?

- Osobiście nie mam jej nic do zarzucenia. Może nawet jest inteligentna i kompetentna. Widzę jednak mały problem: ty najwyraźniej uważasz, że jest atrakcyjna, a to może ściągnąć na nas kłopoty.

- Nie wiem, w jaki sposób. W tej chwili nasze kontakty dotyczą wyłącznie mojego zlecenia. Poza tym w jednej rzeczy ona ma nademną zdecydowaną przewagę.

- Czyżby?

- Tak. Jest bezstronna, nie przepuszcza swoich sądów przez pryzmat przyjaźni.

Max stał na schodach przed domem i patrzył, jak Nick wyprowadza z garażu swojego harleya. Wypolerowany motocykl połyskiwał w świetle późnego popołudnia. Na ramieniu kierownicy wisiał czarny kask z osłoną na twarz. Nick włożył go, nie spuszczając osłony.

- Nie będę już wchodził do ciebie, jak wrócę - powiedział. - Wezmę tylko furgonetkę i pojadę.

- Spróbuję chyba skończyć to, co zostało mi do zrobienia przy kominku. Jeżeli zobaczysz, że się świeci, wejdź.

Nick spojrzał na dom z kolumnami, wielki jak zamczysko. W takim miejscu powinna mieszkać cała rodzina; ludzie powinni przychodzić tu na przyjęcia, spotykać się i bawić. Max snuje się jak duch po tych pustych pokojach...

Opuścił na twarz osłonę kasku i koła motocykla zachrząściły na żwirowej alejce.

W lusterku wstecznym zobaczył Maxa. Stał z rękami w kieszeniach, trochę przygarbiony. Po raz pierwszy w życiu Nick pomyślał, że „odporny na wiek” Max tym razem wygląda na te swoje sześćdziesiąt jeden lat.

Rozdział 6

Zdał sobie sprawę, że jest w dzielnicy, w której mieszka Taylor. Uświadomił sobie zarazem, że musiał podświadomie wybrać ten cel przejażdżki już w momencie, gdy żegnał się z Maxem. Robiło się ciemno, więc włączył reflektor. Dość dobrze znał tę okolicę. Wielokrotnie tędy przejeżdżał, może nawet mijał dom Taylor, ale nie wiedział, że ona tu mieszka.

Miał nadzieję, że jest sama. Straciła męża, ale mogła przecież od tego czasu znaleźć sobie nowego mężczyznę. Może nawet mieszka z Vollmerem? W końcu ma prawo do życia prywatnego i nie powinno go ono w ogóle obchodzić. A jednak go obchodziło, i to bardzo. Nie chciał, żeby miała kochanka, który dzieli z nią noce i dni. Zrobiło mu się gorąco, bo nagle wyobraził sobie, że to on jest tym kochankiem, pieści ją i całuje, a ona patrzy na niego oczami zamglonymi rozkoszą.

Motocykl podskakiwał na nierównej nawierzchni i Nick postanowił skupić się na jeździe, ale jego myśli przeniosły się wkrótce na niedawną rozmowę z Maxem.

Zazwyczaj Max przyjaźnie odnosił się do ludzi, których spotykał pierwszy raz. Nie zdarzyło się, by natychmiast poczuł do kogoś taką antypatię jak do Taylor. To chyba nie jej nieporadność podziałała na niego tak drażniąco. Może to przejaw zazdrości? A może strachu? Czego jednak Max miałby się obawiać?

Jeszcze tydzień temu Nick miał wrażenie, że wie o Maksie wszystko, teraz jednak czuł się tak, jakby przez ostatnią godzinę rozmawiał z całkowicie obcym człowiekiem.

Gdy minął zakręt, zobaczył mały, zielony drogowskaz, który wynurzył się nagle z krzaka kapryfolium. Skręcił w lewo i zwolniwszy, przystawał przy kolejnych skrzynkach pocztowych w poszukiwaniu napisu „Taylor Hunt”. Znalazł go wreszcie obok solidnej, metalowej bramy wspartej na grubych słupach z betonu. Teren, porośnięty różnymi krzewami i drzewami, otoczony był parkanem zakończonym drutem kolczastym. Dom, niewidoczny z drogi, musiał stać w głębi. Nick zdołał dojrzeć tylko wąską, wysypaną żwirem drogę dojazdową, wzdłuż której rosły szpalerem wysokie sosny. Zastanowił się, w jaki sposób goście dają Taylor znać o swoim przybyciu.

Dopiero zbliżywszy się do bramy, dostrzegł wmontowany w lewy słup kosztowny, bezprzewodowy domofon. Widział takie urządzenia u bogatych ludzi w Rivers Edge i Germantown w czasach, gdy trudnił się jeszcze robieniem na zamówienie luksusowych mebli. Przycisnął guzik. Ponieważ nikt nie odpowiedział, spróbował jeszcze raz.

- Słucham? - Głos Taylor zdawał się bardzo odległy.

- To ja, Nick. Chciałbym porozmawiać. Po krótkiej ciszy rozległ się brzęczyk otwierający bramę.

Wrzucił bieg i powoli wjechał na żwirową alejkę. Koła motocykla lekko zapadły się w miejscu, gdzie drogę przecinała wąska struga spływającej z wzniesienia wody. Teraz, po dziesięciu dniach bezdeszczowej pogody, strumyk był prawie wyschnięty.

Spodziewał się, że masywna brama i płot bronią dostępu do jakiejś wielkiej posiadłości, tymczasem odkrył chałupkę, która

wyglądała, jakby sklecono ją ze starej stodoły i materiałów pochodzących z rozbiórki. Nawet w słabym świetle zmierzchu dało się zauważyć, że każde okno ma inny kształt, a dach pokryty jest blachą w co najmniej trzech kolorach. Zabytkowe, rzeźbione w drewnie drzwi wejściowe na pewno pochodzą z jakiegoś klasztoru w Arizonie.

Taylor, ubrana w czarne legginsy i bawełnianą koszulkę, czekała w progu z rękami opartymi na biodrach. Nick pomyślał, że nie każdej kobiecie jest tak dobrze w zwykłym, sportowym stroju. Zgasił silnik i zsiadł z motocykla, ale ciągle trzymał jedną rękę na kierownicy.

- No, no, robi wrażenie - powiedziała Taylor.

- Zupełnie jak ta brama. - Wskazał za siebie. - Spodziewasz się zbrojnego napadu?

- Odziedziczyłam ten dom po wuju. Był zastępcą prokuratora okręgowego. Wstawił tę bramę po tym, jak doprowadził do skazania pewnego faceta i jego wspólnik wdarł się tu, żeby go porwać jako zakładnika. Przynajmniej dzięki temu mam spokój. - Wzruszyła ramionami, po czym wskazała na harleya. - Niezła maszyna.

- Dwa lata składałem ten motor z części. Trzymam go u Maxa w garażu, bo u siebie nie mam miejsca.

- Proszę, wejdź - powiedziała.

Cały dom składał się z jednego dużego pomieszczenia o posadzce ze starych, pociągniętych warstwą lakieru kamiennych płyt. Sufit poprzecinany był ciemnobrązowymi krokwiami, a ze ścian wynurzały się solidne, drewniane belki. W kominku tlił się od niechcenia ogień.

W głębi widoczny był kącik kuchenny, w którym wisiało kilka szafek pomalowanych na czerwono. Po prawej stronie od wejścia drewniane schodki prowadziły na półpiętro spełniające zapewne rolę sypialni. Przestrzeń poniżej była oddzielona od reszty pokoju, i Nick domyślił się, że za przepierzeniem kryje się łazienka. Pod ścianami, wszędzie, gdzie się dało, stały regały z książkami.

Po lewej stronie znajdowała się miniaturowa siłownia - wioślarz, stacjonarny rower, taśma do biegania i kilka ciężarków. Nic dziwnego, że Taylor porusza się tak sprężysto, pomyślał. Dopiero teraz zorientował się, że chyba z powodu jego wizyty przerwała ćwiczenia - jej wilgotne włosy i twarz połyskiwały lekko w strumieniu światła płynącym z wiszącej pod sufitem lampy. Przypomniał sobie stare powiedzenie, którego nauczyła go babcia: mężczyźni się pocą, a kobiety błyszczą.

Taylor rzeczywiście błyszcząca i było jej z tym do twarzy, Wzięła biały ręcznik i wytarła nim policzki i czoło.

- Przepraszam - powiedziała - nie spodziewałam się gości. Zbliżył się do okien w głębi pokoju. Zobaczył tylko drzewa

oddzielające dom od świata niczym zielona ściana; żadnych budynków, świateł, zupełnie jakby mieszkała w głębi lasu. Pomyślał, że Taylor musi lubić samotność. Odwrócił się do niej i dopiero w tym momencie zauważył duże, poślacane lustro, zupełnie nie pasujące do rustykalnego charakteru tego wnętrza. Wisiało obok drzwi do łazienki.

Rozejrzał się i odkrył kolejny fragment mieszkania. W nie oświetlonym w tej chwili rogu stało białe biurko, szafki na

dokumenty, półki i sprzęt elektroniczny: komputer, drukarka laserowa, skaner. Na ekranie komputera machała właśnie płetwą kolorowa rybka.

- Masz tu też biuro?

- Nie, zazwyczaj pracuję u Mela, a tutaj tylko wtedy, gdy muszę. Mogę połączyć się z nim modemem. To wszystko przydaje się, zwłaszcza zimą. Widziałeś, że za bramą droga schodzi w dół, a potem jest ostry podjazd? Jeżeli wzgórze jest oblodzone albo spadnie dużo śniegu, staram się nie używać samochodu, bo ciężko się stąd wydostać, nawet z napędem na cztery koła.

Podeszła do starego fotela ze skóry. W pobliżu stała równie sfatygowana kanapa. Wszystkie znajdujące się w tej części pomieszczenia meble - stolik do kawy, krzesła, a nawet duży stół wyglądały tak, jakby ktoś powyciągał je ze strychu.

- Usiądź - zaprosiła go. - Mieliliśmy o czymś porozmawiać.

- Już za długo siedziałem, wolę rozprostować kości. - Uśmiechnął się boleściwie. - Harley to chyba najbardziej niewygodny motocykl na świecie. Ale taka jego uroda.

- Jak sobie życzysz - powiedziała, sadwiąc się w fotelu. Wyciągnęła nogi i oparła je na stoliku do kawy.

Z wyjątkiem lustra pokój urządzony był całkiem „po męsku” i nie przypominał pełnych bibelotów buduarów, jakie znał. Ale Taylor bynajmniej nie brakowało kobiecości - jego zmysły potwierdzały to aż nadto wyraźnie.

Usłyszał nagle miauknięcie i w porę spojrział w dół - spod jego nóg wystrzeliła w górę niczym z katapulty duża złocista kula, która miękko przywarła do jego piersi. Syjamski kot bez skrupowania i najmniejszej ochoty do składania wyjaśnień wdrapał się mu na ramię i bezceremonialnie wsadził nos do jego ucha.

- To Elmo - rzekła Taylor tonem, który wskazywał, że nie widzi w nonszalanckim zachowaniu kota niczego dziwnego.

Nick zatoczył ramieniem łuk i dosięgając Elma zza pleców, podrapał go delikatnie za uchem.

- Jak się masz, Elmo? - przywitał się. Złota kula mruknęła coś w odpowiedzi i przeskoczyła miękko na blat kuchenny.

- Mnie na razie nie chce się pić, ale chętnie poczęstuję cię tomkiem - powiedziała Taylor.

Podziękował ruchem głowy.

- Przepraszam za nie zapowiedzianą wizytę. Prawdę mówiąc, sam nie wiedziałem, że ją złożę - aż do chwili, gdy stwierdziłem, że jadę drogą, przy której mieszkasz.

Po raz pierwszy Taylor uśmiechnęła się. Najwyraźniej poparcie udzielone Nickowi przez Elma okazało się poręczeniem najwyższej jakości.

- Max sypiał kiedyś z Clarą Fields - rzucił bez dalszych ceregieli.

Taylor pochyliła się do przodu i wstrzymała oddech. Niemal słowo w słowo powtórzył jej wszystko, czego się dowiedział.

- Tyle o Maksie - zakończył. - On nie chce, żeby policja dowiedziała się o tym.

- Nie dziwię się. - Siedziała przez chwilę zamyślona. - Czy nie mówiłeś mi wcześniej, że Josh Chessman zrobił swój doktorat na Ole Miss?

- Tam spotkał Margery - potwierdził. - Była przewodniczącą jakiejś żeńskiej konfraterni czy czegoś w tym rodzaju.

- Więc nie tylko on, ale i Margery mogła znać wtedy Clare?

- Josh nie mówił nic o tym. Dlaczego miałby to ukrywać?

- A czemu nie? Zwłaszcza jeżeli łączyło ich wtedy coś więcej niż zwykła znajomość. - Odchyliła głowę do tyłu i przyłożyła palce do skroni. - To staje się coraz bardziej skomplikowane. Najpierw nie wiedzieliśmy o żadnych powiązaniach między Rounders i Eberhardtem, teraz mamy ich zbyt wiele. Sądzę, że to dobry moment, żeby Mel włączył się do sprawy. - Spojrzała pytająco na Nicka. - Czy ty w ogóle jadłeś coś dzisiaj?

Nim zakończył przeczący ruch głową, rozległ się suchy trzask i wiszące na ścianie lustro rozpadło się na ich oczach w drobne kawałki. Ułamek sekundy później dobiegł ich huk wystrzału.

Nick rzucił się w bok, chwycił Taylor za rękę i pociągnął ją z całej siły za sobą. Gdy przetoczyli się kilkakrotnie po podłodze, zakrył ją swoim ciałem.

- Cholera... - wykrztusił.

- Jesteś ranny? - Zbliżyła dłoń do jego policzka. Na palcach miała jego krew.

- Odłamek lustra musiał mnie skaleczyć.

Oboje dyszeli, a oczy Taylor były szeroko otwarte z przerażenia. To było szalone. Ktoś przed chwilą próbował roztrzaskać mu głowę i być może obserwował ich przez okno, wyczekując tylko stosownej chwili, by jeszcze raz pociągnąć za cyngiel, a tymczasem on skupił się całkowicie na ciepłym zapachu jej skóry, czuł dotyk przyciśniętych do niego piersi i każdy centymetr jej pulsującego kobiecością ciała. Zamknęli oczy. Rozchyliła lekko wargi i objęła go za ramiona. Poczuł, jak bije jej serce i nic już nie było w stanie go powstrzymać. Pochylił głowę...

Nagle ciszę przerwał chrzęst żwiru pod stopami uciekającego człowieka. Taylor cofnęła się i czar prysł. W ułamku sekundy Nick stał na nogach.

- Nie ruszaj się - rzucił rozkazująco.

- Nick, na Boga, zostań! - wykrztusiła półgłosem, próbując jednocześnie chwycić go za rękę.

- Ten drań ucieka.

- Puść go, niech ucieka! Nick wyskoczył jak z procy przez drzwi wejściowe i nisko pochylony przemknął pod osłonę drzew stojących szpalerem wzdłuż alejki. Księżyc, w kilka dni po pełni, jasno oświetlał drogę, lecz jego światło nie docierało pod koronę drzew.

Przekradł się około dziesięciu metrów i zamarł w bezruchu. Spoza drzew nie dochodził żaden odgłos. Niefortunny snajper albo zdążył przedostać się do głównej drogi, albo leżał gdzieś w trawie, czyhając, aż nawinie mu się na łatwy cel. Nick poczuł się nagle bezbronny.

Drzwi domku otworzyły się ponownie i spostrzegł, jak Taylor biegnie pochyłona w jego kierunku. W jej ręku dostrzegł rewolwer. Gdzieś na głównej drodze rozległ się odgłos włączanego silnika samochodu, który nabrał mocy, gdy kierowca gwałtownie wcisnął pedał gazu.

Nick pomknął sprintem w stronę bramy, zdążył już jednak tylko zobaczyć tylne światła pojazdu znikające na zakręcie drogi. Taylor z rewolwerem w jednej i latarką w drugiej ręce dołączyła do niego w chwilę potem.

- Zwariowałaś? On mógł przecież mieć noktowizor.

- Nie miał. Niemal zadygotała ze złości.

- I ty oczywiście o tym wiedziałaś! Jak w takim razie dostał się tutaj?

Nick ujął ją delikatnie za ramię.

- Prosiłem cię przecież, żebyś została w domu. Dlaczego wybiegłaś za mną?

- Bo mam broń, do cholery! Również dlatego, że to ty jesteś moim klientem. - Wysunęła ramię spod jego dłoni. - I przestań mnie uczyć, jak mam wykonywać swoją pracę.

- Dobrze byłoby, gdybyś poza tym pozostała jeszcze przy życiu.

- A ty co? Chciałaś rzucić się na tego faceta z gołymi rękami? Ja nie podejmuję takich mądrych decyzji.

Przez chwilę stali naprzeciw siebie z wściekłymi minami. Wreszcie Nick uśmiechnął się pojednawczo.

- No dobrze, masz rację. Taylor ciągle jeszcze była mocno wzburzona.

- Proponuję, żebyśmy sprawdzili, czy zostawił odciski butów i czy przy drodze zostały ślady opon.

- Mało prawdopodobne. Przez cały tydzień nie spadła ani jedna kropla deszczu.

- Przez ogród płynie mały strumyk. Przecina alejkę dojazdową, musiałeś to zauważyć, bo droga się zapada i zawsze jest tam trochę błota. - Pochyliła się do przodu i położyła dłonie na drżących kolanach. - Myślałam, że mam lepszą kondycję.

- Kondycję masz dobrą, tylko adrenalina ci podskoczyła. - Wyciągnął rękę, ale Taylor wymknęła mu się i podeszła do ogrodzenia po prawej stronie bramy.

- Przeskoczył przez płot, drut na samej górze jest przecięty. O, tu rozdarł sobie ubranie. - Pokazała palcem skrawek materiału. - Zostawimy to dla Mela.

- Dobrze. Chodźmy poszukać śladów w błocie.

Ruszył pierwszy żwirową alejką, ona poszła za nim. Nasłuchiwał każdego jej kroku. Może będzie udawała, że nic się między nimi nie wydarzyło, on jednak tego nie zapomni...

W miejscu przecięcia drogi ze strumykiem rozpoznali ślady opon pick - upa należącego do Taylor, ślad odcisnięty przez harleya i wreszcie - odciski butów. Były wielkie, ze spiczastymi noskami, prawie zupełnie pozbawione obcasów.

- To musiał być ktoś bardzo ciężki. Popatrz, jak głęboko zapadł się w błocie - zauważyła.

- Uhm - potwierdził, kiwając głową.

Wrócili do domu i zamknęli drzwi na zamek. Taylor podeszła do lustra. Czuła się teraz dziwnie spokojna. Spojrzała na rozbite szkło i na otwór w ścianie, kryjący zapewne kulę.

- To też robota dla Mela - mruknęła. Rozejrzała się w poszukiwaniu swojej torby i wrzuciła do niej rewolwer. Usiadła na kanapie.

- Dobrze się czujesz? - zapytał i wyciągnął do niej rękę, ale znów zrobiła unik. Poderwała się na równe nogi i zaczęła chodzić tam i z powrotem, w pewnej odległości od niego.

- Czuję się doskonale - powiedziała wreszcie. Po chwili dodała prowokująco: - Dobrze, przyznaję, że aż do dzisiejszego wieczoru nikt jeszcze do mnie nie strzelał. W końcu jednak jestem otwarta na nowe doświadczenia, więc wszystko jest w porządku, nie?

Najchętniej wziąłby ją w ramiona, przytulił, pogłaskał. Nie żałowałby jej żadnego z gestów, którymi mężczyzna może ukoić niepokój kobiety, cóż, kiedy ona najwyraźniej nie miała zamiaru dopuścić go do siebie...

- To było lustro mojej babci! Jedyna rzecz, jaką wzięłam, kiedy się tu przeprowadzałam. - Obróciła się z impetem w jego stronę. - Cholera, dlaczego ja ciągle się trzęsę?

Nie czekając na pozwolenie, chwycił ją w pół kroku i przyciągnął do siebie. Opierała się przez moment, ale szybko położyła mu głowę

na ramieniu, zupełnie jak bezbronny kotek. Mocno wciągnął zapach jej wilgotnych włosów, które łaskotały go w policzek. Przywarła do niego z całej siły. Musiała czuć jego podniecenie, ale nie cofnęła się. Chciała ukojenia, a on chciał jej. Serce biło mu mocno - z tego też musiała zdawać sobie sprawę. Jego pożądanie rosło z każdą chwilą i nie mógł na to nic poradzić, mimo że moment był nieodpowiedni.

- Przecież ten, kto strzelał, nie wiedział, że tu jesteś - powiedziała, trwając ciągle w tej samej pozycji.

Wsunął palce w jej włosy i pogłaskał delikatnie po karku.

- Chyba że śledził mnie przez całą drogę od Maxa. - Nick zamknął oczy i oparł na chwilę policzek na czubku jej głowy.

- Mieliliśmy wielkie szczęście - szepnęła. - Gdyby nie to lustro... Bandyta strzelał do twojego odbicia.

Podniosła ku niemu twarz. Miała mocno zaciśnięte usta, a jej rozszerzone źrenice wydawały się bardzo ciemne.

Pochylił się powoli, dotknął ustami jej warg i rozsunął je językiem. Usłyszał głębokie westchnienie. Poruszyła biodrami i przyłgnęła jeszcze mocniej. Ale tylko na moment, bo zaraz podniosła ręce i oderwała się od niego.

- Nie mogę. Jesteś moim klientem - oświadczyła i rzuciła się do telefonu. - Dzwonię do Bormana.

- Taylor...

- Nie! - Pokręciła stanowczo głową.

- Może w takim razie najpierw wezwać policję? - zasugerował.

- Mieszkam za miastem, tu zaczyna się las. Powiedzą, że to jakiś pijany kłusownik albo, i to byłoby jeszcze gorsze, zawiadomią Vollmera, a on stwierdzi, że sam to zaaranżowałeś.

Wiedział, że ma rację. Wiedział też, że ten pocałunek sprawił jej taką samą przyjemność jak jemu. Owszem, jeszcze niedawno mogli zginać, ale dreszcz, który między nimi przebiegł, nie był wynikiem strachu lub wspólnie przeżytego szoku, lecz emocji zupełnie innej natury...

Taylor odwróciła się teraz do niego plecami i tylko nieco sztywne ruchy wskazywały na jej wewnętrzne napięcie.

- Mel? - Jej głos zabrzmiał sucho, wręcz urzędowo. Zdawało się nieprawdopodobne, by przed chwilą ta sama osoba była zdolna wydobyć z siebie namiętne westchnienie. - Dobrze by było, gdybyś przyjechał. Ktoś właśnie przestrzelił mi okno. Zdaje się, że mierzył do Nicka Kendalla, który jest u mnie.

Nick usiadł na kanapie, a Elmo natychmiast wpakował mu się na kolana i nadstawił brzusek do głaskania. Taylor ciągle rozmawiała z Bormanem, lecz Nick przestał rozumieć, o czym mówią. Patrzył, jak przesuwa co chwilę ręką po włosach i nieświadomie przybiera najróżniejsze pozy, wyginając się to w prawo, to w lewo, jakby poddawała się pieszczotom, którymi ją w wyobraźni obdarzał.

Jest namiętna i czuła, to oczywiste. Dlaczego jednak tak się z tym kryje? Dlaczego żyje sama za tą żelazną bramą? Czy broni dostępu do swojego serca, tak jak stara się bronić dostępu do swego domu? Przed

Vollmerem jednak się otworzyła, przynajmniej na jakiś czas... Ciekawe, które z nich właściwie zerwało ten związek.

Poczuł ukłucie zazdrości. Tak bardzo życzyłby sobie, by to Taylor opuściła tego glineę, a nie odwrotnie. Gdyby jednak rzeczywiście wszystko skończyło się z jej woli, to czy Vollmer potrafiłby traktować ją tak zwyczajnie? Kiedy taka kobieta rzuca mężczyznę, ten nie może chyba pozostać przy zdrowych zmysłach.

- Dobrze. Ach, Mel, byłabym zapomniała. Czy mógłbyś kupić po drodze dużą pepperoni? Umieram z głodu. - Odłożyła słuchawkę. - Zawsze, kiedy się boję, dostaję wilczego apetytu. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak się obżeram, kiedy mam lecieć samolotem.

Elmo, któremu znudziło się już leżenie u Nicka, przeskoczył do niej na ramię. Postawiła go jednak na blacie kuchennym i podeszła do okna, by spuścić żaluzje. Nick poderwał się, by jej pomóc, ale powstrzymała go ruchem ręki.

- Sama to zrobię. To mi pomoże się opanować. Posłusznie opadł na fotel. Taylor, przechodząc od okna do okna, mówiła o rzeczach obojętnych, jakby spotkali się tu po to, by porozmawiać o pogodzie. Dopiero gdy stanęła pod światło, zorientował się, że ciągle jeszcze nie doszła do siebie, bo gołym okiem widział, jak mocno pulsuje żyła na jej szyi.

- Zawsze czułam się tu bezpieczna. Na noc nie włączałam nawet światel na zewnątrz - powiedziała. - Przeszkadzały mi, jeżeli akurat miałam ochotę popatrzeć na gwiazdy.

- Może chociaż pozwolisz mi pozamiatać szkło? - zapytał.

- Nie. Zostawmy je do przyjazdu Mela, niech wszystko obejrzy. Widzisz, Elmo jest mądry i nie chodzi po odłamkach.

Kiedy skończyła z żaluzjami, dorzuciła drewno do kominka, wyjęła z lodówki tonik i łąpczywie go wypić. Najwyraźniej nie potrafiła usiedzieć spokojnie ani chwili.

- Powzięłam pewne środki ostrożności, ale zabezpieczyłam się przed samochodami, które mogłyby wjechać przez bramę, nie przed snajperami.

- Nikt nie może się zabezpieczyć przed snajperem, Taylor. Jak nie wierzysz, zwróć się do kontrwywiadu.

- Wiem, wiem - mruknęła i oparła się dłońmi o blat kuchenny. Elmo potraktował to jak zaproszenie do zabawy i zaczął przemykać się tam i z powrotem między jej rękami. - Zawsze bałam się tylko, że mogę dostać przypadkową kulę, tak jak mój mąż. Nigdy nie sądziłam, że ktoś tak mnie znienawidzi, że weźmie na muszkę.

- Przecież nie ciebie wziął. I w dodatku nie z nienawiści.

- A dlaczego? O co tu chodzi?

- Pizza! - obwieścił donośnie Mel, wysiadając z auta. Nick widział go tylko raz, w agencji, gdy przyszedł ze swym zleceniem. Wtedy Borman ubrany był elegancko, w granatowy garnitur i krawat. Teraz miał na sobie golf i dzinsy, spięte paskiem nieco poniżej zaokrąglonego brzucha. Spod podciągniętych rękawów swetra wystawały silne, owłosione ręce. Nie był zbyt wysoki i zdawał się już w wieku zbliżonym do Maxa, ale Nick poszedłby o zakład, że niejeden młodszy w starciu z Melem odbiłby się od niego jak piłka.

Taylor przejęła pudło z pizzą. Pięć minut później siedzieli we troje przy niskim stoliku obok kanapy i pałaszowali chrupiące ciasto z cienkimi plasterkami salami. Nick był zaskoczony własnym apetytem. Taylor jednocześnie mówiła o strzelaninie i połykała kolejne kęsy z łapczywością, która przeczyła spokojowi jej słów.

- Wyprowadzasz się dziś stąd - zdecydował Mel i jego gromkie zdanie zabrzmiało jak rozkaz.

- Od kiedy to inni decydują za mnie, co mam robić? - Omal nie udławiła się kawałkiem salami.

- Dziewczyno, ktoś próbuje cię zabić. Gdyby mu się udało, to nie ty, lecz ja sam musiałbym zawiadomić twoją matkę.

- Nikt nie próbuje mnie zabić. To jego chcią sprzątać.

- Wskazała Nicka kawałkiem pizzy. - Bóg jeden wie dlaczego.

- Dlatego, że tylko ja mogę rozpoznać nowe rzeźby przerobione na stare.

Taylor wraz z Melem zwrócili na niego zdziwione spojrzenia, odłożył więc jedzenie i po wytarciu palców w serwetkę powiedział:

- Pomyślcie tylko. Sam miałem sporo trudności, żeby rozpoznać własnego konika. Gdybym umarł, to czy Max, Josh albo ktokolwiek inny byłby w stanie powiedzieć: „Słuchajcie, ludzie, to nie żaden antyk, tylko podróbka, którą dwadzieścia lat temu wyrzeźbił niejaki Nick Kendall”? Nigdy! Po mojej śmierci ten, kto ukrywa teraz skradzione rzeźby, odczekałby pół roku i zaczął je sprzedawać.

- Może ma pan rację. W każdym razie, niezależnie od tego, kto strzelał, można przypuszczać, że będzie znowu próbował -

zawyrokował Mel. - Taylor, od tego momentu ja przejmuję sprawę, ty masz się trzymać z daleka. Nie jesteś ochroniarzem tego pana.

- Mel, spójrz na niego. Przecież on sam wygląda jak ochroniarz. Potrzeba mu co najwyżej kamizelki kuloodpornej i kogoś, kto będzie sprawdzał, czy w jego furgonetce nie ma bomby.

- A jeżeli moja hipoteza jest błędna? - spytał Nick. - Jeżeli ten bandzior sądzi, że obydwójce coś wiemy? Może nastawać i na ciebie, a gdy o tym pomyślę, ciarki przechodzą mi po grzbiecie.

- Chwileczkę, Nick. Chyba trochę pomyliły ci się role. Ty jesteś klientem, a ja - detektywem.

- Pozostańmy może przy rolach, których nie da się zmienić. Ty jesteś kobietą, ja - mężczyzną.

Taylor zatrzepotała rękami z wrażenia.

- Jakbym słyszała swoją matkę! Mel - zwróciła się do Bor - mana - zlituj się. To pierwsza robota, która nie wymaga ode mnie, żebym godzinami ślęczała przy komputerze albo opędzała się od podpitych facetów w jakiejś speluncie!

- Sama powiedziałaś, że jeżeli sprawa przybierze niebezpieczny obrót, zrezygnujesz - przypomniał Nick.

- Wtedy nie przypuszczałam, że zrobi się niebezpiecznie - przyznała cicho, a po chwili dodała znacznie pewniejszym tonem: - Przyjmijmy, że obydwójce zostaliśmy teraz wzięci na muszkę. Co z tego? Czy mam dać ogłoszenie do gazety: „Drogi bandyto, racz przyjąć do wiadomości, że Taylor Hunt przestaje zajmować się sprawą

zabójstwa Clary Eberhardt i przyrzeka zapomnieć o wszystkich informacjach, które mogłyby okazać się dla ciebie niebezpieczne"?

Borman poruszył się niespokojnie.

- Jest jeszcze inny problem, moi panowie - ciągnęła. - Otóż z niewyjaśnionych powodów Danny Vollmer wbił sobie do głowy, że znowu chce ze mną być. Śmiem sądzić, że przez jakiś czas jego pobudzone libido nie pozwoli mu rozglądać się za innymi podejrzanymi prócz Nicka.

- Czy według ciebie Vollmer to dobry glina? - zapytał Mel, odkładając napoczęty kawałek pizzy.

- Znalazł zabójców Paula. - Taylor również przestała jeść.

- Nie, Mel. Danny nie zrobiłby tego. Nie widziałam go prawie przez rok.

- Powiedziałaś, że znowu chce być z tobą.

- No tak, przebąkiwał o tym i sądzę, że wpłynęło to na jego stosunek do Nicka, ale na pewno nie próbowałby nikogo zastraszyć, a tym bardziej zabić.

- Myśli pan, że to on mógł strzelać? - włączył się Nick.

- Nie mam pojęcia. W każdym razie dobrze włada bronią, a ten dom i jego otoczenie zna na pamięć.

- Jeżeli tak, to wiedziałby, że strzela do lustra, prawda?

- Otóż to - podchwycił Mel. - Może on nie celował naprawdę do pana, tylko ostrzegał: „Trzymaj się z daleka od niej!"

Słyszając to, Taylor parsknęła gniewnie.

- Od czasu kiedy się ze mną rozstał, miał pewnie z pięć przyjaciółek. Nie wydaje mi się, żeby próbował wkraść się z powrotem w moje łaski, rozbijając lustro, które dostałam po babci. Mel, czy ty naprawdę uważasz, że pozwoliłby sobie na taki wyskok i ryzykował całą swoją karierę?

- Na trzeźwo pewnie nie - skonstatował Borman.

- On pije, tak? - zapytał Nick. Mel potwierdził skinieniem głowy, po czym zwrócił się do Taylor, której twarz przybrała nagle dziwny, kamienny wyraz:

- Powiedz mu prawdę. Taylor przeszła do części kuchennej i wyciągnęła z lodówki jeszcze jeden tonik. Oparła się na blacie.

- Dobrze. Otóż prawdziwym powodem naszego zerwania był fakt, że nie mogę znieść pijaków. Mój ojciec był pijakiem. Przez cały tydzień był trzeźwy, ale w weekend albo zalewał się w klubie, albo w domu przed telewizorem. Nienawidziłam go w takim stanie i nienawidziłam też Danny'ego. - Odgarnęła nerwowo kosmyk włosów, który spadał na czoło. - Mimo wszystko nie wierzę, żeby on to zrobił. I nie zamierzam zrezygnować z tej sprawy - oświadczyła z naciskiem.

- Poddaję się, Taylor - jęknął Borman. - Ustępuję ci, tak jak ustępowałem, odkąd się znamy. Zawsze zmuszałaś mnie do tego. Trzeba zresztą zacząć od stwierdzenia, że nie powinienem cię w ogóle przyjmować do tej roboty.

- Przecież jestem dobra. Za pięć lat będę jeszcze lepsza, Mel, i to ty tak mnie wyszkoliłeś. Nie nauczyłam się posługiwać wytrychem i w ogóle nie najlepiej daję sobie radę z mechaniką, ale nie jestem jakąś

pretensjonalną damulką, która nie ma o niczym pojęcia. To chyba przyznasz?

- Nikt nie mówi, że jesteś upośledzona umysłowo, ale taka niezależność wpędzi cię w tarapaty, z których możesz się już nie wyplątać. Uwierz mi.

- Wierzę ci, Mel. Tobie też - zwróciła się do Nicka. - Tymczasem jednak tracimy z oczu nasz pierwotny cel. Jak dotąd w sprawie kradzieży nie wiemy nic ponad to, co wiedzieliśmy na początku, a jednak zaczynamy komuś bardzo przeszkadzać. To dobry znak.

- Chwileczkę - rzekł Borman. - Przecież złodziej mógł sprzedać rzeźby Eberhardtowi, zainkasować forszę i zniknąć, prawda?

Taylor spojrzała pytająco na Nicka.

- Jakie jest twoje zdanie?

- Nie sądzę, żeby Eberhardt wydał naraz tyle gotówki, wiedząc, że bez wzbudzania podejrzeń uda mu się sprzedać najwyżej trzy, cztery konie w ciągu roku. Poza tym przypominam wam inną rzecz: morderca Clary musi być związany z Rounders, w przeciwnym wypadku nie umawiałby się z nią właśnie tam. - Nick ukrył zmęczoną twarz w dłoniach.

- Nick, przecież to dopiero początek - uspokajała go Taylor. - Kiedy dowiemy się, kto z twoich przyjaciół jest winny, będziesz mógł odzyskać zaufanie do pozostałych.

- Najgorsze jest to, że ja wierzę im wszystkim!

- Uspokój się! Musisz się opanować.

- Taylor, morderca wie, gdzie mieszkasz - przerwał im Mel. - Jeszcze raz powtarzam, że nie powinnaś być teraz sama na tym odludziu.

- Nie przeprowadzę się do motelu. Po pierwsze nie stać mnie na to, a po drugie, co zrobiłabym z Elmem?

- Pan Kendall też mieszka w niebezpiecznym miejscu. Po zmroku koło Rounders jest pusto jak na Marsie - dodał Mel.

- Doskonale sformułowałaś problem, ale jakie widzisz rozwiązanie? - zniecierpliwiła się Taylor.

- Kamizelek kuloodpornych nie mamy i wątpię, żebyśmy mogli pożyczyć je od Vollmera. Och, Taylor, jesteś strasznie uparta! - Mel pokręcił głową. - Ale jeżeli obstajesz przy swoim, to w tej sytuacji powinniście trzymać się razem: tutaj albo w pana mieszkaniu. Nie podchodźcie do okien przy zapalonym świetle i uważajcie na wszystko aż do otrzymania dalszych instrukcji. Panie Kendall, będziemy musieli porozmawiać o warunkach umowy. Na bezpieczeństwie Taylor zależy mi bardziej niż na czymkolwiek.

- Mel, dosyć tego! Sama odpowiadam za siebie! - zawołała buńczucznie, lecz gdy spojrzeli na nią groźnie, spuściła z tonu. - Przyznaję, na pięści można mnie pokonać, ale znam judo i mam broń.

- Można by pomyśleć, że jesteś komandosem - rzekł oschle Mel - a tymczasem to pan Kendall, o ile wiem, służył u spadochroniarzy.

- Tak, ale to było ponad dziesięć lat temu.

- Pewnych rzeczy się nie zapomina. Jest pan silny, zdrowy. Gdyby ktoś nastawał na Taylor, ma pan moje pozwolenie, żeby połamać mu kości.

- Nie potrzebuję niczyjego pozwolenia. Gdyby ktoś chciał zrobić jej krzywdę...

- Dzięki ci, rycerzu w lśniącej zbroi - syknęła Taylor przez zęby.

- Czy możemy wrócić do tematu?

- Ponieważ wydaje się mało prawdopodobne, żeby naraz pojawiło się dwóch morderców, moim zdaniem strzelał ten, kto zabił Clare i, być może, jej męża. Jutro porozmawiamy o tym dłużej. Na razie posprzątam z wami ten bałagan, wyjmę kulę ze ściany, potem pokażecie mi, skąd mam zabrać ten strzępek materiału, który zawisł na płocie, a jeszcze potem opuszczę was i udam się z rozkoszą do domu, żeby rąbnąć się do łóżka. Wy zostanieecie tu razem.

Taylor patrzyła to na niego, to na Nicka z niezadowoloną miną, ale w końcu się rozchmurzyła.

- Dobrze - zachichotała. - Niech sobie Danny myśli, co chce.

Nick odwrócił się i sięgnął po słuchawkę.

- Muszę zawiadomić Maxa, że nie oddam dziś motoru, bo będzie się martwił. - Puścił oko do Taylor. - Ty masz swojego opiekuna, a ja swojego.

Czekał długo, ale po drugiej stronie nie zgłosił się nikt. W końcu zostawił wiadomość na automatycznej sekretarce.

- Dziwne... Max mówił, że będzie cały czas w domu, bo odnawia kominek - powiedział, odkładając słuchawkę.

- Może zabrakło mu farby albo kleju i pojechał do sklepu - podsunęła Taylor.

- To do niego niepodobne. Zanim się do czegoś weźmie, zawsze zgromadzi wszystkie potrzebne materiały. Nie lubi przerywać roboty.

- Czy to możliwe, żeby wybrał się na przejażdżkę? - spytał Mel.

- Nie. - Nick z przykrością zobaczył cień współczucia na twarzach Taylor i Bormana. - Nie wierzę w to, ale gdyby nawet tu przyjechał, to i tak miałby pełno czasu, żeby wrócić do domu. To wszystko zdarzyło się przecież ponad godzinę temu.

- Wiecie co, właściwie mogę już dzisiaj odpowiedzieć na pytanie Taylor o to, co macie robić - włączył się Borman. - Jedźcie jutro z powrotem do Oxfordu i spróbujcie wybadać znajomych Clary, czy wiedzą cokolwiek na temat jej kontaktów z Maxem albo Joshem. Ja tymczasem sprawdzę w komputerze konta osób, które były w Rounders, kiedy Nick zadzwonił z wiadomością o kradzieży. To są główni podejrzani. Spróbuję się dowiedzieć, czy ktokolwiek z nich dostał ostatnio większy zastrzyk gotówki.

- Umie pan to zrobić? - zdumiał się Nick.

- Komputer pozwala robić niewiarygodne rzeczy. - Mel uśmiechnął się, wstał i poklepał Taylor po ramieniu. - No, do roboty. Muszę wyjąć kulę ze ściany.

- Powiesz Vollmerowi, że weszliśmy w domu Eberhardtów? - spytał Nick, pomagając Taylor rozesać prześcieradło na kanapie.

- Tylko jeżeli nie będę miała wyjścia. - Spojrzała na niego. - Słuchaj, czy twoim zdaniem ten Eugene Lewis potrafiłby strzelić do człowieka?

- Takiego typka należałoby wsadzić za sam wygląd, a ty się zastanawiasz, czy potrafiłby nacisnąć na cyngiel!

- Eberhardtowi ktoś musiał pomagać przewozić te wszystkie figury. Jeżeli to Eugene zabił Eberhardtów, to on może stanowić brakujące ogniwo.

- Na razie trzymaliśmy się jednak hipotezy, że ktoś z Rounders był w to zamieszany.

- Bo pewnie był, ale w ograniczonym zakresie. Wiesz, cicha kradzież na boku, żadnych ofiar, żadnych kontaktów z Eberhardtami z wyjątkiem momentu przekazania pieniędzy. Sprawy się skomplikowały, kiedy pewnego dnia odkryłeś kradzież. Lewis spalił wtedy galerię razem z Eberhardtem w środku, żeby pozbyć się dowodów. Tyle że część dowodów była poza galerią.

- I, jak się zdaje, również poza domem.

- Być może, ja jednak coś tam znalazłam. - Taylor sięgnęła po torbę i wyjęła z niej skórzany notes, taki sam jak ten, który znajdował się w bagażu Clary Eberhardt. - Znalazłam to pod biurkiem, kiedy ty już wszedłeś na górę.

- Co jest w środku?

- Trochę notatek, z których być może uda mi się zrobić użytek. - Wzruszyła ramionami i rzuciła mu notes.

Nick złapał go w powietrzu, rozciągnął się na kanapie i zaczął przewracać kartki. Notes wypełniały luźne zapiski dotyczące na ogół pór spotkań, uzupełnione gdzieniegdzie krótkimi adnotacjami.

- Głównie terminy spotkań z klientami, dostawcami i daty aukcji - podsumował. - Mogę ci teraz powiedzieć, jak często Eberhardt chodził do dentysty.

- Zajrzyj do spisu telefonów na końcu. Nick przejrzał ostatnie strony, zapisane gęsto numerami.

- Widzisz coś znajomego? - spytała. Pokręcił przecząco głową.

- Zaraz... - Zawahał się i spojrzał spod oka na Taylor. - Skąd, do diabła, wziął się tutaj mój telefon?

Rozdział 7

Taylor siedziała na oparciu kanapy i zaglądając Nickowi przez ramię, śledziła, jak przesuwa palcem wzdłuż kolumny nazwisk w notesie. Był aż zanadto świadom jej bliskości. Aura niepokoju gdzieś zniknęła, pozwalając teraz kobiecości pulsować z taką siłą, że Nick czuł, iż nie zdoła się powstrzymać i lada moment weźmie ją w ramiona.

Zanim jednak zdążył wykonać jakikolwiek ruch, Taylor wstała, wyprostowała się i spojrzała na niego badawczo.

- Może chcieli zadzwonić do Rounders, zanim się tam włamali, żeby sprawdzić, czy na pewno cię tam nie ma. Kto wie... Och, jestem już zbyt zmęczona, żeby logicznie myśleć.

Nick odłożył notes na kolana. Nie był w stanie zapanować nad reakcjami w chwilach, gdy ta kobieta zbliżała się do niego. Zdawał sobie sprawę, że od czasów college'u nie przydarzyło mu się, by jakakolwiek istota płci przeciwnej działała na niego z taką siłą.

- Na umywalce w łazience przygotowałam nową szczoteczkę do zębów. Udało mi się znaleźć jakąś nie używaną maszynkę do golenia, ale niestety nie mam dla ciebie piżamy, a moja bielizna chyba się do tego celu nie nadaje...

- Dziękuję - wymamrotał i powiódł za nią wzrokiem, przyglądając się, jak znika w drzwiach łazienki.

Pomyślał, że utrzymanie ich stosunków na płaszczyźnie czysto oficjalnej z pewnością nie będzie łatwe. Przynajmniej nie dla niego. Już samo wyobrażenie Taylor wspinającej się na drabinkę i

wchodzącej do łóżka w swojej sypialni na pięterku - właściwie tuż nad jego głową - przyprawiło go o kolejny dreszcz.

Zawsze czuł się niezwykle dumny z tego, że umie panować nad sobą w układach z kobietami. Owszem, potrafił być romantyczny, a nawet czarujący, jednym słowem - taki miły chłopak. Mówiły mu, że jest dobrym kochankiem. Kobiety, które przechodziły przez jego łóżko, pojawiały się, a potem znikwały. Były w jego życiu zupełnie jak koniki na karuzeli, które rzeźbił - kolorowe, zapraszały do wspólnej przejażdżki - tyle że znikwały za rogiem, gdy karuzela stawała.

Pięć minut później Taylor powiedziała mu dobranoc i wspięła się na antresolę. Bez większych skrupułów Nick obejrzał, tym razem z bliska, jej zgrabną pupę i nogi.

Szybko zrobił w łazience wieczorną toaletę, wskoczył z powrotem na kanapę i zgasił lampkę na stoliku. Metalowe sprężyny cienkiego materaca wkrótce spowodowały, że poczuł się jak fakir. Będzie miał szczęście, jeśli uda mu się w ogóle zmrużyć tej nocy oko. Materac i równy oddech Taylor dochodzący znad głowy wróżyły raczej nocne czuwanie. Nagle coś pacnęło w nogach kanapy. Elmo wśliznął się pod kołdrę, przesunął wzdłuż jego ciała i zwinął w miękki kłębek przy jego piersi.

- Zgadnij, kotku, co powinieneś teraz zrobić - wyszeptał zmęczonym głosem i niemal natychmiast zapadł w sen.

- Wpuść mnie, Taylor, muszę z tobą pomówić.

- Chyba przekroczył pan trochę granice swojego rewiru, sierżancie Vollmer? - odrzekła Taylor. Po chwili wahania z westchnieniem przycisnęła guzik domofonu. - Proszę, otwarte.

Dwie minuty później Vollmer wychodził z auta przed jej domem.

- Twój klient zniknął - obwieścił triumfalnie.

- Nie, nie zniknął - powiedziała, wpuszczając go do środka. - Napijesz się kawy?

- Aha. Wiesz, gdzie jest?

- Akurat w tej chwili stoi pod moim prysznicem. Spojrzał na nią ponuro i wskazał głową w kierunku łazienki, z której dochodził ledwie słyszalny szum wody.

- Trudno mi uwierzyć, że przespałaś się z mordercą. Taylor, która nalewała właśnie kawę do kubków, zastygła z dzbankiem w ręku.

- Nie jest mordercą, a ja się z nim nie przespałam. To zresztą nie twój interes, z kim sypiam. Czego chcesz od niego?

- Dzwoniłem, żeby wezwać go do złożenia wyjaśnień, ale go nie zastałem. Zgłosiła się tylko automatyczna sekretarka.

- Do mnie też mogłeś zadzwonić. Nie musiałeś facygować się aż tutaj o ósmej rano.

- Chciałem cię zobaczyć i przeprosić za wczorajsze.

- Nie ma za co. Z łazienki nie dochodził w tej chwili żaden odgłos. Vollmer sięgnął jedną ręką po kawę, a drugą chwycił Taylor, by przyciągnąć ją do siebie. Nie pozwoliła na to. Zrezygnował i wzruszył ramionami.

- Od pół roku nie miałem alkoholu w ustach.

- To wspaniale, Danny.

Podszedł do okna, odsunął żaluzje i spojrzał na szare, zasnuwane chmurami niebo.

- W pewnym sensie zawdzięczam to tobie. Po tamtej niedzieli zabrałem się ostro do picia. Kiedyś obudziłem się, byłem już dwie godziny spóźniony do roboty i w dodatku nie mogłem sobie przypomnieć, co robiłem w nocy. - Odwrócił się i popatrzył na nią. - Jeździłem samochodem, ale gdzie i jak? Obejrzałem karoserię, sprawdziłem, czy nie ma śladów wypadku. Bałem się śmiertelnie przez cały dzień, a wieczorem poszedłem do Anonimowych Alkoholików.

- Dobrze zrobiłeś.

- Taylor, przysięgam ci, że nie wrócę do picia. Im bardziej trzeźwiałem, tym ostrzej zdawałem sobie sprawę z tego, ile straciłem. Setki razy chwyciłem za słuchawkę, żeby zadzwonić do ciebie, ale nie potrafiłem. Kiedy jednak zobaczyłem cię tam, w pracowni, pomyślałem, że naprawdę może nam się udać.

- Danny, szczerze ci gratuluję i cieszę się, ale jeśli chodzi o nas, to nie. Przykro mi.

Twarz Vollmera stężała.

- To z powodu tego typka, tak?

- Zareczam ci, że w tej chwili nie ma nikogo w moim życiu.

- W takim razie będę do ciebie wracał tak długo, aż mi uwierzysz. - Uśmiechnął się i wyciągnął kubek po dolewkę.

- Ciągłe pijesz za dużo kawy - zauważyła.

- Dzięki temu mogę pracować.

Drzwi do łazienki otworzyły się. Nick był w swoim wczorajszym ubraniu, nie włożył tylko butów. Zaciał się przy goleniu i na prawym policzku miał czerwoną krechę. Na widok Vollmera stanął jak wryty.

- Dobry, panie Kendall - rzekł Vollmer z podejrzaną łaskawością. Opierał się teraz niedbale o blat kuchenny, zupełnie jakby był u siebie w domu.

- Dobry, sierzancie Vollmer - odpowiedział Nick podobnym tonem.

- Chciałem, żeby pan dziś przyszedł do mojego biura. Nie mogłem pana złapać, więc pomyślałem, że Taylor będzie wiedziała, gdzie się pan podziewa.

Nick pokiwał głową.

- Ta kobieta, którą pan... ta zamordowana... Powiedział pan, że jej nie zna, tak?

Nick kolejny raz potaknął bez słowa.

- Niech pan zgadnie, jak się nazywała. Zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, zadzwonił domofon. Taylor zrobiła zdziwioną minę.

- A cóż to się dzieje? O tej porze?

- Otwórz natychmiast tę bramę, Taylor - rozkazał męski głos w domofonie. - Twoja matka i ja chcemy porozmawiać.

Taylor zamachała rękami i bez dalszych komentarzy nacisnęła brzęczyk.

- Tylko tego mi trzeba. Attyla i mamuska.

- Chcesz, żebyśmy wyszli? Z panem Kendallem mogę porozmawiać gdzie indziej - zaproponował Vollmer.

- Zostańcie. - Podeszła do drzwi, uchyliła je i wróciła do kuchni, by zrobić więcej kawy. - Podjazd będzie zaraz wyglądał jak parking przed supermarketem.

Zazgrzytał żwir, drzwi trzasnęły, i do środka wtargnął Bradley Maxwell, a za nim Irene.

- Widziałaś gazety? - Zamachał pomietą szpaltą i cisnął ją na stolik. - Jesteś podejrzana o morderstwo!

Danny rozłożył gazetę i ze śmiechem przekazał ją Taylor. Przebiegła wzrokiem tytuł: „Wydział zabójstw przesłuchuje prywatnego detektywa”. Na zdjęciu poniżej byli obydwój z Dannym. Ścisnął ją za ramiona, trzymając twarz tak blisko jej twarzy, że prawie dotykali się nosami. W tle widać było wejście do Rounders.

- No proszę, a więc miał nie tylko dyktafon, ale również aparat fotograficzny. A ja już się łudziłam, że mamy z głowy reporterów - powiedziała chichocząc.

- To może mieć fatalne, po prostu fatalne skutki dla mojej kariery! - krzyknął Bradley.

Był podobny do Taylor, wysoki i szczupły jak ona, tyle że rysy miał znacznie bardziej wyostrome. Alkohol, liczne podboje miłosne, a także wybuchowy charakter zrobiły swoje.

- Jesteś prawnikiem, Brad, a prawnicy nieustannie są zamieszani w takie sprawy.

- Ja doradzam firmom! Żądam, żebyś złożyła Bormanowi dymisję, spakowała rzeczy i zamieszkała u matki, dopóki nie znajdziemy dla ciebie przyzwoitego mieszkania. I przyzwoitej pracy.

- Wyjdź stąd - rzekła spokojnie, uśmiechając się przy tym lodowato.

Nick nie widział jeszcze u niej takiego uśmiechu, ale miał nadzieję, że Bradleyowi wystarczy rozsądku, by usłuchać.

- Jedyna osoba spośród obecnych, która przebywa tu na moje zaproszenie, to pan Kendall.

Brad rozejrzał się i zatrzymał wzrok na Nicku, a zwłaszcza na jego bosych stopach. Irene Maxwell przykryła usta dłonią.

- Proszę, żebyś stąd wyszedł, bo nie jesteś u mnie mile widziany - wycedziła przez zęby Taylor i zrobiła krok w kierunku brata. Cofnął się przed nią.

- Jako głowa tej rodziny...

- Ja jestem głową swojej rodziny, nie ty.

- Brad, chodźmy stąd - poprosiła słabym głosem Irene. Taylor zwróciła się do matki.

- Mamo, tyle razy prosiłam, żebyś się o mnie nie martwiła, chociaż dziękuję ci za to, że o mnie myślisz, bo Brad myśli tylko o swojej karierze. Teraz proszę, żebyś wróciła do domu, a ja zadzwonię później.

- Posłuchaj teraz, młoda damo. - Bradley chciał wydać się groźny, ale jego słowa zabrzmiały nieprzekonująco.

- Nie jestem młoda i nie jestem damą. Dlaczego nie powiesz głośno, że zostałam wydziedziczona?

Irene pociągnęła syna za rękaw. Poszedł za nią, ale z ociąganiem.

- Tylko nie odgrywaj się za to na Ellen i dzieciach - rzuciła Taylor, gdy wsiadał do samochodu.

Rzucił ponure spojrzenie jej i Nickowi, który stał w progu.

- Bije żonę? - zapytał Nick.

- Nie mam na to dowodów, ale przypuszczam, że tak. Odziedziczył charakter po tatusiu, jednak moja mama nie chce przyjąć tego do wiadomości.

- Jak będziesz miała, zgłoś się do mnie, pomogę - rzekł Danny, który niepostrzeżenie do nich podszedł. Zwrócił się do Nicka: - A pan niech się do mnie zgłosi dziś o drugiej. Adres: East Precinct, wydział zabójstw.

- Czy powinienem przyjść z adwokatem?

- Tylko jeżeli ma pan coś do ukrycia. - Vollmer pochylił się, by pogłaskać Elma, i poszedł do samochodu.

Gdy odjechał, Taylor zamknęła oczy i oparła się o ścianę. Nick objął ją i przyciągnął do siebie. Na moment przywarła do niego całym ciałem. Poczul, że drży, jakby stała na mrozie. Po chwili bez słowa weszła do domu. Zatrzęsnęła za sobą drzwi łazienki.

- Taylor? - zawołał, przekrzykując szum wody.

- Chcę być przez chwilę sama - padła odpowiedź. Gdy wyszła po pięciu minutach, miała wilgotne włosy. Jej szare oczy wydawały się teraz olbrzymie, a czubek nosa był podejrzanie różowy.

- Przepraszam. Nie wiem, jak to możliwe, że tak się rozklejam przy tobie - powiedziała, usiłując zapanować nad głosem.

Chciał ją znowu przygarnąć, ale zrobiła unik. Podeszła do komputera i zaczęła bawić się myszą, zataczając nią kółka na miękkiej podkładce. Świadomie unikała jego wzroku.

- Konfrontacja z rodziną zawsze przyprawia mnie o drgawki. Byłam pewna, że Brad mnie uderzy.

- Gorzko by tego pożałował.

- A wtedy Vollmer z rozkoszą zaaresztowałby cię za naruszenie nietykalności cielesnej. - Posłała mu blady uśmiech.

- Liczę, że wpłaciłabyś za mnie kaucję. Przez moment patrzyła na niego w milczeniu, wreszcie wyszeptała:

- Choćbym miała wydać ostatniego dolara.

- Taylor...

- Wróćmy do tego, co dotyczy mojej pracy, dobrze?

- Ten wczorajszy pocałunek nie miał nic wspólnego z pracą - powiedział, zbliżając się do niej.

- Przestraszyłam się, a ty byłeś pod ręką.

- Wyczułem w tobie coś więcej niż strach.

- Proszę, przestań. Tak bardzo staram się pokierować swoim życiem i za każdym razem, gdy mi na kimś zależy, wszystko rozwalam. Teraz jest nieodpowiedni czas.

- Taki czas został nam dany.

- Jeżeli naprawdę zależy ci na mnie, pozwól mi rozwiązać twój problem, znaleźć rzeźby, skupić się na tym, co robię.

- Aż tak się przy tym upierasz?

- Tak!

- Wiesz, po tym, jak cię całowałem, tuliłem i przeleżałem tutaj pół nocy marząc, żebyś do mnie zeszła albo żebym ja mógł wejść do ciebie na górę, nie boję się już tak bardzo bankructwa ani więzienia za zbrodnię, której nie popełniłem.

Roześmiała się głośno.

- Nigdy w życiu nie słyszałam takiego komplementu.

A mówiąc poważnie, nie zniosłabym, gdyby przydarzyła ci się którakolwiek z tych rzeczy. Niestety, one naprawdę ci grożą, więc pozwól, że coś zrobię, żeby ich uniknąć. A teraz się odsuń.

- Jak tak dalej pójdzie, to prędzej zwariuję, niż mnie wsadzą. Już szaleję na twoim punkcie bardziej od Vollmera.

- On za mną nie szaleje.

- Chyba się mylisz. Może powiesz mi dokładnie, jak to z wami jest, zanim pójde dzisiaj do niego. - Nalał sobie kawy i usiadł na kanapie.

Taylor z rozmysłem nie usiadła obok niego, tylko wybrała miejsce w fotelu.

- Była niedziela, gdy przyszedł tu ostatni raz. Mieliśmy coś zjeść i obejrzeć film na wideo, tymczasem on był pijany i w wojowniczym nastroju. Tego dnia aresztował jakiegoś zwyrodnialca, który zgwałcił i zamordował swoją trzyletnią córeczkę. Próbowałam być miła, ale to nic nie pomogło, tak że w końcu okropnie się pokłóciliśmy, a on mnie uderzył.

Nick się nie zdziwił. Vollmer wyglądał na gwałtownika.

- Wiesz, ja zostałam wychowana w przekonaniu, że tatuś dlatego nosi taki skórzany pasek, żeby bić dzieci. Kiedy dorosłam, poprzysięgłam sobie, że już nigdy nie pozwolę się tknąć, ale Paul też kiedyś podniósł na mnie rękę. Co prawda tylko raz, ponieważ zagroziłam, że jeżeli to się powtórzy, zadzwonię do gazety, na policję i do jego przełożonych. Musiał się przestraszyć, bo odtąd stosował tylko psychiczne tortury. To nie zostawia śladów.

- Ale boli.

- Czasami gorzej niż przemoc fizyczna. Po co ja ci o tym mówię... Nawet Danny'emu się z tego nie zwierzałam.

Nick w milczeniu czekał na dalszy ciąg.

- W pewnym momencie zwróciłam się do adwokata, żeby wnieść pozew o rozwód. Paul zaczął rozpaczać, nie dlatego, że bał się mnie stracić, tylko ze strachu o swoją drogocenną karierę. - Oparła głowę o fotel i zamknęła oczy. Spod jej rzęs wydobyła się łza i spłynęła po policzku. - W końcu zrobił się słodziutki jak miód, zaczął przeproszać, obiecał, że pójdzie do psychologa. zaproponował, żebyśmy się pogodzili przy pizzy i butelce wina, jak w początkach naszego małżeństwa. Pojechał do sklepu.

- Zostałabyś przy nim?

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Jeżeli chciał, potrafił być bardzo miły... W każdym razie nie miał przy sobie gotówki, więc zatrzymał się po drodze koło bankomatu. Strzelało do niego trzech nastolatków.

Zginął na miejscu. Wybrał tylko dwadzieścia dolarów. Tyle było dla nich warte jego życie.

- A co się stało po tym, jak Danny cię uderzył?

- Nic. Po śmierci Paula postanowiłam, że już nie będę grzeczną dziewczynką, więc kiedy okazało się, że kolejny mężczyzna ma zamiar mnie maltretować, wołałam natychmiast się z nim rozstać.

- I co, tak jest lepiej? - Zatoczył ręką łuk, pokazując wnętrze jej samotnego domu, urządzonego surowo, tak jakby mieszkał w nim mężczyzna.

- Bez porównania. Ale grzeczna dziewczynka czasami odzywa się we mnie i mówi, że jeżeli będę miła, to przyjedzie po mnie rycerz na białym koniu i zafunduje mi wielokrotny orgazm oraz nieograniczony kredyt u Neimana Marcusa. Na wypadek, gdybyś nie znał się na modzie, powiem ci, że ta marka oznacza naprawdę piękne ciuchy.

Rozdział 8

- Mel powiedział, żebym cię nie opuszczała, więc jadę do Rounders. - Taylor stała na progu domu, ściskając w ręku pęk kluczy.

- Robię, jak mi kazał.

- Jeśli tylko chcesz, proszę bardzo. Ale ja nie jadę teraz do Rounders, tylko do Maxa. Zostawiłem u niego furgonetkę, muszę więc odwieźć harleya i ją zabrać.

Wsiadł na motocykl i przekręcił kluczyk. Po trzech próbach silnik włączył się, rycząc stylowo, jak przystało na prawie muzealny okaz.

- Poczekaj na mnie przy bramie! - krzyknęła. Nick skinął głową, włożył kask i ruszył, Taylor wsiadła do swojego auta.

Po drodze rozglądała się podejrzliwie. Co chwilę patrzyła w lusterko wsteczne, każdy samochód stojący na poboczu zdawał się jej pułapką.

Właściwie nie miała pojęcia, co zrobić, gdyby rzeczywiście dostrzegła snajpera celującego w Nicka. Pewnie najlepiej byłoby go potraścić, by spadł z motoru. Zawsze lepiej złamać kilka żeber, niż stracić życie.

Musiała przyznać, że Nick doskonale panuje nad stalową bestią. Zazdrościła mu swobody, tego jak przechyla się na zakrętach, wiatru, nawet ryku maszyny.

W mieście trudno było jej jechać za Nickiem, ale raz złożyło się tak, że stanęła obok niego na światłach. Uśmiechnął się - zobaczyła to w jego oczach, bo kask zasłaniał mu resztę twarzy. To wystarczyło, by jej serce zaczęło szybciej bić, a palce zacisnęły się na kierownicy.

Gdy zajechali pod dom Maxa, Nick wprowadził motocykl do garażu, a potem podszedł do niej.

- Sprawdzę, co z Maxem. Wejdiesz ze mną?

- Nie, poczekam tutaj.

Widziała, jak zastukał do drzwi. Musiał bardzo długo czekać, zanim się otworzyły. Max był w piżamie i szlafroku. Zamienił z Nickiem zaledwie parę słów, po czym zatrzaskał drzwi, ledwie spojrzawszy w jej kierunku.

- Mówi, że wczoraj wyszedł na piwo - poinformował ją Nick. - Czasami istotnie tak robi. To co, jedziesz do Rounders?

- Jako twój osobisty ochroniarz jestem do usług - zasalutowała.

Uśmiechnął się szeroko i poszedł uruchomić furgonetkę.

Gdy dotarli do Rounders, zamiast zaparkować jak zwykle, z tyłu budynku, stanął przy drzwiach wejściowych. Widząc, że Taylor siedzi na fotelu, podszedł do niej.

- Dlaczego nie wysiadasz?

- Wiesz, chyba najlepiej zrobię, jeżeli od razu pojedę do Oxfordu. Chciałabym też pogadać z glinami o pożarze u Eberhardta. Ciekawa jestem, czy nadal uważają, że to był nieszczęśliwy wypadek.

- Wezmiesz z sobą Mela, mam nadzieję? Wolałbym, żebyś w (Mordzie nie natknęła się na Lewisa.

- Przecież nie będzie do mnie strzelał w samo południe, przy ludziach.

- Ponieważ tak bardzo lubisz podkreślać, kto tu jest klientem, a kto detektywem, przyjmij do wiadomości, że twój klient chce, żebyś była cała i zdrowa.

- Twój detektyw ma takie samo pragnienie - powiedziała, zerkając na zegarek. - Nie musisz dziś rozmawiać z Dannym, wiesz o tym?

- Wiem. Kiedy brałaś prysznic, zatelefonowałem do Rica Cabrizzo i poprosiłem, żeby wystąpił jako mój adwokat. Umówiliśmy się na spotkanie. Teraz, gdy gazety ujawniły nazwisko Clary, nie muszę przynajmniej udawać, że nie wiem, kim była.

- Bądź ostrożny z Dannym. On jest bardzo sprytny. I przede wszystkim staraj się nie wyprowadzić go z równowagi.

- Nie mam takiego zamiaru.

- Wyprowadzasz go z równowagi już samym swoim istnieniem - powiedziała, włączając silnik.

- Wróc przed zmrokiem, dobrze? - Położył rękę na jej ramieniu.

- Dobrze - uśmiechnęła się. - Nic mi się nie stanie.

Przez moment myślała, że ją pocałuje. Chciała tego na przekór wszystkiemu, co powiedziała wcześniej, ale Nick powiódł tylko palcem po jej brodzie. Poczowała się zawiedziona. Najwyraźniej zamierzał dostosować się do jej życzenia i nie stwarzać kłopotów emocjonalnych podczas pracy.

- Czy ktoś ci powiedział, że masz piękną szczękę?

- Całkiem jak z granitu, prawda?

- Granit można skruszyć. Lepiej go nie testować.

W Oxfordzie najpierw skierowała swe kroki do miejscowej Izby Handlowej, by dowiedzieć się, które z przedsiębiorstw pogrzebowych uchodzi za najlepsze. Pięć minut później rozmawiała z recepcjonistką firmy Holcroft - Nevins organizującej pochówki Clary Eberhardt.

- Mój Boże, czy to nie okropne? Ona i mąż, w ciągu paru dni... - załamała rękę pracownica. Jej włosy były ufarbowane na tak głęboki odcień czerni, że aż zdawały się zielonkawe.

Taylor spojrzała w głąb mrocznego korytarza, skąd dochodził dźwięk organów elektrycznych.

- Czy przywieziono już ciało?

- Jeszcze nie. Spodziewamy się, że będzie tu dopiero jutro albo pojutrze. - Kobieta potrząsnęła głową. - Przykro mi, nie wystawiliśmy jeszcze księgi kondolencyjnej, więc nie można się wpisywać. A pani z rodziny?

- Przyjaciółka.

- A może pani jest dziennikarką z Memphis, co? - zapytała kobieta podejrzliwie.

- Nie. Czy w tej chwili jest tutaj ktoś z rodziny? Pracownica zerknęła w kierunku sekretariatu znajdującego się na początku korytarza.

- Trudno mi powiedzieć, nie wiem.

Taylor uśmiechnęła się i usiadła na jednym z krzeseł stojących pod ścianą. Nawet jeżeli teraz nikogo nie ma, na pewno w końcu ktoś się zjawi.

- Ma pani zamiar tu zostać?

- Przyjechałam z daleka, odpoczną minutkę - potwierdziła Taylor. Kobieta sięgnęła po słuchawkę wyposażonego w dziesiątki przycisków aparatu, ale zaraz ją odłożyła. Energicznie odepchnęła krzesło i wstała. W tej samej chwili otworzyły się drzwi sekretariatu. Wyszli stamtąd kobieta i mężczyzna.

Taylor od razu pomyślała, że kobieta jest krewną Clary, może nawet siostrą. Wyglądała na trochę młodszą, miała bardzo podobną twarz i bardzo jasne włosy.

- Dzień dobry. Jestem Taylor Hunt. Bardzo mi przykro z powodu pani siostry - zaryzykowała, ze smutnym uśmiechem wyciągając do kobiety rękę.

Kobieta uściśnęła podaną dłoń.

- Czy pani się z nią przyjaźniła? - zapytała. W jej wymowie pobrzmiwał południowy akcent, ale dało się też wyczuć inne naleciałości. Może mieszka w Chicago?

- Jestem prywatnym detektywem i zajmuję się tym zabójstwem.

- A po cóż to? Kto panią wynajął? - zmarszczyła brwi kobieta.

- Wynajęto mnie w innej sprawie, która jak się okazało, jest związana z tą. - Taylor zerknęła na mężczyznę i recepcjonistkę, którzy pilnie nasłuchiwali. - Czy może mi pani poświęcić pięć minut?

Była pewna, że spotka ją odmowa. Kobieta już otwierała usta, by powiedzieć „nie”, lecz zamiast tego wybuchnęła płaczem.

- Chodźmy stąd - wyszeptała, chwytając Taylor za rękę. - Ten obłudny typ tylko czeka, żeby rozpuszczać plotki. O mój Boże, morderstwo w rodzinie!

- Niestety, takie czasy - rzekła Taylor, pomagając jej wsiąść do swojego auta. - Tu obok jest placyk, przy którym można napić się kawy.

- Dobrze, jedźmy. - Kobieta uśmiechnęła się przez łzy. - Przepraszam, że tak się rozkleiłam, ale to drugi pogrzeb w ciągu tygodnia. Jestem Estelle Grierson.

- Clara to pani jedyna siostra?

- Tak. Wie pani, już ona była bardzo późnym dzieckiem, a gdy ja przyszedłam na świat po dwóch latach, rodzice przeżyli szok. Takie rzeczy w protestanckiej rodzinie... Wychowywano nas w surowej, purytańskiej atmosferze. Może dlatego, gdy poszliśmy na studia, tak rozsmakowaliśmy się w wolności.

- A więc studiowałyście razem? Ktoś mówił mi już o tym, że Clara była w Ole Miss, ale o pani nie słyszałam.

- Ach tak? - Estelle nie wykazała jednak zainteresowania jej słowami.

Weszły do pustego baru. Pora była zbyt późna na śniadanie, a za wczesna na lunch. Estelle zamówiła kawę, Taylor wzięła mrożoną herbatę.

- W sobotę wróciłam do Chicago i proszę, już jestem z powrotem. - Estelle wrzuciła do filiżanki dwa słodziki. - Mąż Clary zginął w poprzedni wtorek. Ale proszę mi powiedzieć, dlaczego zajmuje się pani sprawą Clary. Przecież to robi policja.

- Nie zajmuję się nią bezpośrednio, ale mój klient uważa, że pan Eberhardt też został zamordowany.

- Nie wierzę. Gdyby pani widziała tę jego galerię... Tyle materiałów łatwopalnych i żadnych zabezpieczeń.

- Proszę mi opowiedzieć o waszym pobycie w Ole Miss.

- Myśli pani, że sprawy sięgają tak daleko? - zapytała bez przekonania Estelle. - Ale skoro to miałyby pomóc w wykryciu sprawcy... Właściwie nie ma nic do opowiadania. Nie byłyśmy dobrymi studentkami, czas poświęcałyśmy głównie na zabawę.

- Podobno Clara miała buntowniczą naturę. Włączyłyście się może do jakiegoś ruchu feministycznego, walczyłyście o prawa dla mniejszości rasowych?

- Nie zajmowałyśmy się aż tak szlachetnymi sprawami. Nasz bunt sprowadzał się głównie do hasła: seks, narkotyki i rock and roli.

- Narkotyki?

- Oczywiście, nie te mocne. Wie pani, robiło się skrety na prywatkach. Tylko że te prywatki zaczynały się w piątek, a kończyły w poniedziałek.

- Znała pani chłopców, z którymi siostra się spotykała?

- Wszystkich. W każdym razie większość. - Estelle upiła łyk kawy i spojrzała w przestrzeń, ponad ramieniem Taylor.

- Czy był między nimi niejaki Max Beaumont?

- Z którego był rocznika?

- Prowadził zajęcia z obrony cywilnej.

- A, ten Max. Zapomniałam jego nazwiska. Niezwykle przystojny facet. Starszy od naszych kolegów, przeszedł przez

Wietnam i tak dalej. Miał żonę, ale nie układało mu się z nią. Gdyby Clara nie zaczęła z nim sypiać, sama bym go złapała.

- Estelle potarła ręką policzek. - To chyba brzmi okropnie.

Taylor uśmiechnęła się i pokręciła głową, czekając na dalszy ciąg.

- Oczywiście, Clara zwykła mawiać, że nie jesteśmy w niczym gorsze od tych wrednych wydr z konfraterni, a różnimy się od nich tylko tym, że one zawsze robią te rzeczy w białych rękawiczkach. - Zachichotała krótko, lecz zaraz spoważniała.

- Nieczęsto się widywałyśmy w ostatnich latach, rozumie pani; ja w Chicago, ona tutaj, była mi jednak bardzo bliska.

- Czy lubiła pani jej męża?

- Helmuta? Raczej tak, mimo że był dziesięć lat starszy i zawsze podejrzewałam, że on ma pewne wątpliwości co do tego, czy w ogóle powinien mieć żonę. Rozumie mnie pani?

- Dlaczego za niego wyszła?

- Dla pozycji społecznej i pieniędzy. Chciała żyć na wysokiej stopie, lepszej partii niż Helmut nigdzie by nie znalazła. To był jej rewanż na wydrach z konfraterni. W kuchni miała takie meble, jakich one nie mogłyby mieć nawet w salonie. Z czasem najwięksi buntownicy stają się największymi konformistami, to stara prawda. Mnie to zresztą też dotyczy. Wyszłam za faceta z doktoratem z bardzo konserwatywnej, zamożnej rodziny.

- Nie mieli dzieci, prawda?

- Nie chcieli.

- A pani?

- Mam dwóch synów i córkę.
- Była pani na pogrzebie szwagra...
- Trudno nawet tak nazwać tę uroczystość. Niewiele z niego zostało.

- Siostra nie chciała zatrzymać pani na dłużej?
- Musiałam wracać. Nels, mój mąż, miał ważne spotkanie służbowe. Obiecał jej, że wkrótce przyjedzie i pomoże jej uporządkować takie sprawy, jak ogłoszenie praw do spadku, oświadczenie dla urzędu podatkowego i tak dalej. - Wzdrygnęła się nagle. - W tej chwili trzeba to załatwić za nich oboje.

Taylor pokiwała głową i spytała obojętnie:

- Czy była pani teraz w ich domu?
- Tak - odparła Estelle, po raz pierwszy patrząc na nią podejrzliwie.
- Nie mam nic wspólnego ze zniszczeniami, jakie pani tam zastała.

- To skąd pani o nich wie?
- Mam przyjaciół na policji. Wyjaśnienie zostało przyjęte. Estelle poprosiła kelnerkę o jeszcze jedną kawę.

- Dlaczego ktoś to zrobił? I dlaczego Clara nie żyje? - Estelle wytarła oczy, które znowu zaszkliły się od łez:

- Dom był ubezpieczony, prawda? Estelle spojrzała na nią ze zdziwieniem, jakby nigdy dotąd nie przyszło jej to do głowy.

- Myślę, że tak - zmarszczyła brwi - ale na pewno ubezpieczenie nie obejmowało całego wyposażenia. Tam były bardzo cenne rzeczy,

bo najpiękniejsze okazy Helmut zatrzymywał zwykle dla siebie. Nie potrafił się z nimi rozstać.

- Czy znalazła pani testament siostry?

- Tak, jej i Helmuta. Były w skrytce bankowej.

Taylor wstrzymała oddech. Zastanawiała się, jak dalece może posunąć swą natarczywość. Nawet osoba tak gadatliwa jak Estelle Grierson mogłaby nie znieść pytania o to, czy w skrytce znajdowało się coś jeszcze oprócz testamentów.

- Był tam może jakiś spis rzeczy, zdjęcia? Ludzie czasami filmują na wideo albo robią dokumentację fotograficzną posiadanych przedmiotów. W razie kradzieży mogą pokazać je policji czy ubezpieczeniu.

- Było kilka polaroidów, ale nie wiem, czy przedstawiały przedmioty pochodzące z domu, czy z galerii.

- Jakie przedmioty?

- Kryształ, porcelanę, trochę sreber, antycznej biżuterii.

- Myślę, że gdyby udało się pani porównać te zdjęcia na przykład z potłuczoną porcelaną, łatwiej odzyskałaby pani pieniądze z ubezpieczenia.

- Dziękuję za tę wskazówkę, pani... Taylor, dobrze zapamiętałam?

- Tak. Gdyby pani zechciała, chętnie w tym pomogę - rzekła, modląc się w duchu, by Estelle złapała przynętę.

- Policja powiedziała, że będę mogła tam wejść najwcześniej jutro. Ale ja pani właściwie nie znam i nie mogę tak pani wykorzystywać.

- Zapewniam, że może pani.

- Cóż... zobaczymy - zaśmiała się Estelle. Taylor, rozochocona tym, że idzie jej tak dobrze, postanowiła dalej próbować szczęścia.

- Słyszałam, że pan Eberhardt czasami w interesach balansował na granicy uczciwości.

Wbrew jej oczekiwaniom ta uwaga, zamiast wywołać gniew, skłoniła Estelle do śmiechu.

- Myślę, że mało który handlarz antykami jest naprawdę uczciwy. Helmut traktował to jak swego rodzaju zabawę. Myślę, że to nawet pociągało Clarę. Ludziom wydawał się taki stateczny, a w gruncie rzeczy bawił się ich kosztem. Do rozpuku śmiał się z tych nowobogackich, którzy wydawali ciężkie pieniądze, nie mając pojęcia, za co płacą.

- Czy Clara...

- Oczywiście. Czasami obydwójce zachowywali się jak dwoje rozbrykanych dzieci. Muszę przyznać, że dla mnie i Nelsa Helmut wyszukał naprawdę piękne meble i bibeloty. Dzięki niemu mamy wspaniale urządzone dom.

- Czy trzymał cały towar w galerii, czy też może miał jakiś osobny magazyn?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Po co by mu to było?

- Może po to, by nie podrabiać rzeczy tam, gdzie ktoś mógł jednak go przyłapać.

- Niewykluczone, ale żadne z nich mi o tym nie mówiło. - Estelle pociągnęła łyk kawy i zapatrzyła się w przestrzeń.

Taylor chrząknęła, gotowa zadać następne pytanie, co prawda niezbyt mądre, ale chodziło jej głównie o to, by Estelle nie przestała mówić. Ta jednak ją uprzedziła.

- Wie pani, że to możliwe...

- Słucham?

- Przypominam sobie ostatnią wizytę Clary u nas. Urządziłam przyjęcie, ona trochę się upiła i po wyjściu gości pojechałyśmy nad jezioro na spacer. Tylko we dwie, żeby pogadać. - Estelle znowu zaszlochała. - Śmiałyśmy się wtedy jak wariatki, z siebie, ze swoich porządnych mężów i ich prawicowych przekonań. W pewnym momencie Clara powiedziała, że odłożyła na potem tyle rupieci - właśnie tak się wyraziła - że przez najbliższe trzysta lat mogłaby szaleć z Helmutem po Europie. Ona uwielbiała wyjeżdżać do Europy. Mieszkali wtedy w najlepszych hotelach, a wszyscy ci zrujnowani arystokraci, których spotykali, wyskakiwali ze skóry, byle tylko Helmut kupił ich rodowe srebra i zostawił w zamian gotówkę.

- Chyba rzeczywiście bardzo się zmieniła od studenckich czasów.

- Ja też, ale ja zawsze ją naśladowałam. Miała naturę przywódcy.

- Domyślam się, że zostawiła pani cały majątek.

- Nie miała nikogo innego. Helmut zapisał jej wszystko w swoim testamencie, a ona mnie w swoim. - Oczy Estelle nagle zrobiły się

wąskie jak szparki. - Chyba nie myśli pani, że miałam powód, żeby zamordować własną siostrę, którą tak kochałam?

- Absolutnie nie. - Taylor pokręciła głową. - Poza tym była pani w Chicago, zarówno w momencie jednej, jak i drugiej tragedii, prawda?

- Prawda. Mogę to udowodnić.

- Chciałam tylko powiedzieć, że jeżeli te „rupiecie” rzeczywiście gdzieś są złożone, to pani jako wykonawczyni testamentu musi się dowiedzieć, gdzie one są.

- Chyba tak - stwierdziła Estelle i po krótkim namyśle poklepała Taylor po ręce. - Pani umiałaby je znaleźć, mam rację?

- Przykro mi, ale jestem już związana umową ze swoim klientem, jeżeli jednak dowiem się czegokolwiek, z przyjemnością dam pani znać.

- Doskonale. - Estelle zanurzyła rękę w torebce z krokodylej skóry, wyjęła złote pióro wieczne Watermana i zapisała na serwetce numer telefonu. - Zatrzymałam się w Holiday Inn. Nels ani dzieci nie przyjadą na pogrzeb, to nie miałoby sensu. Kiedy wrócę do domu, będzie mnie pani mogła znaleźć pod tym numerem.

Taylor złożyła serwetkę na czworo i ją schowała.

- Jedną rzecz mogłaby pani zrobić od razu - poradziła. - Mam na myśli sprawdzenie kont siostry i jej męża. Bank może mieć stałe zlecenie na opłacanie czynszu za jakiś lokal.

- Boję się, żebym nie ściągnęła na siebie kłopotów, jeżeli oni robili jakieś podejrzone rzeczy.

- Trudno cokolwiek przewidzieć. Niczym jednak pani nie ryzykuje, zwracając się do banku, a to może okazać się pożyteczne. Zrobi to pani?

- Chyba nie mam wyjścia - odparła Estelle, sięgając po portfel i wstając.

- Proszę zostawić, ja zapłacę - powstrzymała ją Taylor i zaryzykowała jeszcze jedno pytanie. - Czy mówi coś pani nazwisko Josh Chessman?

Estelle z wrażenia usiadła z powrotem.

- Oczywiście, że znam tego szubrawca!

- Proszę mi coś o nim powiedzieć.

- Clara zaszła z nim w ciążę, ale on nie chciał się żenić. Straciła wtedy dziecko i omal nie umarła. Musiała sprzedać samochód, żeby zapłacić za szpital i żeby rodzice niczego się nie dowiedzieli. Potem nie mogła już mieć dzieci, nawet gdyby chciała. Co Josh Chessman ma z tym wszystkim wspólnego?

- Być może nic, ale on i Max Beaumont są współnikami w Rounders. To jest pracownia rzeźbiarska w Memphis i tam znaleziono pani siostrę.

Następnym miejscem, do którego udała się Taylor, była komenda policji. Po długich poszukiwaniach zdołała dotrzeć do Toma Owenwalda - oficera, który prowadził dochodzenie w sprawie spalonej galerii.

- Czy zna się pani trochę na podpaleniach? - zapytał, gdy podzieliła się z nim swoimi wątpliwościami.

- Trochę. Miał pan takie podejrzania?

- Problem polega na tym, że trzeba mieć dowody, a te dowody to ślady podłożonych substancji łatwopalnych - benzyny, nafty i tak dalej.

- Nie było żadnych?

- Całe zaplecze galerii to był jeden wielki magazyn tego świństwa. Rozpuszczalniki, rozcieńczalniki, farby, denaturat i Bóg wie co jeszcze. Dziwię się, że dopiero teraz doszło do wypadku. Na suficie były zamontowane wentylatory, więc gdy pojawił się ogień, dostarczały tlenu, żeby lepiej się paliło.

- Trudno mi uwierzyć, żeby Eberhardt nie zrobił żadnych zabezpieczeń.

- Widzi pani, jak ludziom czasem brakuje wyobraźni. Naszym zdaniem iskra poszła od pistoletu ciepłego. Wie pani, co to jest?

- Tak, widziałam kiedyś coś takiego - potwierdziła.

- Wygląda jak duża suszarka do włosów - objaśnił na wszelki wypadek Owenwald. - Podgrzana nim warstwa farby zaczyna się łuszczyć i można ją łatwo zeszkrobać. Podejrzewamy, że Eberhardt zaczął się dymem i wyziewami już na początku pożaru, który zresztą w ogóle nie trwał długo. Wszystko paliło się jak słoma.

Taylor postanowiła dążyć dalej.

- Czy ktoś mógł ogłuszyć Eberhardta, podłożyć ogień pod chemikalia i uciec?

- Oczywiście, ale musiałyby mieć sporo szczęścia, żeby się stamtąd wydostać. Mógł nie zdążyć.

- Znaleźliście jakieś ślady obrażeń głowy u Eberhardta?
- Uznaliśmy, że upadł i uderzył się, więc nawet złamanie podstawy czaszki nie mogłoby zostać uznane za dowód.
- Wie pan, że wczoraj znaleziono zwłoki jego żony?
- Aha. Dziwny zbieg okoliczności.
- Bardzo dziwny - powiedziała cynicznie. - Zna pan tego Eugene'a Lewisa, który u niego pracował?
- Czy go znam? - zaśmiał się Owenwald. - Mam zamiar wkrótce go przyskrzynieć. To postrach tutejszych barów, urządza awantury po pijanemu.
- Czy mogłabym mieć kopię raportu w jego sprawie?
- Proszę bardzo. Sprawa jest zamknięta, nie mamy żadnych tajemnic.

Przed opuszczeniem Oxfordu Taylor zajrzała jeszcze do sądu hipotecznego. Pod nazwiskiem „Eberhardt” figurowały tylko dwie posesje - dom oraz galeria. Gdy po skończonych poszukiwaniach wyszła przed budynek, słońce już zachodziło. Nie ma szans, by wrócić do Rounders przed wieczorem.

Przy wyjeździe z miasta zauważyła z tyłu czarną toyotę pick - upa. Samochód trzymał się jej dość długo, ale gdy skręciła na autostradę, zniknął. Pomyślała, że tak czy owak Eugene Lewis nie mógłby jeździć tak kosztownym autem, a zresztą odniosła wrażenie, że za kierownicą siedział jakiś przystojniak.

Rozdział 9

Dojeżdżała do przedmieść znajdujących się na południe od rzeki Missisipi, gdy wraz z zapadaniem ciemności zaczął kropić deszcz. Mimo że większość ludzi opuszczała teraz miasto po pracy, na autostradzie wiodącej do centrum było i tak bardzo tłoczono.

Nie zwracała już uwagi na samochody pojawiające się w jej lusterku wstecznym. Prowadziła bardzo szybko, nie mogła więc nawet sięgnąć po telefon komórkowy, by zadzwonić do Nicka. Za kwadrans będą razem, lepiej nie ryzykować wypadku. Mel też może poczekać jeszcze parę chwil na jej relację.

Powinien jej pogratulować, bo odwaliła przecież kawał dobrej roboty. Najwyższy czas, by wreszcie przyznał, że jest profesjonalistką.

Miała ochotę uczcić to zwycięstwo. Pomyślała, że zanim pojedą z Nickiem do jej domu, gdzie czeka spragniony towarzystwa i jedzenia Elmo, umówią się z Melem w mieście na dobrego steka. Zanim pojedą z Nickiem do jej domu... Jeżeli powiedział prawdę, to żadne z nich nie wyspało się poprzedniej nocy. Ona też budziła się co chwilę, świadoma jego obecności. Przyglądała mu się nawet ze swojego pięterka. Widziała go dość dobrze, bo z łazienki dochodziło światło, które zostawiła na noc. Szczęściarz z tego Elma, całą noc spędził przytulony do Nicka.

Zagłębiając się w ulicę, u wylotu której znajdował się placyk i budynek Rounders, poczuła się nieswojo. Gdy dwa dni temu - czyżby to były dopiero dwa dni? - wieczorem tędy jechała, okolica nie wyglądała aż tak ponuro.

Zatrzymała się, przewiesiła torbę przez ramię i otworzyła drzwi. Mżyło, pogoda była naprawdę nieprzyjemna. Zrobiła kilka susów, chcąc jak najszybciej znaleźć się pod dachem.

W ułamku sekundy dotarło do niej, że coś jest nie w porządku. Rozległ się chrzęst kroków. Ciężka łapa zatkała jej usta i nie pozwoliła krzyknąć. Napastnik przełożył drugą rękę pod jej piersiami i ścisnął tak, że unieruchomił jej ramiona.

- Przejedziemy się kawałek, słoneczko - wyszeptał jej do ucha. Usłyszała stłumiony rechot.

Nie dotykała już stopami ziemi, a on ją niósł. Usiłowała się opierać, jednak na nic się to nie zdało. Potężne łapska uniemożliwiały jakikolwiek ruch. Chodziła kiedyś na kursy samoobrony dla kobiet, a jakże. Jeżeli wsiądzie z nim do samochodu, to jakby już nie żyła.

To na pewno Eugene, pomyślała. Dolatywał ją kwaśny zapach potu i długo nie pranych ubrań. Tylko taki wielkolud miałby siłę, żeby ją ścisnąć i unieść w ten sposób. Znowu szarpnęła się z całej siły, i znowu nie dało to najmniejszego rezultatu. Krzyczeć w dalszym ciągu nie mogła, bo miażdżył jej wargi. Czuła smak własnej krwi. Metalowa sprzączka i ćwieki z jego paska u spodni kłuły ją w plecy. Miał erekcję. Zamierzał ją zgwałcić i zakopać gdzieś w lesie.

Oddalali się coraz bardziej od Rounders, od światła, od Nicka. Dostrzegła czarną toyotę, która przyjechała tu za nią z Oxfordu. Bezużyteczny rewolwer leżał teraz na siedzeniu jej własnego pick - upa, torba z telefonem objęła się o jej nogi, a ona nie mogła do niej sięgnąć... Na kursach samoobrony przerabiała takie sytuacje, ale

wtedy nie padał deszcz, w sali było jasno, instruktor mobilizował do walki, a facet, z którym walczyła, szedł z nią po zajęciach na kawę.

- Spokojnie, zobaczysz, będzie fajnie - szeptał, a ona czuła na policzku zapach nikotyny i przetrawionego alkoholu.

To twoja ostatnia szansa, pomyślała. Przestań się opierać. Niech on będzie przekonany, że mu się poddajesz.

Tego się nie spodziewał. Ręka zamykająca usta Taylor osunęła się odrobinę, uścisk na piersi zelżał na ułamek sekundy. To wystarczyło, by mogła go ugryźć. Wrzasnął z bólu, a wtedy ona zrobiła obrót i obiema stopami wskoczyła mu na podbicie prawej nogi.

Instynkt kazał jej natychmiast uciekać, ale rozum mówił, że bandyta zaraz ją dogoni i nie da się oszukać po raz drugi, rzuciła się więc na niego z pazurami, podrapała go po twarzy i z całej siły uderzyła kolanem w krocze. Skulił się z bólu, a wtedy kopnęła go pod kolanem. Gdyby miała ciężkie buty, złamałaby mu kość, a tak osiągnęła tyle, że się przewrócił.

Leżał, ale nie był pokonany. Ujęła za pasek swoją torbę, wzięła rozmach i ugodziła nią bandytę w twarz. Wykorzystując cenne sekundy, rzuciła się do ucieczki. Dopadła do wejścia i nacisnęła całą dłońią domofon. Nick otworzył natychmiast.

W środku zatrzęsnęła drzwi i przylgnęła do nich plecami. Z zewnątrz doszedł ją odgłos włączanego silnika samochodu. Oddychała z trudem, była mokra od potu. Miała wrażenie, że skaczący puls za chwilę rozerwie jej żyły.

- Taylor, wszystko w porządku?! - zawołał Nick z góry. Gdyby tak mogła wbiec na górę, schronić się w jego ramionach, a potem zrzucić ubranie, pozbyć się pod prysznicem zapachu potu, wypłukać krew z ust... Gdyby... Nie mogła tego zrobić, bo Nick natychmiast zażądałby, żeby zostawiła całą sprawę Melowi.

- Tak. Już idę, tylko się otrzępię, bo pada.

Wszystko rozegrało się w ciągu minuty, najwyżej dwóch. Kilka kroków stąd walczyła o życie, a Nick siedział spokojnie u siebie, niczego się nie domyślając.

Przygładziła ręką włosy, wytarła usta, obciągnęła ubranie. Odetchnęła głęboko i zaczęła wchodzić na górę.

To jej wina, nie zachowała elementarnych zasad ostrożności. Na przyszłość będzie uważać. I zrobi wszystko, by Mel oraz Nick należycie chronili się przed Eugene'em. Będzie też musiała zasugerować jakoś Danny'emu, że ten typek jest kluczem do całej sprawy. O napadzie jednak się nie dowiedzą. Nigdy.

Rozdział 10

Wszedłszy na górę, minęła Nicka z obojętną miną. Miała nadzieję, że weźmie jej przyspieszony oddech za efekt wspinania się na drugie piętro.

- Umówiliśmy się przecież, że wrócisz przed wieczorem - powiedział.

- Zupełnie jakbym słyszała Mela! - Pokręciła głową, starając się nadać swojemu zachowaniu pozory bez troski. - Po prostu w Oxfordzie zeszło mi dłużej, niż myślałam.

Zobaczyła, że nie są sami. Niski brunet, który stał w głębi pokoju, zdawał się ucieleśnieniem tego rodzaju elegancji, do jakiej zawsze dążył Danny Vollmer - czasami bezskutecznie.

- Dzień dobry. Jestem Rico Cabrizzo - rzekł z uwodzicielskim uśmiechem i wyciągnął do niej wypielegnowaną dłoń.

Był ubrany w wytworny granatowy, szyty na miarę garnitur. Fryzurę miał akurat w tej chwili podobną do Nicka - ciemne, falujące włosy średniej długości - z tą różnicą, że zapewne co tydzień bywał u fryzjera, podczas gdy Nick czekał, aż włosy zaczną mu sięgać kołnierza. Nawet teraz, w listopadzie, cera Rica imponowała świeżą opalenizną.

Uścisk, którym ją przywitał, trwał odrobinę za długo, by mógł to być przypadek. Nawet gdyby jednak nie umknęła właśnie potencjalnemu gwałcicielowi i mordercy, Rico i tak by jej nie zainteresował. W porównaniu z Nickiem każdy przedstawiciel płci odmiennej wydawał się jej teraz nieudolną kopią mężczyzny.

Rico przekrzywił lekko głowę, spojrzał na nią taksującym wzrokiem, po czym z aprobatą pokiwał głową w stronę Nicka. Taylor poczuła uderzenie gorąca. Czyżby miała wypisane na twarzy, jak bardzo ciągnie ją do Nicka?

Zaczęły jej drżeć kolana. Kanapa była najbliższym meblem, na którym mogła usiąść. Położyła obok siebie torbę, nie chcąc, by któryś z mężczyzn usadowił się zbyt blisko. Miała mdłości - najwyraźniej jej organizm reagował w taki sposób na stres.

- Chciałabym się czegoś napić - powiedziała. W gardle nie została jej kropla śliny. Zdawało się jej, że piszczy zamiast mówić.

- To ma być napój bezalkoholowy, jak się domyślam? - zapytał Nick.

Zmusiła się do uśmiechu i odgarnęła włosy z czoła.

- Może masz fantę albo niskokaloryczną colę? - Dyskretnie oblizwała wysuszone usta. Uświadomiła sobie, że jeszcze przed chwilą dotykał ich Eugene i poczuła jeszcze większe mdłości.

Po chwili Nick wrócił z colą w puszcze. Taylor jednym haustem wychyliła połowę.

- Lepiej? - Nick wziął krzesło, ustawił je oparciem do przodu i usiadł okrakiem naprzeciwko Taylor. Rico oparł się o regał, patrząc na nią ciągle tym samym, taksującym wzrokiem.

- Zdecydowanie. - Wypiła resztę coli i postawiła puszkę na niskim stoliku obok. - A co z tobą? Jak poszło z Dannym?

- Wściekał się, że nie zgłosiłem kradzieży ani nie powiedziałem mu o śmierci Eberhardta. Usiłował zrobić z tego motyw, dla którego zabiłem Clare.

- To śmieszne.

- Też tak mu powiedziałem - zarechotał Rico.

- Poradzę mu, żeby się skontaktował ze swoim kolegą po fachu, Tomem Owenwaldem. To oficer, który prowadził sprawę Eberhardta. Ucieliśmy sobie miłą pogawędkę.

- Wyrazy uznania - rzekł Rico.

Podszedł do Taylor, bez pytania przestawił jej torbę na stolik, po czym z gracją baletmistrza usiadł obok na kanapie.

- Jestem w tej chwili pewna, że to Eugene strzelał do ciebie - zwróciła się do Nicka, starając się nie przejmować zachowaniem jego adwokata.

- Dowiedziałaś się dziś czegoś?

- Gliny z Oxfordu go znają. - Wahala się odrobinę za długo. - Eberhardt trzymał go jako chłopaka do wszystkiego. Jest bardzo silny.

- Myślisz, że to on zabił Clare? - zapytał Nick.

- To nie w jego stylu. On by dał jej w głowę i zostawił tam, gdzie upadła. - Zadrzała na myśl, że to samo mogło ją spotkać. - Jej morderca to ktoś precyzyjny, opanowany, inteligentny. Zresztą, czy wyobrażasz sobie Clare Eberhardt umawiającą się z Eugene'em w hotelu Windwick albo jadącą tutaj o zmroku?

- Skoro dla niej pracował, nie bała się go - wtrącił przytomnie Rico.

- Po śmierci męża mogła zacząć się bać - zaproponowała Taylor.

- Czy twoim zdaniem to on ma teraz rzeźby? - Nick nie zamierzał zgłębiać tego zagadnienia. Chciał jak najszybciej otrzymać odpowiedź na swoje pytania.

- To się wydaje prawdopodobne. Może mieć nie tylko rzeźby, ale też dowody kradzieży. Jeżeli rzeczywiście tak jest, trzyma w garści człowieka, który był wtyczką w Rounders.

Rico z przejęciem zwrócił się do Taylor:

- Proszę sobie wyobrazić, że przez dwadzieścia minut usiłowałem przekonać Nicka o tym, iż nie spoczywa na nim żadna odpowiedzialność w związku z tą kradzieżą. Wcale nie musi spłacać Marleya. Nabywca sam powinien pilnować swojego interesu. Nick ani nie przerobił rzeźb tak, żeby wyglądały na starsze, ani ich nie sprzedał, ani wreszcie nie podrobił świadectw pochodzenia. Jeżeli Marley był na tyle naiwny, by zapłacić trzydzieści pięć tysięcy sprzedawcy, którego nie znał, może mieć pretensje tylko do siebie.

- No i co, udało się panu go przekonać? - zapytała.

- Proszę zgadnąć.

- Nie muszę. Nick poruszył się niespokojnie na swoim krześle.

- Mam moralne zobowiązania, nie rozumiecie?

- Moralne, tak - zadrwił Rico. - Marley cię szantażuje, a ty mu na to pozwalasz.

- Posłuchaj, Nick. - Taylor przyszedł do głowy nowy pomysł. - Przecież mógłbyś dać ogłoszenia do fachowych czasopism,

zawiadomić o kradzieży i ostrzec w ten sposób ewentualnych nabywców.

- Mógłbym, ale zdecyduję się na to tylko w ostateczności. Ludzie i tak mówiliby, że nie ma dymu bez ognia. Tylko jeżeli sprawa morderstwa zostanie wyjaśniona, będę zupełnie wolny od podejrzeń.

- Drogi Nicku, ludzie zawsze plotkują, taka ich natura - skomentował Rico. - Pozwól mi przynajmniej porozumieć się z Marleyem. On powinien wystąpić o odszkodowanie z majątku po Eberhardcie. My zresztą też - za kradzież, straty moralne i tak dalej.

- Jeszcze nie teraz - westchnął Nick. - Nie licz zresztą na współpracę ze strony jego prawników. On nie chce, żeby się ktokolwiek dowiedział, że dał się nabrać.

- Oj, ciężko się z tobą dogadać. Czuję się za ciebie odpowiedzialny, nie tylko dlatego, że jestem twoim adwokatem, ale też przyjacielem.

Równie dobrze możesz być złodziejem i podwójnym mordercą, pomyślała Taylor.

- A teraz mamy dla pani wielką niespodziankę - obwieścił uroczyście Rico.

- Nie wygłupiaj się. - Nick machnął ręką ze zniecierpliwieniem, po czym wyjaśnił: - Jesteśmy zaproszeni do Josha, żeby obgadać strategię.

- Chyba czegoś nie zrozumiałam. - Spojrzała pytająco na obu mężczyzn.

- Chodzi o to, że u państwa Chessmanów przyjmuje się wyłącznie osoby zasłużone i sławne - wyjaśnił Rico z ironią. - Dotąd nie miałem zaszczytu być do nich zaproszony, chociaż jestem przystojnym młodym człowiekiem o całkiem pokaźnych dochodach, które osiągam dzięki dyplomowi dobrej uczelni. Niestety, nie mógłbym pomóc panu Chessmanowi w karierze, więc...

Chessmanowie mieszkali na obrzeżach Germantown, w dużym domu, będącym przykładem stylu, który w języku handlarzy nieruchomościami nazywa się „architekturą pałacową”: jeden poziom, mury z cegły, dużo okien i ogólny brak charakteru.

- Spóźniliście się - mruknęła gderliwie Margery, otwierając drzwi.

Była obwieszona biżuterią jak choinka: trzy złote łańcuchy na szyi, każdy z innym wisiorkiem. Jeden wisior stanowiła spora płytką z białego nefrytu, drugi - sześćdziesięciokaratowy cytryn, trzeci był kopią starożytnej igły hipodermicznej. Zapewne dostała ten oryginalny upominek od dyrekcji jakiegoś szpitala, wdzięcznego za długoletnie wsparcie. Do tego miała złote koła w uszach i ciężką bransoletę na lewym przegubie.

Wnętrze domu przypominało centrum konferencyjne - dużo przestrzeni, mało sprzętów, wszystko bardzo kosztowne. Żadnych bibelotów, książek, poniewierających się po stolikach gazet. Nowiutkie kanapy z beżowej skóry po obu stronach kominka z czarnego marmuru, stół długi, jakby stworzony na potrzeby sztabu

wyborczego. Taylor nie oparła się pokusie i zerknęła na nogi od krzesel - miały kółka.

Josh podszedł, żeby się przywitać. W rogu jednej z kanap siedziała Veda - uśmiechnęła się i uniosła w ich kierunku kieliszek z białym winem - a w przeciwległym rogu Max. Ścisnął w rękę szklanę, której zawartość wyglądała na bourbona z colą.

- O, są wreszcie, cóż za honor - powiedział z przesadną starannością, jak ktoś, kto jest pijany i wysiła się straszliwie, by inni tego nie zauważyli.

- Ja już wychodzę, Josh - rzuciła Margery, całując powietrze w okolicy mężowskiego policzka. - Mam zebranie z zarządem opery.

Josh otworzył usta, by zaprotestować, lecz Margery szła już do drzwi, nie pożegnawszy się z gośćmi. Wzruszył ramionami.

- Coś do picia? - zaproponował. Nick wziął piwo, Taylor niskokaloryczną lemoniadę, Rico

poprosił o whisky z wodą; Wszyscy troje usiedli na drugiej kanapie. Taylor uświadomiła sobie, że jest przeraźliwie głodna, ale na stoliku nie było nawet miseczki ze słonymi orzeszkami.

- No, podejrzeni są już w komplecie. Słynny detektyw - pardon, detektywka - zachichotał złośliwie Max, robiąc ukłon w stronę Taylor - może przystąpić do akcji.

Taylor powstrzymała się od odpowiedzi i spojrzała na Nicka, on jednak też się nie odezwał, tylko wbił w Maxa jadowite spojrzenie.

Veda przechyliła się, by zabrać Maxowi szklanę.

- Kochany, chyba już dosyć wypiliśmy?

Max podniósł gwałtownie rękę, broniąc swej szklanki. Kilka kropel drinka spadło na kanapę. Josh, przerażony, rzucił się natychmiast z serwetką, by wytrzeć plamę.

- Wiesz, Veda, dzisiaj jest specjalna okazja - oznajmił Max. - Jeszcze się nie zdarzyło, żeby najbliższy przyjaciel oskarżył mnie o zabójstwo.

- Przestań - odezwał się wreszcie Nick. - Nikt nikogo nie oskarża.

- A, to dobrze, bo jakby ona mnie oskarżała, to ja oskarżyłbym ją i jej szacowną agencję o pomówienie.

- Ona nie oskarża - zaproponowała Taylor - przynajmniej na razie. Myślałam, że to będzie narada wojenna, a jak widzę, to jest lincz ze mną w roli głównej.

- Max, albo się uspokoisz, albo odwiozę cię do domu. Wybieraj - rzekł chłodno Nick.

- Ooo, jak to uważamy, żeby nie urazić naszej drogiej pani Hunt. Mnie to już się nie boisz urazić?

- Co za głupoty! - powiedział Nick, nadal spokojny. - Zapomniałem już, że z ciebie jest parszywe pijaczysko.

Max zadrzał. Taylor była pewna, że zaraz zacznie się piekielna awantura, lecz Nick zdawał się świadomy tego, jak daleko może się posunąć. Na moment zapadła cisza, po czym Max podniósł szklankę, jakby pił za zdrowie Taylor, i zachichotał.

- W porządku. Przepraszam. Byłem niegrzeczny.

- Nie ma problemu - odparła.

Uznawszy, że czas przystąpić do właściwego tematu, zanim znowu zaczną się zgrzyty, Veda spytała:

- Proszę powiedzieć, czego się pani dziś dowiedziała.

- Czy mogę? Pamiętaj, że pracuję tylko dla ciebie - Taylor zwróciła się do Nicka.

- Mów.

Wzięła głęboki oddech i podała im tyle informacji, ile uznała za stosowne. Kiedy wspomniała o spotkaniu z Estelle Grierson, zobaczyła, że Josh nagle zamienia się w słuch. Nie skomentował jednak jej relacji ani słowem. Max, który przez dłuższy czas obserwował ją ze zmarszczonym czołem, w pewnym momencie rozchmurzył się i przeniósł uwagę na Josha. Zaczął się nawet uśmiechać - tym szerzej, im bardziej obniżał się poziom płynu w jego szklance.

Veda z kolei nie odrywała wzroku od Maxa. Jej mina, z początku zmartwiona, wyrażała coraz większą irytację.

- To wszystko, co wiem - oznajmiła Taylor na koniec.

- Uuu, to się pani nie popisała - Max znowu zaczął swe złośliwości. - Nick, lepiej zapłacić, ile jesteś winien, i ją odeślij. Niech policja zajmuje się sprawą.

- Rzeczywiście, nie znalazłam dowodów na to, że pan albo doktor Chessman ukradliście te rzeźby. Jeszcze nie.

- O, kotek pokazuje pazurki. Nick otworzył usta, lecz Taylor poprosiła go gestem, żeby

nic nie mówił. Pomyślała, że Nick wyrażał się o Maksie jako o gentlemanie, a tymczasem ma tu przed sobą prostaka.

- Co, może mamy się z Joshem wypowiadać? A może wyjmie pani pałkę i siłą wyciągnie z nas zeznania?

- Max, wystarczy - warknął Josh.

- Dużą pałkę zostawiłam w innej torbie, tutaj mam tylko małą - obwieściła lekkim tonem Taylor. - Zadowolili to pana?

Max walnął szklanką o stół, tak że mało nie pękła.

- Prędzej bym zdechł, niżbym miał się przestraszyć tej spryciuli!

- Zamknij się. Ja nie żartuję - powiedział Nick.

- Nigdy tak do mnie nie mówiłeś. - Max otworzył usta z wrażenia.

- Bo nigdy na to nie zasłużyłeś, teraz za to powinienem ci złamać szczękę. Jutro prawdopodobnie nie będziesz nic z tego pamiętał, ale to wcale cię nie usprawiedliwia.

Max podniósł się z kanapy. Widać było, że dokonał tego za cenę prawie nadludzkiego wysiłku.

- Wychodzę - oświadczył wyniośle.

- Ależ z tobą jest kłopot. Usiądź, przeproś Taylor i nas wszystkich i przestań się zachowywać jak ostatni osioł - powiedział Nick.

Max usiadł z powrotem, ale się nie odezwał, tylko ze smętną miną pograżył w kontemplowaniu swych kolan. Josh zaczął nerwowo przechadzać się przed kominkiem.

- Nie chodzi o to, czy ona czegoś się dowiedziała, czy nie, tylko o to, że cała ta afera będzie miała bardzo poważne skutki. Zwłaszcza dla mnie - zwrócił się do wszystkich obecnych.

- Wam nic nie grozi, bo wy nie macie żadnej pozycji. Ale ja? Przecież ja jestem ważną postacią w mieście. Za późno już, żeby się wycofać. Boże, po co ja się wiązałem z takim miejscem!

Słyszając to, Max obudził się z odrętwienia.

- No i kto tu jest lepszy? Widzieliście go? Ważna postać! - zapiszczał, naśladując Josha. - Rounders to jedyna normalna rzecz w twoim odhumanizowanym życiu! - Wziął do ust kawałek lodu ze szklanki i zaczął głośno cmoktać. - Oprócz sypiania ze studentkami, oczywiście.

- O czym ty mówisz, do cholery? - Josh aż zabalgotał.

- Ciągle jeszcze obrabiasz dwie na semestr? A może masz już przerost prostaty i ograniczasz się do jednej?

- To jakiś nonsens! Wynoś się stąd natychmiast!

- Czy to dlatego zwędziłeś te rzeźby? - atakował dalej Max. Zdawało się, że osiągnął właśnie stan wyostrojonej świadomości, który zdarza się czasem pijakom, zanim popadną w zupełne zamroczenie. - Potrzebowałeś forsy, żeby sobie zafundować dziewczynę miesiąca? A potem trzeba było dodatkowo zapłacić, żeby się odczepiła?

Josh ryknął jak ugodzone zwierzę i rzuciłby się Maxowi do gardła, gdyby Veda nie chwyciła go za ubranie.

- Nie zwracaj na niego uwagi - powiedziała.

- Oskarżenia o napastowanie seksualne to nie byle co - ciągnął Max. - Jeszcze jedna skarga i mógłbyś się pożegnać z kandydowaniem na burmistrza. Z Margery też mógłbyś się pożegnać.

Taylor położyła rękę na ramieniu Nicka, który zaczął się podnosić, i pokręciła głową. Nie chciała, by im przerywał. Rico dyskretnie jej przytaknął.

- Nigdy w życiu niczego nie ukradłem - wydusił Josh. Max nieoczekiwanie poweselał.

- Przypuszczam, że zabiłeś Clare, żeby się od niej uwolnić. Domagała się nowego samochodu, w zamian za tamten, który musiała sprzedać, żeby pozbyć się twojego dziecka, tak?

W pokoju zapadła śmiertelna cisza.

Josh łapał powietrze jak ryba. Zdawało się, że nie umie już normalnie oddychać. Max oparł się o leżące na kanapie poduszki i uśmiechał się do wnętrza swojej szklanki.

- Josh, ja wiedziałem o waszym romansie, ale żeby tak od razu mordować? - Pokiwał palcem, jakby groził niegrzecznemu dziecku. - Na pewno można było znaleźć lepsze wyjście.

- Ooch! - jęknął Josh, osunął się na fotel i ukrył twarz w dłoniach. Po chwili spojrzął na nich, pokazując zaczerwienione oczy. - Nie zabiłem Clary. Mogę tego dowieść! Pracowałem, byłem w swoim biurze. Margery do mnie dzwoniła, przecież o tym wiecie.

- Nie mówię, że Margery kłamie, ale mogła przecież pomylić godzinę.

- Nie byłem sam! Ktoś był ze mną. Studentka...

- Josh, ty stary świntuchu! - Max ryknął śmiechem. - Musiało być wam niewygodnie na tej leżance w biurze. - Uspokoił się i otarł powieki. - Cóż, to nie jest dobre alibi. Panienska może być w tobie zakochana, więc...

- Ona mnie nienawidzi! - W głosie Josha zabrzmiała nadzieja. - Grozi, że doniesie na mnie do rektora, jeżeli nie dam jej pieniędzy. Na pewno nie kłamałaby, żeby mi pomóc.

- Jak ona się nazywa? - zainteresowała się Taylor. Josh spojrział na nią tak, jakby właśnie zastanawiał się, co ona tu robi.

- Nie może się pani z nią spotkać. To mogłoby dojść do Margery.

- W takim razie sierżant Vollmer - powiedziała Taylor. Widząc, że Josh kręci przecząco głową, dodała: - Im więcej osób uda mu się wyeliminować z listy podejrzanych, tym lepiej będzie mógł się skupić na poszukiwaniu winnego. Pan będzie czysty, a pana dobre imię uratowane.

- To brzmi rozsądnie - odezwała się Veda. - Powinieneś zadzwonić do Vollmera.

- Ach, wreszcie głos rozsądku. Co byśmy zrobili bez naszej drogiej Vedy? - odezwał się Max. - Powiedz no, jaka była twoja rola w pierwszym morderstwie?

- Co? - Veda oniemiała.

- Taka doświadczona pielęgniarka jak ty wie dokładnie, w które miejsce wbić dłuto, żeby załatwić człowieka na amen. - Słowom Maxa towarzyszył odpowiedni gest. - Josh ma kupę forsy, Rico po prostu śpi na pieniądzech, nie mówiąc o Marcusie Cato. Ja mam

porządną emeryturę plus dochody z inwestycji. Z czego jednak żyje nasza Veda? Wiadomo, że ma jakiś wdowi grosz, pytanie jednak ile?

- Prawdopodobnie więcej niż ty. - Veda spojrzała na niego lodowato. - Od pierwszego dnia, kiedy cię poznałam, zawsze musiałam przeproszać za ciebie. Jesteś kompletnym durniem, Max, wiesz o tym?

- Oj, nie wytrzymam! Jak też ona mnie nazwała! - zachichotał.

- Dureń i kretyn. A po tym dzisiejszym przedstawieniu zmuszona jestem stwierdzić, że masz w sobie tyle seksapilu co orangutan z lizajem na pysku! - Wstała. - Jestem głodna. Wracam do domu.

Narada się skończyła. Nick ujął półprzytomnego Maxa pod ramię i zaczął z nim iść, a właściwie ciągnąć go za sobą.

- Muszę go odwieźć i wrzucić do łóżka - powiedział do Taylor.

Żegnając się z Joshem, Taylor szepnęła:

- Czy mogę spotkać się z panem jutro w biurze około dziesiątej?

- Ale ja nie chcę z panią rozmawiać - wymamrotał.

- Mogłabym sprawić, że sierżant Vollmer będzie przychylniej nastawiony do pana - uśmiechnęła się przymilnie.

- O dziesiątej prowadzę zajęcia. Proszę przyjść pięć minut wcześniej. Wie pani, gdzie jest mój gabinet?

- Znajdę.

Na zewnątrz czekał na nią Rico. Przez cały wieczór zachowywał się tak spokojnie, że prawie zapomniała o jego istnieniu. Objął ją, jakby byli dobrymi przyjaciółmi.

- Dzięki Bogu, że Maxa zamroczyło, zanim dobrał się do mnie i Marcusa. Może umówilibyśmy się na lunch? Nie mam jutro rozpraw.

Taylor obejrzała się i spojrzała na Nicka, który mocował się z Maxem chcącym koniecznie wsiąść do własnego auta.

- Zadzwoń do pana.

Nick odebrał Maxowi kluczyki i ruszył z nim w stronę furgonetki. Przechodząc obok Rica i Taylor, powiedział do niej:

- Mogłabyś odwieźć Vede? Przyjechała tu z Maxem.

- Ustaliliśmy, że wieczorami nie będziemy się rozstawać, pamiętasz?

- Będę ostrożny, ty też bądź. Poczekaj na mnie u Vedy.

- Zjemy coś razem, gdy wrócisz?

- Pewnie. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. Rico, widząc, że nie ma na co czekać, odjechał swoim

mercedesem. Veda podeszła do Taylor i przez chwilę razem obserwowały, jak Nick męczy się z wsadzaniem Maxa do samochodu.

Wsiadając do pick - upa, Veda zobaczyła rewolwer, który wciąż leżał na środkowym siedzeniu.

- Tu jest broń - pokazała palcem, jakby bała się, że wystrzeli.

- Mam nadzieję, że to pani nie przeszkadza. - Taylor otworzyła schowek obok tablicy rozdzielczej i schowała tam rewolwer.

- Skądże. Poza tym proponuję, żebyśmy mówiły do siebie po imieniu, dobrze?

- Bardzo chętnie - rzekła Taylor i spojrzała w lusterko wsteczne. Na razie nie było widać żadnej toyoty. Może Eugene leży w domu i

leczy się z ran? Poczula, że jest tak zmęczona i głodna, że oczy zaczynają się jej kleić. - Czy Max często jest taki? - zapytała.

- Nigdy nie widziałam, żeby aż tak się zachowywał, ale też nigdy nie był pod presją.

- Zabójstwo rzeczywiście stwarza presję.

- Nie sądzę, żeby był zabójcą. Ale na pewno czegoś się przestraszył - powiedziała Veda. Po krótkim milczeniu odezwała się zupełnie innym niż przed chwilą tonem: - Nie mówmy już o Maksie, mam go dosyć. Opowiedz mi raczej, jak to jest być detektywem. O, tutaj skęcimy w prawo.

- To praca jak każda inna. Wszystkie te kobiety detektywi w powieściach kryminalnych w ciągu jednego dnia przeżywają więcej przygód, niż mnie mogłoby się przydarzyć przez dziesięć lat. Mój szef mówi, że one mają cudowną zdolność do wylizywania się z ran. Jednego dnia łamią pięć żeber, a parę stron dalej uprawiają miłość.

- W szpitalu nieraz zajmowałam się ludźmi z połamanymi żebrami. Seks to ostatnia rzecz, na którą mieliby ochotę - roześmiała się Veda.

- Czasami zdarza mi się złamać paznokiec, a potem znowu nic się nie dzieje. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak nudne może być obserwowanie ludzi. Godzinami trzeba siedzieć w samochodzie, marznąć w zimie i rozplýwać się z gorąca w lecie.

- To rzeczywiście nie brzmi zbyt nęcąco.

- Bo nie jest. Nie jest też niebezpieczne, o czym bezustannie staram się przekonać swoją matkę.

- Tutaj jednak sprawa wiąże się z zabójstwem.

- Prawda. To moje pierwsze zabójstwo. Ale nie jestem tak naprawdę na linii frontu - westchnęła i zacisnęła ręce na kierownicy, wspominając żelazny uścisk Eugene'a.

- Możesz zaparkować koło tej latarni - poinstruowała ją Veda.

Taylor kolejny raz sprawdziła, czy nikt ich nie śledzi, po czym zamknęła samochód i ruszyła w ślad za Vedą, która doprowadziła ją do małego, uroczego domku, sto razy ładniejszego od bogatej siedziby Chessmanów. Pierwszą rzeczą, którą zobaczyła w środku, była bambusowa klatka z bajecznie kolorową kakadu.

Gdy tylko obie z Vedą przekroczyły próg, papuga nastroszyła pióra i wydała przeraźliwy skrzek. Veda otworzyła drzwi do kuchni, a wtedy wyskoczył stamtąd wielki kocur o żółtobrązowym futrze.

- To jest Denzel - powiedziała.

- Też mam kota, nazywa się Elmo - rzekła Taylor, drapiąc zwierzaka za uchem.

- Wprowadziłam się tu po śmierci męża. Syn koniecznie chciał, żebym mieszkała razem z nim i synową, ale ja najlepiej czuję się tutaj. Wiem, że za dużo tu sprzętów i rupieci, jednak nie potrafię uwolnić się od wspomnień. Chciałabym mieć więcej miejsca, ale nie chciałabym niczego wyrzucać. Ani z życia, ani z pamięci. Dzielnica mi odpowiada. Tu, w Garden District, mieszka się naprawdę przyjemnie, tylko że na razie nie zdobyłam się jakoś na to, żeby znaleźć większy od tego dom w przystępnej cenie.

Taylor wzięła do ręki fotografię w srebrnej ramce, na której o wiele młodsza Veda stała pod rękę z wąsatym, roześmianym mężczyzną.

- To Bill, mój mąż - wyjaśniła Veda, podając mrożoną herbatę. Na stoliku postawiła talerzyk z serowymi paluszkami.

- Jesteś na emeryturze?

- Nie. Skąd ci to przyszło do głowy?

- Masz tyle wolnego czasu.

- Bill zostawił mi trochę pieniędzy, a poza tym opiekuję się prywatnie chorymi, kiedy potrzebuję większej kwoty na specjalną okazję, na przykład na podróż do Michigan, do syna.

- Chyba owdowiałaś bardzo wcześnie - powiedziała Taylor. - Nigdy nie miałaś ochoty, żeby wyjść drugi raz za mąż?

- Ciebie mogłabym spytać o to samo - odparła Veda.

- Wraz z każdym z tych nielicznych mężczyzn, których spotkałam, musiałabym wziąć na siebie problemy z byłą żoną, alimentami, dysleksją dziecka albo, co gorsze, przestępczością, a wreszcie psychologiczne kłopoty tych panów, które spowodowały, że pierwsza żona ich opuściła.

- Nick nie ma byłej żony.

- Nie ma. Czy to nie dziwne? W jego wieku większość mężczyzn ma za sobą przynajmniej jedno małżeństwo.

- Od kiedy jestem w Rounders, dwa razy próbował mieszkać z kobietą. Żadna nie wytrzymała długo, bo spędzał za dużo czasu z

uczniami. On nie potrafi zaangażować się w związek z kobietą w taki sposób, w jaki angażuje się w pracę z nami.

- Dlaczego? Veda rozłożyła ręce.

- Nie jestem psychologiem. Wiem tylko, że matka opuściła go, kiedy był dzieckiem, a babka, która go wychowywała, zmarła nagle.

- Myślałam, że jego matka umarła.

- Nie, po prostu poszła sobie w siną dal. On ci się podoba, prawda?

- Jest moim klientem.

- Jest facetem. Dobrze zbudowanym i seksownym.

- Ogólnie nie pociąga mnie ten typ mężczyzny, nawet gdy jest dobrze zbudowany i seksowny.

- Dlaczego raz nie spróbować?

- Z tego samego powodu, dla którego ty kochasz Maxa - powiedziała Taylor, chrupiąc kolejny paluszek.

- Słucham? - Veda oniemiała z wrażenia.

- Max ma wredny charakter i ty takich lubisz. Ja też zawsze zakochiwałam się w różnych popaprańcach. Im był gorszy, tym lepszy. Gdy tylko na horyzoncie pojawiał się przyzwoity, czuły, troskliwy mężczyzna, natychmiast uciekałam w przeciwnym kierunku. Psychologia mówi, że to brak szacunku do samej siebie. Takie kobiety jak my uważają, że zasłużyły na złe traktowanie - rzekła Taylor, a w duchu pomyślała, że to się teraz zmieni.

- Szacunku do samej siebie to ja mam tyle, że nawet po tym, co się dzisiaj stało, poszłabym z Maxem do łóżka, gdyby tylko zechciał. Ale on nie zechce.

- Nigdy nie okazał ci zainteresowania?

- Jestem dla niego o dwadzieścia lat za stara. On ugania się za dziewczętami w wieku mojego syna, a nawet młodszymi. Zaprasza je na kolację, a potem do łóżka. Czasami któraś wprowadza się do tej jego olbrzymiej chałupy, ale na krótko. - Veda oparła się o kanapę i zamknęła oczy. - Nie spodziewałam się, że po śmierci Billa będą mnie jeszcze interesowali mężczyźni, no i proszę: poszłam do Rounders i spotkałam Maxa. Co ja w nim zobaczyłam?

- Pewnie to samo, co kiedyś ja w moim mężu.

- Nick jest inny.

- Sama powiedziałaś, że nie potrafisz na dłużej się związać.

- Tak, ale kiedy się z kimś rozstaje, to w przyjaźni, za to wszystkie podboje Maxa kończą się wielką awanturą. - Veda podniosła oczy pełne łez. - Powiedz mi szczerze: ty uważasz, że to Max jest winny, prawda?

- Jeżeli założyć, że alibi Josha się potwierdzi, sytuacja Maxa nie będzie najlepsza.

- Wyczytałam to z twojej twarzy. Nie lubisz go.

- On mnie nienawidzi.

- Boi się, że odbierzesz mu Nicka. Taylor nie zareagowała ani słowem.

- Boi się, i to bardzo - powtórzyła Veda. - Nick jest dla niego jak przybrany syn, bo z rodzonym nigdy nie miał kontaktu. Poprzednie kobiety w życiu Nicka nie zagrażały Maxowi, ponieważ było jasne, że się tak naprawdę nie liczą. Z tobą jednak jest inaczej. Sama widziałam, jak Nick na ciebie patrzy.

/

- Jak?

- Jakby miał przed sobą dzieło samego Illionsa, cacko, bezcenny oryginał.

Taylor roześmiała się, a Veda wzięła ją za rękę.

- Mówię poważnie, tak jest. Ma się wrażenie - nie wiem, jak to wyrazić - że on pożera cię wzrokiem. Zawsze marzyłam, żeby Max tak na mnie kiedyś spojrział.

- Dlaczego mu tego nie powiedziałaś?

- Gdyby powiedział, że go nie interesuję - a tak by przecież zrobił - to potem czulibyśmy się niezręcznie w swoim towarzystwie. Musiałabym przestać przychodzić do Rounders, a nie wyobrażam sobie życia bez pracowni!

- Aż tak lubisz rzeźbić te zwierzaki?

- Przez dwadzieścia lat byłam pielęgniarką. Każdy mówił, jaka jestem kompetentna i troskliwa, tymczasem ja nie chciałam być kompetentna, chciałam być twórcza! Nie umiem grać na żadnym instrumencie, nie umiem śpiewać, tańczyć ani pisać wierszy, ale w dniu, w którym postawiłam stopę w pracowni, odkryłam, że potrafię rzeźbić. Naprawdę jestem w tym dobra.

- Wiem, widziałam.

- Nie zrezygnuję z pracowni. Nawet dla Maxa!

- Nie trzeba rezygnować. Ale współczuję, bo skoro to trwa i trwa...

- A ja robię się coraz starsza i starsza... - zaśmiała się gorzko Veda.

- W każdym razie wyglądasz świetnie.

- Na golasa już nie tak świetnie. - Veda odstawiła szklanę. - Do licha, kiedy pomyślę, że może już do śmierci nie będę z żadnym mężczyzną...

Zapadła cisza. Taylor nie od razu odważyła się ją przerwać.

- Czy Maxowi brakuje pieniędzy? - zapytała wreszcie.

Veda pokręciła głową, co wyrażało raczej jej bezradność i niewiedzę, niż było odpowiedzią na pytanie.

- Nie mam pojęcia. Ten jego dom to studnia bez dna. Wiem też, że kilkakrotnie wysyłał pieniądze synowi. Ma poczucie winy wobec chłopaka. Co ja mówię, jakiego chłopaka, przecież ten jego Michael sam ma już syna.

- A więc Max jest dziadkiem? Spotyka się z wnukiem?

- Wątpię, czy kiedykolwiek go widział.

- Czy wiesz, kiedy mniej więcej skradziono rzeźby?

- W magazynie byłam ostatni raz w dniu, w którym skończyłam robić tę żabę w czerwonym kubraczku, jak dotąd najlepsze moje dzieło. - Uśmiechnęła się. - To było w czerwcu... nie, w lipcu, na początku miesiąca, przed czwartym. Nie rozglądałam się specjalnie, ale wszystko wyglądało jak zwykle.

- Tak od razu wstawiłaś swoją najlepszą pracę do magazynu? Nie lepiej było wziąć ją do domu?

- Przecież tu już nie ma ani odrobiny miejsca. - Veda zatoczyła ręką, pokazując na pokój. - Nick chciałby założyć muzeum figur z karuzeli. W Rounders jest wolny parter. Kiedyś wynajmował tę powierzchnię człowiek, który miał pracownię kowalstwa artystycznego, ale przeprowadził się do własnego budynku.

- Co tam teraz jest? Rounders zajmuje tylko pierwsze piętro. Byłam przekonana, że ktoś używa tych pomieszczeń na dole, tylko że wchodzi bezpośrednio z dworu, bo o ile dobrze widziałam, nie ma tam dostępu z klatki schodowej.

- Nick kazał zamurować drzwi i zainstalować osobne wejście z zewnątrz. Teraz jest cały czas zamknięte. - Wymówiwszy ostatnie słowo, Veda zakryła usta ręką. - Chyba nie myślisz, że złodziej zniósł rzeźby na dół i że stoją tam cały czas, a nikt nawet nie pofatygował się, żeby to sprawdzić?

Odezwał się dzwonek przy drzwiach. Veda wstała:

- Przepraszam, długo to trwało, ale nie od razu udało mi się położyć Maxa do łóżka - tłumaczył się Nick.

Słyszając jego głos, Taylor poczuła dziwne mrowienie w karku i w ramionach. Czy jej ciało tak odpowiada na jego obecność? Czyżby nareszcie dojrzała do tego, by związać się z normalnym mężczyzną, a nie z jakimś pozbawionym uczuć brutalem? Miała ochotę zerwać się z kanapy, uwiesić jego szyi i dostać taki sam pocałunek jak wczoraj. Nie ruszyła się jednak z miejsca i gdy wszedł, kiwnęła mu tylko ręką, w której trzymała serowy paluszek.

- Nick - Veda nie umiała ukryć podniecenia - czy nie przyszło ci do głowy, że skradzione rzeźby mogą być schowane w Rounders na parterze?

- Przykro mi - uśmiechnął się - ale już sprawdzałem. Nic tam nie ma.

- Szkoda. A już miałam nadzieję - powiedziała Veda.

- Pojedziesz z nami na kolację do miasta? - zaproponował.

- Dziękuję, ale nie mam siły. Zjem kanapkę z salami, wypiję do tego łyk wina i zaraz się położę. To był potwornie długi dzień.

Rozdział 11

W czasie kolacji Nick prawie się nie odzywał. Z początku Taylor próbowała go rozruszać, ale bez powodzenia, więc zrezygnowała i skupiła się na jedzeniu. Kiedy byli już przy kawie, uznała, że muszą przynajmniej porozmawiać o sprawach dotyczących jej pracy.

- Jedyne podejrzany, którego nie poznałam, to Marcus Cato. Jutro spróbuję się z nim spotkać. Veda uważa, że jeszcze w lipcu rzeźby stały w magazynie, ale to było cztery miesiące temu. Musimy precyzyjniej określić moment kradzieży.

- Wiem, kiedy to było.

- Czy ja dobrze słyszę?

- Powiedziałem, że wiem, kiedy zniknęły.

- Czy nadużyję twojej uprzejmości, jeżeli poproszę, żebyś mnie oświecił?

Z powagą spojrzał jej prosto w oczy.

- Przepraszam, że nie miałaś zbyt wielkiej pociechy z mojego towarzystwa, ale właśnie coś przyszło mi do głowy i musiałem to przemyśleć.

Taylor podparła dłońmi brodę.

- No dobrze, wyduś już, co masz do powiedzenia.

- Podejrzewam, że to i tak w niczym nie pomoże ani mnie, ani tobie.

- Zobaczymy.

- A więc tak: Veda skończyła pracę nad żabą czwartego lipca, pamiętam dokładnie ten dzień, i od razu przenieśliśmy ją do

magazynu. Wtedy jeszcze niczego nie brakowało; żeby zrobić miejsce dla żaby, musiałem poprzesuwać różne rzeczy, bo było za ciasno.

- Słucham dalej.

- Prawie nie opuszczam domu. Od trzech lat nie byłem na wakacjach.

Taylor potaknęła.

- Winda w budynku nie jest tak szeroka, żeby zmieściło się w niej naraz dziesięć figur - kontynuował. - Ich zwiezenie, załadowanie do ciężarówki i poprzestawianie pozostałych rzeźb tak, by dziury po tych ukradzionych nie rzucały się w oczy, musiało trwać dość długo, zwłaszcza jeżeli Eugene pracował sam. Nie sędzę, żeby Eberhardt albo jego żona sami brudzili sobie ręce taką robotą.

- Z tego, co o nich wiem, na pewno nie.

- Postarzenie konika morskiego mogło zająć Eberhardtowi nawet kilka tygodni. Wydaje się mało prawdopodobne, żeby zaczął nad nim pracować od razu pierwszego dnia. Raczej odczekał dłuższy czas, na wypadek gdyby kradzież została wykryta i zgłoszona na policję. Wątpię też, żeby Pete Marley zobaczył konika akurat w pierwszym dniu, w którym został on wystawiony przez Eberhardta do sprzedaży. Myślę więc, że kradzież zdarzyła się między czwartym lipca a, powiedzmy, pierwszym października.

- Nie mogę się doczekać dalszego ciągu.

- Otóż moim zdaniem tylko dwa razy złodziej mógł przedostać się do Rounders nie zauważony i buszować w magazynie nawet przez kilka godzin. Pierwszy raz wtedy, kiedy pojechałem do Sarasoty na

zjazd miłośników karuzeli. To było w pierwszym tygodniu sierpnia. Josh i Veda pilnowali Rounders za dnia, ale w nocy budynek stał pusty.

- A drugi raz?

- W połowie września wybrałem się na aukcję do Louisville. Wyjechałem w piątek po południu, wróciłem w poniedziałek wieczorem. Rounders było zamknięte.

- Idealna okazja dla złodzieja, znacznie lepsza niż w sierpniu, kiedy Josh albo Veda mogli przypadkiem przyjść wcześniej albo zostać dłużej i mu przeszkodzić. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałeś?

- Chyba nie chciałem o tym myśleć. Jedyne osoby, które dokładnie wiedziały, kiedy mnie nie będzie, to stali bywalcy, czyli moi przyjaciele. Woląłem przekonywać sam siebie, że jakiś złodziej z zewnątrz namierzył magazyn, a potem skontaktował się z Eberhardtem. Teraz nie mam wyjścia: muszę przyznać, że naprawdę podejrzane są osoby, które były w Rounders w momencie, gdy zadzwoniłem z Seattle do Maxa, żeby powiedzieć o koniku Marleya - przepraszam, o moim koniku.

- Czy wiesz, gdzie ci wszyscy ludzie byli w tamten wrześniowy weekend?

Nick wzruszył ramionami.

- To akurat nie ma żadnego znaczenia. Ten, kto zaaranżował kradzież, nie musiał wcale być obecny. Gdybym ja to załatwiał,

dałbym cynk złodziejowi, a sam w tym dniu pojechałbym na koniec świata.

- Czy Max był z tobą w Sarasocie i Louisville?

- Niestety tak - westchnął Nick.

Wychodząc z restauracji, Taylor rozejrzała się dyskretnie w poszukiwaniu śladów obecności Eugene'a, niczego jednak nie zauważyła.

- Zostaw tu samochód. Pojedziemy moim, chcę ci coś pokazać - powiedział Nick.

Wzruszyła ramionami i nie zadając żadnych pytań, wsiadła do furgonetki. Jak zwykle, gdy nie rozmawiali o pracy, mimo woli zaczęła myśleć o Nicku mężczyźnie, zapominając o Nicku kliencie, ale prędko skarciła samą siebie za brak dyscypliny.

- Dokąd mnie wiesz? - zapytała.

- Zaraz zobaczysz - odparł tajemniczo. Dziesięć minut później zatrzymał się przy wejściu do parku

rozrywki, kilka kroków od budki strażnika. Zostawił Taylor samą i poszedł z nim porozmawiać. Widziała, jak w czasie dyskusji kilkakrotnie wskazał w jej kierunku. W końcu strażnik dał mu do ręki solidny klucz przypięty łańcuchem do drewnianego breloka.

- Załatwione, wysiadaj - obwieścił, wróciwszy do niej. Otworzył zamek przy głównej bramie, wpuścił Taylor, po

czym przekręcił z powrotem klucz. Poprowadził ją wąską uliczką, która wiodła między zamkniętymi w tej chwili na cztery spusty budkami. Drogę oświetlały im starodawne lampy gazowe, które

dawały przyjemne czerwonożłote światło. Na niebie świecił księżyc - prawie w pełni - a noc jak na listopad była wyjątkowo ciepła.

Uliczka doprowadziła ich do uśpionej karuzeli. Nick wiedział, gdzie jest kontakt, i włączył światło. Taylor zamrugła powiekami, oszołomiona niespodziewaną jasnością.

- Co powiedziałeś strażnikowi?

- Ma się te sposoby! - Puścił perskie oko i podał jej rękę, pomagając wejść na platformę karuzeli. - To moje dziecko. Kilka lat temu razem z Maxem pracowaliśmy przy jej renowacji. Ja wiem, że dla ciebie karuzela to nic ciekawego, ale pomyślałem, że jeżeli pokażę ci taką, która jest naprawdę ładna...

- Jest przepiękna - wyszeptała z zachwytem. Zapomniała już, jak przyjemnie jest kręcić się na karuzeli, choć jako dziecko przepadała za tym. Uwielbiała ucześcić się grzywy drewnianego konika i wirować aż do zawrotu głowy. Wtedy oczywiście nie zastanawiała się nad tym, że taki konik może być dziełem sztuki.

Nick patrzył wyczekująco. Wyglądał jak nastolatek, który podarował dziewczynie błyszczące puzderko i nie może się doczekać momentu, gdy ona wreszcie je otworzy.

- Co o tym myślisz? - zapytał w końcu. Pierwszy raz widziała go w takim stanie. Promieniał, oczy mu się śmiały, jakby opuściły go wszystkie zmartwienia.

- Prawda, że cudowna? - zachęcał ją do pochwał.

- Cudowna - powtórzyła. Splótł swoją wielką, chropowatą dłoń z jej dłonią. Poczwała w czubkach palców coś w rodzaju klucia, które po

chwili przeniosło się w okolice serca. Nick uśmiechał się teraz, a właściwie szczerzył zęby w szelmowskim uśmiechu, tak jak w pierwszym dniu, kiedy go zobaczyła i przeczuła, że prędzej czy później będzie ją miał.

Jest dobry, szczerzy, czuły, myślała. Chcę, żeby dalej się tak uśmiechał. Chcę, żeby zbudował razem ze mną trwały związek. W ogóle go chcę, całego. Chcę go pieścić i być pieszczona. Chcę mieć go przy sobie, brać go w siebie, czuć uścisk rąk, dotyk warg. I żeby to nie przeminęło, tylko było zawsze. Na zawsze.

Przyprowadził ją do magicznego świata. Drewniane koniki wlepiły w nią wielkie, wiecznie zdziwione oczy, a ona czuła, że ostatnie kawałki lodowca, który przez tyle lat skuwał jej serce, topnieją i zamieniają się w ciepłe, szmaragdowe morze.

Ogarnęła ją panika. Jeżeli otworzy się przed Nickiem, może zostać zraniona. Najbezpieczniej byłoby wziąć z tej znajomości tyle, ile się da, dać tyle, ile można - i na tym poprzestać.

Powinna zachować dystans, ukryć się pod zbroją jak ten konik, którego wybrała z katalogu do skopiowania. Powinna - ale już za późno. Nick pozbawił ją warstwy ochronnej. Teraz jest naga, bezbronna.

Zajrzała mu w oczy - i jej świeżo obnażone „ja” poczuło się zaniepokojone. Była pewna, że wyczytał z jej twarzy wszystkie uczucia, a tymczasem...

Poczekwała chwilę. Nie rzuciła mu się na szyję, nie zaczęła rozpinąć guzików, nie przyssała się do jego ust. Nie, chociaż miała na

to wielką ochotę. On też nie zrobił żadnego gestu. A więc nic z tego, co tu przeżywała, nie dotarło do niego. Może i dobrze. Po cóż robić z siebie idiotkę.

- Chodź - pociągnął ją za rękę - przyjrzyj się im. Pokazał jej konie z pierwszego okręgu, które zgodnie z zasadami obowiązującymi w tradycyjnych karuzelach są zawsze nieruchome.

- Widzisz, one nie mogą się kołysać. Muszą mieć przynajmniej trzy kopyta przytwierdzone do podstawy. Jeden koń jest zawsze większy od innych, jakby był przywódcą stada.

Kiwnęła głową, obawiając się, że głos ją może zdradzić. To Nick ją obchodzi, nie konie. Usiłowała skupić się na jego słowach, ale uczucia, które nią owładnęły, były tak nowe i niepokojące, że nie potrafiła myśleć normalnie.

- Konie ze środka mają przednie kopyta uniesione. W wewnętrznym okręgu są skoczki - wszystkie nogi w górze. Na jednych i drugich można się bujać, w górę i w dół. Ta karuzela ma dwa powozy, takie jak ten, który już widziałaś, niestety... hmm... w mniej przyjemnych okolicznościach.

- Czy potem będę miała do rozwiązania jakiś test? Zachichotał i poklepał siodło jednego ze skoczków.

- Ani się obejrzysz, a nauczysz się wszystkiego i tylko będziesz mówiła: o, ten model to Illions, a to jest Denzel, a to Parker, a to Philadelphia Toboggan Company.

- Za sto lat może się nauczę. Zatrzymywał się prawie przy każdym koniu i głaskał go po grzbiecie, po nogach, po grzywie,

dotykał popręgów i siodła. Przymykał oczy, tak jakby palcami widział więcej, a jego uśmiech mówił, że znalazł się między najlepszymi z przyjaciół. Taylor wyobraziła sobie, że wodzi tak palcami po jej ciele, i musiała wziąć kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić.

Nagle Nick drgnął i otworzył szeroko oczy. Gorączkowo obmacywał głowę jednej z figur, zwłaszcza lewe ucho.

- Nie, to niemożliwe, niemożliwe - mamrotał.

- Co się dzieje? - Podeszła do niego. Zaczął przechodzić od konia do konia, badając u każdego lewe ucho oraz przednie prawe kopyto. Taylor nie ruszała się z miejsca i gdy zniknął po drugiej stronie karuzeli, słyszała tylko szuranie jego butów na deskach podłogi.

- Powiedz, o co chodzi - poprosiła, gdy wrócił do niej.

- Taylor - jęknął, jakby nagle opuściły go wszystkie siły.

- No co?

- Popatrz na lewe ucho. - Wskazał na konika ze środkowego okręgu.

- Ucho jak ucho. Przecież ja się na tym nie znam.

- Taylor, on jest mój. Z wrażenia otworzyła szeroko usta.

- Jak to poznałeś? Osunął się na siedzenie powozu i ukrył twarz w dłoniach.

Taylor miała ochotę się rozplakać. Przyjemny nastrój zniknął, radość i spokój Nicka ulotniły się bez śladu.

- Wytłumacz mi wszystko - poprosiła jeszcze raz.

- Powiedziałem ci, że tego konika z Seattle rozpoznałem instynktownie, ale to była tylko część prawdy. - Oderwał ręce od

twarży. Jego oczy miały tak ponury wyraz, że można się było go przestraszyć. - Kiedy rzeźbiłem tę serię zwierząt, miałem dwadzieścia pięć lat, byłem straszliwie arogancki i pewny siebie. Zdawałem sobie sprawę, że moje kopie są doskonałe i że gdyby je postarzyć, nikt nie odróżniłby ich od oryginałów, dlatego sygnowałem każdy egzemplarz. O tych sygnaturach nikt nie wie, są niewidoczne. Ten koń - pokazał palcem - ma mój znaczek. Ktoś zabrał oryginał i zastąpił go moją kopią.

- Tylko jeden? Potwierdził kiwnięciem głowy.

- Może to przypadek? - Podeszła do wskazanego konika, dokładnie obejrzała jego ucho, a potem porównała je z innymi. - Nie wydaje mi się, żeby ta rzeźba cokolwiek różniła się od pozostałych. Wszystkie są stare, ma ją pęknięcia, były konserwowane z dziesięć razy.

- Nie, ta jest moja.

- Jak wygląda ta sygnatura? To jakieś nacięcie?

- Tak, nacięcie na lewym uchu albo prawym przednim kopycie, czasami i tu, i tu. Niewielkie, ale wystarczająco duże, żeby je wyczuć palcami. U konika morskiego umieściłem je na końcu ogona. Taylor, ktoś ukradł prawdziwego Denzla i wstawił moją kopię.

- No to mamy następną komplikację.

Nick wstał, zrobił kilka kroków i usiadł na brzegu platformy. Taylor usiadła w pewnej odległości od niego, nie mając odwagi go dotknąć.

- Ta karuzela jest i chyba zawsze była przechowywana w dobrych warunkach. W zimie stoi pod dachem, chroni się ją przed deszczem, ale oczywiście ma tyle lat, że od czasu do czasu wymaga renowacji. Kiedy ją odnawiałem, musiałem przewieźć niektóre zwierzęta do Rounders, żeby pouzupełniać ubytki. W jednym przypadku trzeba było nawet wymienić nogę, bo była spróchniała. Domyślałam się, że wtedy doszło do zamiany.

- Kto z tobą pracował?

- Max.

- Czy mógł zrobić to tak, żebyś się nie zorientował?

- Bez problemu. Moje konie były dokładnymi kopiami tych modeli. Wzorowałem się na tej karuzeli, bo najlepiej ją znałem. W tamtym czasie nie sypiałem w Rounders, tylko w domu, który odziedziczyłem po dziadku. Chciałem go sprzedać, więc żeby wyglądał jak najlepiej, kiedy przyjdą ewentualni kupcy, w każdej wolnej chwili robiłem rozmaite naprawy, wyrzucałem niepotrzebne rzeczy. Ja wychodziłem, a Max zostawał sam. Wystarczyło, że w momencie, gdy oryginał był gotowy do pomalowania, wstawił na jego miejsce kopię, zagruntował...

- Dzisiaj znalazłeś swoją sygnaturę. Dlaczego wtedy jej nie zobaczyłeś?

- Ona nie rzuca się w oczy, trzeba jej poszukać. Jeżeli naprawiałem, powiedzmy, brzuch konia, nie oglądałem dokładnie jego kopyt. Zresztą, pracowaliśmy nad kilkoma rzeźbami jednocześnie. Gdy ja coś zacząłem, Max za mnie kończył, i odwrotnie.

- Czy na pewno nikt inny nie mógł zrobić podmiiany?
- Nie. - Spojrzał na nią z wyrazem śmiertelnej powagi na twarzy.
- Cóż, zdaje się, że rozwiązaliśmy naszą zagadkę. Od samego początku za wszystkim stoi Max. Mój przyjaciel Max. Nic dziwnego, że się dzisiaj tak upił.

Taylor zastanowiła się przez chwilę.

- Wiesz co? Uważam, że powinniśmy z nim porozmawiać. Może Wyjaśni jakoś to wszystko.

- Przecież tutaj nie chodzi tylko o karuzelę - powiedział. - Popełniono dwa morderstwa. Kiedy się zorientuje, co odkryliśmy, zechce i nas zlikwidować.

- Najpierw zawiadomimy Mela i powiemy Maxowi, że Mel wie o wszystkim. W takiej sytuacji niczego nie zyska, zabijając nas. Chodź - wstała i wyciągnęła do niego rękę - zadzwonimy teraz.

Nagle stało się coś dziwnego: z drewnianej podłogi poszły drzazgi, a tuż obok nogi Nicka zrobiła się dziura. Instynktownie przekoziółkował do tyłu i ukrył się za powozem.

- Padnij! - wrzasnął. Taylor usłuchała i zaczęła pełznąć w jego kierunku, gdy

druga kula świsnęła nad jej głową i odbiła się od metalowego pręta. Nie miała wyjścia, musiała czołgać się dalej. Dobrze wreszcie do Nicka. Powóz był zapewne wystarczająco solidny i duży, by chronić ich od strzałów oddanych z odległości, ale znaleźli się w pułapce.

- Nie ruszaj się - rozkazał Nick. Nie musiał tego mówić, i tak czuła się jak sparaliżowana.

- Co robimy? - wyszeptała.

- Tutaj ustrzeli nas jak kaczki, jeżeli tylko podejdzie. Włączę karuzelę, wtedy będziemy ruchomym celem. Ty zostań na miejscu.

- Nick, nie! On cię zabije.

- Może mi się poszczęści. Podczołgał się do stojącej na środku platformy kabiny, w

której mieścił się mechanizm urządzenia, pchnął drzwi - i wtedy utkwiała w nich następna kula. Wskoczył do środka. Taylor nie widziała go już, ale słyszała, jak się rusza. W ustach nie miała kropli śliny, puls dudnił jej w skroniach.

Coś szcęknęło, włączyła się muzyka - stary walczyk w współczesnionej wersji - a zaraz potem nastąpiło szarpnięcie. Zamigotały kolorowe żarówki, karuzela ruszyła. Taylor kurczowo złapała za brzeg powozu, bo urządzenie obracało się coraz szybciej. Nie wiedziała, co robić. Teraz Nick nie przyjdzie już do niej, a ona nigdy nie zdoła przedostać się do niego przez tę otwartą przestrzeń.

W odruchu rozpaczki skoczyła w bok i chwyciła się jednego z metalowych prętów, które szły od podłogi do dachu i przechodziły przez środek końskich korpusów. Poczowała, że coś ją ciągnie do góry. To był jeden z tych koni, na których można się bujać, a pręt działał jak podnośnik. Poddała się temu ruchowi. Gdy konik opadł, a ona wraz z nim, od metalu odskoczyła kula - dokładnie w miejscu, gdzie przed chwilą znajdowała się jej głowa.

Jednym ślizgiem dopadła do następnego powozu i przykucnęła za jego ścianką. Muzyka grała głośno, skutecznie zagłuszając warkot maszynerii. Karuzela wirowała coraz szybciej. Podłoga była śliska i Taylor z trudem utrzymywała się w miejscu. Bała się, że siła odśrodkowa wypchnie ją na otwartą przestrzeń, więc położyła się na brzuchu i wczepiła palce w brzeg powozu. Zaczęła się modlić.

Obok karuzeli stał kolorowy domek na kółkach i to w niego trafiła następna seria strzałów. Lustro zdobiące go od zewnątrz rozsypało się na tysiące kawałków. Taylor przywarła jeszcze mocniej do podłogi.

W pewnej chwili podniosła na moment głowę, żeby zobaczyć, co się dzieje - czy ktoś się zbliża, czy może już stoi nad nią z wycelowanym karabinem. Niczego takiego nie zobaczyła. Nicka też nadal nie było. Pomyślała, że jeżeli został trafiony, to ona będzie już tak się kręcić w nieskończoność, ale zaraz odepchnęła tę nedorzeczną myśl. Nick żyje. Teraz nie może go stracić.

Z początku nie wiedziała, czy to karuzela zwalnia, czy jej tak kręci się w głowie, że już nie czuje rzeczywistej szybkości. Koniki nie przestawały kołysać się w górę i w dół w swym zwykłym rytmie. W końcu jednak karuzela naprawdę zwolniła, zatrzęsła się i stanęła. Czy to Nick ją zatrzymał, czy się zepsuła i znowu są bezbronni?

Taylor usłyszała krzyki, bieganinę. Na karuzelę wpadło sześciu strażników.

- Nie strzelajcie! - zawołała i na wszelki wypadek znieruchomiała.

Otworzyły się drzwi kabiny i wyszedł zza nich Nick.

- Nick, co tu się dzieje? - krzyknął jeden ze strażników.

- Ktoś do nas strzelał. Po sekundzie wahania strażnicy zdecydowali się przeszukać teren. Nick usiadł na podłodze obok Taylor. Uklęka, zarzuciła mu ręce na szyję i przycisnęła głowę do jego ramienia.

- O Boże, Nick, ty żyjesz.

- Nic ci nie jest? - Zaczął ją obmacywać, jakby chciał sprawdzić, czy nie jest ranna.

Przywarła do niego jeszcze mocniej.

- Chodźmy - powiedział. - Teraz i tak go nie złapią.

- Nie mogę wstać, w głowie mi się kręci.

- Wstań, malutka, pomogę ci.

W tym momencie wrócił jeden ze strażników; chował pistolet do kabury.

- Nie znaleźliśmy go. Co właściwie się stało?

- Gdybym to ja wiedział, Jack.

- Mieliście szczęście. Zdaje się, że marnie celował.

- Niekoniecznie. - Kolega Jacka, który też już był z powrotem, oglądał dziurę w drzwiach.

- Moim zdaniem zaczął się na parkingu dla zaopatrzenia - stwierdził Jack.

- Przynajmniej na początku musiał stać na podwyższeniu i mierzyć z góry, bo trafił w podłogę. - Nick pokazał im ślad w kształcie litery „v”, który kula wyryła w drewnie.

- To nic trudnego. - Jack wzruszył ramionami. - Wystarczy, że wskoczył na maskę samochodu. Chłopie, w co ty się władowałeś?

- Pewnie napsułeś komuś trochę krwi - powiedział drugi strażnik i zeskoczył z karuzeli. - Musimy wezwać gliny, mamy obowiązek zawiadomić o każdym fakcie użycia broni palnej.

- Tak, wiem - odparł Nick.

- Zwróćcie się do sierżanta Vollmera - dodała Taylor.

W ekipie policyjnej, która przyjechała na miejsce, nie było jednak Danny'ego Vollmera. Kiedy Nick i Taylor skończyli składać zeznania, zegar na wieży stojącej w centralnym punkcie parku wybił dwunastą. Nick zaproponował, by pojechać na noc do Rounders.

- Mam japoński materac dla gości, nie martw się.

- Ale nie masz Elma - odparła. - Nigdy mi nie przebaczy, jeżeli go zostawię bez kolacji. A poza tym nie jestem aż tak wystraszona, żebym się bała spać we własnym domu.

- Podejrzewałem, że tak będzie - westchnął i wskazał na sportową torbę leżącą na tylnym siedzeniu furgonetki. - Tym razem się przygotowałem.

Z niechęcią pomyślał o kolejnej nocy, w czasie której jego biedne ciało będzie musiało znieść podwójne tortury - kanapę z wystającymi sprężynami i obecność Taylor, tak bliskiej, a nieosiągalnej.

- Eugene pewnie da sobie spokój na dzisiaj - powiedziała.

- Wcale nie wiadomo, czy to on.

Wiadomo, wiadomo. Tylko że ja nie mogę ci o tym powiedzieć, pomyślała i przeszedł ją dreszcz.

- Nie wracajmy już do Vedy po twój samochód. Zabierzemy go jutro.

- Jesteś pewien, że to dobry pomysł? Veda zobaczy go rano przed domem i pomyśli, że coś się stało.

- Pomyśli, że razem spędziliśmy noc. To byłoby cudowne, pomyślała, ale nie powiedziała nic. Nick nie od razu pozwolił Taylor wysiąść, gdy znaleźli się pod jej domkiem. Musiała poczekać, aż sprawdzi najbliższą okolicę. Gdy tak siedziała, uświadomiła sobie, że jej rewolwer znowu został w pick - upie, czterdzieści kilometrów stąd. Kolejny błąd. Gdyby teraz ktoś ich zaatakował, nie mieliby się czym bronić.

Elmo był tak urażony, że nawet nie raczył się przywitać, kiedy jednak Taylor otworzyła puszkę z jego ulubionym jedzonkiem, złość mu od razu minęła.

- Gdybym była takim żarłokiem jak Elmo - powiedziała, schylając się, by przełożyć mieszankę do kociej miski - wyglądałabym jak szafa trzydrzwiowa.

Patrząc na jej wypiętą, zgrabną pupę, Nick pomyślał, że nie ma takiego niebezpieczeństwa. Taylor sama była podobna do kota - gibka, sprężysta, umięśniona. Nigdy dotąd nie pociągały go silne, wysportowane kobiety. Prawdę powiedziawszy, nie rozumiał, dlaczego osoba w typie Taylor w ogóle mu się spodobała, nie wspominając o tym, że odkąd ją zaangażował do pracy, spotykały ich tylko przykre, dziwne i groźne wydarzenia. Teraz, paradoksalnie,

najlepszym sposobem na zapewnienie jej bezpieczeństwa było przebywanie razem.

Przypomniął sobie moment, gdy włączył światła na karuzeli. Wtedy przysięgłby, że patrzyła na niego jak na mężczyznę, nie jak na klienta, ale zapewne oszukiwał samego siebie. Co taka wykształcona kobieta z bogatej rodziny mogłaby w nim widzieć? W końcu żyje tylko z pracy rąk, nawet jeżeli niektórzy uważają, że ta praca ma charakter artystyczny. Na dodatek ma wszelkie szanse, by zostać wkrótce bankrutem albo wręcz wylądować w więzieniu.

- Jak ci się wydaje: wezwą tego Eugene'a na przesłuchanie? - zapytał w końcu, raczej dla podtrzymania rozmowy niż z ciekawości.

- Wolałbym mieć pewność, czy to on strzelał, czy kto inny.

- Nie licz na to. - Wzruszyła ramionami. - Kto niby miałby go przesłuchać? Policja stanu Missisipi? Policja stanu Tennessee? Policja miejska z Memphis? A może policja z Oxfordu? Przy całej tej biurokracji prędzej umrze ze starości, niż ktoś go przyskrzyni. Chyba że dobrowolnie zgłosi się na posterunek i poprosi, żeby go zamknęli.

- W takim razie nadal będzie próbował nas dopaść.

- Wiem. Zgodnie z rachunkiem prawdopodobieństwa w końcu mu się uda. - Usiadła ciężko na kanapie i po chwili dodała: - Wiesz, że nie byłeś dziś jedynym celem. Mierzył do nas obojga.

- Uhm. Zadzwońisz do Bormana?

- Nie dzisiaj. - Pokręciła głową. - Może jedno z nas powinno stać na warcie, gdy drugie śpi, jak pionierzy w krainie Komanczów?

- Sądzę, że dziś w nocy będziemy mieli spokój. Chyba że Eugene załatwił sobie wyrzutnię raketową i urządzi nam bombardowanie.

- Obyś miał rację. - Taylor wstała. - Ja w każdym razie muszę się położyć, bo czuję się tak, jakby ten dzień zaczął się jeszcze we wrześniu.

Nick długo nie mógł zasnąć, nie z powodu niewygodnego łóżka, nawet nie z powodu Taylor. Na myśl o tym, że niedługo będzie ranek, czuł przerażenie jak skazaniec, któremu o świcie założą stryczek. Rano czekała go konfrontacja z Maxem.

Zawsze był wdzięczny losowi za to, że zetknął go z tym człowiekiem. Wychował się u dziadka, którego trudno było uważać za wzór do naśladowania, o swoim ojcu nic nie wiedział i przeraźliwie tęsknił za tym nieobecnym ojcem. Maxowi z kolei brakowało obecności syna, więc każdy z nich wypełnił puste miejsce w życiu drugiego.

Ostatnie wydarzenia zdawały się świadczyć o tym, że tak naprawdę nie zna Maxa. Czyżby wyobrażenie, jakie dotychczas miał na jego temat, było tylko projekcją własnych potrzeb i rozmijało się z rzeczywistością? Nigdy nie zauważył u Maxa objawów słabości, a jednak perfidna złośliwość i okrucieństwo, jakie okazał dziś w stosunku do Josha świadczyły właśnie o słabości. Dlaczego wcześniej nie zwrócił uwagi na to, że Max od pewnego czasu często się upija? Czyżby jego mistrz i przyjaciel usiłował utopić w alkoholu poczucie winy?

Max zawsze miał praktyczne podejście do życia. Mógł rozumować w następujący sposób: potrzebuję pieniędzy, więc ukradnę rzeźby. Nikt się o tym nie dowie, Nickowi nie wyrządzą żadnej krzywdy, bo rzeźby i tak stałyby bezproduktywnie w magazynie, a jeżeli to on będzie potrzebował pieniędzy, po prostu więcej popracuje.

Tymczasem Nick wszystko odkrył, Helmut Eberhardt i jego żona zginęli, a to, co z początku wydawało się nieskomplikowanym, „czystym” interesem, skończyło się podpaleniem i zabójstwem.

Może Clara Eberhardt szantażowała Maxa? Może próbowała wykorzystać w tym szantażu śmierć swojego męża, a może chciała, żeby Max znowu coś ukradł? Z nim na pewno nie bałaby się wsiąść do samochodu i przyjechać do Rounders.

Czy równie łatwo przyjechałaby z Joshem? Nie wiadomo. Możliwe. A z Veda? Veda stała się ekspertem w sprawie narzędzi rzeźbiarskich, zaś jej wiedza pielęgnarska mogła posłużyć do zadania precyzyjnego ciosu.

Rico? Uwodzi każdą, która się nawinie. Jego komplementy mogły mile polećtać Clarę i skłonić ją do umówienia się z nim.

Nick nagle się poderwał, bo przypomniał sobie zalotną bieliznę w bagażu Clary. Niewykluczone, że rzeczywiście przyjechała na spotkanie z kochankiem i że tym kochankiem był Rico. Uświadomił sobie, że ani on, ani Taylor nie sprawdzili, czy hotel Windwick miał rezerwację na nazwisko Clary. Może to Rico zarezerwował pokój na siebie?

Pozostał jeszcze Marcus Cato, ale Nick jakoś nie potrafił wyobrazić sobie Clary spotykającej się z Marcusem w ciemnym magazynie Rounders.

A jeżeli był z nią Eugene Lewis? Może obydwoje z Taylor popełnili błąd, uznając, że jest za głupi, by wymyślić tak subtelny scenariusz? Jeżeli to Eugene pomógł wynieść rzeźby z magazynu, znał już Rounders i okolicę - i w takim razie mógł zabić Clare.

Tak, ale nie miał klucza.

A może miał?

Nick poczuł, że jeszcze chwila takich rozmyślań, a głowa mu pęknie. Na górze Taylor ruszała się niespokojnie, chyba wstała z łóżka. Wspaniale. Jak tak dalej pójdzie, oka już nie zmruży.

Gdyby chociaż bezsenność mogła przynieść rozwiązanie dodatkowych problemów, z którymi musi sobie poradzić i które zdają się nawet pilniejsze od zagadki morderstwa i odzyskania skradzionej własności. Pierwszy problem; co zrobić, żeby Taylor znalazła się w jego łóżku albo przestała go obchodzić. Drugi problem: co zrobić, żeby utrzymać i siebie, i ją przy życiu.

Rozdział 12

- Pani Taylor Hunt? Mówi Estelle Grierson. Mam nadzieję, że pani nie budzę.

Taylor przetarła oczy i sprawdziła godzinę. Wpół do ósmej. Zeszła tylko do łazienki i chciała wrócić na górę, by pospać jeszcze trochę, gdy zadzwonił telefon. Odebrała od razu, w połowie pierwszego dzwonka, z nadzieją, że Nick się nie zbudzi. Leżał teraz tyłem do niej, po uszy przykryty prześcieradłem.

- A, dzień dobry. Co nowego?

- Siedzę w Oxfordzie, jak było do przewidzenia. Policja dopiero wczoraj wydała ciało. Dziś po południu odbędzie się cichy pogrzeb.

Nick przewrócił się na drugi bok i otworzył zaspane oczy. Zaczął przeciągać się leniwie, co miało ten skutek, że prześcieradło zsunęło mu się z ramion i odsłoniło tors. Taylor odwróciła szybko głowę. Nie chciała, by zauważył, że się zarumieniła.

- Dzwonię, ponieważ pani powiedziała, że może mi pomóc w porządkowaniu różnych rzeczy - kontynuowała Estelle. - Czy miałyby pani trochę czasu dziś do południa? Znalazłam klucz od drugiej skrytki, w innym banku niż ta poprzednia. Mam prawo ją otworzyć tylko w obecności przedstawiciela banku i wobec tego chciałabym, żeby ktoś mi towarzyszył; rozumie pani, chciałabym mieć swojego świadka. Taylor natychmiast wytężyła uwagę.

- Oczywiście, Estelle. - Zwróciła się w stronę Nicka i zaczęła mu dawać nieme znaki. - Bardzo chętnie pomogę pani otworzyć tę skrytkę. Myślę, że dwie godziny wystarczą mi na wybranie się i na

dojazd. Umówmy się więc na dziesiątą, dobrze? Potem mogłybyśmy pójść do domu czy nawet do galerii. O której jest pogrzeb?

- O czwartej - westchnęła Estelle. - Naturalnie zapłacę pani według normalnej stawki.

- To nie będzie konieczne, naprawdę. Do zobaczenia. - Odłożyła słuchawkę na miejsce i triumfalnie spojrzała na Nicka. - Słyszałeś?

Uśmiechnął się i trzykrotnie zaklaskał na znak uznania.

- Wstawaj, jedziemy. Na śniadanie wstąpimy gdzieś po drodze - zaordynowała Taylor.

- To ja też mam jechać?

- Powiem jej, że jesteś ekspertem od antyków. Bo jesteś, może nie?

- Umiem je podrabiać... - Zrobił ponury grymas.

- To świetnie. - Taylor otworzyła drzwi do łazienki i dodała: - Mam do ciebie prośbę. Zadzwoń do Josha i powiedz, że nie mogę się z nim dziś spotkać, tylko przypadkiem nie mów mu dlaczego. Nastawisz kawę, kiedy będę się kąpać? Potrzeba mi dziesięciu minut, żeby się przygotować.

Uśmiechnęła się i nie czekając na odpowiedź, zniknęła za drzwiami. Nick nagle poczuł się całkowicie obudzony i równie podniecony. Taylor chyba nie zdaje sobie sprawy z tego, że czarna, niby to obszerna koszulka, w której tu przed chwilą paradowała, ledwie zakrywa jej pupę. Prawie każdy ruch, uniesienie rąk odsłaniało jej białe majteczki i wszystko to stanowiło bardzo sugestywny widok...

Ta kobieta w ogóle się nim nie przejmuje, traktując go tak, jakby był jej koleżanką, kuzynką - wszystkim, tylko nie mężczyzną. Jak w ogóle mogło mu się wczoraj wydawać, że przeszły między nimi jakieś fluidy... Westchnął, zepchnął z kanapy Elma, który i tę noc spędził u jego boku, złożył pościel. Zatelefonował do Josha, ale zastał tylko Margery. Z nieszczerą uprzejmością obiecała, że przekaże wiadomość.

Elmo wskoczył na blat kuchenny i głośnym miauknięciem obwieścił światu, że jest głodny. Nick napełnił suchą karmą i wodą obie jego miseczki, zmielił kawę, którą wyjął z lodówki, i nastawił ekspres. Dwa dni - i wdrożył się w zwyczaje tego domu, jakby to był jego własny.

Niestety, nie udało mu się wejść w życie Taylor. Schylił się pod stół i sięgnął po torbę, w której miał ubrania na zmianę i przybory do golenia. Usiadł, czekając na moment, kiedy łazienka będzie wolna. A gdyby tak wejść tam już teraz i wśliznąć się pod prysznic? Pewnie wyrzuciłaby go z hukiem.

Kilka metrów od niego Taylor masowała całe ciało szorstką rękawicą. Trudno, nie będzie oszukiwać samej siebie: wczoraj, na karuzeli, miała niesamowitą ochotę kochać się z Nickiem, dzisiaj zresztą też. Kiedy przed chwilą przeciągał się leniwie na kanapie i patrzył na nią tymi swoimi brązowymi oczami, mało brakowało, a rzuciłaby się na niego i zgwałciła.

Doprawdy, nie ma wielkiej różnicy między nią a CeCe Washburn.

Stopniowo puszczała coraz zimniejszą wodę, aż dostała gęsiej skórki i zaczęła szcząkać zębami. Wytrzymała chwilę, ale w końcu uznała, że żaden mężczyzna nie jest wart takich tortur.

Odkręciła z powrotem kurek z ciepłą wodą, ogrzała się i po minucie wyszła spod prysznica.

Ubierając się, pożałowała, że od długiego czasu omija butiki z luksusową bielizną i ogranicza się do zakupów w sklepie z ubraniami sportowo - turystycznymi. Gdyby... gdyby jednak między nią a Nickiem doszło kiedykolwiek do rozbieranki, wolałaby mu pokazać komplet z czarnej koronki niż bawełniane majtki i stanik do joggingu. Bładoróżowa szminka i trochę cieni do oczu też by nie zaszkodziło.

Jeszcze jeden dzień z tym facetem i wykupi okłady z alg w najbliższym gabinecie kosmetycznym! Odłożyła suszarkę i zmierzwiła włosy, po czym włożyła najbardziej nieforemny sweter, jaki miała w swej garderobie. Na stopy wciągnęła grube skarpety w prążki i poszła szukać butów.

Nick położył zapasowe klucze do domu na werandzie u Vedy, w widocznym miejscu, by zobaczyła je, wychodząc. Dołączył do nich kartkę z wyjaśnieniem, że wyjeżdża razem z Taylor na cały dzień, a Veda, jeśli ma ochotę, może otworzyć pracownię.

Ponieważ do Oxfordu postanowili wybrać się samochodem Taylor - furgonetka z napisem „Rounders” mogłaby wzbudzić podejrzliwość Estelle - Nick zabrał się do skrobania przedniej szyby, która w ciągu nocy pokryła się warstwą szronu. Taylor siedziała w środku, w ciepłe, i patrzyła, jak mu idzie. Była trochę niezadowolona

z tego, że zabrał się do tej roboty tylko dlatego, że jest mężczyzną, i nie zapytał jej o zdanie. Z drugiej strony miała przyjemność z obserwowania Nicka - tego, jak S i ę przechyla, żeby sięgnąć środka szyby, wyciąga ręce, napręża mięśnie. Gdyby tylko potrafiła patrzeć na niego tak, jak się patrzy na rzeźbę - pod kątem walorów estetycznych... Rzeźby nie mają jednak wielkich brązowych oczu, nie uśmiechają się szeroko, ich ręce są lodowate, tymczasem ręce Nicka...

Dosyć! Zamknęła oczy, żeby go nie widzieć.

Kiedy już byli w drodze, zadzwoniła do Mela i przedstawiła mu „przejrzaną i poprawioną” wersję spotkania ze snajperem - czyli prawdopodobnie z Eugene'em - w czasie wieczornej przechadzki po parku rozrywki. Sekretarce Rica zostawiła wiadomość w sprawie lunchu, a także zamieniła kilka słów z Marcusem Cato, którego udało się jej złapać w dobrym momencie, tuż przed wejściem do bloku operacyjnego.

Nick zatrzymał się przed najbliższym barem, by kupić coś na śniadanie, potem zaś jechał, prowadząc samochód jedną ręką. Dzień był pogodny, a listopadowe słońce nadawało mijanym krajobrazom bladą świetlistość szlachetnego chablis. Nigdzie ani śladu Eugene'a. Jeżeli nadal ich śledzi, robi to znacznie dyskretniej niż dotychczas.

- Pan doktor Cato przyjmie mnie dzisiaj o czwartej po południu u siebie w domu - powiedziała Taylor z udawanym brytyjskim akcentem.

Nick wypił przez słomkę trochę soku pomarańczowego i odstawił kubek w specjalny uchwyt na napoje umocowany przy desce rozdzielczej.

- Ciekaw jestem, jakie wrażenie zrobi na tobie ten dom.

- Dlaczego?

- Sama zobaczysz - zachichotał.

- To ty ze mną nie pójdziesz? Mel jeszcze przed chwilą powtórzył, żebyśmy się nie rozstawali.

- Eugene nie atakuje za dnia, a ja muszę spotkać się z Maxem.

- Chwileczkę. - Taylor odstawiła swą kawę tak energicznie, że rozlała trochę płynu. - Chyba nie wybierasz się do niego w pojedynek?

Nick oderwał wzrok od drogi i posłał jej spojrzenie wystarczająco długie, by zaniepokoiła się o bezpieczeństwo jazdy.

- Na samym początku powiem mu, że już kilka osób wie to samo co ja.

- Doprawdy genialne i bardzo sprytne.

- Max nie jest wariatem. - Nick dodał gazu, by wyprzedzić samochód z przyczepą kempingową. - Dzisiaj nie mam już nawet pewności co do tego, że jest winny.

Taylor parsknęła gniewnie.

- Może to po prostu Eugene zabił Eberhardta i podłożył ogień. Do tego nie potrzeba było specjalnej inteligencji - zasugerował Nick.

- Z tym się zgadzam - rzekła kpiąco. - Czy w tej sytuacji będziesz twierdził, że śmierć Clary nastąpiła przez przypadek?

- Nie, ale... - Nie dokończył i przez moment prowadził w ciszy. Po chwili dodał z naciskiem: - Jeżeli Max jest winny, przekonam go, żeby sam się przyznał i wynajął Rica jako obrońcę. W każdym razie ja go nie opuszczę.

- Ty chyba zwariowałeś! Max jest mordercą, nasłał na nas tego osiłka Eugene'a, okradł cię, naraził na szwank twoją dobrą opinię, posunął się nawet do tego, że ukradł cenną rzeźbę z karuzeli w parku. Jeszcze ci mało?

- Nie opuszczam w biedzie przyjaciół - powtórzył uparcie. Taylor ni to sarknęła, ni to jęknęła w odpowiedzi.

- Posłuchaj, Taylor. Ja wiem, co to znaczy, gdy wszyscy się od człowieka odwrócą. Postąpię tak, żeby Max nie mógł nam zaszkodzić, ale nawet jeżeli jest winny, nie opuszczę kogoś, kogo kocham jak ojca.

Taylor przedstawiła Nicka jako przyjaciela, który zna się trochę na antykach, i od tej chwili Estelle zwracała się prawie wyłącznie do niego.

W skrytce bankowej Clary rzeczywiście znajdowało się sporo papierów. Świadcstwa udziałowe i obligacje Estelle zostawiła na boku, pozostałe dokumenty włożyła do teczki, po czym poszła z Nickiem i Taylor na lunch do baru na rogu. Kiedy usiedli, Taylor zaczęła przeglądać zawartość teczki.

- Estelle, tu jest to, czego pani potrzeba - obwieściła już po kilkunastu sekundach, potrząsając plikiem pożółkłych kartek. - Proszę posłuchać: serwis Lowestoft na dwanaście osób, dzbanek na

czekoladę, data powstania około tysiąc siedemset sześćdziesiąty rok. To jest aneks do umowy ubezpieczenia.

- Co mi z tego?

- Gdy zjemy, pójdziemy do domu i porównamy zniszczone przedmioty z tą listą. Będzie pani mogła wykazać, że zostały potłuczone w czasie włamania i że ich nie sprzedano.

Estelle wycisnęła cząstkę cytryny do mrożonej herbaty.

- Dobrze, cieszę się - rzekła nieobecny tonem. Taylor spojrzała na Nicka i wzruszyła ramionami.

- Może mi się poszczęści i coś odzyskam - dodała Estelle. Posmarowała masłem kawałek bagietki i podniosła go do ust, lecz go nie zjadła, zupełnie jakby zapomniała, że trzyma coś w palcach. Taylor poklepała Estelle po prawej ręce, w której dla odmiany ciągle ścisnęła nóż do masła.

- Widziała pani te świadectwa udziałowe, prawda? Clary nic nie przywróci do życia, natomiast pani, jeżeli tylko zechce, może w tej chwili wysłać dzieci na studia do Harvardu, wyjechać w rejs dalekomorski, odnowić dom, bo ja wiem co jeszcze.

Estelle odłożyła bagietkę na stół.

- Nie, nie mogę. Mój mąż zainwestuje wszystkie te pieniądze i będzie ich pilnował jak kwoka piskląt.

- Przecież należą do pani, nie do niego.

- On będzie miał w tej sprawie odmienne zdanie.

Taylor poczuła się tak, jakby to wbrew jej woli ktoś chciał podjąć decyzję.

- Najważniejsze, jak pani do tego podejdzie - zaciętrzewiła się. Widząc puste spojrzenie Estelle, postanowiła jednak zostawić ten temat, ale jednocześnie poprzysięgła sobie, że zrobi wszystko, by wszelkie pieniądze, jakie pozostaną po spłaceniu ewentualnego odszkodowania dla Rounders, trafiły do tej kobiety. Choćby nawet miała sobie nimi opłacić żigolaka i wycieczkę dookoła świata. Dodała więc pocieszająco: - Proszę się teraz tym nie martwić i coś zjeść. Wygląda pani na wyczerpaną.

Estelle uśmiechnęła się blado, ale nie do niej, tylko do Nicka. On odwzajemnił uśmiech. Taylor podniosła oczy do nieba i z powrotem pogрузzyła się w studiowanie papierów. Znalazła akt ślubu Clary i Helmuta Eberhardtów, a także polisę na życie wystawioną tylko na niego. Dzięki tej polisie Estelle, jako spadkobierczyni, powinna otrzymać ćwierć miliona dolarów - nieźle jak na dawną hippiskę. Taylor zastanowiła się, ile spośród wrednych wydr doszło do takiej fortuny.

Spojrzała uważnie na Estelle.

W końcu nic nie wie o tej kobiecie. Ktoś wynajął Eugene'a. Dlaczego nie Estelle? Po siostrze i jej mężu odziedziczy fortunę. Zyska na ich śmierci znacznie więcej, niż złodziej rzeźb zyskał na kradzieży.

Postanowiła, że musi potem sprawdzić alibi Estelle na poniedziałkowy wieczór. Lot z Chicago trwa trochę ponad godzinę. Clara mogła odebrać ją z lotniska, a potem pojechać z nią do Rounders swoim samochodem. Mogła, owszem, ale wydaje się to

mało prawdopodobne. Mimo wszystko Estelle nie wygląda na kogoś, kto potrafiłby zabić, i sprawia wrażenie szczerze zrozpaczonej.

Może jednak pan Grierson wcale zrozpaczony nie jest...

Im głębiej zastanawiała się nad sprawą, tym więcej znajdowała podejrzanych.

Kelner przyniósł sałatkę z roszponki i bliżej nie zidentyfikowanych płatków kwiatowych. Nick zmarszczył nos, ale odważnie pochwycił widelec i zanurzył go w efektownej kompozycji.

Taylor odsunęła się, żeby zrobić mu więcej miejsca.

- Bingo! To jest spis rzeczy, które były w galerii - oznajmiła, przebiegając wzrokiem pierwszą stroną komputerowego wydruku. - Zrobiony w tym miesiącu, pierwszego, więc powinien być zgodny ze stanem faktycznym. Nie sądzę, żeby Eberhardt sprzedał zbyt wiele w ciągu zaledwie kilku dni.

Spis miał dziesięć gęsto zadrukowanych stron. W pierwszej kolumnie figurowała nazwa przedmiotu i data powstania, w drugiej cena i data zakupu. Trzecia i czwarta kolumna zawierały nową nazwę, pod jaką Eberhardt wystawiał przedmiot na sprzedaż, a także cenę, jakiej żądał. Należało sądzić, że gdzieś istnieje inna lista, zawierająca dane o sprzedaży.

- Ohoho. Posłuchajcie tylko! - rzekła Taylor. - Serwantka, Pensylwania, rok tysiąc dziewięćset dwudziesty, pięćdziesiąt dolarów. Do sprzedania jako kredens, przykład ludowej sztuki Amiszów, schyłek dziewiętnastego wieku, pięć tysięcy dolarów. Sprytne, co?

- Przecież mówiłam, że oszukiwał ludzi - skomentowała Estelle i lekki uśmieszek zaigrał na jej wargach. - Zawsze mówił, że jeżeli się nie znajdują na antykach, a chcą je mieć, to tym gorzej dla nich.

Taylor spojrzała na Nicka. Już się nie uśmiechał. Obserwował coś przez szybę.

- Nick? - powiedziała, a gdy nie zareagował, powtórzyła: - Nick!

- Przepraszam. - Drgnął, jakby się obudził.

- Zerknij na to.

Westchnął, przejął spis i przejechał wzrokiem każdą linijkę. Pokręcił głową. Żadnych rzeźb z karuzeli. Może Eberhardt miał osobną listę przedmiotów pochodzących z kradzieży?

- Moim zdaniem uda się pani odzyskać znaczną część rzeczy z galerii - powiedział do Estelle. - Doszczętnie spaliły się tylko te meble, które były w magazynie na tyłach, tam, gdzie pani szwagier je postarzał. Pozostałe trzeba pewnie odnowić, oczyścić, zmienić tapicerkę i będą się nadawały do sprzedania. Z tego spisu wynika, że w galerii było też mnóstwo cennych zabawek i różnych drobiazgów. O, proszę posłuchać: kryształowy wazon, huta szkła w Waterfordzie, broszka, złoto i ametyst, styl art deco, potrójny naszyjnik z pereł hodowlanych, damska kredka, złoto, dwadzieścia cztery karaty, tysiąc dziewięćset czwarty rok, szachy z kości słoniowej i tak dalej, i tak dalej.

- Co mam z tym zrobić? - zapytała Estelle.

- Znam osobę, która pracuje w tej branży - oznajmiła Taylor, myśląc o CeCe Washburn. - Zadzwoń do niej i poproszę, żeby tu

przyjechała. Ona zaproponuje pani uczciwą cenę za wszystko, co zostało.

- Naprawdę zrobi to pani? - Estelle chwyciła ją za dłoń. - Byłoby wspaniale, bo ja naprawdę nie mam siły się tym zajmować.

W tej samej chwili podszedł kelner i postawił przed Estelle talerz pełen makaronu w ostrym sosie z krewetkami, a ta, zamiast zabrać się do jedzenia, wybuchnęła płaczem.

- Czy coś się nie zgadza, proszę pani? - zapytał. Estelle zaprzeczyła bezgłośnie i odesłała go ruchem ręki.

Wszyscy troje pojechali zobaczyć, co właściwie zostało z galerii. Gdy Estelle zdjęła kłódkę z frontowych drzwi i weszli do środka, ich nozdrza uderzył nieznośny odór rozmokłego drewna oraz tkanin gnijących po polewaniu wodą.

- Nie mogę, przepraszam - wyszeptała Estelle. - Poczekam w samochodzie.

Taylor posłała Nickowi porozumiewawcze spojrzenie. Będą mieli więcej swobody.

Ściana odgradzająca zaplecze od głównej części galerii sprawiła, że ogień nie przedostał się tutaj, ale wszystko było osmolone dymem. Wschodnie kobierce, które zaścielały betonową podłogę, nasiąkły wodą i przypominały gąbczaste, cuchnące błocko.

Nick ostrożnie przesuwiał się między starymi konsolkami, kuframi i stolikami oblepionymi warstwą lepkiej sadzy, na których stały setki równie brudnych drobiazgów. Taylor obserwowała go, stojąc z rękami w kieszeniach. Brzydziła się dotknąć czegokolwiek.

Daleko w rogu, blisko ściany, za którą był magazyn, stała gablota z eksponatami. Taylor podeszła w końcu, by obejrzeć ją z bliska. Niewiele mogła zobaczyć przez przydymione szkło, ale obok były inne gablotki, które popękały pod wpływem temperatury. Wśród odłamków leżała piękna brosza z kwadratowych ametystów, ta, którą Nick znalazł w spisie. Dostrzegła też perły, ale wyglądały teraz nieładnie, były szare i jakby pokurczone. Miniaturowy zaprzęg dla lalki stopił się prawie zupełnie, z wieczorowej torebki z koralików zostały tylko resztki.

Nie usłyszała, jak Nick zbliża się do niej, więc podskoczyła przestraszona, gdy się odezwał.

- Żadnych rzeźb z karuzeli nie widzę. Za ścianą jest tylko popiół, nic więcej.

Chciała sama się o tym przekonać, ale położył rękę na jej ramieniu i ją zatrzymał.

- Po co masz na to patrzeć. Tam jest jak po wybuchu bomby.

Taylor poczuła dreszcze.

- Chodźmy już - powiedział Nick. Posłusznie wyszła za nim. Zatrzasnął kłódkę w głównych

drzwiach i podszedł do siedzącej w swoim aucie Estelle. Powiedział coś do niej przez uchyloną szybę, ale tak cicho, że Taylor nie usłyszała. Estelle pokiwała głową i ruszyła.

- Jedziemy za nią do domu Eberhardtów - oznajmił. Dziesięć minut później Estelle otworzyła im drzwi. Była cała zapłakana.

- To jest potworne - wychlipała.

- Wiem. - Taylor posadziła ją w ławce, zapewne pochodzącej z jakiegoś kościoła, która stała w holu i szczęśliwie nie ucierpiała w czasie napadu. - Czy mogę wejść na piętro?

Estelle potaknęła i ruchem ręki pokazała jej schody.

- Posprzątam trochę w kuchni - zadeklarował Nick. Jakkolwiek wandal nie opuścił żadnego pomieszczenia w domu, na górze zniszczenia były mniejsze niż na dole.

Taylor zorientowała się, że Eberhardtowie mieli oddzielne sypialnie. Trzecia sypialnia była zapewne przeznaczona dla gości. Czwarty pokój pełnił funkcję biblioteki - regały wznosiły się tu od sufitu do podłogi, z tym że oprawnych w skórę książek nie zebrano ze względu na treść, tylko kupiono je dla dekoracji. Wszystkie leżały teraz na podłodze. Komputer też był zrzucony z biurka, kable poplątane, monitor rozbity, klawiatura połamana. W samą skrzynkę komputera ktoś musiał uderzyć ciężkim narzędziem. Jakikolwiek informacje znajdowały się w środku, były na zawsze stracone. Taylor przeszukała szuflady biurka z nadzieją, że trafi na dyskietki z kopiami zapisów komputerowych, ale znalazła tylko nielegalne oprogramowanie.

Zaczęła z powrotem ustawiać książki na półkach, sprawdzając dokładnie grzbiet i kartki, jednak nie ukryto w nich żadnych notatek ani papierów.

Zerwane ze ścian obrazy - najprawdopodobniej wartościowe sztuchy - również leżały na podłodze. Taylor obejrzała każdy z tyłu, z

przodu, zdjęła połamaną ramię, uniosła passe - partout, ale bez rezultatu, ułożyła je więc ostrożnie na biurku.

Po godzinie książki stały na półkach, a w pokoju był względny porządek. Plecy bolały Taylor od ciągłego schylania się, skórę na palcach miała w kilku miejscach poprzecinaną od kontaktu z ostrymi brzegami papieru.

W końcu zeszła na dół. Nicka i Estelle znalazła w kuchni. On zmywał szczotką na kiju ostatnie ślady melasy i konfitur, ona siedziała przy stole zajęta sortowaniem odłamków porcelany i kryształu. Śmiała się.

Taylor poczuła ukłucie zazdrości.

Sekundę później Estelle zauważyła ją i powitała tak szczerym, przyjaznym uśmiechem, że zrobiło jej się głupio. Nick nie tylko sprzątnął potworny bałagan, jaki tu panował, ale w dodatku zabawił Estelle tak skutecznie, że w końcu się rozchmurzyła. Taylor pomyślała, że większość znajomych jej mężczyzn zepchnęłoby na kobietę prace takie jak skrobanie podłogi. Nick to wszystko zrobił sam.

- Taylor, nie wiem, jak wam dziękować - powiedziała Estelle i skierowała wzrok na Nicka.

- Udało mi się tylko zaprowadzić trochę ładu w bibliotecę - odparła Taylor i popatrzyła na zegarek. - Już po drugiej. Czy nie powinna pani wrócić teraz do hotelu, żeby się przygotować do pogrzebu?

Estelle przytknęła rękę do ust.

- Ależ tak, i to jak najszybciej! - Wychodząc z domu, Estelle upewniła się: - Mogę liczyć na to, że zatelefonuje pani do tej znajomej od antyków?

- Oczywiście - potwierdziła Taylor.

- Nie chciałabym się narzucać, ale może jeszcze wróciłaby pani tutaj? - zapytała, lecz widząc niezdecydowaną minę Taylor, dodała czym prędzej: - Naturalnie nie jutro, wiem, że jest pani zajęta, ale i tak nie pojedę do domu prędzej niż w przyszłym tygodniu. Może za kilka dni?

- Zobaczę, czy będę mogła - odparła Taylor z uśmiechem.

Zaparkowała pick - upa obok nowiutkiego mercedesa w kolorze srebra. Dom Marcusa Cato wyglądał jak kopia Partenonu przystosowana do potrzeb wieloosobowej rodziny.

Weszła po szerokich marmurowych schodach i nacisnęła dzwonek znajdujący się na prawo od dwuskrzydłowych drzwi. Dzwonek był prozaicznie dwudziestowieczny. Jego brzęczenie odezwało się w głębi domu stłumionym echem. Drzwi otworzyły się prawie natychmiast i stanął w nich właściciel gmaszyska. Taylor pomyślała, że ten człowiek - wyższy od niemałego przecież Nicka i o wiele potężniejszy - zbudował dom na swoją miarę. Cerę miał pocętkowaną bliznami po trądziku, lecz mimo to promieniowała świeżością, przyjemnie opalona na kolor kawy z podwójną śmietanką. Gęste, siwe włosy zdawały się rozświetlać jego twarz.

- Pan doktor Cato, jak się domyślam? Jestem Taylor Hunt. Nawet w dżinsach i bawełnianej bluzie Marcus Cato pachniał pieniędzmi. I seksem. Emanował fizyczną zmysłowością.

Uśmiechnął się szeroko i uścisnął jej dłoń. Taylor poczuła dotyk jego gładkiej, jakby kobiecej skóry. Palce miał długie i delikatne, nie pasujące do tego atletycznego ciała. Musiały być niezwykle sprawne - stanowiły narzędzie jego pracy.

- Proszę wejść - powiedział tubalnie. Szeroki hol wyłożony zielonym marmurem zaprowadził ich do otoczonego kolumnadą, dużego atrium. Na środku biła fontanna oświetlona dziennym światłem, które wpadało przez przeszklony dach.

- Ojej! - zawołała Taylor. Wszystko wyglądało tu tak, jakby cofnęła się o dwa tysiące lat i weszła do willi rzymskiego patrycjusza.

- Z zewnątrz ma się wrażenie, że to zwyczajny dom, prawda? - powiedział Cato.

- Jak najbardziej. W końcu jak człowiek patrzy na pałac w Wersalu, to też myśli, że to był kiedyś zupełnie zwyczajny dom.

Wsunął rękę pod jej łokieć i poprowadził ją przez atrium.

- Domyślam się, że od razu chciałaby pani porozmawiać o Rounders i zobaczyć rzeźby, które mam. Są obok. Urządziłem tu sobie taki zaciszny kącik i właściwie tam mieszkam.

Otworzył rozsuwane drzwi i szarmancko stanął z boku, zapraszając Taylor do środka. Znalazła się w bogato urządzonego pokoju. Był tam komplet mebli z brązoworudej skóry i kominek, wystarczająco duży, by upiec w nim wołu.

W rogu obok kominka stał koń z karuzeli. Był większy od rzeźb, które dotąd widziała, i miał na grzbiecie zbroję.

- Bardzo ładny. Czy to Muller? - zaryzykowała, zdecydowana wykorzystać swoją niepełną na razie, ale już nie najgorszą znajomość przedmiotu.

- Nie, to moje dzieło. Proszę usiąść. Zrobię pani drinka. Cato podszedł do konia i otworzył niewidoczną na pierwszy rzut oka klapę w jego brzuchu, za którą krył się bogato wyposażony barek.

- Nie, dziękuję. Popatrzył na nią jakby urażony, ale zaraz się rozchmurzył.

- W takim razie jakiś napój?

Pomyślała, że łatwo się pomylić w ocenie takiego człowieka. Jego sylwetka sprawia tak przytłaczające wrażenie, że można w ogóle nie zwrócić uwagi na inteligentny, diaboliczny wręcz błysk w spojrzeniu.

- Chętnie, zwłaszcza coś niskokalorycznego. Wrzucił kilka kostek lodu do kryształowej szklanki i zanurzył rękę w barku. Gdzieś na wysokości końskiej szyi znalazł puszkę, której szukał, i podał ją Taylor wraz ze szklanką. Dla siebie wybrał chivas regal bez żadnych dodatków. Idąc w stronę kanapy, otarł się o Taylor, niby przypadkiem. Był świadom swojej atrakcyjności seksualnej i ją wykorzystywał.

- Tak jak pan wie, rozmawiam ze wszystkimi osobami, które były w Rounders w dniu, kiedy Nick zadzwonił w sprawie kradzieży - powiedziała.

- Jestem czysty jak łąza.

- Słucham?

- Nie zrobiłem tego. - Cato rozłożył ramiona na oparciu kanapy i bawił się szklanką, którą balansował na rozpostartej dłoni. - Ukradziono je dla pieniędzy, a ja ich nie potrzebuję.

- Mogły być inne powody.

- Nie. - Pokręcił głową. - Tylko forsa.

- Naprawdę jest pan taki bogaty, na jakiego wygląda? Mój ojciec zwykł mawiać, że lekarze nie umieją obchodzić się z pieniędzmi.

- Pani ojciec mówił o lekarzach ze swojego pokolenia. Wśród mojego pokolenia jest wielu wytrawnych biznesmenów.

- Słyszałam, że ostatnio miał pan kłopoty małżeńskie. Szklanka zachwiała się na ułamek sekundy. Cato złożył dłoń i pociągnął łyk whisky. Taylor poczuła rumieniec na twarzy. Nie chciała być bezczelna, ale bezczelność to zdaje się jedyny sposób na wyciągnięcie czegokolwiek od tego człowieka. Kiedy odjął szklankę od ust, już się znowu uśmiechał.

- Jesteśmy z Charlene małżeństwem od trzydziestu dwóch lat i nie mamy zamiaru się rozwodzić. Nie stać by nas było na życie na tym poziomie, gdyby każde z nas miało do dyspozycji połowę moich dochodów, bo przecież musiałbym płacić jej alimenty. Charlotte nie pracuje od czasu, kiedy zrobiłem dyplom.

- Żadnych kobiet, hazardu ani narkotyków?

Złośliwy uśmieszek zaigrał na jego twarzy.

- Owszem, słoneczko, zdarza mi się poderwać jakąś spódniczkę. Jesteś zainteresowana?

- Chwilowo nie, dziękuję - odrzekła najswobodniej, jak potrafiła.

Cato odchylił do tyłu głowę i roześmiał się tak, że w pokoju aż zadudniło.

- Drogie dziecko, widzę, że masz zahamowania. Taylor wiedziała, że jest czerwona jak burak.

- Kobiety wymagają czasami dodatkowych wydatków.

- Zadaję się tylko z damami. One nie potrzebują forsy, bo mają jej więcej ode mnie. - Upił kolejny łyżeczek whisky. - Az Charlene zawarliśmy taką umowę: ja nie wyliczam jej pieniędzy, a ona po prostu nie zauważa tych pań.

- Rozumiem.

- Teraz posłuchaj, dziecinko: nie ukradłem rzeźb i nie zabiłem tamtej kobiety.

- A jednak można pana podejrzewać. - Postanowiła, że nie da się wyprowadzić z równowagi. - Zna pan anatomię i wie, jak i gdzie uderzyć. To była robota eksperta. Chyba że morderca miał szczęście i tylko przez przypadek Udało mu się zadać precyzyjny cios.

- Ja nie współpracuję z wrogiem.

- Nie rozumiem.

- Ten wróg to śmierć. Niech pani nie wierzy - Cato mówił już grzeczniej - że istnieją niezłośliwe guzy mózgu. Kiedy w takiej ślicznej główce jak pani zaczyna rosnać coś, co nie powinno się w niej znajdować, to pani umrze, jeżeli ja tego nie usunę. Moja praca polega na walce ze śmiercią i bardzo nie lubię z nią przegrywać. Gwarantuję pani, że nie zadźgałbym jakiejś chuderławej kobieciny po to, żeby zdobyć kilka koników z karuzeli.

- Gdzie w takim razie był pan w poniedziałek wieczór?

- Od czwartej po południu do drugiej nad ranem grzebałem w czyimś mózgu.

- I co, wygrał pan?

- O, tak. - Wyszczrzył zęby. - Kostucha będzie musiała jeszcze poczekać parę lat na tego faceta, chyba że wpadnie pod samochód. - Objął szklanę, jakby chciał ją ogrzać i dodał: - Lubię wygrywać.

- W to nie wątpię. - Taylor również się uśmiechnęła, ale tylko na chwilę, bo zaraz zapytała poważnym tonem: - Skąd pan wie, że Clara Eberhardt była „chuderlawa”?

Odstawił szklanę z wystudiowaną nonszalancją.

- Z prasy, jak mi się wydaje. Taylor pokręciła głową.

- No dobrze - westchnął Cato. - Charlene przeszła kiedyś przez okres fascynacji antykami. Kupowała różne rzeczy u Eberhardta, zanim zmańdrzała i zaczęła jeździć po nie do Nowego Jorku i Londynu. Clare Eberhardt spotkałem kilka razy w galerii jej męża.

- Wydaje mi się, że ona nieczęsto tam bywała.

- Bywała, bywała. - Wzruszył ramionami. - Przynajmniej w tamtym czasie. To było jakieś dziesięć lat temu.

A więc on też znał Eberhardtów. Miała już na końcu języka następne pytanie, gdy Cato plasnął dłonią o skórę kanapy.

- Kobieto, chcę, żeby się pani dowiedziała, kto to zrobił. Rounders wiele dla mnie znaczy.

- Nigdy bym nie pomyślała, że Rounders to dla pana coś więcej niż przypadkowa rozrywka w te dni, kiedy jest zbyt mokro, żeby grać w golfa.

- Myli się pani. Nie cierpię golfa. Denerwuje mnie uganianie się za piłką, która nigdy nie chce lecieć tam, gdzie się ją posyła - powiedział, unosząc brwi. - Słyszała pani kiedyś dowcip o tym, jaka jest różnica między Bogiem a lekarzem? Taka, że Bóg nie myśli o sobie, że jest lekarzem. Ja wierzę w siebie bardziej niż w Boga, ale mam też wiele wiary w Niego. Kiedy trzymam w ręku skalpel, lepiej, żebym miał tę wiarę w siebie. W szpitalu rządzą ja, nie kto inny. Pacjenci, pielęgniarki - wszyscy kłaniają mi się z szacunkiem. Za to w Rounders nikogo nie obchodzi, kim jestem; liczy się tylko to, żeby żreback, którego wyrzeźbię, wyglądał jak żywy. I z tego nie zrezygnowałbym za żadne skarby świata.

- Czy zainwestował pan w Rounders?

- Nie, a o co chodzi? Sądzi pani, że Nick ma kłopoty finansowe?

- Na razie nie, ale może mieć. To dziwne, że Max i Josh zainwestowali w pracownię, a pan nie. Jest pan przecież od nich zamożniejszy.

- Tak, ale ja tam trafiłem wtedy, kiedy firma już działała - powiedział i pokazał na konika w zbroi. - Wie pani, jak oni wszyscy - oprócz Nicka, zaznaczam - kręcili nosami, gdy go przerobiłem na barek? Oczywiście, nie przejąłem się ich gadaniem. Jak mam na coś ochotę, robię to i koniec kropka.

Rozdział 13

- Wiem o karuzeli! - Nick wszedł z impetem do salonu Maxa.

- Jakiej karuzeli? - zapytał Max nieufnie.

- Wczoraj wieczorem zaprowadziłem Taylor na karuzelę do parku rozrywki. Znalazłem konia, którego podmieniłeś.

Max odwrócił od niego głowę.

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

- Nie wciskaj mi bzdur. Nigdy ci o tym nie mówiłem, ale wszystkie moje rzeźby mają specjalną sygnaturę. Znalazłem ją u tamtego konia. Jesteś jedyną osobą, która mogła go podmienić.

- Ty miałeś znacznie więcej okazji ode mnie - rzekł chłodno Max.

- Ale ty na pewno miałeś powód. Max nagle przygarbił się i usiadł ciężko, jakby nie miał siły

utrzymać się na nogach.

- Jak myślisz, dlaczego ludzie robią takie rzeczy? Dla pieniędzy - wyjaśnił, a kiedy Nick pokręcił niedowierzająco głową, dodał: - Usiądź, mój ty naiwny przyjacielu. Nick przysiadł na brzegu rattanowego fotela.

- Na początku nie miałem złych zamiarów. - Max przymknął oczy i odchylił głowę do tyłu. - Łatałem godzinami pęknięcia na grzbiecie jednego z Denzli, no i w trakcie roboty przyszło mi do głowy, że ten model do złudzenia przypomina twoją rzeźbę. Poszedłem do magazynu, sprawdziłem i nie zauważyłem żadnych różnic. Pewnie by się na tym skończyło, gdyby nie fakt, że akurat tego

wieczoru, gdy wróciłem do domu, zadzwonił Michael. U jego syna stwierdzono zapalenie szpiku kostnego spowodowane gronkowcem, które nie ustępowało pod wpływem antybiotyków. Michael płakał. Mówił, że małemu może pomóc tylko operacja zrobiona jakąś eksperymentalną metodą i kosztowne lekarstwa, nie refundowane przez ubezpieczenie. Trudno mi się było pogodzić z tym, że mój wnuk, którego nigdy nie widziałem, może umrzeć.

- Właśnie dostałeś od niego kartkę, sam widziałem.

- Bo teraz jest już zdrowy, ale jego stan był naprawdę ciężki. - Max spiorunował go spojrzeniem. - Nick, zrozum, przecież chodziło o życie mojego wnuka!

- A więc ukradłeś konika.

- Na drugi dzień rano poszedłem do banku. Chciałem wziąć jakiś szybki kredyt, zaciągnąć pożyczkę pod zastaw hipoteczny, zlikwidować swoje ubezpieczenie na życie - byłem gotów na wszystko. Bez rezultatu. Byli uprzejmi, owszem, ale w niczym mi nie pomogli.

- Do mnie jednak nie przyszedłeś, a ja uważałem się za twojego przyjaciela.

- Bo nim byłeś. I jesteś. - Max wyciągnął rękę, ale zaraz ją cofnął, jakby zdał sobie sprawę z niewłaściwości tego gestu.

- Sam miałeś kłopoty. Nie mogłem zażądać zwrotu pieniędzy, które zainwestowałem w Rounders.

- Gdybyś poprosił, tobym ci je zwrócił.

- Jak? Przecież zostały wydane. Firma przynosiła minimalny dochód, a ty spóźniałeś się z płaceniem rachunków za wodę i światło, bo ci nie wystarczało pieniędzy. Dlatego zdecydowałem się wziąć twojego konika i go sprzedać.

Nick poruszył się nerwowo.

- Nie Denzla, tylko twoją kopię. Wiedziałem, że bez problemu dostanę za nią pięć, sześć tysięcy dolarów, a to pokryłoby koszty rozpoczęcia leczenia. Dopiero potem, gdy zacząłem przygotowywać się do malowania prawdziwego Denzla, pomyślałem, że to dopiero byłyby pieniądze. Sam wiesz, że jest całe mnóstwo kolekcjonerów, którzy, gdy już mają do czynienia z oryginałem, nie pytają o szczegóły.

- A więc zadzwoniłeś do jednego z nich.

- Nie ma się czym chwalić, wiem. Zaproponował mi dwadzieścia tysięcy gotówką. Żadnych pytań. Tego samego dnia zrobiłem przelew dla Michaela, przewiozłem Denzla do domu i wstawiłem na piętro, żeby go pomalować. Omal nie dostałem zawału, bo przez tydzień żyłem samą kawą, pracując dzień i noc, żeby skończyć w terminie. I skończyłem. - W spojrzeniu, które Max rzucił teraz Nickowi, było wyzwanie. - Wiesz co? Gdyby tamte okoliczności miały się powtórzyć, zrobiłbym to jeszcze raz.

- Czy ktoś wiedział o tym?

- Oczywiście, że nie.

- Powiedziałeś, że przez tydzień rzeźba stała tutaj. Gdzie dokładnie?

- W małym pokoju na górze. W dniu, w którym przyszli goście, ukryłem ją w garderobie.

- Jacy goście?

- Pech chciał, że akurat przypadła na mnie kolej zorganizowania balu dla przyjaciół Rounders. Ty miałeś gripę. Przyszło z pięćdziesiąt osób.

- Czy ktoś wchodził na górę?

- Wszyscy, którzy chcieli iść do ubikacji. Na dole zepsuła się spłuczka.

- Garderoba była zamknięta na klucz?

- Nie. Przecież nikt nie zagląda do szaf w cudzym domu.

- Ktoś jednak mógł zajrzeć i zobaczyć Denzla.

- Chyba od razu by to jakoś skomentował, nie?

- Może wtedy nie widział w tym nic dziwnego. Pracowałeś w Rounders, zajmowałeś się zwierzętami z karuzeli, zrobiłeś porządek przed przyjściem gości... Max, czy ukradłeś pozostałe zwierzęta?

- To był jeden jedyny raz w moim życiu.

- Hmm.

- Mówię prawdę.

- Czy zabiłeś Clarę Eberhardt? Max zerwał się jak oparzony.

- Oczywiście, że nie.

- Bo jeżeli to zrobiłeś - ciągnął Nick, nie zwracając uwagi na wzburzenie przyjaciela - najlepiej, żebyś sam się przyznał i wykazał skruchę, niż żeby ci to udowodniono. Wynajmiemy Rica, żeby cię bronił, i jakoś z tego wybrniesz.

- Naprawdę mnie podejrzewasz?! - zawołał Max.

- Nie chciałbym - odparł ze smutkiem Nick - ale przed chwilą przyznałeś się do kradzieży i do tego, że skłamałeś.

- Ratowałem życie wnuka! - Max wpadał w coraz większą histerię. - Nick, Nick, nie ukradłem twoich rzeźb i przysięgam, nie zabiłem Clary!

Nick przez chwilę przyglądał mu się w milczeniu.

- Jak załatwimy sprawę Denzla? - zapytał wreszcie.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Musisz pójść do zarządu parku i powiedzieć o zamianie.

- Nie! Przecież dla nich nie ma żadnej różnicy.

- Ale dla mnie jest - powiedział spokojnie Nick. - Być może zgodzą się nie nadawać sprawie rozgłosu i skończy się na oddaniu im pieniędzy. Taką mam nadzieję, bo w przeciwnym wypadku byłaby to fatalna reklama dla mojej firmy. Mogą jednak oskarżyć cię o kradzież, ścigać tego, kto odkupił rzeźbę, i tak dalej.

- Jestem za stary, żeby iść do więzienia.

- Rico znajdzie jakieś kruczki. - Nick z rozpaczą pomyślał, że trzydzieści pięć tysięcy, które jest winien Marleyowi, właśnie powiększyło się o kolejne dwadzieścia. Nawet jeżeli wygra sprawę o odszkodowanie ze spadku po Eberhardcie, wydobycie tych pieniędzy potrwa lata.

- Chcesz mnie narażać na więzienie za jakiegoś głupiego Denzla?

- Musisz powiedzieć prawdę.

- A jeżeli odmówię?

- Wtedy ja to zrobię.

- Muszę się napić. Max poszedł do kuchni i wrócił z jedną butelką piwa.

- Policja uzna, że skoro ukradłem, to również zabiłem Clare - powiedział, siadając z powrotem. - Ty też tak uważasz.

- Uważam, że jesteś odpowiedzialny za jej śmierć, nawet jeżeli to nie ty dźgnąłeś ją dżutem.

- Zupełnie nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Chodzi mi o to, że w czasie przyjęcia ktoś znalazł rzeźbę w garderobie i to podsunęło mu pomysł, który doprowadził do pozostałych wydarzeń.

- Bzdury.

- A może jednak nie do końca?

- Nick, mam nadzieję, że to bzdury. - Max wypił duszkiem piwo. Wydawało się, że w ciągu kilku minut postarzał się o piętnaście lat. - Proszę, daj mi trochę czasu. Zaczekaj, aż policja wykryje mordercę. Wtedy przynajmniej będę oskarżony o kradzież, a nie zbrodnię.

- Dobrze - rzekł Nick po zastanowieniu i uśmiechnął się smutno, po czym uśmiech ten zmienił się w wyraz zaniepokojenia. - Nie zrobisz żadnego głupstwa, prawda?

- Pytasz o to, czy popełnię samobójstwo? Nie. W życiu nie byłem może wzorem cnót, ale nie mam zamiaru ratować swojego oficerskiego honoru, pakując sobie kulę w łeb.

- Zapowiadam, że nie zamierzam męczyć się przez kolejną noc na tej przeklętej kanapie - oświadczył Nick.

Przez moment myślał, że Taylor się rozłączyła, ale usłyszał w słuchawce jej westchnienie.

- Rozumiem. W takim razie odstąpię ci swoje łóżko.

- Zjemy kolację, nakarmimy Elma, ty się spakujesz i pojedziemy do mnie. Ja przynajmniej mam wygodny materac.

- No dobrze, wygrałeś - zachichotała. - A teraz spotkajmy się u Vedy. Umówiłam się u niej z Melem. On ma jakąś informację finansową, a ja chciałabym się dowiedzieć, co wynikło z rozmowy z Maxem.

- Uhm.

- Nick, czy wszystko w porządku?

- Niezupełnie. No nic, do zobaczenia za chwilę. W momencie, gdy parkował pod domem Vedy, nadjechała Taylor. Samochód Mela już tam był. To zresztą Mel otworzył im drzwi, a Veda tylko wyjrzała mu zza ramienia. Taylor pomyślała, że wygląda zupełnie jak w pierwszym dniu, gdy wyskoczyła zza olbrzymiego królika.

- Mel, co to za nagłe wezwanie? - zapytała.

- Wchodźcie szybciej, bo umieram z głodu - powiedział, zatrzasnąwszy za nimi drzwi lewą ręką, bo w prawej trzymał kubek z kawą. Zachowywał się tak, jakby był w tym domu stałym bywalcem. - Od godziny rozmawiamy tu z Vedą i zamartwiamy się, czy ktoś przypadkiem was nie ustrzelił. Ustaliliśmy, że nie będziecie się rozdzielać po zmroku, a wy co robicie?

- Jeszcze nie jest ciemno - zaprotestowała Taylor.

- O, już prawie jest.

- Mniejsza o to. Gdzie idziemy na kolację, szefie?

- Nigdzie, jemy tutaj - odezwała się Veda. - Przygotowałam kurczaka i sałatę.

- Ty jeszcze nie wiesz, że Veda to doskonała kucharka

- zwrócił się Nick do Taylor. - Ciągłe mnie podkarmia czekoladowymi ciasteczkami własnej roboty.

Podczas kolacji Taylor i Nick opowiedzieli o tym, co wydarzyło się w ciągu dnia. Kiedy Nick doszedł do rozmowy z Maxem, Veda zrobiła się purpurowa.

- Przecież ja dałabym mu te pieniądze - wyszeptała. - Dlaczego mnie nie poprosił?

Taylor zwróciła uwagę na to, że Veda nie mówi o pożyczeniu, tylko o darowaniu pieniędzy.

- Jeżeli sprawy zajdą tak daleko, złożę za niego kaucję - oznajmiła Veda, usłyszawszy, że Maxowi mógłby grozić areszt.

Mel, nie czekając na zaproszenie, położył sobie na talerzu trzecią porcję kurczaka. Taylor nie mogła się nadziwić takiemu apetytowi, lecz jeszcze bardziej zdziwił ją wzrok, jakim jej pracodawca, zdawałoby się zajęty wyłącznie jedzeniem, patrzył na Vedę. Mel, jak sam mówił, nie spojrział na kobietę od ośmiu lat, czyli od czasu, gdy żona opuściła go dla pewnego inżyniera z Phoenix, z którym poznała się na polu kempingowym. Taylor pomyślała, że jak tak dalej pójdzie, agencja detektywistyczna Bormana zamieni się w agencję złamanych serc: Veda złamie serce Melowi, a Nick - jej.

Gdy przeszli na kawę do salonu, Mel natychmiast rzucił się na mebel będący swoistą odmianą szeszlona - na pewno należał kiedyś do Billa Albrighta - i aż zamruczał z zadowolenia.

- Chcecie posłuchać, czego się dowiedziałem?

- Gadaj - powiedziała Taylor.

- Po pierwsze zarobki Chessmana: jego roczne dochody to osiemdziesiąt pięć tysięcy dolarów plus ponad czterdzieści tysięcy honorariów za doradzanie firmom. Margery dokłada do tego drugie czterdzieści - wolne od podatku - z funduszu powierniczego, który odziedziczyła po matce. To ona płaci za przyjęcia i bale charytatywne. Staje na głowie, żeby wejść do najlepszego towarzystwa i przy okazji załatwić mężowi jakąś intratną posadkę.

- W tym chyba nie ma nic podejrzanego? - zapytała Taylor.

- Nie znalazłem nic, do czego można by się przyczepić. Ich styl życia odpowiada dochodom. Josh bez problemu mógł wygospodarować kwotę, którą trzy lata temu zainwestował w Rounders. Nie jest to co prawda zbyt intratna inwestycja, ale pozwala na różne odpisy od podatku.

Nick potwierdził kiwnięciem głowy.

- Tylko ja pobieram w Rounders pensję, ale jest ona niewielka.

- Max Beaumont ma jakieś lokaty, emeryturę wojskową i niewiele więcej - kontynuował Mel.

- I co z tego wynika? - zapytał Nick.

- Jak by pan zareagował, gdyby Max powiedział, że ukradł Denzla, żeby przejechać się na tydzień z jakąś dwudziestolatką do Las Vegas?

- Max by tego nie zrobił! - uniosła się Veda.

- To się okaże jutro. Jeżeli dziecko było na leczeniu, jest to gdzieś zapisane. Teraz Rico Cabrizzo: wbrew temu, co mówi, nie jest chłopcem, który ciężko pracował, żeby zdobyć wiedzę. Jego rodzina ma fabryki konserw na całym północno - wschodnim wybrzeżu. Posyłano go do najlepszych szkół, więc w końcu poszedł do Harvardu.

- A więc nie uciekł z domu, żeby dołączyć do wędrownego cyrku? - zapytał Nick.

- W szkole średniej przez kilka wakacji z rzędu zarabiał na kieszonkowe, pracując w wesołym miasteczku.

- Dobrze, ale czy brakuje mu forsy?

- Gra na wyścigach, jeździ porsche. Jest zdolny wydać każdą sumę, ale nic nie wskazuje na to, żeby miał jakieś podejrzone dochody.

- A Marcus Cato? - zapytała Taylor.

- On i jego żona wydają pieniądze całymi garściami, jednak trzeba powiedzieć, że zarabia krocie w swojej kancelarii. Trudno go podejrzewać o brak gotówki.

- Wszystko to pięknie, ale nie dowiedzieliśmy się niczego - stwierdziła Taylor.

- Niezupełnie. Jest jedna osoba, która potrzebuje pieniędzy, a ta osoba to Nick - powiedział Mel.

- Musi pan to rozwinąć, bo nie rozumiem.

- Rounders daje panu stałą, ale niską pensję, zapewnia mieszkanie i pozwala na wliczenie w koszty firmy znacznej części prywatnych wydatków, takich jak telefon, benzyna, światło, i tak dalej. Ma pan niecałe tysiąc dolarów na bieżącym koncie oraz trochę mniej niż pięć tysięcy na lokatach. Jeżeli firma będzie zamknięta choćby przez jakiś czas, może pan stracić wszystko.

- I tak stracę, jeśli będę musiał z własnej kieszeni spłacić Marleya. Przed bankructwem uratowałyby mnie tylko szybkie sprzedanie rzeźb, które zostały, i zaciągnięcie nowego kredytu pod zastaw hipoteczny. Czy chce pan powiedzieć, że w tej sytuacji miałem motywę, żeby zabić?

- Być może ktoś chce doprowadzić do zamknięcia Rounders. Załóżmy, że firma będzie w likwidacji. Josh, Max i nawet pan wyciągniecie z niej najwyżej po dwadzieścia, trzydzieści tysięcy na głowę, natomiast każdy przedsiębiorca budowlany zapłaciłby o wiele, wiele więcej za sam budynek.

- To do mnie nie przemawia. - Taylor podniosła rękę.

- Do mnie też nie - poparł ją Nick.

- Sęk w tym, że jak dotąd nikogo nie udało się wykluczyć z kręgu podejrzanych - oznajmił Mel.

- Jest jeszcze Eugene Lewis - podsunął Nick.

- Rozmawiałem o nim z Vollmerem. Przepadł jak kamień w wodę.

- Ale to nie znaczy, że zniknął na dobre - zaprotestowała.

- Nie. Dlatego musicie być ostrożni.

- Może przenocowalibyście u mnie, kochani? - spytała Veda. Taylor rozejrzała się po zagraconym pokoju.

- Dziękuję bardzo, ale damy sobie radę - powiedziała, po czym zwróciła się do Nicka: - Czy masz zamiar otworzyć jutro pracownię?

- Dlaczego nie? - uśmiechnął się. - Spróbujmy zachowywać się normalnie. Poza tym, jak słusznie zauważył Mel, potrzebuję pieniędzy.

Zgodnie z planem Nick i Taylor nakarmili Elma, po czym pojechali do Rounders. Eugene'a nie było - nikt nie niepokoił ich po drodze.

- Coś do picia? - zapytał Nick, gdy tylko weszli na górę. Podziękowała. Czowała się niezręcznie w jego mieszkaniu.

Zważywszy na niezdecydowanie, z jakim przeglądał zawartość swojej lodówki, on też nie czuł się zbyt pewnie.

- To co, chciałabyś wcześniej się położyć czy może zrobić coś innego? - zapytał, wskazując na japoński materac.

- Co innego?

- No, to był ciężki dzień, a poprzedniej nocy nie spaliśmy zbyt długo - odparł zaczerwieniony.

- Nie jestem śpiąca.

Podeszła do półek z książkami. Kilka kryminałów w kieszonkowym wydaniu i literatura fachowa - meble stylowe, konserwacja drewna, antyki, karuzele. Niektóre grzbiety wskazywały na szacowne, stare wydania.

- Powiedziałeś mi, że to dziadek nauczył cię kochać zwierzęta z karuzeli. Ile miałeś lat, gdy zrobiłeś pierwszą rzeźbę?

- Dwadzieścia dwa.

- Naprawdę? Nie wiem dlaczego, ale myślałam, że...

- Daj spokój, dobrze?

- Naturalnie. Przepraszam, jeśli okazałam się niedyskretna - odpowiedziała z urazą.

- To ja przepraszam. - Usiadł w fotelu obok materaca. - Chciałem ci podziękować za pracę, którą wykonałaś.

- To brzmi tak, jakbyś mnie zwalniał.

- Nie, ale nie sądzę, żeby się nam udało odkryć, kto ukradł rzeźby i zabił Eberhardtów.

- Coś mi się zdaje, że jesteś w pesymistycznym nastroju.

- Chyba tak. Trudno, żebym był w innym. Dowiaduję się o najbliższych mi ludziach takie rzeczy, których wolałbym nie wiedzieć.

- Ostrzegałam cię, że wszystko ma swoją cenę.

- Nawet jeżeli odnajdziemy rzeźby, nie odzyskam przyjaciół. Teraz nigdy już nie będę z Maxem w takich stosunkach jak dawniej.

- Może jakoś się dogadacie. Poza tym jest Veda. I ja.

- Aha. Dziękuję.

Przyjrzała mu się uważnie. Radość, która była w nim wczoraj, gdy przyszli na karuzelę, gdzieś się ulotniła. Teraz wydawał się samotny i zrezygnowany. Miała ogromną ochotę podejść i przytulić go do siebie, lecz powiedziała tylko łagodnie:

- Prawda czasami boli.

- Prawda zawsze boli.

Przykucnęła obok niego. Chciała nim potrząsnąć, żeby pozbył się tego desperackiego nastroju.

- Przestań! Dowiedzieliśmy się wielu pożytecznych rzeczy, Eugene zniknął, a my żyjemy i nic nam nie jest. To najważniejsze, a z resztą sobie poradzimy.

Uśmiechnął się i przejechał ręką po jej włosach.

- Twarda z ciebie sztuka. Gdy poczuła jego dotyk, przez chwilę zabrakło jej tchu.

- Owszem - powiedziała wreszcie. Popatrzyli na siebie, a wtedy on się pochylił i dotknął ustami jej ust. Bezwiednie się przysunęła, jakby jej ciało miało własną logikę i nie musiało pytać się rozumu. Jemu to nie wystarczyło - przyciągnął ją jeszcze bliżej i pocałował mocniej. Poczowała falę ciepła i zaraz następną, przesuwającą się od głowy w dół brzucha. Nagle oderwała się od Nicka i stanęła na równe nogi.

- Ja nie mogę... Podniósł się i otoczył ją ramieniem, mocno, tak że od kolan aż po piersi była dosłownie przyklejona do niego. Był podniecony, chciał, żeby mu się poddała. Przestała się opierać, a on

okrył pocałunkami jej oczy, skronie, szyję, zostawiając gorące, mokre ślady wszędzie tam, gdzie dotknął ustami jej skóry.

- To nieetyczne. Z klientem? - wydusiła.

- Przecież cię zwolniłem - szepnął, całując ją dalej.

- Co? - Otworzyła szeroko oczy.

- No tak. Jesteś bezrobotna, zwolniona, kaput. - Zaśmiał się, po czym zaczął delikatnie ssać płatek jej lewego ucha.

- Ale...

- To nie znaczy, że jutro rano nie mogę cię z powrotem wynająć - dodał z przebiegłym uśmiechem.

Musiała się roześmiać. Objęła go za szyję, wsunęła palce w jego włosy, zaczęła wodzić ręką po karku. Czuła, jak reaguje drżeniem na każdy jej dotyk.

- To jest napastowanie seksualne - wyszeptała, bo niespodziewanie pochylił się i połaskotał językiem miejsce, w którym zaczynało się wycięcie jej swetra.

- Aha - mruknął, wsuwając dłoń pod ten sweter i rozpinając stanik, który miała pod spodem. Sekundę potem trzymał w rękach jej piersi.

Kiedy poczuła, że za chwilę mu się podda, jęknęła tylko:

- Szantaż.

Obudziła się nad ranem, przeciągnęła leniwie i stwierdziła, że czuje ten rodzaj przyjemnego bólu, jakiego nie zaznała od wieków.

Nick spał spokojnie, odwrócony do niej plecami. Pomyślała, że wszystko to, co zapowiadał jego pierwszy uśmiech i czego obawiała

się już po kilku minutach ich spotkania, zrealizowało się - przewrotnie i wspaniale. Nick potrzebował wczoraj bliskości kobiety, fizycznego spełnienia, może ekstazy?

Taylor czuła się jak pijana.

Jej ta noc przyniosła znacznie więcej niż odprężenie i przyjemność - przyniosła jej ekstazę. Nigdy dotąd nie zaznała czegoś podobnego. Nie przypuszczała, że jest zdolna tak się zatracić, czuć aż taką namiętność. Wydawało się, że Nick zna jej ciało lepiej niż ona sama. Nie pozwolił, by się kontrolowała, zażądał całkowitej uległości. To było cudowne, odtąd nie zadowoli jej nic innego, tylko co dalej?

Już Danny Vollmer przyprawiał jej matkę o palpacje serca, mimo że nosił jedwabne krawaty, był oficerem policji i miał magisterium z prawa karnego. Widząc u boku córki Nicka, który ma na palcach odciski od ciężkiej pracy, Irene dostanie chyba zawału.

Matka zapewne nigdy nie zrozumie, że ten facet w przyprószonych białym pyłem dżinsach jest prawdziwym dżentelmenem, któremu mężczyźni w rodzaju Paula Hunta nie dorastają do pięt.

Na myśl o tym, co sękaty palce Nicka potrafiły zrobić z jej ciałem, Taylor zaczęła się wiercić. Znowu była gotowa do miłości. On poczuł przez sen, że coś się dzieje, odwrócił się do niej twarzą i uśmiechnął. Gdy dotknął jej ramienia, zażądała pocałunku.

- Czy jestem przywrócona do pracy? - wyszeptała.

- Jeszcze nie - odpowiedział i położył się na niej.

Rozdział 14

- Gotować nie umiem, ale śniadania robię niezłe - powiedział, mieszając drewnianą łyżką skwierczące na patelni kawałki bekonu. - Myślę, że po tej nocy trochę cholesterolu nam nie zaszkodzi.

Taylor objęła go od tyłu i położyła mu głowę na ramieniu, a rękę zatrzymała na wysokości zamka w jego spodniach.

- Poparzę się, jeżeli nie przestaniesz!

- Jeszcze nie przywróciłeś mnie do pracy. Do tego czasu jesteś moim zakładnikiem.

Sprawnie przełożył bekon na papierowy ręcznik i odstawił patelnię na zgaszony palnik.

- No! - powiedział, obracając się do niej twarzą. - Jak widzę, porywaczka nie żartuje, więc jako zakładnik...

- Rozkosznie jest mieć zakładnika - wyszeptała. Podsunął rękę pod jej pupę i podniósł trochę do góry. Teraz ich twarze były na jednej wysokości.

- Myślałam, że chcesz zjeść śniadanie - dodała.

- Wolę ciebie. Smakujesz lepiej od bekonu... Dwadzieścia minut później leżała na boku, przytulona do pleców Nicka, z ręką przełożoną przez jego ramię.

- Czy przyjęto mnie z powrotem do pracy, czy jeszcze mam trochę ponegocjować? - zapytała.

- Oczywiście, że masz negocjować. Tylko nie w tej chwili.

- Nick! - Ugryzła go w ramię.

- Oj! - wrzasnął i odwrócił się do niej twarzą. - No dobrze, przekonałaś mnie. Angażuję cię. Na dobre i na złe - dodał już bez uśmiechu.

Taylor uniosła się na łokciu.

- Obiecuję ci, że wyjaśnimy tę sprawę - powiedziała.

- Taylor? Nie chciałem tego. - Pogłaskał ją po włosach.

- Aaa, pięknie ci dziękuję.

- Źle się wyraziłem, przepraszam. Chciałem - i chcę - się z tobą kochać, ale nie chcę zamartwiać się o ciebie.

- Wystarczy, że Mel martwi się za nas oboje. Ty już nie musisz. - Wstała i zaczęła się ubierać.

- Taylor...

- Nie. Od tej chwili pracuję, a ty jesteś znowu klientem.

- Mam zapomnieć o naszej nocy? Ja tak nie mogę.

- Nie zapominaj, tylko chwilowo o niej nie myśl. Zgoda?

- Ty może potrafisz wszystko poszufladkować i oddzielić miłość od pracy, ale ja nie.

- Trudno. Dobrze, jeżeli przynajmniej jedno z nas ma taką zdolność. - Schyliła się, by go pocałować. - Proszę, Nick...

Westchnął i zaczął się ubierać.

Kiedy w końcu usiedli przy grzankach i bekonie, zaczął ostrożnie:

- Wczoraj zapytałaś o mojego dziadka i o to, czego mnie nauczył... - Kiwnęła głową. - Nadszedł czas, żebym ci o tym wszystkim powiedział.

- Więc powiedz. Od razu przyznam, że słyszałam nie najlepsze opinie co do jego uczciwości.

- Niestety, to prawda. Był strasznym hipokrytą. Na pozór pobożny - brał udział we mszy jako diakon - a w domu... Moją matkę trzymał krótko, praktycznie nie wypuszczał jej z pokoju. Przy pierwszej okazji zaszła w ciążę. Dziadek chciał koniecznie się dowiedzieć, kto jest ojcem, żeby zmusić chłopaka do ślubu, ale ona się uparła i nie pisnęła ani słowa. Do dzisiaj nie znam prawdy. W metryce mam tylko jej nazwisko.

- Biedna dziewczyna.

- Dziadek wyrzucił ją z domu z dzieckiem, czyli ze mną, i zabronił babci kontaktować się z nami. Wyobrażasz sobie? Matka była właściwie jeszcze dzieckiem. Wiem o wszystkim od babci.

- Ale powiedziałaś, że to dziadek cię wychowywał. Nick wziął do ręki drewnianą gruszkę i zaczął ją obracać.

- Tak naprawdę wychowała mnie babcia, ale dopiero po... Jego głos brzmiał normalnie, ale zdradziły go ręce – ścisnął gruszkę tak mocno, jakby chciał rozetrzeć ją na proch.

- Matka często umawiała się z facetami w parku i razem szliśmy na karuzelę. Kiedy urosłem na tyle, że mogłem utrzymać się na koniu, dawali mi bilety i zostawiali mnie, a sami znikali w krzakach. Wiedziałem, co robią, ale mało mnie to obchodziło. Na karuzeli było ładnie, kolorowo, nie tak jak w tej nędznej norze, w której mieszkaliśmy. Siadałem na drewnianego konia i czułem się jak niezwyciężony rycerz. Nikt nie mógł mnie zranić, ba, nikt nie mógł

mnie doścignąć. - Spojrzał wreszcie na swoje ręce, zdał sobie sprawę z tego, co robi, i odłożył gruszkę z powrotem do miski. - Pewnego dnia matka włożyła mi do kieszeni kopertę, wcisnęła całą garść biletów, co jej się dotąd nie zdarzyło, pocałowała i wsadziła na konia.

Taylor poczuła, że cierpnie jej skóra.

- W końcu bilety się skończyły, a matki nie było. Zniknęła. - Otworzył dłoń jak magik, który pokazuje publiczności, że gołębek się ulotnił.

- I co zrobiłeś? - wyszeptała.

- W kopercie był list do moich dziadków. Matka pisała, że nie może się mną zajmować i prosi, żeby mnie wzięli. Jej najnowszy narzeczony mnie nie chciał. Domyślam się, że ktoś z obsługi karuzeli zadzwonił do dziadka, bo w końcu przyszedł. Wtedy zobaczyłem go pierwszy raz.

- To okropne, Nick.

- Dziadek nie miał wyjścia; wziął mnie, bo jego współwyznawcy dowiedzieliby się, że oddał swego wnuka do przytułku.

- Wyobrażam sobie, jak musiałeś nienawidzić matki.

- To dziadka nienawidziłem. Przecież to on ją wygonił. Modliłem się o to, żeby umarła, bo to usprawiedliwiłoby fakt, że się mną nie zajmuje. A potem doszedłem do wniosku, że to wszystko moja wina.

- Twoja? Jaka mogła być w tym twoja wina?

- Gdyby nie zaszła w ciążę, nie musiałaby opuszczać domu. Dziadek nieustannie powtarzał mi, że „zostałem poczęty w grzechu”.

Taylor przyklękła obok jego krzesła i położyła mu głowę na piersi.

- To chyba cud, że wyrosłeś na takiego człowieka, jakim jesteś.

Określił sobie wokół palca kosmyk jej włosów.

- Myślę, że babcia dała mi tyle miłości, że wystarczyło, żebym się nie wykoleił. A dziadek, chociaż miał okropny charakter, nauczył mnie robić meble i rzeźbić. Sam pracował po dwanaście, czternaście godzin dziennie. W pewnym sensie był geniuszem.

Taylor miała oczy pełne łez.

- Wiesz, Nick, gdyby mnie matka porzuciła w taki sposób, to nie rzeźbiłabym koni na karuzelę, tylko podkładałabym bomby w wesołych miasteczkach.

- Ja też nienawidziłem karuzeli, ale kiedy skończyłem szkołę średnią, babcia dała mi pudełko po butach. W środku były kartki od mamy. Co roku, aż do moich szesnastych urodzin, wysyłała mi życzenia i konika z karuzeli - czasami to był obrazek, a czasami ozdoba na choinkę. W każdym razie chciała pokazać w ten sposób, że mnie kocha i pamięta. Dziadek kazał babci je niszczyć, ale ona w tajemnicy chowała wszystko dla mnie. No i zapłaciła za to...

- Dziadek się dowiedział?

- Tak. Kiedy dostałem to pudełko, wyszedłem z domu i się upiłem. Nie wróciłem na noc. Chyba z tysiąc razy przeczytałem wtedy każdą kartkę. Rano wstąpiłem do swojego najlepszego kolegi, żeby schować u niego to pudełko. Wiedziałem, że kiedy wrócę, dziadek

będzie chciał spuścić mi lanie, ale byłem w takim stanie, że mogłem go zabić.

- Powiedziałeś mu o tym, co dostałeś od babci?

- Sama mu się przyznała. Wtedy, rano, wszedłem do domu tylnym wejściem i od razu usłyszałem, jak na nią wrzeszczy. Miałem jeszcze trochę w czubie. Dziadek był dobrze zbudowany i bardzo silny. Akurat podawała mu śniadanie w kuchni. Nawet nie spojrzał, tylko się zamachnął i babcia poleciała na lodówkę. Talerz wypadł jej z ręki. Do dzisiaj pamiętam ten szcęk, gdy spadł i się rozbił.

Taylor patrzyła na niego z boku. Mówił bardzo cicho, prawie szeptem.

- Miałem osiemnaście lat, potężnego kaca i byłem prawie zupełnie zamroczony. - Zamrugał i spojrzał jej prosto w oczy. - Wyrwałem spod dziadka krzesło, zacząłem go wlec po podłodze, a potem dusić i walić głową o ścianę. Czułem, jak babcia chwyta mnie za koszulę i błaga, żebym przestał. Zagroziłem wtedy dziadkowi, że jeżeli jeszcze raz podniesie rękę na nią albo na mnie, to go zabiję.

- A co on zrobił?

- Nazwał mnie diabelskim pomiotem, żałował, że mnie nie udusił wcześniej i nie rzucił psom, obiecał, że będzie darł ze mnie pasy, zamknie na kłódkę, a w ogóle to wezwie policję.

- No i co, wezwał?

- Oczywiście, że nie. Powiedziałem, że to raczej ja zadzwonię w pierwszej kolejności na policję, a zaraz potem do jego pastora. Niech wreszcie cała kongregacja się dowie, jak to bije żonę i podrabia

antyki. Chyba wtedy trochę się przestraszył, a już zupełnie wystraszył go mój śmiech - dostałem ataku śmiechu. Myślał, że zwariowałem.

- Jak to się skończyło?

- Wyszedłem z domu, zaciągnąłem się do wojska i nie wróciłem przez cztery lata. Nawet mnie nie zawiadomił o pogrzebie babci, gdy umarła dwa lata później. Do dzisiaj mi jej brakuje.

- Widziałeś go jeszcze kiedyś?

- Skończyło się na tym, że się nim opiekowałem do czasu, gdy poszedł do domu starców, a potem opłacałem jego pobyt. Przejąłem też po nim interes, z tą różnicą, że prowadziłem go uczciwie.

- Przebaczyłeś mu?

- Obydwaj sobie przebaczyliśmy. Chyba na swój sposób mnie kochał, przynajmniej w takim zakresie, w jakim był zdolny do miłości. Nienawiść zżera człowieka. Tę prawdę zawsze starała mi się przekazać babcia.

- Odnalazłeś kiedyś swoją matkę?

- Babcia powiedziała, że umarła, gdy miałem szesnaście lat. To dlatego kartki przestały przychodzić.

Taylor nie miała siły się podnieść.

- Jak możesz opowiadać o tym wszystkim tak spokojnie?

- Dla mnie to nic nowego, skarbie. Jeśli człowiek powtarza wiele razy jakąś historię, to nabiera do niej dystansu, a także z czasem potrafi lepiej ocenić różne rzeczy. Większość ludzi stara się postępować najlepiej, jak umie. Nawet moja biedna matka.

- Wiesz coś o jej losach?

- Wyszła za mąż. Nie urodziła więcej dzieci. Mam nadzieję, że zaznała przynajmniej trochę ukojenia, bo jeśli chodzi o mnie, w końcu odnalazłem spokój, i mój dziadek też. Potrafiłem nawet zakochać się w karuzelach.

Ujął Taylor pod pachami i wstał razem z nią.

- Hop hop, uspokój się - powiedział, czując, że ma policzek mokry od jej łez. - Teraz już rozumiesz, skąd się wzięło moje zamiłowanie do karuzeli. Na karuzeli nie można się zgubić; człowiek kręci się, znika na chwilę z pola widzenia, a za chwilę wraca z muzyką i światłem.

- Dlaczego mi o tym wszystkim powiedziałaś?

- Dlatego, że to, co zaszło między nami, nie jest przygodą na jedną noc, przynajmniej nie dla mnie. Chciałem, żebyś mnie poznała i zrozumiała, skąd się biorą różne moje zachowania, co mnie uformowało. Być może nawet chciałem cię ostrzec.

Zaskoczona, odsunęła się o krok.

- Ostrzec? Przed czym?

- Powiedziałaś mi o swoim ojcu, o Paulu i Vollmerze. Widziałem też twojego brata, prawda? Wiem, że nie znosisz gwałtowności, brutalnych zachowań. Przez większość czasu jestem łagodny jak baranek, ale czasem i ja okazuję się zdolny do przemocy. Wiem o tym, czuję to i to mnie przeraża.

- Nick, przebaczyłeś swojej rodzinie i bez przerwy szukasz okoliczności łagodzących dla przyjaciół, którzy cię oszukali. Moim

zdaniem zapomniałaś o jednej osobie, która naprawdę zasługuje na przebaczenie.

- O kim?

- O tobie samym. Przemoc jest w nas wszystkich. We mnie również. Musimy z nią walczyć albo ją opanować, znaleźć dla niej ujście. Chciałam zabić Paula. Trzech nastolatków zrobiło to za mnie.

- Ale nigdy go nie tknęłaś.

- Nie, zresztą nawet gdybym chciała zrobić mu krzywdę, nie strzelałabym, tylko pewnie przyłożyłabym mu ciężkim rondlem albo mosiężną lampą. Rozsądek powstrzymał mnie od popełnienia czynu, za który poszłabym na długie lata do więzienia, ale ta chęć była jednak we mnie. Moja matka jest przekonana, że to z żałoby sprzedałam wszystko, zamieszkałam pod miastem, obciąłam włosy, poszłam pracować do Mela, słowem zmieniłam styl życia, a to nieprawda. - Pokręciła głową. - Nigdy nie byłam dzieckiem, za jakie uważali mnie rodzice. Dopiero teraz jestem sobą. Zdziorna, impertynencka, trudna w kontakcie, uparta, wybuchowa...

- Piękna, namiętna, czuła, współczująca - uśmiechnął się szeroko.

- Ale na upartą i impertynencka się zgadzam.

- Bardzo ci dziękuję. Mówiliśmy jednak o tobie. Czy nie sądzisz, że nadszedł czas, żebyś pozbył się poczucia winy w stosunku do dziadka?

- Tu chodzi o coś gorszego - odpowiedział.

- A co może być gorszego?

- Nauczyłem się od dziadka tak wiele tylko dlatego, że uwielbiałem pracę w drewnie. Poza tym byłem strasznym rozrabiaką. To cud, że skończyłem szkołę średnią, bo więcej czasu spędziłem w gabinecie dyrektora niż w klasie.

- I co? Nie ma się czemu dziwić, zważywszy na twoje obciążenia rodzinne.

- Dzisiaj o takim uczniu jak ja powiedziano by, że ma trudności z koncentracją. Wtedy mówiono po prostu, że jestem głupi. Miałem słabe stopnie, byłem dobry tylko z zajęć praktyczno - technicznych. Prowadził je taki szczupły, niski nauczyciel, pan Archer. Pozwalał mi zostawać po lekcjach i razem robiliśmy rozmaite rzeczy. I ja go zdradziłem. Ukradłem wiertarkę z pracowni.

- Nakrył cię, tak? - Taylor westchnęła głęboko.

- Tak. Byłem ze dwa razy większy od tego chudziny, ale wpadł w taką wściekłość, że ciskał we mnie wszystkim, co miał pod ręką. A potem kazał usiąść i powiedział mi, co to jest honor. Odniosłem tę wiertarkę po dwóch godzinach. Odtąd zawsze starałem się żyć zgodnie z zasadami pana Archera.

- Ciekawe, czy się o tym kiedykolwiek dowiedział?

- O, tak. Dopiero jakieś sześć lat temu przeszedł na emeryturę. W lecie zaprasza mnie czasami na grilla, a jego wnuki dostały w prezencie konika z karuzeli. Problem polega na tym, że okradłem kiedyś przyjaciela i pobiłem własnego dziadka. Żyję z pracy rąk, jednak ta praca z trudem pozwala mi związać koniec z końcem. Tworzę, ale co tworzę? Głupie zabawki, jak byłaś łaskawa się wyrazić

pierwszego dnia naszej znajomości. Mimo woli jestem teraz w taki czy inny sposób wplątany w morderstwo, moje życie jest zagrożone, a przy okazji twoje również. Jeżeli masz chociaż trochę oleju w głowie, porwiesz w tej chwili swoją torbę i wrócisz do domu, do Elma, póki jeszcze nic ci się nie stało. A ja powinienem cię do tego zachęcić.

- Ani mi się waź! - zawołała, po czym zmusiła go, żeby usiadł, i usadowiła mu się na kolanach. - Jesteś dobrym, uczciwym człowiekiem i niezwykle utalentowanym rzemieślnikiem, po prostu artystą. Muszę powiedzieć, że masz całkiem spory talencik również do innych rzeczy.

Uśmiechnął się i poklepał ją po plecach.

- Zabraniam ci rozczulania się nad sobą. Masz walczyć i nie wolno ci pozwolić na doprowadzenie firmy do bankructwa pod pretekstem, że zasłużyłeś na taką karę.

- No dobrze. Co w takim razie robimy? Wstała, zebrała ze stołu naczynia i szybko je umyła. Potem zerknęła na niego zamyślona.

- Mam przeczucie, że tak naprawdę wiemy już znacznie więcej, niż nam się wydaje - powiedziała cicho.

Spojrzał na nią pytająco.

- Która godzina? - zainteresowała się.

- Dwadzieścia po dziewiątej. Dlaczego pytasz?

- Bo mam pewien pomysł. Jeżeli coś z niego wyniknie, będziemy na dobrej drodze.

Wzięła książkę telefoniczną i wystukała numer, który w niej znalazła.

- Dzień dobry. Z kim mam przyjemność? - powiedziała żywym, radosnym prawie tonem, po czym przykryła dłonią membranę w słuchawce i dała Nickowi znak, by nie siedział przy niej. Podniósł się cichutko z krzesła i zniknął jej z oczu. - A, pani Oliphant, miło mi - ciągnęła. - Mam taką sprawę: księgowy dorwał moją deklarację roczną i chce mnie udusić, bo zgubiłam gdzieś tegoroczne potwierdzenia wpłat za podatek za dom na wsi. Za nic nie mogę ich znaleźć. Wydaje mi się, że zapłaciłam go w sierpniu, razem z podatkiem za dom w mieście, ale nie jestem pewna. Czy mogłaby pani to sprawdzić?

W słuchawce rozległo się ciche westchnienie. Po chwili urzędniczka zdecydowała się spełnić niecodzienną prośbę.

- Nazwisko? - spytała.

- Fields. Clara Fields. - Taylor wstrzymała oddech. Czekwała może minutę, chociaż wydawało się jej, że trwa to całą wieczność.

- Tak, zapłaciła pani za oba domy. Który panią interesuje?

- Na wszelki wypadek proszę podać mi dane z obydwu kwitów. - Zawahała się przez moment. - Może potwierdzenie nie dotarło do mnie, bo mają państwo zły adres albo coś w tym rodzaju? Jakie adresy figurują w państwa dokumentach?

- Czterdzieści osiem sześćdziesiąt dwa Park Lane Terrace...

- Zgadza się. - Taylor przycisnęła słuchawkę do ramienia i nagryzmoła adres na okładce książki telefonicznej.

- .. i trzydzieści trzy pięćdziesiąt pięć Newcomb.

- A jaki jest kod pocztowy? Po drugiej stronie rozległo się głębokie westchnienie.

- Trzydzieści dziewięć sto czterdzieści sześć.

- Serdecznie pani dziękuję - zaćwierkała Taylor.

- Czy chce pani dostać kopie tych wpłat?

- Byłabym wdzięczna. Na jaki adres państwo je wyślą? Tego było już za wiele.

- Dotąd wysyłaliśmy je do Missisipi. Czy to nadal jest ten adres?

- spytała podejrzliwie urzędniczka.

- Tak, oczywiście. Jeszcze raz dziękuję. - Taylor odłożyła słuchawkę i aż zawyła z radości.

Gdy Nick roześmiany wyszedł z ukrycia, tańczyła jakiś dziki taniec dookoła stołu.

- Czuję się oszołomiony - powiedział.

- Bo i jest czym! - Mrugnęła do niego, po czym dodała już spokojnie: - Teraz pozostaje nam dowiedzieć się, pod którym z tych adresów są twoje rzeźby.

- Od którego zaczniemy?

- Od tego, który jest bliżej.

- Dobrze, zaraz wyruszymy, sprawdzę tylko, co się dzieje w pracowni, bo chyba ktoś tam przyszedł.

- Zejdę do ciebie za chwilę, ale najpierw porozumiem się z Melem - powiedziała, biorąc do ręki słuchawkę. - Muszę mu się pochwalić, jaki ze mnie detektyw.

- O co chodzi? - spytał zaspanym głosem, otwierając drzwi.

Był nie ogolony, białka oczu miał żółte i pokryte siateczką czerwonych naczynek. Wydawał się niższy niż zwykle, jakby się skurczył.

Veda zmierzyła go surowym spojrzeniem i odepchnęła na bok, żeby zrobić jej miejsce. Poszła prosto do kuchni, a on za nią. Tam dymiący świeżą kawą ekspres wzbudził jej aprobatę. Bez słowa zdjęła z suszarki do naczyń dwa kubki i napełniła je gorącym płynem.

- Siadaj - rozkazała. Nie próbował się sprzeciwić.

- Nie jesteś głupcem, jesteś idiotą - oświadczyła.

- Poczekaj, posłuchaj... - Max próbował się podnieść, ale Veda po prostu przygwoździła go ręką.

- Mogłeś zwrócić się do każdego z nas, kiedy twój wnuk się rozchorował. Pomogliśmy ci, nawet gdybyśmy mieli żebrać na ulicy. Ty jednak wolałeś ukraść. Wymierzyłeś policzek nam wszystkim, a już najbardziej Nickowi, którego podobno kochasz jak syna. Jeżeli w taki sposób pojmujesz miłość i honor, to ja szczerze żałuję ludzi, których w wojsku prowadziłeś do walki.

- Przestań. Protestuję przeciwko...

- Wiesz, co teraz zrobimy? Naprawimy to wszystko, zaraz. Spojrzał na Vedę tak, jakby widział ją pierwszy raz w życiu.

- Jaka tu jest powierzchnia? - Zatoczyła ręką dokoła.

- Około pięćset metrów - wymamrotał. Po chwili oprzytomniał i zakrzyknął: - Hej, Veda, co ty sobie wykombinowałaś? Nie mam zamiaru wyprowadzać się z tego domu.

- Jeżeli mnie nie posłuchasz, wylądujesz w ciasnej celi i będziesz się tam gnieździł razem z trzema innymi chłopami, którzy w dodatku mogą obdarzać cię afektem. Chyba wiesz, o czym mówię - powiedziała groźnie. - Nie wymagam, żebyś sprzedał dom; chcę go z tobą dzielić.

- Ale ty, ale... - wymamrotał.

- Nie zamierzam z tobą zamieszkać, nie myśl sobie. Doprawdy, w tej chwili wolałabym sypiać z wyliniętym gorylem niż z tobą. Ten dom jest jednak dla ciebie o wiele za duży. I tak w zasadzie używasz tylko parteru. Zainstalowałeś tu kuchnię, łazienkę i sypialnię, żebyś nie musiał przenosić się od razu do domu starców, gdy już nie będziesz w stanie chodzić po schodach. To chyba najmądrzejsza rzecz, jaką zrobiłeś w ciągu ostatnich lat.

- Bardzo ci dziękuję. - Max spróbował się uśmiechnąć.

- Mój syn jest architektem - oznajmiła. - Proponuję, żeby przerobić dom. Dół dla ciebie, góra dla mnie.

- Nie bądź śmieszna - warknął, ale nawet na niego nie spojrzała. - Nie mam nawet dwudziestu tysięcy, żeby zwrócić je parkowi rozrywki, skąd więc miałbym wziąć pieniądze na remont piętra? A co się stanie, kiedy to ty nie będziesz miała już siły, żeby chodzić po schodach?

- Wstawimy windę albo ruchome schody. Poza tym ja mam pieniądze. Zostały mi w spadku po mężu, a jedyne, czego teraz potrzebuję, to przestrzeń. Mój domek jest stanowczo za ciasny. Rozglądałam się już za czymś, ale stare domy są za wielkie i za

drogie. Gdybym miała do dyspozycji połowę tej powierzchni, która jest tutaj, byłoby idealnie. Możemy zrobić osobne wejście z tyłu - powiedziała, a po chwili dorzuciła: - Kiedy już będziemy remontować górę, mógłbyś przy okazji przerobić garaż na mieszkanie i wynająć komuś. Po co ci taka wielka buda?

- Trochę za szybko planujesz, jak na mój gust.

- Rozumiem, ale mam po dziurki w nosie tej bezsensownej historii. Czy ty w ogóle wiesz, że Nick ma zwrócić Marleyowi trzydzieści pięć tysięcy dolarów za konika? I to do końca tego tygodnia?

- Co? On zwariował!

- Oczywiście, że zwariował, ale on chce postępować etycznie. Ty jednak nie możesz tego zrozumieć, bo jest to rzecz zupełnie ci obca...

- Veda, powinnaś przynajmniej mnie wysłuchać: nigdy nie przypuszczałem, że ktokolwiek ucierpi na tym, co zrobiłem. Powiedziałem nawet Nickowi, że gdyby tamte okoliczności się powtórzyły, postąpiłbym tak samo.

- To tylko potwierdza moją tezę. Nick nigdy nie popełniłby takiego świństwa, nawet gdyby miał sprzedać własną nerkę. To co, zaczynamy?

- Ale co zaczynamy?

- Chcę zaraz wysłać synowi faksem plan domu, żeby już zastanawiał się nad koncepcją. Masz przecież plany, prawda?

- No tak, mam... - wymamrotał Max.

- Świetnie. Dwadzieścia tysięcy dolarów mogę wyłożyć od razu, gotówką.

- I zapewne chciałabyś, żeby posłużyły do zapłacenia za tego konia? - westchnął ciężko.

- Zgadza się. Umowa stoi?

- To propozycja warta zastanowienia...

- Umowa stoi czy nie? - Veda wyciągnęła rękę. Zdała sobie sprawę, że Max wygląda tak, jakby przeszedł właśnie przez łagodną formę wylewu do mózgu. Oczy miał rozbiegane, dolna warga dziwnie mu zwisała. Po długiej chwili zdobył się na blady uśmiech.

- Stoi.

- Cieszę się. Veda wstała, żeby dolać sobie i Maxowi kawy, on jednak siedział nieporuszony, jakby nie zauważał jej krzątaniny. Nie przejęła się tym. Wzięła swój kubek, podmuchała, bo kawa była gorąca, i upiła odrobinę.

- Teraz następna sprawa.

- Co proszę?

- Nick musi zebrać do końca tygodnia trzydzieści pięć tysięcy dolarów. Być może w przyszłości uda mu się odzyskać tę kwotę ze spadku po Eberhardcie, ale na pewno nie nastąpi to prędko. Ja osobiście nie mam zamiaru dopuścić do plajty Rounders, dlatego proponuję, żeby zadzwonić do Marcusa i powiedzieć, że potrzebuję dla Nicka pewnej sumy, powiedzmy stu tysięcy dolarów. Lepiej od razu poprosić więcej, na wypadek gdyby okazało się, że Eberhardt sprzedał więcej rzeźb.

- Uważasz, że Marcus się zgodzi?

- Dlaczego nie? Przecież dla niego to żadna suma. Problem będzie raczej polegał na tym, jak przekonać Nicka, żeby wziął te pieniądze.

- On nie da się przekonać.

- Nasza w tym głowa. Myślę, że mam na niego sposób: powiem, że to będzie jego wina, jeżeli dopuści do zamknięcia pracowni, że nie wolno mu rozczarować uczniów i zniszczyć tego wszystkiego, co wspólnie wypracowaliśmy. Poczuje się tak skruszony, że sam poprosi Marcusa, by założył te pieniądze.

Max skrzywił się szyderczo, ale się nie odezwał.

- Założę się o kolację w dobrej restauracji, że mając do wyboru pomoc Marcusa i likwidację firmy, Nick zdecyduje się na to pierwsze - powiedziała Veda i znowu wyciągnęła rękę. - Zgoda?

Max wzruszył ramionami, ale się uśmiechnął.

- Zgoda. - Uścisnął rękę Vedy.

- Dobrze. A teraz, proszę cię, poszukaj tych planów. Znowu to samo. Max przygryzł usta.

- Poczekajmy trochę, co? Naprawdę nie jestem pewien, czy to dobre rozwiązanie - powiedział w końcu.

- Albo się zgodzisz, albo Rounders zostanie sprzedane firmie deweloperskiej - odparła.

Podrapał się w zamyśleniu po brodzie.

- Może to nie byłoby takie złe. Zarobilibyśmy bardzo dużo, a pracownię po prostu przeniosłoby się gdzie indziej.

Veda przyjęła tę wypowiedź z zainteresowaniem.

- Dostałeś jakieś oferty? Max uniósł brwi, napił się kawy i poprawił na krześle, aż zatrzeszczało.

- Owszem. Na przykład w zeszłym tygodniu zadzwoniła do mnie pewna agencja handlu nieruchomościami z bardzo ciekawą ofertą.

- Ach tak? Dzwonili na czyjeś zlecenie? Wiesz na czyje?

- Domyślam się, że działali na zlecenie firmy deweloperskiej. Ten budynek nie miał prawie żadnej wartości, gdy go kupowaliśmy, ale teraz... Sama wiesz, jak podskoczyły ceny w okolicy Rounders od czasu, gdy pozamieniano stare fabryki na luksusowe mieszkania.

- Max, chciałabym wiedzieć, jak się nazywa ta agencja.

- Gdzieś zapisałem ich telefon. - Rozejrzał się dokoła. - Czy to takie ważne?

- Może nawet bardzo ważne - powiedziała. - Proszę cię, poszukaj tego telefonu i planów, a ja w tym czasie zadzwonię.

Poczekala, aż zostawił ją samą, po czym zatelefonowała do Mela Bormana, by zdać mu relację z całej rozmowy. Mel przyjął jej telefon z takim entuzjazmem, jakby spotkało go wielkie szczęście. Maxowi nigdy nie zdarzyło się zareagować w ten sposób.

- Gdy tylko Max znajdzie numer do tej agencji, zaraz pana zawiadomię. Myśli pan, że morderstwa i to wszystko naprawdę może być związane z handlem nieruchomościami?

- Niczego nie można wykluczyć. Vedo, może umówilibyśmy się dzisiaj na lunch?

Veda poczuła, że się rumieni.

- Teraz muszę załatwić kilka spraw, a potem chciałam pojechać do Rounders, żeby popracować trochę nad swoim królikiem.

- Wstąpię po panią wpół do pierwszej.

- Będę strasznie umorusana. Śmiech Mela zadudnił w słuchawce.

- Będzie pani piękna.

Odłożyła słuchawkę i zmierzyła sobie puls. Był przyspieszony. Od śmierci Billa nikt nie powiedział jej, że jest piękna.

Rozdział 15

Mel pogratulował Taylor detektywistycznego popisu, po czym przekazał jej rewelacje Vedy.

- Zaraz zadzwonię do tej agencji - dodał. - Ciekawe, czy oferta, z którą wystąpili, pochodzi od kogoś, kogo znamy.

- Śmierć Eberhardtów nie miałyby sensu, gdyby chodziło tylko o nieruchomości. To rzeźby muszą stanowić motyw, nie sądzisz?

- Nie wiem. Vollmer rano cię szukał.

- Nie mam ochoty dziś z nim rozmawiać. Powiedz mu coś na odczepne.

- Prędzej czy później i tak się dowie, że jesteś z Kendallem, a to na pewno mu się nie spodoba.

- Wiem - westchnęła. - Mel, nie potrafię tego wytłumaczyć, ale mam przeczucie, że jesteśmy na ostatniej prostej, mimo że na razie liczba możliwych rozwiązań zwiększa się zamiast zmniejszać.

- To się nazywa mieć nosa, pani Hunt - zaśmiał się. - Człowiek myśli, że rzeczy są tak poplątane, że nigdy nie uda mu się dotrzeć do prawdy, aż nagle trafia na właściwą nić i kłębek się rozwija.

- Też masz takie przeczucie?

- Nie, nie w tej chwili. Ale ty jesteś bardziej zaangażowana w tę sprawę. Tylko bądź ostrożna! - Mel znowu przybrał mentorski ton.

- Eugene grasuje tylko nocą.

- Obyś się nie przeliczyła.

Po skończonej rozmowie Taylor przewiesiła torbę przez ramię i zeszła piętro niżej. Oprócz Nicka i Vedy zastała tam dwie nie znane

sobie, mniej więcej czterdziestoletnie kobiety. W roboczych kombinezonach, z narzędziami w rękach, wyglądały raczej na mechaników samochodowych niż na uczestniczki kursu rzeźbiarskiego. Nick przedstawił je jako Corinne i Sally.

Corinne uśmiechnęła się zdawkowo i wróciła do wygładzania końskiego zada, Sally coś mruknęła pod nosem i zajęła się uchem żyrafy.

- Veda, my z Taylor musimy teraz wyjść. Zostawiam pracownię pod twoją opieką - powiedział Nick.

Veda pokiwała głową, nie podnosząc wzroku znad królika.

- Lepiej weźmy furgonetkę. Może w drodze powrotnej będziemy musieli przetransportować kilka rzeźb - rzekł Nick do Taylor, gdy byli już za drzwiami.

- Nawet jeżeli je znajdziemy, Danny Vollmer zechce je zatrzymać jako dowody.

- Pewnie tak. Nie ma lekko!

Dom w Newcomb był wystylizowaną wiejską posiadłością z lat siedemdziesiątych położoną w pewnym oddaleniu od biegnącej w dół wzgórza drogi. Podczas gdy trawniki sąsiednich domów były schludne i zagrabione, w obejściu Eberhardtów walało się mnóstwo jesiennych liści. Wyglądało na to, że nikt nie zaglądał tu od tygodni.

W pobliżu nie było żadnych oznak życia - najwyraźniej wszyscy sąsiedzi pojechali do pracy. Taylor pomyślała, że takie otoczenie musiało bardzo odpowiadać Eberhardtom.

Ręką obleczoną w rękawiczkę przycisnęła dzwonek. Po upływie minuty majstrowała już przy zamku swoim „magicznym” wytrychem. Niestety, szło jej niezbyt dobrze, co wprawiło Nicka w szczerze rozbawienie. Gdy po trzech kolejnych minutach rozległo się charakterystyczne szczęknięcie zamka, wyprostowała się i otarła z górnej wargi kropelkę potu.

- Widziałeś mistrzynię? - szepnęła dumnie. Nagrodził ją cichymi brawami i znieścacka pocałował.

- Nie! - wysapała. - Nie w godzinach pracy! Przyrzekałeś. Wręczyła mu parę chirurgicznych rękawic i otworzyła drzwi. Przywitał ich nieświeży zapach pomieszczeń, w których dawno nikt nie wietrzył. Nick przycisnął kontakt, a wtedy w przedpokoju zaświeciła się słaba żarówka.

- Pusto! - Taylor nie umiała ukryć rozczarowania. - Od miesiący nikogo tu nie było.

- Może oni zarabiali na wynajmowaniu tego domu i nie zdążyli przygotować go dla nowych lokatorów.

- Pewnie masz rację - zgodziła się, patrząc przez okno w części wychodzącej na podwórze. - Spójrz, tam jest jakaś komórka.

- Idę sprawdzić, a ty obejrzyj garaż. Spotkamy się przy samochodzie.

Chwilę później obydwój wsiadali do furgonetki.

- Szkoda, że straciliśmy tyle czasu - rzekła niezadowolona.

- Widzę, że teraz ty popadasz w smętny nastrój. - Pogłaskał ją po policzku; zatrzymała na chwilę jego dłoń.

- Przepraszam. Byłam tak nastawiona na to, że znajdziemy twoje rzeźby...

- Znajdziemy je w drugim domu. Żeby dojechać do drugiego domu, musieli pokonać około

pięćdziesięciu kilometrów. Błądzili przez jakiś czas, odczytując adresy wypisane na skrzynkach na listy ustawionych z rzadka przy drodze. Wreszcie trafili na tę właściwą. Stała samotnie, wbita w ziemię na brzegu głębokiego rowu.

Nick skręcił w wąską, zwirową dróżkę między drzewami. Drzewa liściaste, zwłaszcza stare, rozłożyste dęby, wyróżniały się ciepłymi barwami jesieni na tle sosen i świerków. To nie był przydomowy ogród, tylko kawał prawdziwego, gęstego lasu.

- Jedno jest pewne: urządzili się z dala od wścibskich oczu - rzekła Taylor, trochę przytłoczona panującą dokoła ciszą.

Nick wziął ostatni zakręt i zajechał przed dom. Był to parterowy, przedwojenny budynek z ciemnoczerwonej cegły, która miała kolor zaschniętej krwi. Wysypany żwirem parking był na tyle szeroki, że mógłby pomieścić kilka sporych aut. Z tyłu mignął im metalowy pawilon, identyczny, jak się zdawało, z galerią Eberhardta w Oxfordzie. Taylor poczuła przyływ emocji i nabrała głęboko powietrza. Była trochę roztrzęsiona - prawie bała się tego, co za chwilę odkryje.

Nick wyłączył silnik i spojrzał na nią.

- Gotowa? - zapytał z uśmiechem. Kiwnęła głową i wysiadła.

- Najpierw sprawdzimy dom - powiedziała i ruszyła prosto do wejścia. Spróbowała dojrzeć coś przez frontowe okna, ponieważ jednak wszystkie były zasłonięte, wyjęła wytrych i zajęła się otwieraniem drzwi. Po niespełna minucie zamek ustąpił. Schowała do torby urządzenie i przymknęła na moment oczy.

Nick skorzystał z okazji, by ją objąć.

- Niezależnie od tego, czy na coś trafimy, czy nie, wykonałaś wspaniałą robotę, znajdując te adresy - powiedział i uniósł delikatnie jej brodę do pocałunku.

Taylor najchętniej na zawsze trwałaby w jego ramionach. Nie miała ochoty wchodzić do kolejnego domu tylko po to, by odkryć, że jest pusty.

Ten jednak pusty nie był. Nieciekawy z zewnątrz budynek w środku przypominał sułtański pałac. Orientalne kobierce przykrywały podłogi, w pokojach wisiały kandelabry z weneckiego szkła. Zasłony w oknach były z brązowego adamaszku obszytego złotymi frędzlami. Co prawda tylko w salonie i sypialni stały meble, za to tak kosztowne, że wystarczały za całe wyposażenie.

- Popatrz! - wykrzyknęła Taylor na widok olbrzymiego, kolistego łóża, które przykrywała narzuta z prawdziwego futra.

- Założę się, że to tutaj Clara planowała spędzić noc.

- Niezła kryjówka, prawda? Ciekawe, czy Eberhardtowie bywali tu razem, czy też tylko tu romansowali, każde z osobna.

- Tego pewnie nigdy się nie dowiemy - stwierdził Nick, biorąc do ręki portret kobiety i mężczyzny oprawny w ciężką, złoconą ramę,

który stał oparty o ścianę. - Helmuta nigdy nie widziałem, ale to na pewno jest Clara.

- Czy ten człowiek mógłby się nazywać inaczej niż Helmut? Siwe włosy, siwa broda, mocna szczeka, po prostu germańskie rysy. - Taylor odstawiła obraz na miejsce i przytuliła się do Nicka. - Dotąd myślałam o nich tylko jako o złodziejach i oszustach, ale to byli żywi ludzie. Nie zasłużyli na taki koniec.

Objął ją mocno i pocałował w czubek głowy.

- Masz rację.

- Co teraz? Idziemy na strych? Do piwnicy?

- Na strychu nie warto szukać, jest za niski. Można by tam schować bombki na choinkę, ale nie drewniane rzeźby.

- Cholera! - zaklęła Taylor.

- Zwierzęta są w magazynie z tyłu. Sama dobrze o tym wiesz - rzekł spokojnie. - Chodźmy, nie warto dłużej tracić czasu.

Obeszli dom i zbliżyli się do pawilonu. Miał wielkie, szerokie drzwi, w których mogła zmieścić się nawet ciężarówka. Teraz były zamknięte na kłódkę.

Taylor kolejny raz tego dnia sięgnęła po wytrych.

- To dla nas małe piwo, nie? - Wysiliła się na uśmiech, choć wcale nie czuła się zbyt pewnie. Z kłódką poradziła sobie jednak w niecałą minutę.

Gdy weszli do środka, otoczyły ich ciemności i przywitała dziwna woń chemikaliów zmieszanych z zapachem stęchlizny, kurzu i świeżego drewna. Nick bezskutecznie starał się znaleźć kontakt.

- Nie ruszaj się - powiedział i zaczął powoli posuwać się wzdłuż ściany. - Zaraz będzie jasno.

Na razie jednak jedyne źródło światła stanowiły mętne żarówki zainstalowane gdzieś w drugim końcu pomieszczenia, które niewiele pozwalały zobaczyć.

Taylor nie posłuchała Nicka i też zaczęła posuwać się do przodu. W pewnym momencie krzyknęła, bo znalazła się oko w oko z rozsierdzonym ogierem.

- Nick, chodź tutaj! Tu są rzeźby!

Drewniane zwierzęta odbijały się w wysokich, dwumetrowych lustrach w bogato rzeźbionej oprawie. Obok nich rozpieierały się sekretery o łukowato wygiętym profilu i rząd komód. Dalej Taylor zobaczyła kołyskę na biegunach ze starym materacem i ustawione pod ścianą stoły na piedestałowych podstawach, na których stały poczwórne komplety krzeseł.

Sięgając ręką do kontaktu, Nick musnął pieśczośliwie nierówną powierzchnię starego kolonialnego biurka.

- Te meble nie powstały w tysiąc dziewięćset dwudziestym - zaśmiał się lekko. - Są prawdziwe.

Wyczuła w jego głosie jakby nutkę obawy. Jego drewniane koniki przestały na moment istnieć. Przyglądała mu się, jak powoli przesuwa się między meblami, gładząc drewno w ten sam sposób, w jaki poprzedniej nocy pieścił jej ciało. Skrzyżowała ręce na piersiach, i to nie tylko dlatego, że w magazynie było równie chłodno jak na dworze, ale ponieważ przez chwilę popatrzyła na radosne koniki z karuzeli i na

wszystkie zgromadzone tu piękne meble jak na więźniów wtrąconych do ciemnego lochu, strzeżonych przez jakiegoś bezlitosnego strażnika.

Podeszła do Nicka stęskniona za ciepłem ciała drugiego człowieka. Gdy poczuł jej bliskość, odwrócił się i ją objął.

- Mój Boże, Taylor, to są kradzione meble. - Jego głos załamał się ze wzruszenia. - Takie rzeczy powinny stać w klimatyzowanych pomieszczeniach, co ja mówię, w muzeum, a nie gnić w jakimś baraku na zadupiu.

- Musimy zadzwonić po Mela i Danny'ego - powiedziała i przestraszyła się, słysząc, jak drży jej głos. - Mam dość tego miejsca.

- No, kochasie, dosyć tej zabawy! Taylor podskoczyła przerażona. W drzwiach stał Eugene Lewis z rewolwerem w dłoni.

- Wreszcie jesteście gdzieś, gdzie dobrze was widać. - Uśmiechnął się szyderczo do Taylor. - Rzuć na ziemię swoją torebkę, kochanie, i odejdz na bok kilka kroków.

Nick bez wahania zasłonił swoim ciałem Taylor.

- Odłóż broń, Eugene. Nie poradysz sobie z nami.

- Poradzę sobie, do cholery, i ty doskonale o tym wiesz! - Głos Eugene'a brzmiał dźwięcznie i radośnie. Taylor zastanowiła się, czy jest pijany, ale szybko pomyślała, że w tej sytuacji nie ma to wielkiego znaczenia. - Powiedziałem, rzuć torbę na ziemię. I to już!

Taylor posłusznie zsunęła z ramienia torbę, nie spuszczając ani na chwilę wzroku z Eugene'a. Przez moment przemknęła jej myśl, by dać nura gdzieś między stojące za nimi komody, ale szybko pomyślała, że

nic to nie da. Eugene zastrzeliłby tylko Nicka, a potem i tak by ją dopadł.

- Odsuń się od torby - pomachał rewolwerem. Taylor i Nick zrobili dwa kroki w bok. Eugene rozejrzał się dokoła, pokręcił głową i zarechotał.

- Nigdy bym nie pomyślał, że to właśnie wy znajdziecie miejsce, gdzie są ukryte te rupiecie. Ja szukałem go od czasu, kiedy ten stary pierdziel Eberhardt się upiekł.

- Nie wiedziałeś, gdzie są? - spytała Taylor.

- Do diabła, nie! A jak myślisz, dlaczego za wami łąziłem? Clara i Helmut ukryli te meble, jak tylko na chwilę spuściłem ich z oczu, i nie powiedzieli nikomu, dokąd je wywieźli. - Oczy Eugene'a myszkowały po magazynie. - Do diabła! Spójrzcie na to wszystko!

- Eugene, nie pójdzie ci z nami tak gładko, jak myślisz - ostrzegł go Nick. - Co najmniej parę osób wie, gdzie jesteśmy.

- Nie wiedzą, nie wiedzą. A teraz ty razem z miłą panią odwróćcie się i stańcie grzecznie pod tą komodą.

Teraz nas zabije, pomyślała Taylor i odwróciła głowę w stronę Nicka. Stał z zaciśniętymi zębami i spoglądał na nią czujnie. Boże, Boże! - Taylor modliła się bezgłośnie. Nie chcę umierać teraz, kiedy znalazłam Nicka.

- Szybciej! - rzucił energicznie Eugene.

Stanęli obok siebie i oparli dłonie na blacie wysokiej komody. Taylor usłyszała ciche szuranie za plecami i poczuła lekki ruch powietrza. Głowa Nicka zachwiała się pod uderzeniem rękojęści

rewolweru. Taylor krzyknęła, a Nick osunął się na kolana w wąskim przejściu między rzędami mebli. Taylor schyliła się, lecz Eugene odciągnął ją gwałtownie na bok.

- Nie, nie, ślicznotko. My mamy nie dokończone porachunki.

- Proszę, ja muszę mu pomóc - jęknęła błagalnie, patrząc, jak Nick zwija się z bólu z rękami zaciśniętymi wokół głowy. Po jego szyi spływała wąska strużka krwi.

- O tak, droga pani, ale może poprosisz trochę ładniej? - zaszydził. - Hej, Kendall, tym razem twoja dama nie wywinie się tak łatwo jak ostatnio, i nie będzie miał kto przybiec jej z pomocą.

Nick podniósł ciężko głowę, trzymając się ręką za kark. Spojrzał na Eugene'a załzawionymi z bólu oczami i po chwili przeniósł wzrok na Taylor. Potrząsnęła głową w niemym geście.

- Naszą małą zupełnie zamurowało - zaśmiał się Eugene.

- Nie bój się, malutka. Żadna cizia jak do tej pory jeszcze nie kopnęła przeze mnie w kalendarz. Powiedz, myślałaś, że to wszystko to kawał dobrej zabawy?

Poczuła na twarzy jego nieświeży oddech i odsunęła się o pół kroku, ale uścisk na jej przedramieniu jeszcze się zacieśnił. Eugene trzymał ją jedną ręką, naciskając jednocześnie zimną lufą rewolweru miejsce pod jej prawą łopatką. W każdej chwili mógł ją zastrzelić i pozostałoby mu jeszcze dużo czasu, by spokojnie wycelować w Nicka.

- Ta malutka nic ci nie powiedziała? - spytał prowokacyjnie, patrząc na Nicka.

Nick zmarszczył brwi.

- A ja byłem pewny, że wbiegła wtedy zaraz na górę i wypowiadała ci się ze wszystkiego, co robiliśmy podczas naszych małych rekolekcji... - Przyciągnął Taylor gwałtownie do siebie.

- Jestem ci coś winien. Teraz dam ci małą lekcję dobrych manier, a potem, moje wróbelki, postaracie się szybciotko znaleźć ten rejestr i jak wam się uda, będziecie mogli pójść sobie na spacer.

- Jaki znowu rejestr? - jęknęła Taylor.

- Rejestr, moje kochanie, rejestr, w którym stary zapisywał wszystko, co ukradł, od kogo, i ile te rupiecie są warte. - Eugene zaśmiał się szyderczo. - Myślałem, że to tego szukaliście przez cały czas.

Taylor dławiło coś w gardle i z trudem mogła oddychać. Poczowała uderzenie gorąca, podobne jak wtedy, gdy byli przed Rounders, lecz tym razem gorsze, o wiele gorsze. Powinna była powiedzieć Nickowi, ale obiecała sobie wtedy, że Eugene drugi raz tak głupio jej nie dopadnie. No cóż, Mel ją ostrzegał.

Wszyscy ją ostrzegali.

- Może w takim razie zaczniemy się rozbierać - powiedział Eugene, cedząc słowa. - Co, malutka? - Spojrzał spod oka na Nicka. - Słyszałeś? Ja i ona zaraz zrzucimy łachy... - podniósł palcem jej podbródek - a ja sprawdzę, czy uda mi się wcisnąć w parę miejsc, gdzie chyba nikt przede mną jeszcze nie był.

Nick zgrzytnął zębami i zrobił ruch w ich kierunku, ale Eugene błyskawicznie skierował ku niemu lufę.

- Hop, hop! Nie podnoś się z kolan! I ręce na kark. Teraz popatrzysz sobie, jak twoja pani uklęknie przede mną i będzie miała trochę przyjemności.

Eugene stał na szeroko rozstawionych nogach i Taylor nie mogła jak poprzednio wskoczyć mu z całej siły na stopę. Tym razem nie miała pojęcia, jak się wyswobodzić, i czekała, co będzie dalej.

- Nie widziałaś chyba jeszcze naprawdę grubego kija? - spytał Eugene scenicznym szeptem i z lubieżnym uśmiechem zaczął drażnić lufą rewolweru jej piersi. - Teraz powiem ci, co zrobimy. Najpierw przywiążę cię do tego tam łóżka, widzisz? Potem zedrę z ciebie wszystkie szmatki i wypędzę z ciebie tę małą diabolicę, która tam siedzi. Będzie ci gorąco, ale to bardzo gorąco. Już niedługo będziesz mnie błagać, żebym pozwolił ci spełnić każde moje najgłupsze życzenie.

Oczy Nicka i Taylor spotkały się znów na chwilę i Taylor niemo poprosiła go, by nie ruszał się z miejsca. Jeżeli nawet Eugene zrobi to, co mówi, ona wytrzyma tak długo, jak tylko będzie mogła, byleby tylko ocalić ich oboje. Kiedy Eugene podnieci się, może stracić kontrolę, a wtedy jeden wprawny ruch może obezwładnić go w ciągu sekundy.

W myślach modliła się, by napastnik okazał się na tyle tępym, by nie zrozumieć, że jeśli pobije ją i zgwałci, jedynym ratunkiem dla niego będzie zabić Nicka, w przeciwnym razie on odnajdzie go wszędzie i zabije, choćby zajęło mu to dwadzieścia lat.

- Na początek musimy mieć dobry kawałek sznurka...

Rozdział 16

- Ty tam, twarzą na ziemię i ręce na kark! - warknął Eugene do Nicka, przyciskając lufę rewolweru do piersi Taylor.

Nick wyciągnął się na podłodze i założył ręce z tyłu głowy. Nawet w przyćmionym świetle starej żarówki Taylor widziała, że kostki jego pięści są niemal białe. Kilka kropel ze zranionej czaszki kapnęło na brudną betonową podłogę. Oddychał głośno i ciężko i Taylor pomyślała, że może mieć krwotok. Jęknęła, a wtedy Nick z wysiłkiem uniósł głowę.

- Czy chcesz, żebym wbił twój głupi łeb w ten beton? - warknął Eugene. - Wtedy zrozumiesz, jak masz leżeć.

Szarpnął ją gwałtownie i pociągnął za sobą, a gdy obróciła twarz w kierunku Nicka, wbił jej tak mocno palce w skórę, że poczuła, jak drętwieje jej ręka.

On nie może pozwolić sobie na to, by którekolwiek z nich wyszło stąd żywe, pomyślała. Musi zabić ich oboje, ulżywszy sobie wcześniej na niej i poniżywszy Nicka. Wobec tego ona musi trzymać się, jak długo będzie mogła. Jeden moment jego nieuwagi... Już raz go pokonała, może uda się drugi.

Zaciągnął ją pod ścianę, przy której stało łóżko. Całym wysiłkiem woli zmusiła się, by skoncentrować się na czymś innym niż napastnik. Do tej pory była pewna, że to Eugene schował zapiski Eberhardta i trzyma gdzieś ukrytą resztę zwierząt z karuzeli. Teraz okazuje się, że się myliła. Jej wzrok przebiegł po zacienionej części pomieszczenia.

Jedna z dziesiątków szuflad w komodach może kryć to, czego wszyscy szukają.

Nawet jeżeli Eberhardt umówił się ze swoją „wtyczką” w Rounders, że będzie jej płacił stopniowo, wyzbywając się kolejnych rzeźb, to sprzedawszy konika Marleyowi na pewno wpisał nazwisko tej osoby na listę. Można będzie się dowiedzieć, kto zarzucił sieci w Rounders. Ciekawe, ile rzeźb pozostało do sprzedania?

Twarz Eugene'a, znajdująca się o kilkanaście centymetrów od twarzy Taylor, nie pozwalała jej widzieć więcej niż połowę pomieszczenia. Zdołała naliczyć sześć koni. Więcej mogło kryć się za którymś z większych mebli.

- No i znaleźliśmy! - Eugene wskazał głową na rolkę taśmy pakowej, leżącą koło drzwi. - Nie masz się z czego cieszyć, kochanie. To lepsze od sznura, dużo trudniej się zrywa. I nie będziesz miała żadnych węzłów, które mogłabyś rozwiązać. - Pchnął ją na podłogę. - Bierz to! Ja mam tylko dwie ręce.

Podniosła z podłogi rolkę.

- Teraz zakłajstrujemy odrobinę twojego przyjaciela. Hej, tam, podnieś się teraz i podejdź tu powoli. Tylko bez żadnych gwałtownych ruchów.

Nick podniósł się i zachwiał lekko na nogach.

- Czy mówiłem coś o tym, żeby opuścić łapy?! - warknął Eugene. - Przymaszeruj tu grzecznie do nas. Bardzo ładnie.

Przez moment Taylor czuła, że stalowa lufa odsunęła się od jej ciała. Może powinna całym swym ciężarem uderzyć w Eugene'a?

Gdyby choć na moment stracił równowagę, Nick wykorzystałby okazję.

- No, no! - Poczula gwałtowne szturchnięcie lufy. - Nie kombinuj, malutka! Jak nie będziesz grzeczna...

Nick ledwie dostrzegalnym ruchem głowy pokazał jej, że jeszcze nie teraz. Jego hardo zaciśnięte usta zbiegły się, tworząc poziomą, wąską linię. Krew z boku głowy zdążyła już zakrzepnąć i zlepiała mu kilka pasm włosów w sztywne strąki.

Wzrok Eugene'a szybko penetrował pomieszczenie w poszukiwaniu mebla, do którego mógłby przywiązać Nicka.

- Dobra, nawet tobie nie uda się połamać tych żelaznych stojaków. Będziesz tu sobie stał buźką do nas. Nie chcę, żebyś stracił cokolwiek z tego przedstawienia - zachichotał.

Nick nie wydobył z siebie ani słowa, odkąd potężny cios powalił go na ziemię, i teraz w milczeniu wykonał polecenie Eugene'a. Tylko oczy miotające pioruny i zaciśnięte zęby pokazywały jego wściekłość. Taylor pomyślała, że Eugene jest zbyt nabuzowany, by mógł odczytać, jak wielka furia kryje się w spojrzeniu Nicka. A może był zbyt pewny przewagi, jaką daje mu spluwa, którą bez przerwy wymachiwał jej przed nosem.

- Myślałem, że jesteś twardzielem - prowokował Nicka - ale może się myliłem... Może po prostu jesteś zwykłym podglądaczem, który lubi patrzeć, jak prawdziwi mężczyźni robią te rzeczy...

- Nick... - wyszeptała Taylor. Tak bardzo chciała mu powiedzieć, że go kocha, ale nie mogłaby znieść, by ten obrzydliwiec usłyszał jej

słowa. Ich oczy znów się spotkały i Nick przez długą chwilę nie spuszczał z niej spojrzenia. Mogła nawet dostrzec, jak silnie pulsuje tętnica na jego szyi. Stał nieruchomo przy wysokim, ciężkim stelażu z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała.

- A teraz, mój skarbie, będziesz pełnić honory pani domu. - Eugene wyszczerzył zęby. - Tylko nie fuszeruj, bo i tak sprawdzę wszystko. - Podał jej rolkę i kiwnął głową w stronę Nicka.

Taylor odwinęła koniec taśmy, przesunęła ręce Nicka za plecy i zaczęła obwiązywać mu nadgarstki. Ciemne włosy, gęsto porastające jego przedramiona, powoli znikały pod kolejnymi zwojami. Czy nie zrani go? Jego ręce, silnie wykręcone do tyłu za stalowym prętem, zdawały się naprężone aż do bólu. Taylor bała się, że za chwilę wybuchnie histerycznym śmiechem. Co w końcu oznacza ślad odcisnięty na rękach przez więzy, gdy leży się na ziemi z kulką w głowie? Zagryzła wargi tak mocno, że poczuła smak krwi.

- Wystarczy! - krzyknął Eugene. - On już się nie ruszy, a my nie możemy marnować tyle taśmy. Będzie nam potrzebna. Tylko czym ją utniemy? - Patrzył wyraźnie zmartwiony na zwisający luźno z nadgarstków Nicka koniec taśmy i zrobił kilka kroków, rozglądając się w poszukiwaniu jakiegoś ostrego narzędzia. - Nic tu nie jest na swoim miejscu, cholera! - zaklął i odwrócił się z powrotem do Taylor. - Przegryź ją.

Taylor spojrzała na niego, nie rozumiejąc.

- Nadgryź ją zębami, do diabła! Jak już ją nadszarpniesz, może uda się przedrzeć.

Pochyliła się i zacisnęła zęby na taśmie. Na moment jej usta dotknęły dłoni Nicka i objęła wargami jego palce. On w odpowiedzi pogładził ją po policzku. Potem zachwiała się i straciła na moment równowagę, podpierając się jedną ręką na betonie. Eugene odciągnął ją gwałtownie za ramię i mrugnął do Nicka:

- Powinienem cię zakneblować, ale pewnie będziesz chciał zawyć jak pies na łańcuchu, więc nie odbiorę ci tej przyjemności. I tak nikt cię tu nie usłyszy, z wyjątkiem tej małej, a ona zacznie zaraz skomleć jak suka. Będzie ładny koncert.

Teraz przyszła kolej na Taylor. Eugene popchnął ją przed sobą w kierunku szerokiego, drewnianego łóża. Jeżeli da się teraz powalić na materac i przywiązać z twarzą w dół i szeroko rozpostartymi rękami, wszystko stracone. Lepiej już teraz dostać swoją kulkę, pomyślała. Może Eugene tylko ją zrani i jeszcze uda się wytrącić mu rewolwer, a wtedy gra zacznie się od nowa.

W tym momencie Eugene uderzył ją mocno w krzyż, tak że potknęła się i upadła twarzą na łóżko. Nim się spostrzegła, przyciskał już ją kolanami i wykręcał jej ręce do tyłu. Gdzie jest teraz pistolet? - przemknęło jej przez myśl jak błyskawica. Zaczęła wyrywać się i krzyczeć. Eugene jedną ręką podniósł ją z wysiłkiem w górę, a drugą przerzucił taśmę pod jej brzuchem.

Poczuła, jak zaciskana taśma wrzyna się w jej ciało. Kopała go z całej siły piętami, lecz on tylko śmiał się jak szalony. Jednocześnie zaczął owijać taśmę wokół drewnianych filarków znajdujących się z przodu łóżka. Taylor szarpała się jak ryba w sieci. Schwycił mocno

kostkę jej prawej nogi i zaczął przywiązywać do tylnego filarka. Tym razem kopnęła go mocno w głowę i rozwścieczony Eugene przyłoił jej otwartą dłoń po pośladkach.

- Mam nauczyć cię dobrych manier? Poczekaj! Z drugą nogą poszło mu już łatwiej i po chwili Taylor leżała jak motyl z rozłożonymi skrzydłami przypięty do tablicy z korka. Eugene dał jej w kark kuksańca, na tyle silnego, że jej głowa podskoczyła na materacu jak odbita piłka.

- Ułożyłaś się wygodnie? Czy poskarżysz się mamusi?

Przeniósł ciężar ciała na kolana i podniósł się z łóżka. Odwróciła głowę bokiem do materaca, ale zdołała ujrzeć tylko jego nogi w brudnych dżinsach.

- Trochę się z tobą zmachałem - sapnął.

Znów pochylił się nad nią i podciągnął jej sweter aż po pachy. Poczowała powiew chłodnego powietrza na gołych plecach i lekko zadrżała. Po chwili zaczęła szczełakać z zimna zębami i żeby nie było słycać, zacisnęła je z całej siły.

Chciała już tylko zamknąć oczy i uciec ze świadomością gdzieś poza swoje ciało, w jakieś miejsce, gdzie ten sadysta nie mógłby jej dosięgnąć. Gdyby umiała zemdleć! Niestety, nie przytrafiło się to jej nigdy, ani wtedy, gdy rozeźlony ojciec przychodził ze swoim grubym pasem, ani gdy Paul doprowadzał ją do krańcowego wyczerpania swoimi manipulacjami. Zawsze przeżywała każdy moment, każdą sekundę swojego poniżenia. Zachłysnęła się konwulsyjnie. W ustach miała tak sucho, że nie była w stanie nawet zwilżyć językiem warg.

- Proszę... - jęknęła błagalnie. - Nie rób tego...

- A co do diabła miałyby mnie powstrzymać? - powiedział szorstko. Taśma, którą była związana, naprężyła się, gdy ukląkł w rozkroku, opierając ręce na jej nagich plecach.

- Widzę, kochanie, że nie jesteś jeszcze całkiem gotowa.

- Pochylił się i pocałował delikatnie skórę na jej karku. - Nie wziąłem jeszcze żadnej kobiety, zanim do tego nie dojrzała - zaśmiał się cicho. - Wina nie można otwierać za szybko.

Ogarnęły ją mdłości i pomyślała, że za chwilę zwymiotuje.

- Zostaw ją, ty gnoju! - wyrzucił z siebie Nick. Jego głos był ostry jak pocisk, bo wybuchł w nim cały nagromadzony gniew i bezsilność. - Zrób ze mną, co chcesz, ale ją zostaw w spokoju.

Eugene uniósł się z łóżka i Taylor usłyszała, jak szuranie jego butów powoli się od niej oddala. Z drugiego końca pokoju dobiegło do niej głucho walnięcie, a potem rozległ się gwałtowny atak kaszlu.

- Nick! - krzyknęła.

- Stul pysk, ty dziwko! Nie wiesz, że mężczyźni ciężko się oddycha, gdy przywali mu się po jajach? - zachichotał. - A ty, kochasiu, wytłumacz mi, po co miałbym zostawić ją w spokoju, kiedy mogę zabawić się z wami dwojgiem?

Usłyszała jeszcze jedno głucho walnięcie i krzyknęła głucho, nie mogąc znieść własnej niemocy.

- Prawdziwy mężczyzna załatwia takie rzeczy po męsku - powiedział Eugene z wyraźną dumą.

Taylor wzięła głęboki oddech i wykrzyknęła z nienawiścią:

- Nie jesteś żadnym mężczyzną. Jesteś brudnym, śmierdzącym bandytą i żadna kobieta nie wytrzymałaby twojego smrodu. Potrafisz jedynie bić i gwałcić!

Usłyszała, jak Nick ciężko nabiera powietrze.

- Taylor, zamknij się! - zawołał. To przypominało machanie czerwoną płachtą na byka. Ona i Nick próbowali na zmianę odwrócić uwagę szarżującej bestii, żeby ratować się nawzajem. Głowa Eugene'a zwracała się na przemian to do niego, to do niej.

- To, co powiedziałaś, nie było zbyt miłe - wycedził i zdecydowanym krokiem podszedł do niej. Spodziewała się, że ją uderzy; napięła się w oczekiwaniu na razy i zacisnęła zęby.

Ale razy nie nastąpiły. Przez chwilę panowała cisza. Otworzyła powoli oczy i znów zobaczyła nogi Eugene'a, który klęczał nad nią w rozkroku. Bardzo energicznie zginał coś w rękach, ale nie potrafiła powiedzieć co. Wkrótce podstawił jej to pod nos.

- Nie mogłem tu znaleźć porządnego drutu, ale trafił się jakiś metalowy wieszak. Dobre i to. Mój tatuś lubił przyłać mi czymś takim, jak byłem niegrzeczny. Boli jak cholera! - Zaśmiał się złowieszczo. - Gdy skończę tę zabawę, będziesz wyglądać, jakby przejechał ci po plecach mały czołg.

Taylor jęknęła. Łzy nagromadziły się jej w kącikach oczu, z nosa zaczęło cieknąć. Nie mogła nawet się wytrzeć. Desperacko próbowała rozluźnić choć trochę krępujące ją więzy, nie mogąc znieść myśli o tym, co ma nastąpić.

- Powiesz mi tylko kiedy, malutka - zabuczał szyderczo - a ja posłucham cię jak dziecko. Teraz to ty masz nade mną władzę. Wystarczy, że powiesz, że już jesteś gotowa zrobić dla mnie coś naprawdę miłego i w tej samej chwili będę na twoje usługi. Ale pod jednym warunkiem: musisz sama zaproponować coś, co lubisz najbardziej.

- Zaraz ci powiem, ty kanalio - wyrzuciła z siebie z nienawiścią. - Chcesz wiedzieć, jaką przyjemność najbardziej chciałabym ci zrobić?

Spodziewała się, że na jej plecy spadnie pierwszy cios, ale usłyszała tylko głośny śmiech.

- Powiedz, powiedz, na to właśnie czekam. Hej, ty tam! - wrzasnął w kierunku Nicka. - Ja i twoja mała nauczymy cię teraz paru nowych numerków. Słyszysz? - Głos Eugene'a zniżył się nagle do scenicznego szeptu. - Nie rezygnuj tak szybko, kochanie. Nabuzuj się jeszcze trochę. To jest właśnie ta część, którą najbardziej lubię.

Taylor cała skurczyła się w sobie. Nagle usłyszała coś w rodzaju głuchego tąpnięcia i poczuła, jak łóżko podskoczyło pod nią gwałtownie. Kątem oka zdążyła jeszcze ujrzeć ramiona Eugene'a, który nagle poszybował w powietrzu. Usłyszała jego wrzask, czując jednocześnie, że coś ciężkiego przeleciało nad łóżkiem i z hukiem walnęło w ścianę.

Szarpnęła się i przekręciła nieco głowę. Na podłodze kłębiła się plątanina walczących rąk i nóg i dobiegał dziki wrzask.

Stalowe drzwi wejściowe otworzyły się, zamknęły ze zgrzytem i znów otworzyły. Potem usłyszała trzy krótkie, głośne klaśnięcia i po chwili zdała sobie sprawę, że to strzały.

- Boże - wyszeptała - uratuj go... Jeszcze raz trzasnęły drzwi i po chwili poczuła, jak dwie pary dłoni odwijają mocno zaciśniętą na jej kostkach taśmę. Zaraz potem rozluźniły się więzy na jej nadgarstkach. Ktoś delikatnie odwrócił ją na plecy i unióśł z łóżka.

- Nick... - wyszeptała.

- Nie zabiłem go. Nie udało mi się zabić tej kanalii. Zniknął mi między drzewami. - Kołysał ją w ramionach, jak matka kołysze niemowlę. - Mało brakowało...

Taylor zaczęła drzeć na całym ciele.

- Puść. Jest mi niedobrze. Zaraz zwymiotuję - wyjąkała. Wysunęła się z jego objęć i z trudem stanęła na nogach. Gdy dowlokła się do drzwi, Nick powstrzymał ją, kładąc jej dłoń na ramieniu.

- Nie wychodź. On może tam być.

- Muszę. - Zakrztusiła się, zakrywając ręką usta. Otworzyła drzwi i osunęła się na kolana na brzegu żwirowej alejki. Nick stał kilka kroków od niej z rewolwerem Eugene'a w dłoni. Było jej przykro, że musi asystować jej w takiej chwili. Na szczęście niewiele było widać, bo zapadł już zmrok.

Po kilku minutach podniosła się z wysiłkiem i weszła z powrotem do magazynu. Chciała usiąść, ale jedynym miejscem, które mogło do tego posłużyć, było przeklęte łóżko. Nie usiadłaby na nim, nawet gdyby miała zemdleć i upaść na podłogę.

Nick zatrzasnął i zabezpieczył rygłem drzwi. Przeguby jego dłoni ciągle nosiły czerwone ślady po zaciśniętej taśmie.

- Och, Nick, jak ci się to udało! - Wyciągnęła do niego ramiona.

- Z tyłu tego stojaka była ostra metalowa listwa. Nie mam już wprawy. Kiedyś zajęłoby mi to znacznie mniej czasu. - Spojrzał na nią przepaszająco i mocno objął.

- Proszę, zabierz mnie stąd jak najszybciej. Czuję się cała zbrukana tym miejscem.

- Zawiozę cię do szpitala.

- Nie, nie chcę do szpitala. - Pokręciła przecząco głową. - Chcę wziąć prysznic i przebrać się w coś czystego. Te rzeczy wyrzucę zaraz do śmietnika.

- Kochanie...

- Musimy znaleźć jakiś telefon i zadzwonić do Mela. Chcę też mieć z powrotem mojego glocka. - Wyprostowała się i zacisnęła pięści. Nick poznał po jej spojrzeniu, że powoli zaczyna odzyskiwać energię. - To dobrze, że go nie zabiłeś. Ja to zrobię.

Gdy wyszli, oparła się plecami o metalową ścianę pawilonu i zamknęła oczy. Chwilę potem mknęli już drogą, pokonując szybko kolejne zakręty. Przejechali jednak ze trzy kilometry, nim Nick zdołał wreszcie wypatrzeć budkę telefoniczną koło niewielkiego sklepiku. Zahamował z piskiem opon.

- Zadzwonię do Bormana i poproszę, żeby powiadomił Vollmera.

- Nick? Proszę, nie mów nic o tym, co mnie tam spotkało. Nie zniosłabym tego.

Spojrzał na nią z zaciętym wyrazem twarzy:

- Dobrze, żeby Mel wiedział wszystko.

- O tym, że Eugene chciał nas zabić, tak. Ale nie całą resztę, proszę cię, Nick.

- Sądzę, że powinien o tym usłyszeć.

- Nie te szczegóły. Oboje przeżyliśmy ciężkie chwile, ale dzięki Bogu wyszliśmy z tego cało. Mel ostrzegał mnie, że tym razem Eugene może już nie czekać na nadejście nocy.

- Ten drań musiał śledzić nas przez całe popołudnie. To moja wina, że go nie zauważyłem.

- Nie! - Uderzyła ze złością w konsolę samochodu. - To te kanale będą niedługo skomleć „to moja wina”, Eugene i ten, co go najął. Nie pozwolę, żeby ten sukinsyn zapędził mnie w kozi róg.

Nim Mel dotarł do domku na przedmieściu, Taylor spała już zwinięta w kłębek w swojej sypialni na pięterku. Położyła się z wilgotnymi jeszcze włosami i skórą zaczerwienioną od gorącej wody. Ręce miała posiniaczone, nadgarstki i kostki stóp obolałe, taśma obtarła jej policzek. Na tym kończyła się lista szkód fizycznych. Urazy psychiczne miały dopiero dać znać o sobie.

I tym razem nie poprosiła Nicka, by wszedł razem z nią pod prysznic. On również sam z siebie nie dołączył do niej.

Być może zresztą nie zdarzy się to już nigdy. Być może ostatnia noc pozostanie jedyną, jaką spędzili razem. Przekroczyli złowieszczą linię. Nickowi niczego nie mogła zarzucić, przecież to on ją uratował, narażając własne życie. Przedtem jednak musiał obejrzeć długi

spektakl - patrzeć bezsilnie, jak Eugene poniża ją w jego obecności, przywiązuje do łóżka i znęca się nad nią z lubieżnym uśmiechem.

To ona ściągnęła na nich to wszystko. Powinna była zdać sobie sprawę, że Eugene depta im po piętach, powinna powiedzieć Melowi, dokąd jadą i co spodziewają się tam znaleźć. Była tak pewna, że odnajdzie zwierzęta i sama rozwiąże zagadkę, udowadniając tym samym Melowi i Nickowi, jak wielkim jest detektywem, że niemal straciła ich na dno przepaści.

- Nie ma co, nadajesz się do gry w zespole jak cholera! - powiedziała sarkastycznie do swego odbicia w zaparowanym lustrze. Jej wargi zaczęły drżeć. O Boże, mamó, gdzie jesteś... Już w chwili, gdy wypowiadała te słowa, wiedziała, że Irene Maxwell nigdy nie dowie się od niej o niczym, co stało się dzisiaj. Jej życie wzbogaciło się właśnie o kolejny sekret, którego nikt nigdy nie pozna.

Wciągnęła jeden ze swoich starych swetrów, przeczesła grzebieniem mokre włosy, westchnęła i otworzyła drzwi łazienki. Nick stał zamyślony przy frontowym oknie. Rewolwer Eugene'a i jej glock leżały przy nim na biurku koło komputera.

- Nick, nie jestem, niestety, zbyt dobrą pielęgniarzką - powiedziała. - Obawiam się, że powinieneś iść do szpitala. Niewykluczone, że dostałeś wstrząsu mózgu, a te rany na rękach mogą się paprać.

Nick pokręcił przecząco głową.

- Rozmawiałem z Vedą. Zrobi mi opatrunek.

- Boże, ja nie jestem już w stanie widzieć się dzisiaj z nikim. - W oczach Taylor pojawiły się duże krople łez. - Jestem taka zmęczona.

- Taylor, dlaczego ukryłaś, że Eugene cię zaatakował?

- Nie, Nick, proszę, nie teraz...

- Właśnie teraz, Taylor. On mógł cię zabić. Odwróciła się, kuląc się w sobie.

- Wiedziałaś, że właśnie tak zareagujesz...

- To znaczy jak? Mam może stać i patrzeć, jak pchasz się w najgorsze tarapaty?

- Zachowujesz się dokładnie tak samo jak moja matka. Może podjęłam złą decyzję, ale to była moja decyzja. A w tej chwili naprawdę nie mam już siły wysłuchiwać o sobie różnych gorzkich prawd. - Głos jej się załamał i odwróciła się od niego.

- Taylor, nie chciałem przez to...

- To naprawdę nieważne, czego nie chciałeś. Nick spojrzał na nią i pochylił się już, by ją objąć i przerwać niemądrą kłótnię, ale opuścił ręce z rezygnacją.

- Chciałem cię objąć, żebyśmy mogli choć na chwilę zapomnieć o tym całym koszmarze, ale... nie wiem, czy i ty tego chcesz.

Taylor odwróciła się do niego nerwowo.

- Nie martw się. Nie jest ze mną aż tak źle. - Usiłowała nadać swemu głosowi lekki ton. - Wyśpię się i wszystko będzie dobrze. Idę do siebie na górę, a kiedy przyjdzie Mel, róbcie tutaj, co chcecie. I tak będę spać jak zabita.

- Taylor - powiedział łagodnie - nie jestem cudotwórcą i nie sprawię, że ten koszmar zniknie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, ale obiecuję ci, że wyjdziemy z tego. Musimy tylko bardzo chcieć.

Uśmiechnęła się smutno, odwróciła powoli i wspięła po drabinie do sypialni. Nick schował rewolwer do szuflady i usadowił się przy drzwiach z drugim pistoletem w dłoni. Po chwili Elmo wskoczył mu bezszelestnie na kolana.

Minęło wpół do dziewiątej.

Poprzednia noc była nocą miłosnej czułości. Rano zjedli po raz pierwszy wspólne śniadanie. Czy to było w jakimś innym wcieleniu? - pomyślał.

Zaburczało mu w brzuchu i przypomniał sobie, że nie mieli nic w ustach od czasu tego śniadania. Z sypialni na górze nie dobiegały już żadne odgłosy, nie słyszał nawet oddechu Taylor. Zasnęła kamiennym snem.

Kochał ją tak bardzo, że jeszcze dwie godziny temu mógł bez mrugnięcia okiem zabić tego człowieka. Gdy stał wtedy unieruchomiony i czuł, jak powoli udaje mu się rozluźnić więzy wokół dłoni, wiedział, że musi zachować zimną krew. Jeden nieopatrzny ruch, jeden wybuch emocji i Taylor mogła nie żyć. Ale gdy wreszcie więzy puściły, cały misterny plan wziął w łeb. Nick jak strzała pokonał odległość dzielącą go od łóżka i rzucił się na Eugene'a ze zwierzęcą wściekłością.

Ten drań błyskawicznie zdał sobie sprawę, że nie wytrzyma próby sił, ale zachował na tyle zimnej krwi i sprytu, że zdołał rzucić się do ucieczki.

Kilka strzałów, które Nick oddał w ciemności, chybiło i gdy Eugene znikł między drzewami, zdał sobie sprawę, że Taylor leży ciągle przywiązana do łóżka. Czy umiera ze strachu? Cała ta kilkuminutowa pogoń za oprawcą nie miała przecież sensu: nie mogła już w niczym pomóc ani jej, ani jemu samemu.

Pamiętał to uczucie, zaznał go po raz pierwszy: chciał po prostu zabić drugą ludzką istotę. Najgorsze było w tym wszystkim to, że wiedział, iż spróbuje zrobić to znowu, jeżeli tylko nadarzy się okazja.

Zaczął się modlić. Nie chciał się stać potępieńcem. Prosił, by Opatrzność nie postawiła ich już twarzą w twarz.

Minął kwadrans, zanim usłyszał dzwonek. Otworzył bramę i po chwili niezbędnej do pokonania alejki dojazdowej ujrzał w drzwiach Mela z V e d ą u boku.

- Przyjechaliśmy tu wozem Taylor - powiedział. - Zostawiła go u Vedy, a ja i Taylor nosimy komplety naszych kluczy, więc nie było z tym problemu.

Veda spojrzała z obawą na poranione nadgarstki Nicka.

- Kiedy byłeś szczepiony przeciwko tężcowi?

- Dwa lata temu - odpowiedział. - Na dziesięć lat. Zobaczyła krew w jego włosach i rdzawe plamy na kołnierzu.

- Zawieziemy cię do szpitala na prześwietlenie czaszki.

- Nie zostawię teraz Taylor samej - pokręcił głową. - Zobaczyłem trochę gwiazd, ale nie straciłem przytomności. Mam łeb jak te kamienne rzeźby z Wyspy Wielkanocnej.

- Chodźmy, obejrzę cię dokładniej w łazience - powiedziała tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Mel ruszył za nimi, rozglądając się badawczo dookoła.

- Zadzwoiłem do Vollmera - rzucił. - Dałem mu adres tego miejsca. Powiedziałem też, że Lewis próbował was zabić. Pierwsza rzecz, którą chciał zrobić, to przysłać tu jeepa, żeby was zabrał i przywiózł do niego do miasta.

Veda uśmiechnęła się rozbawiona.

- Mel powiedział mi wtedy, że jeśli przyśle tu kogoś, podpuści na niego Rica. Więc oficjalna wersja: jesteście w stanie krańcowego wyczerpania i nie możecie rozmawiać z policją.

- Vollmer musiał być tym zachwycony?

- Zgrzytnął zębami ze złości i powiedział, że da wam spokój do jutra.

- Niech pan powie teraz, co z nią. - Mel wskazał palcem na piéterko, gdzie spała Taylor.

Nick opuścił co drażliwsze szczegóły, ale z miny Mela i ze sposobu, w jaki patrzyła na niego Veda, wyczytał, że domyślają się tego, co nie zostało dopowiedziane.

- Zostaję tu na noc - powiedział. - Niewykluczone, że Eugene wróci, żeby dokończyć to, co zaczął.

- Ona może mieć dzisiaj jakieś koszmary. Dobrze, żeby była przy niej jakaś kobieta - wtrąciła Veda. - Zostanę do rana.

- My też - podsumował Mel. - Jest tu coś do jedzenia? Ruszył do kuchni i przez dłuższą chwilę pogrążony był w plądrowaniu lodówki.

- Jedzenie dla kota, przysmaki dla kota, napoje dla kota, różne rodzaje whiskasów... - dobiegło ich zrozpaczone wyliczanie. - Wychodzę po hamburgery dla wszystkich! - Mel podszedł jeszcze na chwilę do nich i podrapał się po głowie. - Przynieść coś dla niej czy nie? - spojrzał pytająco na Nicka.

- Kto to może wiedzieć? Niech pan przyniesie jednego więcej, to najwyżej Elmo będzie miał jutro nietypowe śniadanie.

Veda poklepała Nicka po ramieniu.

- Oprócz głowy tylko zadrapania i drobne skaleczenia. Nic ponad to, co sam robisz sobie od czasu do czasu dłutem. Wyglądasz świetnie. - Zaraz jednak spojrzała na niego zamglonymi od łez oczami. - Och, Nick, nie mogę już dłużej udawać. Wyglądasz po tym wszystkim okropnie. Jesteś w takim stanie...

- Będę w lepszym, kiedy dopadnę tego cholernego drania.

Rozdział 17

Veda sprzątnęła resztki kolacji, po czym zwinęła się w kłębek na kanapie i zasnęła niemal natychmiast. Mel drzemał z ręką na jej łydce. Nick przechadzał się jeszcze przez chwilę w zamyśleniu, lecz w końcu i on wyciągnął się w fotelu, oparł nogi na stole i zamknął oczy. Przy udzie czuł przez spodnie chłodny dotyk metalowej lufy pistoletu. Około północy obudził go Mel, wracający z kuchni z puszką piwa.

- Jedźcie do domu - wymamrotał sennie Nick. - Nic się już dzisiaj nie zdarzy.

Mel usadowił się z powrotem na kanapie i przetarł oczy.

- Veda? - Potrząsnął lekko jej udo. - Lepiej, żebyś przespała tę noc we własnym łóżku. Przyniesiemy im rano śniadanie. O ósmej? - Spojrzał pytająco na Nicka, który potwierdził skinieniem głowy. - Kładzie się pan? - spytał go jeszcze, popychając zaspaną Vedę w kierunku drzwi.

- Prześpię się w fotelu - rzekł Nick i potarł dłonią policzek. Poczuł ostry, drapiący zarost. - Jak tak dalej pójdzie, nie powinienem ruszać się z domu nawet po bułki bez maszynki do golenia.

Veda ziewnęła i klepnęła go po ramieniu.

- Rano przywiozę ci jakieś czyste rzeczy. Mam klucze.

Gdy za oknem ucichł już warkot samochodu, Nick usadowił się ponownie w fotelu i przygarnął Elma na kolana.

Jutro, gdy tylko skończą śniadanie, oficjalnie podziękuje Taylor za jej usługi detektywistyczne. Formalnie wymówi współpracę Melowi, ale będzie to tylko delikatny kamuflaż.

Odkąd poznał tę kobietę, nie przestawała mówić wszystkim na prawo i lewo, jak pasjonującym zajęciem jest zabawa w detektywa. Jej dorobek w istocie okazał się imponujący: w ciągu kilku dni udało im się odkryć ciało zamordowanej kobiety, dwa razy znaleźć się pod ostrzałem, Taylor została zaatakowana, później pobita i omal nie zgwałcona.

Powinien był posłuchać tego, co mówił mu instynkt zaraz przy pierwszym spotkaniu: w ogóle nie zlecać jej tej roboty. Cóż zresztą stałoby się, gdyby nawet zbankrutował lub przez resztę życia nie był do końca pewny uczciwości swoich przyjaciół? Cóż by to znaczyło w porównaniu z faktem, że Taylor byłaby bezpieczna i pozostałaby częścią jego życia?

Tu jest pies pogrzebany! Przecież nigdy nie stałaby się wtedy częścią jego życia. A już na pewno nie wtedy, gdyby odrzucił ją jako detektywa i w dodatku powiedział o tym Melowi. Nie chciałaby nawet z nim gadać. Niestety, z dnia na dzień w coraz mniejszym stopniu wyobrażał sobie życie bez niej.

Prędzej czy później będzie musiał uporać się z tym problemem. Zaczęło się od tego, że wyobraźnia uporczywie podsuwała mu widok jej nóg zaciśniętych wokół jego ud i tego co stało się później. Ale od samego początku towarzyszyły temu inne emocje niż zwykle. Było pożądanie, lecz było też coś więcej, i to coś urosło bardzo prędko do zaangażowania, jakiego nie znał do tej pory. Ile już razy łapał się na tym, że gdy nie było jej przy nim, wyobrażał sobie, jak czule gładzi palcem jej policzek, jak szuka tego jedyne go w swoim rodzaju błysku

w jej oczach. Wszystkie jej nastroje, zapamiętała potrzeba niezależności, pragnienie, by dobrze wykonać swoją pracę - wszystko to stało się ważne dla niego, ponieważ było ważne dla niej. Jak mógłby wypowiedzieć jej pracę, skoro ją kocha? Ale jeżeli chce, by cała i zdrowa wyszła z tych tarapatów, co innego mu pozostaje?

Poruszył się niespokojnie i zmienił pozycję. Mógłby teraz wspiąć się po drabince i wśliznąć do jej łóżka. Tego teraz pragnął. Ale czy ona potrzebuje obok siebie męskie ciało po tym, co wydarzyło się zaledwie kilka godzin temu? Ta alergia na mężczyzn może potrwać całkiem długą chwilę.

Jak on to wytrzyma?

Będzie musiał, do diabła, jeżeli ją kocha. Tylko Bóg jeden wie, jak do tego doszło. Nie miał przecież zamiaru zakochać się w poniedziałek po południu. A może tak było sądzone, już w chwili, gdy Taylor wkroczyła w jego życie? To złe słowo: wtargnęła w jego życie niczym wiosenny huragan!

Jeżeli jednak nie jest w stanie jej ochronić, jeżeli nie potrafi zapewnić jej bezpieczeństwa, powinien pozwolić jej odejść. Więcej, powinien zmusić ją do odejścia. Wiedział, że w tym, co się stało, nie było jego winy, ale nie koło to w żadnym stopniu jego ciężko zranionej męskiej dumy.

Gdyby ukatrupił Eugene'a kilka godzin temu, rozwiązałoby to problem. Ale Nick zdał sobie sprawę, że chyba nie chciał tak po prostu ukatrupić tej kanalii. Był coraz bardziej przerażony myślami, które przychodziły mu do głowy. Przed oczami stawał mu obraz

Eugene'a cierpiącego piekielne męki, do których radosnym wstępem było obdzieranie go ze skóry.

Elmo wrzasnął żałośnie. Nick spojrzął na kota i zdał sobie sprawę, że zacisnął mocno dłoń na jego futerku i ma na palcach kilka wyrwanych kłaczków z jego sierści. Elmo naprężył się, prychnął gniewnie i zeskoczył na podłogę.

- Przepraszam, kotku - szepnął stropiony, ale było już za późno; Elmo pomaszerował obrażony w drugi koniec pokoju.

Nick ułożył się w fotelu w ten sposób, by widzieć drzwi i drabinę prowadzącą do sypialni Taylor. Czekąca go długa, bezsenna noc.

- Powiedziałam już wam, że wszystko ze mną w porządku - mruknęła Taylor, wbijając zęby w kolejnego muffina z jagodami. Nie było przynajmniej wątpliwości, że dopisuje jej apetyt.

- Wysłałam cało z opresji i z tego należy się cieszyć. Poza tym udało się znaleźć większość skradzionych rzeczy. Mel, połowa naszego zadania została wykonana.

- Wykonaliście już całe zadanie - oznajmił spokojnie Nick.

- Co chciałeś przez to powiedzieć? - Zmarszczyła brwi.

- To, że Agencja Detektywistyczna Bormana zrobiła już wszystko, czego od niej oczekiwałem. Proszę zrobić kosztorys i wystawić mi rachunek. Zrobiliście już i tak więcej, niż oczekiwałem - zwrócił się do Mela.

- Zaraz, zaraz - wpadła mu w słowo Taylor.

- Mówię poważnie. - T o n Nicka nie zmienił się ani na jotę.

- Czas już zakończyć to „zadanie”.

- Więc wywalasz mnie? Tak po prostu?

- Odwaliłaś kawał roboty. I zrobiłaś to świetnie. Ale tu giną ludzie, a ty znajdujesz się na linii ognia. Nie mogę brać na siebie takiej odpowiedzialności.

- A kto prosił cię, żebyś brał na siebie jakąś odpowiedzialność? - Taylor niemal wrzasnęła. Odchyliła się na krześle i zerwała na nogi. - To ja! - uderzyła się palcem w pierś. - To ja prowadzę tę sprawę i ja ponoszę odpowiedzialność za to, co się ze mną dzieje. Słyszysz? Nie możesz wywalić mnie teraz, kiedy jestem o krok od zakończenia!

- Co to znaczy „nie możesz”? - spytał Nick. Zaczęła krążyć po pokoju jak uwięziony w klatce tygrys.

- Mel, powiedz temu przyjemniaczkowi, że jedyne niebezpieczeństwo, na jakie mogę się teraz narazić, to napromieniowanie od komputera i napięcie nerwowe, gdy słucham kogoś takiego jak on.

- Taylor, to, co on mówi, nie jest bez racji. Powinnaś była mi powiedzieć, że zaatakowano cię przed Rounders.

Wzruszyła gniewnie ramionami.

- Więc może lepiej byłoby, gdyby Nick odprawił mnie trochę wcześniej? Ominęłaby go wtedy przyjemność odnalezienia swoich zwierzątek - powiedziała, lecz po chwili posłała Nickowi pojednawcze spojrzenie. - Słuchaj, Eugene albo już jest pod kluczem, albo będzie za dzień lub dwa. Vollmer wysłał na poszukiwania całą brygadę śledczą.

- To nie zmienia faktu, że ten, kto pociąga za sznurki, pozostaje i tak na wolności.

- Zmienia. Kiedy Vollmer zacznie oskarżać Eugene'a, kontakty posypią się tak szybko, że będzie to przypominać trzęsienie ziemi. W tym magazynie doliczyłam się sześciu rzeźb. Jeżeli odzyskasz tylko tyle, będzie to najgorszy ze scenariuszy. Policzmy: Marley kupił jedną, jedna mogła spalić się w galerii w Oxfordzie, ale jeżeli się nie spaliła, to do odnalezienia pozostają jeszcze dwie. - Spojrzała na niego badawczo, po czym kontynuowała: - Nie rozumiesz? Pozostało nam tylko odkryć, co Eberhardt zrobił z pozostałymi rzeźbami. A to po prostu trzeba „wychodzić”, zdzierając solidnie podeszwy. Nie jest to bardziej niebezpieczne niż karmienie kaczek w Audubon Park. W dodatku mogę powiedzieć ci w sekrecie, że jestem w takich rzeczach cholernie dobra.

- Po tym, co zdarzyło się ostatniej nocy... Machnęła ręką, jakby opędzała się od nieznośnej muchy.

- Ta noc już się więcej nie powtórzy. Jestem zawstydzona jako kobieta, chciałabym, żeby do tego nigdy nie doszło, ale to nie koniec świata. Coś takiego mogło przydarzyć mi się wszędzie, chociażby nocą na parkingu. Życie kobiety nie jest łatwe.

- Niestety, ryzyko jest trochę większe, kiedy śledzi się kogoś, kto ma na sumieniu dwoje ludzi - wtrąciła Veda.

- Kto jak kto, ale ty powinnaś być po mojej stronie - rzekła z wyrzutem Taylor.

- Nie chcę być po niczyjej stronie. Masz za sobą bardzo ciężkie przeżycie i powinnaś przyjąć to do wiadomości.

- Przyjmuję to do wiadomości! Ale czy wy wszyscy nie widzicie, że jeżeli zrezygnuję teraz albo - co na jedno wychodzi - zostanę wyrzucona, to właśnie Eugene stanie się zwycięzcą? Ta obrzydliwa kanalia!

Nick z przerażeniem spostrzegł, że zaczyna się wahać. Zdrowy rozsądek mówił mu, że słowa Taylor mają sens, że tego właśnie potrzebuje ta dziewczyna, by odzyskać równowagę i udowodnić samej sobie, że nie złamie jej pierwszy lepszy drań, którego jedyną przewagą jest to, że nosi spodnie. Ale serce mówiło mu, że powinien trzymać ją jak najdalej od takich przygód, niezależnie od tego, co ona o tym sądzi.

Zadzwoił domofon i Taylor uniosła się nerwowo z krzesła.

- To Danny - skwitował Mel i podszedł otworzyć drzwi.

- Słuchajcie - zwróciła się do całej trójki - jeżeli będę musiała opowiedzieć Danny'emu o wszystkim ze szczegółami, zrobię to. Ale proszę, nie wyręczajcie mnie i nie starajcie się grać roli dobrej ciotki.

- Ona ma rację - powiedział Mel, dolewając sobie kawy z dzbanka. - Pan Lewis wyśpiewa policji wszystko, co wie, a nawet więcej. Zachowanie tego faceta nie wskazuje na to, że zamknie buzię na kłódkę w imię lojalności, gdy zobaczy, że stoi pod ścianą i grozi mu wiele lat więzienia.

Taylor wyszła przywitać gościa na korytarz. Po chwili Vollmer wkroczył do pokoju i, z poczuciem majestatu prawa wypisanym na twarzy, zbliżył się powoli do stołu.

- Party od samego rana? - mruknął kąśliwie. - Artyści i detektywi jedzą wspólne śniadanie?

Taylor nie zdążyła jeszcze zdjąć dłoni z klamki drzwi, gdy Nick ruszył w jej kierunku, a Vollmer zastąpił mu drogę. Zmierzył go od stóp do głów, po czym odwrócił się i powiedział do całej grupy:

- O pierwszej trzydzieści w nocy znaleziono w rowie spalony wóz, skradziony niebieski mercury. Z wraku wydobyto częściowo spalone szczątki mężczyzny, który siedział za kierownicą. Ocalał portfel, w którym denat nosił prawo jazdy. Był to dokument wydany przez władze stanu Missisipi na nazwisko Eugene'a P. Lewisa, zamieszkałego w Oxfordzie.

Veda jęknęła.

- Mimo że mężczyzna ów się spalił - ciągnął Vollmer - nie wykryto w jego płucach dymu. Stało się tak, bo zanim samochód zaczął się palić, on dostał kulkę i rozstał się z tym światem.

Taylor oparła się ciężko o ścianę. Jej twarz była prawie szara.

- Od jak dawna nie żył? - spytał Mel.

- Dowiemy się, gdy zostanie dokonana autopsja. Ta kulka to zresztą moje przypuszczenie. - Vollmer spojrzał wojowniczo na Nicka.
- Może mi pan powiedzieć, gdzie był pan wczoraj między siódmą wieczorem a drugą w nocy?

- Nick, nie musisz odpowiadać na żadne z pytań tego pana - ostrzegła go Veda.

- Nick i ja byliśmy razem od wczoraj rana aż do chwili, kiedy tu przybyłeś - powiedziała Taylor.

Vollmer spojrzał świdrująco na Taylor, a potem zlustrował wzrokiem Nicka. Oczy zwięzły mu się niczym szparki i kilka razy nerwowo zgiął i rozprostował palce.

- Również Mel Borman i Veda Albright byli tutaj aż do północy. Po ich wyjściu nie opuszczałem domu - rzekł Nick.

- Kiedy zakończą autopsję, będę chciał zamienić z panem parę słów. Poproszę tylko, żeby stawił się pan wtedy bez tego rzecznika w spódnicy - wycedził przez zęby Vollmer.

- Owszem, bez tego. Mój rzecznik będzie znał się trochę na prawie i mówił z bostońskim akcentem.

Vollmer skrzywił się z wściekłością, popatrzył na nich przez chwilę, po czym odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Nick odniósł wrażenie, że zaczyna rozumieć mechanizm, który rządzi zachowaniem Taylor: wszelka agresja wyzwala w niej wolę walki, lecz napięcie, które temu towarzyszy, jest jednak tak wielkie, że w chwili, gdy walka się kończy, rozpoczynają się palpacje lub mdłości.

Wziął ją w ramiona i przytulił, nie przejmując się tym, że obok stoją Veda i Mel. Czuł, jak w szalonym tempie wali jej serce, owiewał go jej szybki, płytki oddech. Rozkoszował się każdą chwilą jej bliskości. Niestety, wiedział, że może to być po raz ostatni. Było

prawdopodobne, że Eugene zginął od jednej z kul, które wystrzelił do niego podczas pościgu poprzedniego wieczoru. Prędzej czy później konfrontacja z Vollmerem jest nieunikniona. Czy będzie odpowiadał z paragrafu dotyczącego obrony własnej, czy potraktują to jako świadome zabójstwo? Tak czy inaczej, zanim zrobi cokolwiek, powinien porozmawiać o tym z Rikiem Cabrizzo.

Jeżeli mają go aresztować, powinien odwlec to jak tylko może, żeby dopilnować bezpieczeństwa Taylor. Ten sam cel narzuca jednocześnie konieczność fizycznego rozstania, trzymania się od niej jak najdalej. Taylor wysliznęła się w końcu z jego objęć i stanęła koło Mela.

- Chyba widzisz, że dobrze by było, gdybym to ja skończyła tę robotę?

Nick zwrócił się do Mela, jakby ją ignorując:

- Podtrzymuję to, co powiedziałem wcześniej.

- To znaczy, że Mel to dokończy? - W głosie Taylor pobrzmiwała nuta desperacji.

- Byłabyś wtedy ciągle zamieszana w tę sprawę - stwierdził Nick.

- On ma rację - rzekł Mel w zamyśleniu. - Słuchaj, Taylor, ta sprawa w Paradise Cafe zaczyna nabierać rumieńców. Będziemy tam mieli dużo do roboty.

- Nie! - zaprotestowała Taylor i odwróciła się gwałtownie do Vedy. - Chyba czas, żebyś im powiedziała...

- Nie mieszaj mnie do tego. - Veda potrząsnęła głową, spojrzała wymownie na Mela, dali sobie znak oczami i ruszyli w kierunku drzwi. Wychodząc, Mel uśmiechnął się przepaszająco do Taylor.

- Musicie poradzić sobie sami.

- Poczekaj, Mel! - zawołała Taylor. - Jemu ciągle może grozić niebezpieczeństwo - wskazała na Nicka. - W końcu to właśnie on jeden potrafi rozpoznać skradzione rzeźby.

- Pozostałe zwierzęta są poza rynkiem, więc zabójca nie ma się czego obawiać z waszej strony. Jest za sprytny, by nie wiedzieć, że musi teraz po prostu siedzieć cicho i wszystko, co mu pozostaje, to spisać całą tę inwestycję na straty.

- A Nickowi pozostanie do załatwienia taki drobiazg, jak zwrot trzydziestu pięciu tysięcy dolarów Marleyowi.

- Przez cały czas byłem świadomy tego niebezpieczeństwa - powiedział spokojnie Nick.

- Właśnie staramy się rozpracować ten mały problem - wtrąciła Veda, dotykając lekko ramienia Taylor. - Nie martw się, kochanie, to wszystko jakoś się rozwiąże.

- Weź sobie kilka dni wolnego - poradził Mel. - Jak odpoczniesz, wracaj do roboty. Tylko nie za dużo tego próżnowania, bo mamy pełno zleceń! - Uśmiechnął się jowialnie, by rozładować sytuację i zrobił coś, co nie zdarzyło mu się nigdy dotąd: pocałował Taylor w policzek.

Taylor lekko się wzdrygnęła, Mel zaś spojrzał nieco zakłopotany na Vedę. Ona jeszcze raz dała mu znak głową i pociągnęła go za ramię. Nick zamknął za nimi drzwi.

Wiedział, że czeka go teraz najgorsze. Taylor nie podda się bez walki. Stała teraz oddalona od niego o kilka kroków, odwrócona plecami, z założonymi rękami.

- Nikt z obecnych tutaj najwyraźniej nie widzi żadnego związku między tym, jak się wczoraj zachowałam, a faktem, że oboje jeszcze żyjemy - powiedziała z wyrzutem w głosie.

- To nieprawda - zaprotestował.

- Nie staraj się na siłę być miły i nie zniżaj się do mojego poziomu. - Odwróciła się, żeby spojrzeć na niego, i wielkie łzy w jej oczach zaświeciły niczym perły.

Tak bardzo pragnął podejść i pocałunkiem osuszyć jej oczy, złagodzić cierpienie, ulżyć ranom jej duszy. Pozostał jednak bez ruchu i powiedział głosem, z którego starał się usunąć emocje:

- Nie robić niczego na siłę. Poza tym to ty znalazłaś rzeźby. To naprawdę jest coś.

- Och, dziękuję ci bardzo. Razem z rzeźbami nie znalazłam niestety złodzieja. O ile sobie przypominam, to właśnie zlecił mi pan Nick Kendall, prawda? Kosztowałam cię trzydzieści pięć tysięcy dolarów i prawdopodobnie utratę Rounders. - Wskazała rozpaczliwym gestem na stolik. - Zawsze mówię matce, że noszę broń, ale co z tego? Albo nie mam jej, kiedy jest mi potrzebna, albo bezmyślnie pozwalam ją sobie odebrać. Jaki w ogóle ze mnie pożytek?

- Och, daj spokój, Taylor. Przecież wiesz, że jesteś dobra i właśnie dlatego chcesz skończyć to zadanie.

- Naprawdę? Przecież ostrzegałeś mnie, że to niebezpieczne. Czy cię posłuchałam? Nie! Nie powiedziałam Melowi o Eugenie, chociaż powinnam była. Nie nadaję się do gry w zespole.

- Nie przesadzaj. Każdy z nas robi od czasu do czasu jakieś głupstwa. W moim zespole możesz grać choćby od dzisiaj.

- Na pewno? Z siniakami po brudnych łapach Eugene'a? Siły zaczęły uchodzić z Taylor jak powietrze z przedziurawionego balonika.

- Zaczynam chyba rozumieć, o co w tym wszystkim chodzi, Nick. Starasz się traktować tę całą sprawę tak, jak wyobrażasz sobie, że powinien potraktować ją współczesny, inteligentny mężczyzna, ale ci nie wychodzi. Na samą myśl, że miałbyś pójść jeszcze ze mną kiedyś do łóżka po tym wszystkim, co stało się wczoraj, przechodzą cię ciarki i wychodzi z ciebie męski diabeł. I za każdym razem, kiedy na mnie patrzysz, widzisz mnie na łóżku razem z Eugene'em i przypomina ci się, że nie mogłeś wtedy nawet kiwnąć palcem.

- Taylor! - Ujął ją za rękę, odsunął na odległość ramion i spojrzał głęboko w oczy. - To mnie żre i wcale nie przestaje, ale nie zmienia ani trochę mojego pragnienia, żeby być z tobą, i to jak wcześniej. Tylko, do diabła, chcę cię jeszcze do tego widzieć żywą! Zaraz pierwszego dnia powiedziałaś mi, że twoja praca nie polega na robieniu rzeczy niebezpiecznych, takie sprawy oddajecie policji. Zrób to! Rzeczy już dawno wymknęły się spod kontroli.

Taylor odsunęła się od niego gwałtownie.

- Świetnie. Masz oczywiście rację. Ty masz rację, Mel i Veda, wszyscy macie rację, a ja kapryszę i miotam się jak małe dziecko, któremu ukradziono lizaka. Zgadzam się, nie postępuję racjonalnie, ale to dlatego, że moje rachunki nie zostały zamknięte. W pewnym momencie ruch należał do ciebie i wykonałeś go po mistrzowsku. Dziękuję ci bardzo. A teraz wyjdź z mojego domu i zostaw mnie, żebym mogła dojść do ładu z samą sobą po tym wszystkim, co ze mną zrobiliście.

- Taylor, kochanie...

- Wyjdź, proszę, wyjdź natychmiast. Nie wytrzymam tego ani chwili dłużej.

Wiedział, że kiedy znajdzie się za drzwiami, ona trzaśnie nimi i załamie się jak mała dziewczynka. A on traci oto swój najcenniejszy przywilej: pocieszenia i wtulenia jej w ramiona. Choć... jego plan się powiódł. Zrealizował to, co chciał: Taylor jest bezpieczna z dala od niego i tego, co mu grozi.

A kiedy już cały ten koszmar minie, czy będzie to za tydzień, czy za rok, odzyska ją, choćby miał poruszyć niebo i ziemię. Z wyjątkiem jednego przypadku: jeżeli znajdzie się w więzieniu skazany za zabójstwo. Tym razem to jemu zaczęło się zbierać na mdłości.

- Zadzwoń do ciebie jutro - obiecał i spuścił głowę.

- Nie dzwoń, proszę.

Rozdział 18

- Mamo, mówi Taylor...

- Taylor, dziecko, tak się martwiłam! Zaczęłam nawet przeglądać gazety, żeby sprawdzić, czy nie było jakiegoś wypadku. Bradley też jest wyprowadzony z równowagi. Powinnaś do niego zadzwonić i przeprosić go.

Elmo wdrapał się na ramię Taylor i próbował natrętnie wsadzić nos między słuchawkę i jej ucho. Odsunęła go delikatnie i przeszła nerwowo w drugi koniec pokoju.

- Znowu jakiś absurd - mruknęła tak, by matka nie usłyszała. - To on powinien mnie przeprosić.

- Kochanie, jesteś zawsze dla niego taka niemila.

- Mamo, może ty jesteś dla niego po prostu zbyt miła?

- Taysie, wiesz przecież, co mówił twój ojciec... Kobieta nie powinna strofować mężczyzny, nawet jeżeli to jej syn.

- Właśnie. Widzimy, co dzięki temu z niego wyrosło.

- Taysie, jestem z niego dumna. - Głos Irene zabrzmiał tak, jakby chciała przekonać do tego samą siebie w nie mniejszym stopniu niż córkę.

- Mamo, przeciwko Bradleyowi toczyło się już dwa razy postępowanie dyscyplinarne w Izbie Adwokackiej, jest mężem, który patologicznie zdradza żonę i pewnego dnia być może zjawi się w domu z rozwrzeszczanym małym podarunkiem. A cóż poza tym? Czy do jego zalet należy to, że - podobnie jak jego ojciec - bije żonę i dzieci?

- Taysie, jak możesz mówić takie rzeczy?

- Bo jestem zmęczona, zużyta i chcę choć przez moment uzalić się nad samą sobą. Poza tym mam już dość tak zwanych sekretów i rzeczy nie dopowiedzianych.

- Bradley obiecał mi...

- Mamo, nie zadzwoniłam do ciebie po to, żeby rozmawiać o Bradleyu.

- Nie, oczywiście, że nie, kochanie. - W słuchawce na moment zaległa cisza. Po chwili matka spytała: - Kochanie, no to dlaczego jesteś taka zmęczona?

- Och, to długa historia. Chciałam po prostu usłyszeć twój głos i porozmawiać.

- Żałuję, że wuj Mark zostawił ci ten domek. Co on sobie myślał? Umieścić kobietę w jakiejś zagubionej leśniczówce!

- Przesadzasz, mamo. Lubię to miejsce.

- Nie wiem, jak możesz w ogóle mówić takie dziwactwa. Och, czuję czasami, że śmierć Paula zrujnowała ci życie.

Taylor głęboko odetchnęła. Uff... chyba pora znów zastosować małą terapię wstrząsową, pomyślała.

- Gdyby Paul wtedy nie zginął, prawdopodobnie bylibyśmy teraz rozwiedzeni, a on nie musiałby się zastanawiać, czy stać go na utrzymywanie pustego mieszkania, w którym spotykał się ze swoimi sekretarką.

- Taylor! - Głos matki zabrzmiał groźnie i stanowczo. - Tylko słaba kobieta rozwodzi się z mężczyzną z powodu jego słabostek. A kobiety w rodzinie Maxwellów zawsze były silne.

- Proszę?!

- Twój ojciec romansował ze wszystkimi sekretarkami, jakie miał, a ja pamiętam jego ciężką rękę, od kiedy urodziłaś się ty i Bradley. Kobieta z Południa wie, że jest pewna cena, którą trzeba zapłacić za spokój w domu i przyzwoite życie.

- Przyzwoite życie?!

- A żebyś wiedziała! A moje sumienie jest czyste jak łąza!

- Mamo - rzekła Taylor, wsłuchując się we własny głos, jakby należał do kogoś innego. - Żyjemy na zupełnie innych planetach. Mój Boże, ale cóż z tego... Jesteś przecież moją matką. Znosiłam to wszystko z Paulem przez sześć lat naszego małżeństwa.

- I znosiłabyś, daj Boże, dalej, dla dobra twoich dzieci, bo tak trzeba.

- Mylisz się, mammo. - Taylor odchyliła do tyłu głowę i oparła się z rezygnacją o ścianę. Było dopiero wpół do dziesiątej rano, a jakby ciągnęło się całe stulecie. Może lepiej trzymać język za zębami? - Słuchaj, mammo, nie kłóćmy się. Zaprosiłaś mnie na lunch, teraz chciałabym ci się zrewanżować. Co ty na to?

- Kochanie, nie mogę. Ale mam inny pomysł: spotkajmy się dzisiaj o czwartej i zjedzmy razem nasz ulubiony mus czekoladowy, tak jak dawniej, pamiętasz?

- Dobrze. - Taylor roześmiała się. Życie może płatać ci figle, ale mus czekoladowy nigdy cię nie zawiedzie.

- Świetnie. Spotkajmy się wobec tego w nowym sklepie CeCe Washburn w Germantown.

Taylor wiedziała, że znowu dała się zrobić, ale nie miała już siły na kolejną walkę.

- Dobrze, skoro tak chcesz, niech będzie CeCe Washburn. Tylko nie łudź się, że zacznę u niej pracować.

Odłożyła słuchawkę, opadła ciężko na fotel i wtuliła na moment twarz w skórzane obicie. Pachniało tak jak Nick - świeżym drewnem i sosnowym igliwem. Poczowała lekkie ukłucie koło serca. Niestety, już zaczyna go jej brakować.

Wiedziała, że musi wykonać jeszcze kilka telefonów i powinna zrobić to zaraz, zanim zupełnie opadnie z sił i rzuci się zrezygnowana na łóżko. Podniosła słuchawkę i wystukała numer Mela. Gdy tylko usłyszała jego głos, rzekła bez dłuższych wstępów.

- Potraktuj to, co mówię, jako wypowiedzenie z dwutygodniowym wyprzedzeniem. Chyba zdążysz przez ten czas znaleźć sobie asystentkę?

- Taylor? Nie bądź niemądra. To przecież jest dopiero twoje pierwsze samodzielne zlecenie.

- Tak, Mel, i miałam wystarczająco wiele okazji, żeby się przekonać, czy nadaję się do tej roboty. Od początku chciałam pokazać, jaka ze mnie żyłeta, i popisywałam się na każdym kroku, ale w rzeczywistości sknociłam niemal wszystko, czego dotknęłam,

łącznie z tym, że po kilku dniach wylądowałam w łóżku z naszym klientem, a potem mało brakowało, żebyśmy przeze mnie znaleźli się oboje na łonie Abrahama. Ponieważ nie mam również ochoty ślęczeć godzinami przy komputerze, bo po dwóch godzinach zaczynam widzieć zamiast liter zielone krasnoludki...

- Przecież nikt nie powiedział, że masz to robić.

- W tej chwili nadaję się, niestety, tylko do tego. Moim największym błędem było wpakowanie Nicka w jeszcze większy galimatias. Niestety, zakochałam się w nim. To moja wina.

- Taylor, kochanie...

- Posłuchaj, Mel. Odpisz mnie sobie na najbliższe dwa dni, potem przez dziesięć dni będę ci pomagać przy Paradise Cafe. Jeżeli do tego czasu policja nie złapie złodzieja, który ukradł rzeźby Nicka, postaram się wyręczyć ich w tym. Za darmo, gratis, dla idei. Mel westchnął.

- Odpocznij sobie przez te dwa dni. Przestań o tym myśleć. I chcę, żebyś wiedziała, że nie puszcze cię bez walki.

Taylor odłożyła słuchawkę. Jedyne, na co miała ochotę, to wskoczyć prosto do łóżka, naciągnąć kołdrę na głowę i spać - spać bez przerwy przez całe dwa dni. To niestety niemożliwe, pomyślała. Mel powiedział, że ktoś zawsze zna prawdę. W y - ciągnęła z szuflady magnetofon, włączyła komputer i zaczęła porządkować notatki.

W chwili, gdy z kasety odezwał się głos Nicka, w obronnym geście nacisnęła „stop”. Wystarczyło kilka jego słów i poczuła, jak opływa ją fala przyjemnego ciepła. Zamknęła oczy i oparła głowę o

biurko, potem gwałtownie uniosła ją do góry, zdając sobie sprawę, że oparła się o klawiaturę. Na ekranie komputera zobaczyła kilkanaście linijek zapisanych pojedynczą literą „k”.

Wszędzie jakieś pułapki, pomyślała i zabrała się do przesłuchiwania opowieści Estelle Grierson o oszalałych wyczynach Clary w Ole Miss. Wstała zza biurka po dwóch godzinach i ruszyła do łazienki. Gorący prysznic ulżył jej trochę i usunął ból z karku. W głowie miała pustkę. Kilkakrotne przesłuchanie dwóch kaset nie posunęło jej ani o krok naprzód. Chyba zadzwonię do Danny'ego, postanowiła.

- Jutro? Na lunch? - spytał podejrzliwie. - A po co? Tylko nie wciskaj mi kitu, że chciałabyś tak po prostu się ze mną spotkać.

- Może nadszedł czas, żeby zreperować to, co zostało popsute - wyrzuciła z siebie desperacko.

- Lepiej powiedz, co chcesz ode mnie wyciągnąć.

- Może i chcę, ale mam ci do przekazania kilka informacji, które na pewno cię zaciekawią.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

- Czego oczekujesz w zamian? - spytał.

- Żebyś zjadł smaczny lunch i nie martwił się o rachunek.

- Dobrze - odparł po chwili zastanowienia. - Ale nie mam zbyt wiele czasu. Wybierzmy jakieś miejsce, gdzie będę mógł się wyrwać na pół godziny.

Taylor wskoczyła w swój wełniany sweter i wytarte spodnie. Matka znowu będzie zbulwersowana i nawet nie przyjdzie jej do głowy, że tym razem nie dla niej tak się ubrała.

- Będę przesłuchiwał Kendalla dziś późnym popołudniem

- zabrzmiało pierwsze zdanie, gdy usiedli za stolikiem. Taylor zaczerpnęła głęboko powietrza i zaczęła bawić się łyżeczką, tak jakby fakt, że Nick zostanie wydany na pastwę Vollmera, nie zrobił na niej większego wrażenia.

- Nie sądzisz chyba, że dokonał któregoś z tych zabójstw? - spytała od niechcienia. Vollmer pochylił się w jej kierunku.

- On czegoś się boi. Jego adwokat, ten facet... nazywa się Cabrizzo, zadzwonił już do mnie, żeby wyznaczyć spotkanie. Kiedy do akcji wkraczają prawnicy, to znaczy, że ich klient nie może sobie z czymś poradzić. Czegoś się boi.

- Nick nie ma niczego do ukrycia.

- Tak, tak... - Vollmer udał, że skoncentrował się na menu.

- Czy są już jakieś ustalenia po autopsji Eugene'a?

- Daj spokój, Taylor, jesteś tutaj, żeby mi o czymś opowiedzieć, a nie wyciągać ze mnie dane ze śledztwa.

- Powiem ci. Odpowiedz na moje pytanie. Cmoknął zniecierpliwiony.

- Eugene Lewis zginął od kuli kaliber dziewięć - wyznał niechętnie.

Taylor przypomniała sobie, z jakiego pistoletu strzelał Nick, i zrobiło się jej gorąco. Dobierając powoli słowa, jakby bała się zbyt szybko usłyszeć odpowiedź, zadała kolejne pytanie:

- Czy Eugene dostał kulę w plecy? Vollmer opuścił menu i spojrzał na nią przenikliwie.

- Dlaczego pytasz?

- Proszę cię, Danny, to bardzo ważne.

- W porządku. - Uśmiechnął się podstępnie. - Strzelono do niego z boku, z całkiem bliskiej odległości. Kula rozerwała mu kawał prawego płuca, przeszła lewe i utkwiała gdzieś pomiędzy żebrami.

- Czy mógł jechać jeszcze przez jakiś czas po tym, jak został postrzelony?

Danny parsknął ze zniecierpliwienia.

- Nie żył już po paru minutach, a stracił przytomność prawdopodobnie natychmiast.

Taylor z ulgą oparła się o siedzenie krzesła.

- Wiem, dlaczego Nick zgodził się rozmawiać z tobą osobiście.

- Taaak?

- Myśli, że to on zabił Eugene'a. Wczoraj, gdy go gonił, wystrzelił trzy razy z dziewiątki, którą Eugene nas wcześniej sterroryzował. Myśli chyba, że jedna z tych kul dotarła do celu i Eugene zdążył przejechać parę kilometrów z kulą w plecach, zanim stoczył się gdzieś do rowu i umarł.

- Do diabła. - Danny pokręcił głową, potarł ręką czoło i wypił jednym haustem prawie pół szklanki mrożonej herbaty. - Czy naprawdę byliście z sobą poprzedniej nocy?

Taylor potwierdziła skinieniem głowy.

- Nienawidzę tajemnic - wycodził. - Chciałem przyskrzynić Kendalla, bo byłem pewny, że to on załatwił Eugene'a. - Spojrzał jej prosto w oczy. - Przepraszam cię, Taylor. Zrobiłem błąd, pozwalając sobie na osobiste emocje.

Pokiwała z wyrozumieniem głową.

- Tak czy owak, odzyskał swoje rzeźby - kontynuował Danny. - Nie zatrzymamy ich w charakterze materiału dowodowego. - Zaśmiał się, uznając to za dobry żart. - Jak tylko zdejmemy z nich odciski palców, może je sobie zabrać. To chyba twój duży sukces?

- Ile jest tych rzeźb?

- Osiem. Taylor odetchnęła z ulgą.

- Jeżeli założymy, że jedna spaliła się u Eberhardta, to są wszystkie. Oznacza to, że Nick jest bezpieczny. Dzięki Bogu.

Zdała sobie sprawę, że oznacza to zerwanie ostatnich nici, jakie łączyły ją jeszcze z Rounders. To była smutna refleksja.

- Czy próbowałaś już dojść, do kogo należą wszystkie te rzeczy z magazynu Eberhardta? Mam na myśli to, że na pewno zostały skradzione.

- Część była poprzednio w muzeach, niektóre pochodziły z aukcji albo były w prywatnych rękach. Czasami wykrycie właściciela będzie bardzo trudne.

- Co z rejestrem? W przypadku tyłu rzeźb Eberhardtowie nie mogli przecież obejść się bez jakichkolwiek dokumentów albo przynajmniej notatek.

Pokręcił przecząco głową.

- Przeszukaliśmy obydwie domy i magazyn. Żadnych dokumentów. Może spaliły się w czasie pożaru, ale to nic pewnego. Sprawdzamy właśnie, czy wynajmowali jakieś skrytki w bankowych sejfach pod nazwiskiem „Eberhardt” albo „Fields”. Jeżeli użyli fałszywego nazwiska, możemy nigdy nie poznać prawdy.

- Eugene był wtedy tak pewny siebie, że wygadał się. Powiedział, że rejestr istniał, ale Eberhardtowie przenieśli go gdzieś pod jego nieobecność.

- Nawet gdyby wiedział, to i tak już nam nie powie. Na stół wniesiono jedzenie. Danny pochylił się nad swoim gulaszem, ale Taylor odkryła, że odszedł ją wszelki apetyt. Skubnęła bez entuzjazmu kilka kęsów sałatki z kurczakiem i odsunęła talerz. Danny nie zauważył, że przestała jeść, aż do momentu, gdy pochłonął połowę swej porcji. Spojrzał na nią spod oka i powiedział:

- Wygląda na to, że zakochałaś się w tym facecie? Taylor popatrzyła przez moment zdezorientowana.

- To mój klient.

- Przestań wstawiać ciemnotę. Kiedy przyszedłem rano do Rounders i próbowałem go wybadać, prawie rzuciłaś się na mnie z pazurami. Zachowywałaś się jak kwoka broniąca kurcząt. Mam nadzieję, że on przynajmniej to docenia?

- Spudłowałeś. Właśnie dziś mnie wywalił. Skończone.

- Taak... - Danny posmarował masłem bułkę i wbił się w nią zębami. - Więc teraz twój ruch - powiedział z pełnymi ustami.

Sięgnęła do leżącej na krześle torebki.

- Przyniosłam ci rewolwer Eugene'a. Wystrzelono z niego trzy kule.

- Co przyniosłaś? - Niemal zachłysnął się jedzeniem. Wytarł usta serwetką i pochylił się nad stołem. - Czy ty zwariowałaś?! Nie powinnaś nawet dotknąć tej broni.

Zgarbiła się, nieco przerażona.

- Przepraszam, ale nie jestem w stanie myśleć zbyt jasno.

- Przynajmniej, na Boga, nie wyjmuj go teraz. Te ciotunie obok jeszcze dostaną zawału serca. Dasz mi go ostrożnie, gdy będziemy już na parkingu.

- Są na nim odciski palców Nicka.

- Domyślam się tego.

- Ale sam powiedziałaś, że to nie mogą być kule, które zabiły Eugene'a.

- Tak, przy czym nie zmienia to faktu, że miasto to nie strzelnica sportowa. To łamanie prawa.

- Daj spokój, Danny. - Taylor zaśmiała się nerwowo. - Będę mogła zeznać pod przysięgą, że Nick strzelał w obronie własnej. Żaden prokurator przy zdrowych zmysłach nie wniesie takiej sprawy do sądu.

- Być może. Sytuacja jest tak zawikłana, że chcę wycisnąć z Kendalla, ile się da. To może pomóc rozwiązać kilka zagadek.

- Powiedziałeś przed chwilą, że nie będziesz mieszał spraw osobistych i zawodowych.

- Tu chodzi jednak o coś innego. - Sięgnął ręką nad stołem i dotknął jej dłoni. - Tu chodzi o ciebie.

Odsunęła się, jednocześnie uśmiechając się blado, by ratować sytuację.

- Danny, zawdzięczam ci tak wiele. To dzięki tobie udało mi się wyjść z dołka i uwierzyć w siebie. Chciałabym, żebyś zawsze pozostał moim przyjacielem.

- Niestety, tylko przyjacielem. - Wzruszył ramionami i uśmiechnął się ironicznie. - Dlatego teraz zjem sobie mały deser.

Taylor zaśmiała się cicho.

- A potem wrócimy jeszcze raz do samego początku i opowiesz mi wszystko, co wiesz o tym bałaganie. Ze wszystkimi szczegółami: co wiesz, czego nie wiesz i co tylko podejrzewasz. Dobrze?

- Tak jest, szanowny panie oficerze. Wyśpiewam wszystko jak na spowiedzi. - Taylor zasalutowała uroczyście.

Nie miała zamiaru mu powiedzieć ani słowa ponad to, co chciała, by wiedział. Pewna była, że wobec Danny'ego potrafi zachować się tak, by niczego po niej nie poznał. Zawsze tak było i nie zamierzała tego zmieniać.

- Dzień dobry, CeCe. Czy mama jest już u ciebie?

- Taylor, tak mi miło, że znów się widzimy! - CeCe przywitała ją w drzwiach z uśmiechem. - Mam ci wiele do powiedzenia. Co z twoją pracą?

- Ciągłe potrzebujesz pomocy? Kto wie, może porozmawiamy o tym za dwa, trzy tygodnie. Będę szukać pracy.

CeCe uniosła brwi nieco zdziwiona.

- Moja mama jak zwykle się spóźnia? - spytała Taylor i najwyraźniej nie oczekując odpowiedzi, weszła do środka. Galeria nie była jeszcze do końca urządzona, ale wewnątrz przypominało już istny róg obfitości. - CeCe, czy mogłabyś oddać mi małą przysługę? Opowiem ci o niejkiej Estelle Grierson.

Taylor nie spodziewała się entuzjastycznej reakcji, lecz ku jej zdziwieniu CeCe okazała się zaciekawiona perspektywą pogrzebania w zrujnowanej galerii Eberhardta.

- To miło z twojej strony, że właśnie mnie o to poprosiłaś. Większość z tych rzeczy to pewnie rupiecie, ale niewykluczone, że znajdziemy tam prawdziwe perełki.

Taylor dała CeCe numer telefonu Estelle i odetchnęła z ulgą. Miała dług do spłacenia wobec tej kobiety.

- Teraz widzę, że mama nie przesadziła, mówiąc, że to wspaniałe miejsce - powiedziała, rozglądając się dookoła. - Założę się, że najbardziej podobała się jej ta stara biżuteria; ma przecież bzika na punkcie takich rzeczy.

Wzrok Taylor zatrzymywał się po kolei na emaliowanych naszyjnikach, starych nefrytowych amuletach i perłach w barokowej

oprawie. Pochyliła się w stronę gablotki, by przyjrzeć się łańcuchowi z wisiorkiem, który był w niej wyłożony.

- Mogłabym go zobaczyć? - spytała. - Znam kogoś, kto ma podobny.

CeCe otworzyła gablotę, wyjęła stamtąd naszyjnik i podała go Taylor.

- To piękna rzecz. Złota kredka damska z około tysiąc dziewięćsetnego roku. W dodatku nie jest bardzo droga. Sam łańcuch - tak, ale kredka kosztuje tylko sto pięćdziesiąt dolarów. A to dwudziestoczerokaratowe złoto - dodała.

Taylor dotknęła metalu i poczuła się tak, jakby wzdłuż jej ramienia przebiegł elektryczny impuls.

- To kredka? - spytała zaciekawiona. - Nie ma więcej niż dziesięć centymetrów.

CeCe zaśmiała się perliście.

- Popatrz. - Wyjęła jej wisior z ręki. - Można ją rozłożyć. - Zdjęła nasadkę z wierzchołka kredki i rozciągnęła ją jak podręczny teleskop, po czym złożyła do poprzednich rozmiarów. - Widzisz, jakie sztuczki?

- Myślałam, że to staroświecka igła hipodermiczna. Czy to rzadka rzecz? - spytała Taylor, oddając cacko właścicielce.

- Można by tak rzec. Nie unikatowa, ale z pewnością rzadka. Nie widziałam nigdy podobnej, a jestem już w tym zawodzie od czterdziestu lat.

Taylor podniosła swoją torbę z podłogi i skierowała się powoli w stronę drzwi.

- Możesz powiedzieć mojej mamie, że mam bardzo pilną sprawę? Nie mogę dłużej na nią czekać. Zadzwoń do niej dziś wieczorem.

Już w progu Taylor ujrzała Irene wysiadającą z zaparkowanego przed galerią samochodu.

- Taylor, kochanie, przepraszam za spóźnienie. Taylor pocałowała ją w policzek.

- Mamo, wydarzyło się coś ważnego, musimy przełożyć naszą wyprawę. Zadzwoń do ciebie.

Nie czekając na tyradę matki, ruszyła w kierunku swego samochodu i po chwili siedziała już za kierownicą. W lusterku zobaczyła, jak Irene przygląda się jej z otwartymi ustami. Była teraz mądrzejsza o jedną rzecz: żaden zarząd szpitala nie podarował z pewnością Margery Chessman staroświeckiej igły hipodermicznej.

Złota damska kredka, pochodząca z około tysiąc dziewięćset czwartego roku, figurowała w rejestrze Eberhardta. Oglądając to, co ocalało z jego galerii, nie zwróciła uwagi na jej brak, tyle tam było różnych bibelotów. Jeżeli, jak mówi CeCe, takie kredki są wielką rzadkością, to ta, którą widziała w naszyjniku u Margery, pochodziła z galerii Helmuta Eberhardta. W dodatku figurowała w rejestrze aż do dnia jego śmierci.

Sprawa była jasna: jeżeli Margery albo Josh nie pojechali do Oxfordu w dniu śmierci Eberhardta i nie kupili jej właśnie wtedy - a

oboje zaprzeczali, iżby wyjeżdżali gdziekolwiek tego dnia - musieli zabrać kredkę z jego galerii przed albo tuż po tym, jak został zamordowany. Margery z pewnością nie miała powodów, by zabić Eberhardta. Cała uwaga skupiała się zatem na starym, dobrym Joshu.

Taylor zaczęła sobie wyobrażać, jak zaświeciły mu się oczy, gdy zobaczył kredkę w gablotce u Eberhardta. Taki okaz musiał przemawiać do jego akademickiej wyobraźni. Tylko dlaczego miałby być tak lekkomyślny, by podarować go swojej żonie? Co prawda nikt i tak nie byłby w stanie skojarzyć tego przedmiotu z Eberhardtem, bo i jak? Na pierwszy rzut oka jedno więcej świecełko na szyi Margery nie powinno sprowokować żadnych podejrzliwych pytań.

Taylor wiedziała, że powinna zawiadomić o tym Vollmera, ale jeżeli dobrze zapamiętała, o tej porze był jeszcze zajęty przesłuchiowaniem Nicka. Niepozorna mała kredka nie jest zresztą jednoznacznym dowodem. Wystukała numer do Mela i usłyszała głos automatycznej sekretarki. Uzyskała z informacji numer Vedy, ale i tam odezwał się automat. Niestrudzona zadzwoniła do Rounders, w nadziei, że Veda albo przynajmniej któryś z uczniów podniesie słuchawkę.

I znowu cholerny automat! Światem zawładnęły roboty, które udają, że potrafią mówić ludzkim głosem.

Zdesperowana zadzwoniła do Maxa Baumonta. Też cisza; tym razem nie odezwała się nawet sekretarka. Niestety, z całego bractwa skupionego wokół sprawy pozostał jej tylko Josh.

Margery zeznała, że Josh w poniedziałek o wpół do ósmej był w swoim biurze i tam odebrał jej telefon. Josh przysiągł, że tego wieczoru, gdy zasztyletowano Clare, zabawiał się w biurze z kochanką. Przyjęli to do wiadomości. Margery mogła kłamać, a kochanka Josha mogła być, wbrew temu co mówił, zakochana w nim, i również go kryć. Może zresztą Josh zapłacił jej za to.

Niewykluczone, że Josh miał połączony telefon biurowy z telefonem w samochodzie i stamtąd rozmawiał z Margery. Mogło to się nawet dzieć dokładnie w tym momencie, gdy samochód, którego marki Taylor nie potrafiła rozpoznać z powodu ciemności, oślepił ją niedaleko wejścia do Rounders w ów poniedziałkowy wieczór.

Josh był w stanie ukraść rzeźby. Miał przecież klucze do Rounders. Znał też bardzo dobrze Clare. Może Josh potrzebował dużo pieniędzy, które należałyby jedynie do niego, bo chciał zostawić Margery? To Margery była tą ambitną. Być może zmęczyła Josha, który marzył już tylko o tym, by mieć młodą, zalotną żonę, niezbyt czasochłonną pracę i dużo wolnego czasu.

Jeżeli to on ukraść rzeźby z Rounders, mógł za nie zainkasować ciepłą rączką sumkę nie mniejszą niż trzysta tysięcy, którą mógł zdeponować w skrytce bankowej lub podzielić na kilkanaście małych lokat w różnych bankach, by nie wzbudzać zainteresowania urzędu podatkowego.

Jedna mała złota kredka nie jest jednak wystarczającym dowodem. Taylor wiedziała, że musi wygrzebać choćby spod ziemi

zaginiony rejestr Eberhardta. Tylko tam może znaleźć brakujące elementy układanki.

Z wahaniem wystukała numer Josha. Musi przynajmniej wiedzieć, gdzie jest, by nie nadzieć się na niego w czasie detektywistycznej eskapady. Słuchawkę podniosła Margery i oznajmiła, że Josh posiedzi w biurze co najmniej do ósmej. Nie będzie miał czasu, żeby rozmawiać z nią wcześniej niż następnego dnia rano.

- Czy będzie pani w domu? Mogłaby pani przekazać mu wiadomość? - spytała.

- Mam jeszcze dzisiaj spotkanie zarządu, a potem jestem umówiona na kolację. Będę w domu późno.

Taylor uznała tę odpowiedź za odmowę, podziękowała Margery i odłożyła słuchawkę. Nie ma wiele czasu, by odnaleźć ten rejestr.

Zjechała na najbliższy parking i wyłączyła silnik. Coś mówiło jej, że jeżeli skupi wszystkie siły, potrafi dotrzeć do miejsca, gdzie ukryty jest ten przeklęty rejestr. Jeżeli Eberhardt zapisał go na dyskietkach, nie zajmuje wiele miejsca. Może to być mały pakunek, wetknięty do szuflady lub wsadzony gdzieś między książki. Policja przeszukała dom Eberhardta, galerię, wynajęty lokal i magazyn i wyszła z pustymi rękami, a przecież ich zawód polega na szukaniu. Potrafią znaleźć narkotyki w mysiej dziurze.

A więc rejestr albo już nie istnieje, albo został ukryty w jakimś bardzo dziwnym miejscu.

Eugene twierdził, że go widział. Również zabójca był przekonany o jego istnieniu. Gdyby było inaczej, dlaczego prześladowałby tak uparcie ją i Nicka?

Gdzie jeszcze można szukać? Policja znalazłaby klucze do skrytki albo dyskietki, nawet gdyby przyklejono je taśmą pod spodem szuflady lub ukryto za obrazem na ścianie. Jest przy tym prawdopodobne, że Helmut i Clara trzymali rejestr w miejscu, do którego mieli szybki dostęp, na wypadek, gdy chcieli coś sprawdzić lub uaktualnić stan swoich podejrzanych interesów. Bank nie nadaje się do tego - jest zbyt odległy.

Taylor zamknęła oczy i oparła głowę na samochodowym fotelu. Poczula świdrujący ból w okolicach prawego oka. Zaczęła marzyć, by zniknęły gdzieś nagle wszystkie rejestry i Nick, i Vollmer, i wszystkie te morderstwa. Zapragnęła mieć teraz w ręce kryształową szklankę wypełnioną aromatyczną whisky, podobną do tej, jaką Marcus Cato wyciągnął z barku mieszczącego się w końskim brzuchu.

Nagle jej oczy otwały się szeroko. Taak! Już wiedziała, jakie miejsce mogła ominąć policja w czasie poszukiwań. Jest to miejsce na tyle dziwne, że jak żadne nadaje się na kryjówkę. Uśmiechnęła się do siebie i przekręciła kluczyk w stacyjce.

Rozdział 19

- Więc zdaje pan wreszcie sobie sprawę, że strzelanie na chybił trafił ostrymi nabojami jest niezgodne z prawem? - zapytał Vollmer po raz szósty. Cabrizzo skrzywił się zniecierpliwiony.

- Mój klient miał powody obawiać się o swoje życie.

- Do diabła, Cabrizzo, przecież ten facet uciekał ile sił w nogach.

- Mój klient wiedział bardzo dobrze, że bandyta biegnie do swojego samochodu po nową broń. Znaleźliście przecież tę broń w samochodzie?

- To nie wasz interes.

- Oczywiście, że nasz. Czy macie jakiegokolwiek podstawy, by sądzić, że któryś z tych strzałów dosięgnął Lewisa i spowodował jego śmierć? - Ponieważ pytanie skwitowano ciszą, Cabrizzo brnął dalej: - Niech pan da wreszcie spokój, Vollmer, i przestanie blefować. Grajmy w otwarte karty.

Danny spojrzał na niego niechętnie.

- Dobra. Eugene Lewis otrzymał jeden postrzał z bliskiej odległości, kiedy siedział za kierownicą swojego samochodu. Wydarzyło się to jakieś siedemdziesiąt kilometrów od magazynu Eberhardta. Zginął niemal natychmiast.

Nick ze złością uniósł się z krzesła. Harrison i Vollmer zrobili to samo niczym zaperzone koguty i odtrącone krzesła przewróciły się na podłogę.

- Vollmer, ty łajdaku, gnoić mnie tutaj przez trzy godziny i wiedziałeś cały czas, że jestem niewinny?!

Rico złapał Nicka za rękę.

- Usiądź i uspokój się. To niewłaściwe miejsce. - Zebrał rozrzucone notatki i powiedział, siląc się na jowialny ton: - W porządku, chłopcy, wreszcie wyszliśmy na prostą. Jeżeli zechcecie jeszcze raz porozmawiać z moim klientem, wystarajcie się o nakaz. Dziękuję wam za współpracę.

- Poczekajcie chwilę - rzekł Harrison. - Mamy jeszcze pewien drobiazg.

- Domyślam się, że niejeden - podsumował z ironią Rico. Nick położył dłoń na ramieniu Rica i powiedział z naciskiem do Vollmera:

- Na pana miejscu starałbym się lepiej panować nad emocjami i nie mieszać życia prywatnego z pracą. Jeśli energię poświęci pan nie na osobiste wycieczki, lecz na znalezienie sprawcy tych wszystkich przestępstw, śledztwo z pewnością zakończy się prędzej. Również Taylor Hunt będzie wtedy bezpieczniejsza.

- Taylor Hunt jest bezpieczna, odkąd przestała zajmować się pana sprawą - zauważył kąśliwie Vollmer.

- Oby tak było.

- Jadłem z nią dzisiaj lunch. To właśnie od niej mam ten pistolet.

Nick był kompletnie zdezorientowany.

- Ma pan szczęście. Świadczyła na pana korzyść. Zresztą, jak sama powiedziała, „wychodzi z tego interesu”.

- Chce w ogóle przestać być prywatnym detektywem? - Nick nie do końca mógł w to uwierzyć. - To miała na myśli?

- Powiedziała, że złożyła dwutygodniowe wymówienie.

- Pożegnajmy już panów - rzekł Nick energicznie do Rica i ujął go za ramię, kierując lekko w stronę wyjścia. To, co usłyszał, było dla niego całkowitym zaskoczeniem. Nie mieściło mu się w głowie, że Taylor tak po prostu się poddała. Chciał koniecznie do niej zadzwonić i spytać, co zamierza, i chciał to zrobić natychmiast.

Taylor zadzwoniła do Marcusa z samochodu. Woląca upewnić się, że jej hipoteza zawiera choć ślad prawdopodobieństwa, zanim poświęci czas na kolejne podchody. Marcus osobiście podniósł słuchawkę.

- O, to pani. Wszystko w porządku, słoneczko? - spytał.

- Dziękuję. Chciałam panu zadać tylko jedno pytanie.

- Jasne. Słucham.

- Czy trudno jest wyźłobić wewnątrz drewnianej rzeźby, żeby zmieścił się w niej barek taki jak u pana?

- To robi się trochę inaczej, niż pani myśli. Korpus składany jest z dwóch osobnych kawałków drewna. To, co powstaje po ich sklejeniu, jest od samego początku puste.

- Czy mam przez to rozumieć, że korpusy wszystkich drewnianych zwierzątek na karuzeli są puste w środku?

- Mniej więcej. Czy to ma jakieś znaczenie?

- To drobiazg, który był mi potrzebny do dokumentacji. Dziękuję bardzo. Nie będę dłużej zwracać panu głowy.

Dwadzieścia minut później wysiadała już z samochodu na parkingu przy Rounders i z kieszonkową latarką ruszyła w kierunku wyjścia ewakuacyjnego mieszczącego się przy rampie.

Manipulowanie uniwersalnym wytrychem zajęło jej kilka minut, lecz w końcu kłódka puściła i drzwi stanęły otworem. Z zapaloną latarką weszła na górę, stawiając delikatnie stopy, tak by nie narobić hałasu. Dotarła wreszcie do drzwi magazynu, nacisnęła ostrożnie klamkę i po chwili wahania zapaliła światło.

Spodziewała się, że rzeźby, które policja zwróciła Nickowi, powinny stać gdzieś w pobliżu drzwi. Sprawdzenie, czy dyskietki Eberhardtów znajdują się tam, gdzie myślała, nie powinno jej zająć więcej niż piętnaście minut.

Starła się przypomnieć sobie, jak wyglądały zwierzęta, które widziała wtedy w magazynie Eberhardta, ale przed oczami stawał jej tylko Eugene i jego wykrzywiona w szyderczym uśmiechu gęba. Zdecydowała, że musi sprawdzić systematycznie wszystkie stojące pod ścianą rzeźby i szukać tak długo, aż znajdzie właściwą.

Pochyliła się i zaczęła ostukiwać jedną po drugiej, ale po odgłosie poznawała, że są puste. Obmacała je dokładnie w poszukiwaniu zawiasów, lecz znów spotkało ją rozczarowanie. Zdesperowana odłożyła torbę na siedzenie jednego z powozów i na klęczkach zaczęła przepychać się pod brzuchami zwierząt.

W tym tempie zajmie mi to nie kwadrans, ale trzy godziny, pomyślała.

Clara musiała być szalona albo piekielnie pazerna, jeżeli opuściła swój bezpieczny i luksusowy świat dla faceta, który zostawił ją kiedyś w college'u. Nagle przypomniał się jej zapisek z notesu Clary. Może „ww” nie znaczy „Windwick”, ale „wredna wydra”. Ale która wredna

wydra? Estelle mówiła o całej konfraterni jako o „wrednych wydrach”. Do głowy Taylor wpadło kolejne imię. Margery Chessman? Margery stała przez jakiś czas na czele konfraterni.

Margery mogła sama ukraść złotą kredkę i najać Eugene'a.

Znała przecież Rounders nie gorzej od Josha, a w Ole Miss była w tym samym czasie co Clara.

Jeżeli Margery była współniczką Helmuta w rozmaitych kradzieżach, Clara nie obawiała się jej. Szczególnie jeżeli po śmierci Eberhardta miała pozostać współniczką Clary.

Już po zamordowaniu Clary Margery mogła spokojnie zadzwonić do Josha z samochodu i udać troskliwą żonę, dopytującą się niecierpliwie, czy ma już wstawiać do pieca jagnięcinę. Wiedziała przecież, że i tak będzie w domu znacznie wcześniej od niego.

Taylor weszła pod strusia.

- Dwie głowy, ale myśl jedna - usłyszała nagle z góry.

Przestraszona podskoczyła jak na sprężynie, waląc z całej siły głową w drewniany brzuch strusia.

Parę kroków dalej stała Margery Chessman, jak zwykle nienagannie ubrana, dźwigająca na szyi i w uszach całą masę złotej biżuterii. W jej ręku błyszczał duży czarny pistolet skierowany prosto w pierś Taylor.

Rozdział 20

- Tym razem naprawdę mnie zezłościłaś - rzekła Margery. - Nie spotkałam jeszcze równie namolnej baby. Powiedziałam ci przecież, że idę na ważną kolację i nie mam czasu, a ty zmusiłaś mnie do przyścia tutaj. Taylor z trudem przełknęła ślinę.

- Policja jest właśnie w drodze... - wyjąkała. Próbowwała patrzeć Margery w oczy i nie spuszczać wzroku na złowieszczą lufę. Przez jej ciało przebiegła fala gorąca i poczuła spływającą po plecach strużkę potu.

Margery zaśmiała się, pewna siebie.

- Nie zmyślaj, kochanie. Wiem od Josha, że Nick dziś rano cię wywalił. To niebezpieczne działać na własny rachunek.

- Mylisz się. Zadzwoiłam na policję z samochodu.

- I co im powiedziałaś? „Jadę do Rounders na spotkanie z groźnym przestępcą”?

Po raz kolejny w swej karierze detektywa Taylor stwierdziła, że właściwie mogłaby równie dobrze obyć się bez broni.

Jej glock znów spoczywał w torbie, która po raz kolejny znajdowała się poza jej zasięgiem. Przysięgła sobie, że jeżeli tym razem uda się jej wydostać żywej z tej matni, nie będzie rozstawać się z glockiem, choćby miała go nosić w futerale pod biustem.

Margery zatoczyła w powietrzu kilka małych kółek.

- Muszę jednak przyznać, że radziłaś sobie całkiem nieźle. Z rzeźb, które ukradł Helmut, udało ci się odzyskać wszystkie oprócz dwóch. A i teraz nieźle kombinujesz. Zastanówmy się... Struś czy

świnka? - Zmarszczyła czoło, udając głębokie zamyślenie. - Ja wybrałabym strusia...

Taylor spojrzała na wielkiego drewnianego ptaka, tymczasem Margery ciągnęła:

- Z drugiej strony świnka ma większe brzuszysko. Zmieści się tam więcej.

Taylor popatrzyła na nią zdezorientowana.

- Tylko czy Helmutowi chciałoby się schylać tak nisko? - kontynuowała Margery. - Nieee... Helmut był na to zbyt leniwy. Na pewno wybrałby takiego zwierzaka, do którego nie musiałby schylać się ani czołgać na czworakach za każdym razem, gdy chciał zanotować swoje kolejne matactwo.

Taylor odwróciła się w kierunku strusia i zrobiła gest, jakby chciała tam podejść, ale Margery krzyknęła:

- Żadnych gwałtownych ruchów! Chyba że chcesz, żeby ukochany zbierał twoje kawałki rozrzucone po całym magazynie. Mnie pozostanie wtedy już tylko wyjąć ze skrytki rejestr i pójść sobie na mały spacer przed kolacją.

- I co dalej? - spytała Taylor, siląc się na spokojny ton.

- Alibi mają wszyscy - z wyjątkiem ciebie.

- Nie filozofuj, maleńka. - W głosie Margery zabrzmiało zniecierpliwienie. - Znajdź teraz grzecznie rejestr, a ja tymczasem zastanowię się, co z tobą zrobić. Pamiętaj, że jeśli mnie do tego zmusisz, zastrzelę cię, ale jeżeli się postarasz, może wymyślimy dla tej historii jakieś szczęśliwsze zakończenie.

Taylor zaczynała w to poważnie wątpić. Gdyby jakoś zdołała zbliżyć się do swojej torby... Ruszyła powoli w kierunku strusia, starając się nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów. Spróbowała obejść go od tyłu, tak by zwierzak znalazł się pomiędzy nią a pistoletem Margery, ale tamta powstrzymała ją tylko głośnym „stop”.

Nagle Taylor spostrzegła coś, co umknęło dotychczas jej uwagi: tuż obok strusia, przysłonięta częściowo jego korpusem, znajdowała się w ścianie elektryczna deska rozdzielcza, z licznikami i przełącznikami prądu dla całego domu. Stacyjka nie była zamykana i wystarczyły dwa kroki, by Taylor znalazła się na wyciągnięcie ręki od bezpiecznika wyłączającego światło w magazynie. Zwróciła się do Margery z niewinnym uśmiechem i spytała przymilnie:

- Czy to Josh powiedział ci, że Nick odkrył podróbkę u Marleya?
Oczy Margery zwięzły się w dwie szparki.

- Josh mówi mi absolutnie o wszystkim. W przeciwnym razie nigdy nie pozwoliłabym wam wszystkim snuć się po moim domu i wymieniać informacjami. Wkrótce po telefonie Nicka z Seattle w martini Josha znalazło się wystarczająco dużo tabletek nasennych, żebym mogła spokojnie odbyć wycieczkę do Oxfordu i pozbyć się Eberhardta.

Taylor zachłysnęła się z wrażenia.

- Ale dlaczego zginęła Clara? Margery zachnęła się zniecierpliwiona.

- Ta głupia gęś była tak pazerna, że uparła się wystawić na sprzedaż wszystkie rzeźby w tym samym czasie, a w dodatku zamierzała dalej penetrować ten magazyn, żeby wyniuchać, czy uda się jeszcze wynieść coś wartościowego. Ta wariatka już w college'u nie znała umiaru, ale na starość pomieszało się jej zupełnie.

- Po tym wszystkim, co was łączyło, nie bała się przyjść tutaj z tobą sama?

- Kiedy dowiedziała się, że i ja maczałam palce w tym, co robił Helmut, była zachwycona odkryciem, że nie jestem taka święta, jak myślała. - Margery zaśmiała się pogardliwie. - Nigdy nie byłam święta; umiałam po prostu lepiej ukrywać swoje małe grzeszki niż ta idiotka.

Taylor zaczęła przesuwając dłoń cal po calu po brzuchu drewnianego strusia.

- I co? - spytała wyczekująco Margery. Wyczuła pod palcami niewielką szczelinę i wsunęła w nią paznokcie, ale ścianka drewnianego korpusu nie chciała się otworzyć.

- Tu musi być jakiś zaczep albo dźwignia - powiedziała.

- Bądź ostrożna, nie złam go - ostrzegła ją Margery. Taylor naciskała różne części korpusu, ale struś zazdrośnie strzegł dostępu do swych tajemnic. Za plecami słyszała szuranie pantofli Margery, która nie przestawała przechadzać się niecierpliwie, prawdopodobnie nie spuszczając z niej oka. Taylor zdecydowała, że bezpieczniej będzie czymś zaprzątnąć jej uwagę, dlatego powiedziała:

- Dobrze, więc w końcu najęłaś Eugene'a. Ale dlaczego go zabiłaś?

- To niestety twoja wina, kochanie. Jakoś nie powiodło mu się z tobą, a wiedziałam, że facet jest miękki i jak go przyskrzynię, zacznie gadać. A to, kiedy go złapią, było tylko kwestią dni. Muszę ci powiedzieć, że znaczna część wszystkich nieszczęść została spowodowana właśnie przez ciebie i Nicka. To, co mnie zasadniczo interesowało, to rzeźby, no a później rejestr Eberhardta, który nie mógł wpaść w wasze ręce. Właściwie można uznać, że przez cały ten czas działałam w samoobronie. - Margery zaśmiała się ironicznie. - Kiedy ludzie mi zagrażali, usuwałam ich. Ta cała historia to opowieść o tym, że nie warto wchodzić mi w drogę.

Taylor gapiała się na nią szeroko otwartymi oczami. Margery ciągnęła rezolutnie:

- Niestety, potrzebowałam dużo, dużo szmalu. Kampania przed wyborami na burmistrza to bardzo kosztowna impreza. Same obiadki z łysolami, którzy mają w tym mieście coś do powiedzenia, to istny odkurzacz na pieniądze. Ale musiałam to mieć dla Josha.

Taylor rzuciła na nią spojrzenie kątem oka. Margery pochłonięta była swoimi wywodami, ale nie na tyle, by stracić panowanie nad sytuacją. Postanowiła jeszcze czekać.

- Te rzeźby stały tu w coraz większym kurzu, a Nick czekał, aż będzie mógł je przenieść do muzeum, które przecież nigdy nie powstanie - ciągnęła Margery. - Dzięki mnie był z nich w ogóle jakiś pożytek. Kiedy Nick odkrył fałszerstwo u Marleya i nastąpiła

eksplozja, musiałam jakoś się chronić. Mam w tym mieście coś do stracenia. Szło o moją opinię.

- Trzy trupy na poparcie opinii?

- No cóż... Na pewno nie chciałam zabić Eugene'a. To było niepotrzebne. Dzieliliśmy pewne wspomnienia. Niektórych chwil tak łatwo się nie zapomina.

Taylor poczuła na skórze lekkie dreszcze i gęsią skórę. Nie spuszczała oka z Margery i czuła, że chwila, na którą czeka, już się przybliżyła. Koncentracja Margery była coraz słabsza i najwyraźniej rozpraszała się z każdą chwilą pod wpływem emocjonującego opowiadania.

- Eugene miał rozum wróbelka, ale jego potencja był jak wulkan. - Margery uśmiechnęła się. - Po tym, jak uciekł Nickowi, zdążył mi jeszcze powiedzieć, co planował dla ciebie na tym łóżku. Najbardziej rozczarowany był właśnie faktem, że nie zrealizował swojego planu. Powiem ci szczerze jak kobieta kobiecie, że masz czego żałować. Takie rzeczy się pamięta.

Margery rzuciła krótkie spojrzenie na złoty zegarek, który zwisał na jej przegubie.

- Otwórz wreszcie tego strusia albo zabierz się do świnki. Nie mamy czasu. Kolacja z prezesem Instytutu Sztuk Pięknych zaczyna się za niecałą godzinę i nie chcę się na nią spóźnić.

Taylor miała już zostawić strusia, ale wyczuła pod palcami zgrubienie. Pomanipulowała przy nim przez chwilę i usłyszała ciche, lecz wyraźne kliknięcie. Niespodziewanie klapa nad jej ręką

otworzyła się z trzaskiem i na podłogę z hukiem wypadło duże, plastikowe pudełko.

Margery, zapominając o ostrożności, rzuciła się w kierunku strusia i w tej samej chwili Taylor dopadła jednym susem do deski rozdzielczej. Zapadła ciemność. Nie czekając, aż padną pierwsze strzały, Taylor rzuciła się na podłogę i zaczęła się czołgać w kierunku miejsca, gdzie, jak pamiętała, zostawiła na podłodze swoją torbę.

Dwie sekundy później ujrzała czerwony języczek ognia wydobywający się z lufy rewolweru i usłyszała huk wystrzału odbijający się donośnie od ceglanych ścian.

Gdy mimo kolejnej próby Nick nie zdołał się połączyć z komórkowym telefonem Taylor, wystukał numer do Bormana.

- Nie mam pojęcia, gdzie jest - zachnął się Mel. - Chociaż ostatnia wiadomość, którą nagrała na mojej sekretarce, jest trochę niepokojąca. Wiesz, co powiedziała? „Wiem, gdzie znaleźć dowód na to, że zabójcą jest Josh.”

- Josh? To bzdury. Nie próbowałeś jakoś jej zatrzymać?

- Jej numer nie odpowiadał, a wszyscy, do których dzwoniłem, nic nie wiedzieli.

- Cholera... W tej samej chwili Nick spostrzegł przez okno samochodu cadillaca Margery zaparkowanego przed głównym wejściem do Rounders. Nigdy nie zaglądała sama do pracowni, nic więc nie mogło zdziwić go bardziej. Poza tym, jak się dostała do środka?

Ma klucz Josha, odpowiedział sam sobie. Nagle owładnęło nim złe przeczucie. Wyłączył silnik i wyskoczył szybko z samochodu. W ciemnej klatce schodowej zobaczył bladą stróżkę światła wymykającą się przez szczelinę pod drzwiami do magazynu. Podeszedł zdecydowanie do drzwi i nacisnął na klamkę dokładnie w chwili, kiedy zgasło światło.

Nim zdążył coś powiedzieć, rozległ się huk wystrzału.

Leżąc plackiem na podłodze, Taylor ujrzała, jak powoli otwierają się drzwi na korytarz.

- Taylor? Margery? Co tu do diabła się dzieje?

- O Boże, Nick! - jęknęła Taylor i w następnej chwili zdrętwiała na myśl o tym, że gdy Nick zrobi jeszcze jeden krok, znajdzie się w smudze księżycowego światła wpadającego przez południowe okno.

Nie chcąc, by stał się żywą tarczą, pchnęła z całej siły ciężkiego strusia w kierunku Margery. Trzask drewna o podłogę przemieszał się z przekleństwem. Margery prawdopodobnie przewróciła się razem ze strusiem i teraz gramoliła się ciężko na nogi. Po chwili rozległ się drugi strzał.

Chybiła, pomyślała Taylor i wyczuła wreszcie pod ręką na podłodze skórzany pasek swej torby. Po chwili poczuła w ręce chłodny dotyk rękojeści glocka. Ostrożnie podczołgała się pod deskę rozdzielczą, starając się jednocześnie zidentyfikować miejsce, gdzie stała Margery, i zapaliła światło, a jednocześnie zamachnęła się z całej siły torbą, starając się trafić Margery w głowę.

Torba poszybowała w powietrzu, uderzając Margery w rękę, która trzymała rewolwer. Broń upadła na podłogę. Klasyczny prawy sierpowy, jakiego Taylor nigdy w życiu nie spodziewałaby się po sobie, wylądował na szczęce Margery, której głowa odskoczyła jak piłka. Nagły, przeszywający ból przebiegł Taylor przez ramię i poczuła gwałtowne ukłucie w skroniach. Całe pomieszczenie zaczęło wirować wokół niej. Zdażyła jeszcze zobaczyć twarz Nicka i by nie upaść, rzuciła się w jego ramiona. Uśmiechnęła się resztką sił i wyszeptała:

- Mówiłam ci, że jakoś dam sobie radę...

Gdy się obudziła, gwałtowne rwanie w rękę skierowało jej wzrok na prawe ramię. Ręka, aż do łokcia, była w gipsie.

- Nareszcie się obudziłaś - usłyszała czyjś głos.

- Chce mi się pić - jęknęła. Ktoś uniósł delikatnie jej głowę nad poduszkę i podał szklanekę chłodnej wody.

- Ciągłe żyję? - spytała słabym głosem. Veda powoli opuściła jej głowę, odebrała pustą szklanekę.

- Będziesz nosić ten gips przez sześć tygodni, potem terapia przez miesiąc i możemy grać w tenisa - uśmiechnęła się Veda. - W końcu będziesz miała swój urlop.

- Ta wiedźma złamała mi rękę - jęknęła.

- Kochanie, ty omal nie złamałaś jej szczęki.

- Nick? - Taylor rozejrzała się po pokoju.

- Był tu z tobą przez cały wieczór. Wysłałam go do domu, żeby się wykapał i ogolił, bo już wyglądał jak stary komandos. Przyleci tu na skrzydłach.

- Co stało się z Margery?

- Jest w policyjnym szpitalu pod troskliwą opieką.

- Biedny Josh...

- Bardzo biedny. Przysięgał na wszystkie świętości, że nie miał pojęcia o wszystkich sprawkach Margery. Łże jak pies. Jeżeli nawet o czymś nie wiedział, to dlatego, że nie chciał. - Veda poprawiła poduszkę pod głową Taylor. - Vollmer snuje się tu po korytarzu. Jest chyba na ciebie wściekły.

- Niech sobie będzie.

- Jest też Mel. Chyba jeszcze bardziej wściekły od niego.

- To może i ty jesteś wściekła?

- Nie na ciebie.

- O Boże, boli mnie gardło. Jak długo już tu jestem?

- Coś koło czterech godzin. Znieczulili cię w karetce.

- Veda, jestem potwornie głodna. Czy...

- Nick zaraz przyniesie burgery. Taylor wyprostowała się i spazm bólu wykrzywił jej twarz.

- O Boże... Czy moja matka wie coś o tym?

- Spytaj Mela. Poproszę, żeby wszedł. Gdy Borman pojawił się w drzwiach, na chwilę mignęła jej z tyłu twarz Vollmera, ale Veda nie wpuściła go do środka.

Taylor spojrzała na zaciętą minę Mela i wybuchnęła płaczem. Mel zbliżył się do łóżka i pogładził ją nieśmiało po ramieniu.

- Tak bardzo się bałam - zaszlochała w poduszkę.

- Zachowałaś się, jakbyś postradała zmysły.

- Wcale nie. Zostawiłam ci wiadomość. Byłam pewna, że to Josh i dlatego sprawdziłam dokładnie, gdzie jest i co robi, żeby nie wpaść na niego w magazynie. Myślałam, że jestem bezpieczna.

- No cóż...

- Czy zadzwoniłeś do mojej matki?

- Jeszcze nie. Chciałem dowiedzieć się, ile czasu spędzisz w szpitalu.

- Nie zadzwoniłeś... Dzięki Bogu. Obiecuj mi, że ona nigdy się nie dowie.

- Taylor, jest jeszcze Vollmer. Gazety pewnie poświęcą ci trochę miejsca...

- Skłam! Powiedz, że miałam wypadek. Powiedz cokolwiek. Ona nie może się dowiedzieć.

- Taylor, masz rękę w gipsie.

- Coś wymyślę. Nie zniosę tego, zwłaszcza jak dołączy do niej Bradley i oboje zaczną zatruwać mi życie.

- A jeśli chodzi o twoje wymówienie...

- Właśnie! Czy mogę je wycofać? - Obdarowała go najbardziej promiennym i kokieteryjnym uśmiechem, na jaki było ją stać. - Wiem, że przez moment nie będę mogła używać komputera, ale jest przecież wiele innych rzeczy.

- Chcesz dalej zajmować się czymś takim po ostatnich wydarzeniach?

- Tak. A to, co było wczoraj, już nigdy się nie powtórzy.

- Kobieto, zejdz mi z drogi albo usunę cie siłą! - Od drzwi dobiegło szamotanie i Danny niemal przemocą wdarł się do pokoju.

- Miło, że pan oficer zechciał mnie odwiedzić - wymamrotała Taylor, na wszelki wypadek siląc się na przymilny ton.

- Będę potrzebował twojego oświadczenia - oznajmił bez uśmiechu.

- Czy znalazłeś dyskietki? - spytała. Ciężka zasłona powoli zaczynała się podnosić znad jej głowy i Taylor przypomniła sobie, po co w ogóle wybrała się poprzedniego wieczoru do Rounders.

- Tak. Eberhardt był bardzo skrupulatny. Ten rejestr przypomina prawie pamiętnik nastolatki ukrywającej przed mamusią wszystkie swoje romanse. Już niedługo bardzo wielu ludzi poczuje niemiłe zaskoczenie.

- A co z Margery?

- Josh chciał zaangażować Rica, ale powstał konflikt lojalności, bo Rico reprezentuje już Nicka, więc odmówił. Wynajęli kogoś innego, podobno ściągali faceta z pola golfowego. Z tego, co mi powiedział, wynika, że chcą iść po linii samoobrony. Margery miałyby strzelać do ciebie w obronie koniecznej.

- Ta kobieta zwariowała.

- Możesz mi coś o tym powiedzieć? Taylor wtuliła się głębiej w poduszkę i na jej twarzy pojawił się grymas.

- Danny, jestem bardzo zmęczona i w dodatku boli mnie ręka.
Czy mógłbyś przyjść do mnie jutro?

- Doktor powiedział, że rano wypisują cię do domu.

- Więc przyjedź jutro do mojej chałupki. Margery jest pod waszą troskliwą opieką, więc nie ma chyba pośpiechu?

Skrzywił się i wzruszył ramionami.

- Nie ma sprawy. - Uśmiechnął się na pożegnanie i pocałował ją w policzek. - Cieszę się, że żyjesz. Ale jeżeli jeszcze raz zaczniesz tak rozrabiać, to sam ci przyłożę - mrugnął.

Taylor kiwnęła na pożegnanie głową, ale nawet ten mały gest kosztował ją bolesne strzyknięcie w skroni.

- Mel, w takim razie ty przedstaw mi osiągnięcia swojej ekipy - powiedział do Bormana i obaj opuścili szpitalny pokój.

Przez chwilę panowała cisza. Veda usiadła wygodnie w foteliku, popatrzyła badawczo na Taylor i powiedziała:

- Ja też chciałam z tobą porozmawiać.

- Nie, Veda, proszę...

- Odkąd cię poznałam, słyszę od ciebie ciągle, jaką to zwykłą i nudną pracę przyszło ci wykonywać. W ciągu jednego tygodnia dwa razy do ciebie strzelano, dwa razy zostałam zaatakowana, raz poturbowano cię nielecho, a potem złamałaś sobie rękę, waląc po głowie mordercę. To raczej nie wygląda jak opis pracy w banku ani na poczcie.

- To wszystko zdarzyło mi się po raz pierwszy w życiu.

- Poza tym zakochałaś się w swoim kliencie.

- Jakoś się z tego wygrzebię.
- Tak? Jesteś taką profesjonalistką?
- Próbuję.
- Czy wiesz, że kiedy Nick przywiózł cię tu na ostry dyżur, nie ruszył się przez osiem godzin ani krokiem? Czy nie widzisz, jak on na ciebie patrzy? Jest w tobie tak zakochany, że aż żal na niego patrzeć.
- Nie pozwolę, żeby Nick zrujnował mi życie. Ten zakochany facet wywalił mnie z pracy, już zapomniałaś?
- Nick był przerażony tym, że straci cię w ten sam sposób, jak stracił wcześniej swoją matkę i babkę.
- To jego problem.
- Czy twoja niezależność jest naprawdę aż tak drogocenna, że nie chcesz, żeby ktokolwiek cię jej pozbawił? Nie czujesz się czasem samotna?
- Daj mi spokój.
- Nie dam ci spokoju, dopóki nie przyznasz, że ty też go kochasz.
- Dobrze. Jestem zakochana w Nicku. Czy teraz jesteś zadowolona?
- Nie wiem, jak wygrzebiecie się z tego z Nickiem, ale radzę ci, zastanów się nad tym, bo twoje życie może okazać się bardzo samotne, jeżeli spędzisz je w towarzystwie kota.
- Zastanawianie się może niewiele przynieść.
- Przynajmniej spróbuj. Proszę cię, zrób to dla mnie.
- Dobrze, Vedo, spróbuję - jęknęła zrezygnowana Taylor.

Zapadła w nierówny, płytki sen. Chciała wreszcie wrócić do domu, nakarmić Elma, ukryć się za swoim wysokim murem i zacząć lizać rany. Gdy otworzyła na chwilę oczy, spostrzegła Nicka z dużą papierową torbą w lewej ręce i bukietem czerwonych róż w prawej. Zapach dochodzący z torby wskazywał jednoznacznie na hamburgery.

- Będiesz potrzebowała opieki przez kilka dni - powiedział Nick miękko.

- Jakoś sobie poradzę.

- Zgłaszam się na ochotnika. Elmo będzie chciał złożyć zamówienia na swoje whisky, a ty przez kilka tygodni nie będziesz mogła prowadzić auta i robić zakupów.

- Nie możesz przecież zostawić Rounders.

- Veda z Maxem jakoś się tym zajmą, bo Josh... - Nick urwał w pół słowa, przypominając sobie, że nie wszyscy z dawnych partnerów pozostali jego przyjaciółmi.

Taylor zamknęła oczy.

- Nie wiedziałam, Nick, że tak igram z losem. Ja naprawdę nie zrobiłam niczego, co byłoby w oczywisty sposób głupie lub niewłaściwe.

- Taylor, przez to wszystko o mało cię nie straciłem!

- I z całkiem podobnego powodu wpakowałeś się w pułapkę. Czy tylko do mnie masz pretensje? Sobie nie masz nic do zarzucenia? Zresztą, kiedy naprawdę jesteśmy bezpieczni? Mogę iść ulicą i wpaść pod trolejbus, a ty możesz wpaść w poślizg na swoim motocyklu i stoczyć się ze skały.

- Ty sama ryzykowałaś.

- Tak się zdarzyło, to losowy przypadek.

Uniosła z wysiłkiem zagipsowaną rękę i zbliżyła ją do twarzy Nicka, chcąc go pogłaskać po policzku. Zadanie okazało się jednak zbyt trudne - szorstki gips przejechał niespodziewanie po jego nosie i opadł ciężko na kołdrę.

- Och, kochanie - jęknęła. - Bardzo cię przepraszam... Nick zamrugał powiekami, potarł dłonią nos i uśmiechnął się smutno.

- Popatrz tylko. - Ujął jej ciężki gips w obie dłonie. - Kocham cię. Mogę cię zapewnić, że nie planowałem niczego w tym rodzaju i Bóg mi świadkiem, że może wolałbym, by to się nie wydarzyło - ale stało się. Co więcej, nie mam ci wiele do ofiarowania poza długami i tą zakurzoną pracownią. Mimo wszystko musisz mi powiedzieć, co zamierzasz, bo przez resztę życia będę się zadreślał, że zmarnowałem okazję, która przychodzi tylko raz.

- To wszystko nie będzie zbyt łatwe - powiedziała miękko.

- Jeżeli będziemy naprawdę chcieli, damy sobie radę. - Dotknął palcem jej podbródka i uniósł go lekko w górę, tak by spojrzała mu w oczy. - Taylor, wyjdź za mnie. - Ujął jej dragą dłoń i przycisnął jej palce do ust. - Masz takie zgrabne palce, że zmieści się na nich nawet złota obrączka mojej babki.

- Nick, czy ty naprawdę wiesz, w co się pakujesz? Potarł swój poobijany nos, pochylił się i pocałował ją delikatnie w usta.

Epilog

- Taylor Kendall ma natychmiast zejść z tego krzesła! - nakazała Veda nie znoszącym sprzeciwu głosem, gdy tylko stanęła w drzwiach pracowni w nowej siedzibie Rounders i zobaczyła, co się święci. Ubrana była w płócienną bluzę w radosnym kolorze żonkili i luźne spodnie. - Jeżeli Nick zobaczy, co tam wyprawiasz, to ja dostanę po głowie.

Taylor uśmiechnęła się do niej kwaśno i ostrożnie zeszła na podłogę.

- Veda, ja nie jestem upośledzona.

- Jesteś już prawie w siódmym miesiącu ciąży, skarbie. A swoją drogą, po co tam włąziłaś?

- Ktoś krzywo powiesił naszego elfa. Nie lubię takiego partactwa.

- Jeżeli wnuk Maxa będzie bez przerwy włąził na każdą rzeźbę w naszym muzeum, zadzwonię do elfów, żeby przyszły i go zabrały. Wyszłam tylko na chwilę, żeby się przebrać, a on zdążył w tym czasie wleźć na słońca i zaczął coś ściągać ze ściany.

- Skądinąd to całkiem miły maluch. Max jest z niego bardzo dumny.

- Ma w oczach te same żywe ognie. I stanowczo za dużo energii. Poczekaj z tą miłością do dzieci, aż będziesz gonić po dywanie swojego własnego brzdąca.

- Uff... - westchnęła Taylor. - Jestem już trochę zmęczona. Ekipa nie skończyła jeszcze drugiej łazienki, tapetowanie dziecinnego

pokoju nawet nie ruszyło, a Nick jest tak zajęty całą tą przeprowadzką i muzeum, że nie ma czasu zrobić jednej małej półki i rzeczy leżą w pudłach. Jak zwykle szewc bez butów chodzi.

Wahadłowe drzwi prowadzące do wielkiego holu uchyliły się i pojawiła się w nich głowa Charlene Cato.

- Veda, gdzie ty się podziewasz? Chłopcy przynieśli za mało kubelków na lód do szampana, więc zadzwoniłam do Marcusa i poprosiłam, żeby wziął nasze z domu, ale jak zwykle spóźnia się już pół godziny. Przysięgam, że kiedyś zamorduję tego faceta. - Charlene zobaczyła Taylor i uśmiechnęła się do niej. - Och, nie powinnam cię tak zniechęcać do życia małżeńskiego.

Taylor wzruszyła ramionami.

- Życie toczy się dalej. Nawet dla Margery, która, jeśli wierzyć lekarzom, omal nie przeniosła się na drugą stronę i jest ciągle w takim stanie, że nie wiadomo, czy będzie w ogóle mogła stanąć przed sądem. Nick powiedział, że Josh chce przyjść na otwarcie. Nie jest już współnikiem, ale przyniesie chyba pieniądze dla Marleya.

- Jedyna pożyteczna rzecz, jaką mógłby zrobić - sarknęła Veda.

Zaaferowana Charlene wróciła do swoich zajęć i gdy zamknęły się za nią drzwi, Veda zażartowała:

- Charlene zawsze unikała tego miejsca jak zarazy, ale teraz jest tak przejęta, jakby to ona, a nie Marcus, wykupiła udziały Josha w Rounders.

- Myślę, że ma talent do zarządzania i po prostu to lubi - skomentowała Taylor. - Przyznasz, że jej pojawienie się to prawdziwy

dar losu. Gdyby nie ona, muzeum byłoby dalej w rozsypce. Ja nie zrobiłam nawet połowy tego co ona.

- Ani ja - przytaknęła Veda. - Ale mam jedno wielkie osiągnięcie: wnukowi Maxa nie udało się do tej pory zdemolować pracowni, a to już coś. Niestety, nie mogę zatrudnić się u niego jako niańka na pełnym etacie, chociaż on ma zdaje się kłopoty ze zrozumieniem tego.

- Tak czy inaczej nie masz zbyt wiele czasu, zważywszy na to, że Mel kręci się cały czas przy tobie? Chodźmy, trzeba jeszcze... - Taylor spojrzała na zegarek i wpadła w panikę. - Mój Boże, otwarcie już za dziesięć minut!

W holu panowało coś w rodzaju zorganizowanego chaosu. Chłopcy w białych uniformach przemykali szybko w tę i z powrotem, przenosząc tace, przekąski i kieliszki do szampana. Wahadłowe drzwi co chwila otwierały się i zamykały. Taylor przez moment przyglądała się całej tej krzątaninie, nie mogąc się nadziwić, jakim sposobem udaje się kelnerom nie rozbić piramid szklanych naczyń wynoszonych co chwila z kuchni i ustawianych w różnych kątach obszernego pomieszczenia.

Charlene tłumaczyła coś energicznie jednemu z kelnerów, skreślając jednocześnie ołówkiem kolejne pozycje ze sporządzonej przez siebie listy.

- To wygląda naprawdę imponująco - powiedziała do niej Taylor.
- Nie mogę uwierzyć, że udało ci się wszystko zorganizować w takim tempie.

Nick wypożyczył od jednego ze swoich przyjaciół miniaturową karuzelę. Stała teraz, obracając się powoli, na środku wielkiego bankietowego stołu, otoczona wieńcem półmisek z przystawkami, wystawionych na wilcze apetyty mających pojawić się lada chwila gości. Obok karuzeli znajdowała się wielka waza z ponczem, a kelnerzy przygotowywali się już powoli do otwierania szampanów. Charlene Cato lubiła robić rzeczy perfekcyjnie - albo nie robić ich wcale - a ponieważ Marcus, nowy wspólnik w starej kompanii, hojnie zaofiarował się sfinansować przyjęcie, oprawa całej uroczystości zyskała wielkoświatowy charakter.

Kręcącej się na środku stołu karuzeli towarzyszyć miała muzyka na żywo, grana na pianoli ustawionej nieco z boku.

Pomieszczenie było przestronne i zalane światłem wpadającym przez duże, wychodzące na południe okna nowej siedziby Rounders. Ściany połyskiwały srebrzyście nową tapetą i obwieszane były okrągłymi panelami zdobionymi kiedyś wierzchołki dziś już zabytkowych karuzel. Obok nich wisiały stare, czarno - białe fotografie starych karuzel i zdjęcia kilku znanych rzeźbiarzy w trakcie pracy.

Gdzie jest Nick? - zastanowiła się Taylor. Musi być gdzieś w pracowni, która przylegała do pomieszczeń muzeum i miała dzisiaj być również otwarta dla publiczności. Dłuta, bolce i wszystkie inne ostre narzędzia zostały zamknięte w szafach, ale prace - te rozpoczęte i te już zaawansowane - zostawiono na wierzchu, tak by zwiedzający

mogli obejrzeć, jak wygląda proces twórczy od pierwszych faz aż do jego zakończenia.

- Usiądź wreszcie, zanim się przewrócisz - powiedziała Veda i delikatnie popchnęła ją w kierunku jednego z wynajętych foteli stojących pod ścianą. Przyniosę ci zaraz trochę owocowego ponczu. Pamiętaj: ani kropli szampana. Powinnaś wykorzystać teraz każdą chwilę, kiedy możesz jeszcze trochę odsapnąć. Zaraz zacznie się młyn, zwłaszcza jak przyjedzie telewizja. Musisz być czarującą gospodynią.

Taylor uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością. Przycupnęła spokojnie w kąciku, lecz po chwili, jak zwykle, kiedy tylko trochę odpoczęła i poczuła się zrelaksowana, dziecko w jej brzuchu zaczęło wycinać hołubce.

Czuła się wspaniale, nosząc dziecko Nicka, chociaż czas, kiedy miała zostać matką, mógł być wybrany nieco lepiej. Cały ten natłok zdarzeń nie pozwalał jej do końca rozkoszować się tym, co w jej życiu zdarzało się po raz pierwszy. Po tym, jak oznajmili matce, że zamierzają się pobrać, nie czekając na zdjęcie gipsu ani nie przejmując się sensacją, jaką miało to wywołać wśród przyjaciół i znajomych, zdążyli przerobić i wyremontować połowę jej domu, przenieść Rounders do nowej siedziby i urządzić muzeum, które od dawna było marzeniem Nicka.

Kiedy urodzi się mały, będzie miała trzydzieści pięć lat. A Nick? Czterdzieści trzy. Odchyliła głowę do tyłu, oparła ją na krawędzi fotela i zamknęła na moment oczy. Przez ostatnie kilka miesięcy do

szczęścia nie potrzebowała wiele więcej niż jej kocur Elmo: chwili spokoju, by wystawić twarz do słońca, zamknięcia oczu i rozkoszowania się promieniami nagrzewającymi jej skórę.

- Kochanie, wyglądasz pięknie... Otworzyła oczy i zobaczyła pochyloną nad sobą matkę

przyglądającą się jej z pełnym rozrzewnienia uśmiechem.

- Witaj, mamó. Chciałaś chyba powiedzieć, że wyglądam jak mors wygrzewający się w słońcu.

- Przed chwilą przyniosłam Nickowi radosną wiadomość. CeCe Washburn chce, żebyście dostarczyli jej jeszcze co najmniej dwie rzeźby do galerii. Powiedziała, że idą jak ciepłe bułeczki.

- To świetnie. Te wszystkie remonty i przeprowadzka wysysają pieniądze jak odkurzacz.

- Tak się cieszę, kochanie...

- Czy wiesz, że przez ostatni miesiąc do Nicka chciało zapisać się więcej uczniów, niż był w stanie przyjąć? Już wyobrażam sobie, co będzie się działo po reklamie, jaką mu przyniesie otwarcie muzeum.

- Tak się cieszę, że przynajmniej jedno z moich dzieci jest szczęśliwe. Biedny Brad! Ten rozwód chyba go zabije.

- Mógł o tym pomyśleć nieco wcześniej.

- Chciałam ci coś powiedzieć, Taysie. - Matka spojrzała na nią badawczo. - O, Nick idzie! - Pochyliła się i szepnęła Taylor do ucha: - Czy nie udałoby ci się przekonać męża, żeby włożył krawat na te kilka godzin?

- Nie ma na to szans. Nick podszedł do nich, ujął rękę Taylor i pomógł jej wstać.

- Muszę ci powiedzieć, mamo, że odniosłam i tak wielki sukces. Udało mi się namówić go, żeby włożył nowe, eleganckie dżinsy - dokończyła.

- To było jedno z większych głupstw, jakie zrobiłem - zaśmiał się tubalnie. - Każde spodnie nadają się do noszenia dopiero po pięciu praniach. A ty jak się czujesz? - Pogładził Taylor po policzku.

- A jak się mogę czuć z taką piłką? Muszę bawić się w akrobatę, żeby móc cię pocałować.

- Ja zawsze znajdę sposób, żeby ci w tym pomóc. - Pocałował ją czule w usta i przyłożył rękę do jej brzucha. - Widzę, że nasz mały śpi spokojnie.

- Czeka na przejażdżkę na twojej karuzeli. - Przysunęła się do niego ufnie i oparła głowę na jego ramieniu.

Przez drzwi wtoczył się z rozpędem Marcus Cato. Pod pachami ściskał dwa połyskujące kubelki do szampana.

- Podobno moja żona już nie może się mnie doczekać - zawołał.

- Marcus, gdzie byłeś przez cały ten czas? - mruknęła groźnie Charlene, odebrała mu kubelki i pognęła z nimi do kuchni.

Jej mąż uśmiechnął się przeproszająco i ruszył w kierunku Nicka oraz Taylor. Po drodze spostrzegł Irene Maxwell i ukłonił się jej.

- Witam szanowną panią...

- Miło pana widzieć, doktorze. - Irene wyciągnęła do niego rękę.

- Ślicznie wyglądasz - uśmiechnął się do Taylor. - Jakie duże...
Czy jesteś pewna, że to nie trojaczki?

- Przestań, mam nadzieję, że nie!

Również Max Beaumont zatrzymał się przy nich i powiedział z udanym zatroskaniem:

- Nick będzie musiał zrezygnować ze swojego harleya, kiedy już zostanie ojcem.

- Nikt nie będzie z niczego rezygnować - zaprotestowała Taylor. -
Następnego dnia po tym, gdy przestanę wyglądać jak ludzik z reklamy opon Michelin, wracam do pracy, chociaż na początku tylko przy domowym komputerze.

- Taysie, ty chyba żartujesz - przestraszyła się Irene.

- Ależ nie, mam. Gdy tylko będę mogła, wrócę do swoich zajęć. Nick będzie zabierał małego do pracowni, kiedy będę zajęta. Tutaj znajdzie tyle troskliwych nianiek, że od ilości cioć zakręci mu się w głowie.

- Nie zapominaj o wujkach - dodał Max. - Ja mogę robić jednocześnie za wujka i dziadka. A propos, jak Borman przyjął twoją chęć powrotu do pracy?

- Borman jest zachwycony - powiedział Mel, wynurzając się zza pleców Maxa. - Proszę, Taylor, to dla ciebie. Veda rozkazała mi przynieść ten poncz.

- Dzięki. - Taylor wypła chciwie kilka haustów. - Uff...
Wybaczcie, zostawię was na chwilę. Przed rozpoczęciem tej hulanki potrzebuję trochę czasu dla siebie.

- Pomogę ci - oznajmił Nick.

- Nick, chodź tutaj! - zawołała Veda z drugiego końca holu. - Nie mogę poradzić sobie z tą pianolą.

- Już lecę. - Nick rzucił Taylor zakochane spojrzenie i pogładził ją czule po włosach. - Dobrze się czujesz?

- Jestem głodna jak wilk. Pożrę chyba wszystkie przystawki, zanim pojawią się pierwsi goście.

- Zaraz wracam. Chcę, żebyśmy witali ich razem.

Ruszył Vedzie na odsiecz, rzucając Taylor przez ramię jeszcze jedno ciepłe spojrzenie. Chociaż jego żona powtarzała, że czuje się ze swoim brzuchem jak matrona, w jego oczach wyglądała jeszcze piękniej niż zwykle.

Na początku obawiał się, że z ciążą będą wiązały się złe humory i nastroje, ale nic takiego nie nastąpiło. Wiosnę i lato Taylor przeżyła z pogodą ducha, a jedyna zmiana, jaka w niej zaszła, to całkowity brak zainteresowania dla jakichkolwiek spraw nie związanych z rodziną. Gdy dziecko już przyjdzie na świat, na pewno zmieni się to w pewnym stopniu, pomyślał. W ostatnich dniach ich życie nabrało ładu wariackiego tempa, a jednak obydwójce czuli się tak, jakby spowijał ich kokon przyjemnego spokoju.

- To proste, Veda, wystarczy wcisnąć ten guzik - powiedział i w tej samej chwili z wnętrza pianoli wydobyło się ogłuszające „umpapa”.

- Ścisz to! - wrzasnęła, zatykając sobie uszy. Posłuchał jej i kiwnął żonie z daleka. Śmiejąc się z całego rozgardiaszu, Taylor przemierzyła salę i uwiesiła mu się na ramieniu.

- Spójrz - wskazała głową karuzele na stole, tryskającą kolorami niczym tęcza - te koniki aż proszą się, żeby ruszyć z nimi do tańca. Zupełnie jak nasz mały. Powiedz, jego chyba nie oddamy elfom? - zapytała filuternie.

- Nie, kochanie. Tam przecież jest napisane: „dzieci bez opieki”. A jeśli chodzi o mnie, nie zamierzam rozstawać się z wami aż do końca życia. - Przytulił ją znowu, ugryzł lekko w ucho i powiedział: - Czas już, żebyśmy otworzyli to wielkie przyjęcie.